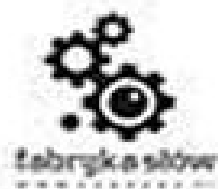


KSIĄŻKA LAUREATKI NAGRODY IM. JANUSZA A. ZAJDLA



Anna **Karitoch**

*Diabeł na wieży*



**Anna Kantoch**

**Diabel na wieży**

**Serdecznie dziękuje Eli Gepfert za pomoc**

**udzielona mi przy pisaniu tych opowiadań**

**0. Diabel na wieży 4**

**1. Czarna Saissa 31**

**2. Damarinus 87**

**3. Serena i Cien 135**

**4. Długie Noce 196**

**5. Pełnia lata 237**

**0. Diabel na wieży**

**Doktor Robert Darnis nigdzie się nie spieszył.**

**Pol dnia spędził w powozie i zaczynał już odczuwać nieuniknione skutki długiej podróży: zmęczenie, sztywność mięśni i rozdrażnienie. Dlatego gdy gospoda, w której stanął na posiłek, okazała się niespodziewanie całkiem przytulnym miejscem, postanowił zatrzymać się tu dłużej.**

**Służacy Darnisa, zachwyceni takim obrotem sprawy, pobiegli przenieść bagaże, a nie mniej uradowany karczmarz gorliwie podsuwał gościowi kolejne polmiski i napelniał kielich. Reszta dnia Darnis spędził, napychając pekaty kaldun i spoglądając na siapiacy za oknem listopadowy deszcz. Pozostali klienci – najpewniej chłopcy i służący z okolicznych majątków – popatrywali na niego ciekawie, ale nie odwagili się zaczepić. Był z tego rad, bo nie miał najmniejszej ochoty bratać się z pospółstwem.**

**Dopiero gdy zapadł zmierzch, przed gospoda zatrzymał się jeździec, który wzbudził zainteresowanie tego medyka. To bez wątplenia szlachcic, pomyślał, spoglądając na elegancki płaszcz podróżnego.**

**Gdy tamten wszedł do sali, ciekawość Darnisa zmieszała się z niechęcią. Nieznajomy nosił skrojony według najnowszej mody kaftan, tyle że moda nakazywała ubierać się w barwy jasne, a stroj przybysza był czarny, ożywiony jedynie srebrnymi, pięknie rzezbionymi guzami. Spod kaftana wyglądała piniaca się od delikatnych koronek koszula, zaś rekojesc szpady zdobiły – a jakże – perły i drogie kamienie, więc to, co powinno być bronią, sprawiało raczej wrażenie słodkiej zabawki.**

Mieczysław miał gładką twarz o rysach zbyt ostrych, by uznać ją za sympatyczną, choć, skądinąd, odpychająca też nie była. Jasna barwa skóry podkreślała ciemne włosy i oczy, a wypielegnowane dłonie nigdy chyba nie skalalały się pracą fizyczną.

Darnis, który uważał się po trochu za fizjonomistę, bez wahania zaliczył przybysza do grona zniewieszciałych elegantów. Nie lubił takich typów, jednak ciekawość przeważała nad niechęcią.

Zaprosił nieznanego do stołu, podając przy tym swoje nazwisko i zawód.

Domenic Jordan – przedstawił się tamten w odpowiedzi. – Również jestem lekarzem.

A więc to tylko pozer, który usiłuje udawać szlachcica, zmienił zdanie Darnis.

Jordan jadł kolację. Zachowywał się przy tym tak, jakby siedział nie w skromnej gospodzie, lecz przy zastawionym najdelikatniejszą porcelaną stole. Darnis towarzyszył mu, popijając wino. Ciężar konwersacji wziął na siebie, bo nowy gość okazał się wyjątkowo młomowny. Pełen medyk, który skromność uważał za cnotę przystającą młodym paniom, a nie dojrzałym mężczyznom, opowiadał o swoich sukcesach, a Jordan słuchał uprzejmie. Mijały leniwe minuty, ironiczny uśmiech bladoliciego lekarza zlagodniał z czasem, a w końcu stał się nawet pełen podziwu. Przynajmniej tak zdawało się Darnisowi, który coraz częściej patrzył na owego uśmiech przez wypełniony winem kielich.

Domenic Jordan kończył już posiłek, gdy na zewnątrz ponownie rozległ się tetent konskich kopyt. Tym razem towarzyszył mu skrzyp kol powozu. Chwile później do sali wszedł piętnastoletni może wyrostek, bogato ubrany, ale najwyraźniej mocno speszony. Zdjął czapkę i podszedł do stołu, przy którym siedzieli lekarze.

Wybaczcie, panowie – wymruczał, kierując słowa do klepek w podłodze. – Moja pani dowiedziała się właśnie, że w gospodzie przebywa lekarz, i prosi, jeśli to nie kłopot, by zechciał przyjąć zaproszenie do rezydencji Ferlay. Młoda pani, córka pani, od dawna słabuje, a w tej okolicy trudno o dobrego medyka, więc... Jeśli to nie kłopot... – Chłopak zaciął się i zaczął powtarzać.

Synku – powiedział Darnis tonem, jakim zazwyczaj zwracał się do kapryśnych małych pacjentów. – Do kogo ty właściwie mówisz? Obaj jesteśmy lekarzami.

Zakłopotany posłaniec poczerwieniał.

Darnis sapnął. Pochłonięte w ciągu dnia jedzenie ciążyło mu w żołądku i marzył już tylko o tym, by położyć się do łóżka i zamknąć oczy. Z drugiej jednak strony, nie zamierzał pozwolić na to, by ten elegancik sprzątnął mu sprzed nosa mającego pacjenta.

**Coz – rzucił pozornie niedbale – tak się składa, że mam trochę czasu i chętnie przyjmę zaproszenie. Panu zaś – spojrzał na drugiego medyka – pewnie pilno w dalszą drogę?**

**Nie – uśmiechnął się Domenic Jordan. – Ja również nigdzie się nie spiesze.**

**Ferlay bardzo rozczarowało Darnisa. W mglisty, jesienny poranek rezydencja nieodparcie przywodziła na myśl staruszkę, który niepomyślny na swój wiek, wciąż chce uchodzić za młodzieńca.**

**Dom był kwadratowy, przysadzisty, raczej solidny niż piękny. Fasadę pomalowano na ceglano-czerwony kolor, ale farba łuszczyła się i odpadała, odsłaniając ciemne, spekane kamienie. Okienne, niegdyś zapewne jasnozielone, poszarzały od brudu, przybierając nieciekawą barwę zgnitych liści. Ku oknom piły się cierpliwie nagie pędy bluszczu, a w szparach między kamieniami rosły keпки mchu i zwiedlej, brzozy trawy. Niewysoka wieża upodabiała rezydencję do małego zamku.**

**Darnis zapuścił się w głąb ogrodu, idąc zarosniętą wąską ścieżką. Cierniste galezie krzewów chwytaly go za rękawy płaszcza, a wysokie drzewa o nigdy chyba nie przycinanych konarach tworzyły nad głową baldachim z ciasno splecionych galezi i pomarszczonych liści. Czuł się trochę tak, jakby kroczył kościelną nawę.**

**Ścieżka skończyła się nagle, a on wyszedł na okrągłą polankę, na której stało coś, w czym z jakimś trudem rozpoznał kamienną fontannę. Nad popękana cembrowina pochylał się Domenic Jordan.**

**Znalazł pan coś interesującego? – zapytał Darnis z ciekawością.**

**Mężczyzna odwrócił się.**

**Obawiam się, że trafiłem na zbiorową mogilę. Proszę samemu zobaczyć. – Na ustach Jordana rysował się leciutki uśmiech, ale Darnis nie dostrzegł tego. Zdawało mu się, że bladoliczny lekarz mówi ze smiertelną powagą. Podszedł bliżej z zamartwionym sercem, całą siłą woli powstrzymując się przed zacisnięciem powiek. Spojrzał w dół.**

**Ulga omal do reszty nie odebrała mu władzy w kolanach, już i tak miękkich jak masło. Potem przyszedł gniew i – zupełnie niespodziewanie – wesołość. Nie wiedział, czy śmiać się, czy też oburzyć.**

**W basenie fontanny leżały zabawki: pluszowy mis, olowiane żołnierzyki, drewniana replika karety, pudełko po cukierkach, z którego wysypywały się jakieś drobiazgi, piłka, wykrzywiona w paskudnym uśmiechu karnawałowa maska, konik na biegunach i mnóstwo innych rzeczy, które spotkać można w dziecięcym pokoju. Musiały leżeć tu od dawna, bo większość była mocno już zniszczona – mis porośnięty zieloną jak mech pleśnią, materiał karnawałowego stroju zbutwiał, a wilgoć zatarła twarze dzieci, które,**

**trzymając się za ręce, tancyliły na pudełku po cukierkach**

**Podniesionym z ziemi patykiem Jordan przewrócił na plecy pluszowego misia. Zabawkę pozbawiono guzikowych oczu. Ktos wydarł je siłą, pozostawiając jedynie strzępy nici. Jordan gestem wskazał konika na biegunach. Darnis podał wzrokiem za wyciągniętą dłoń i wzdrygnął się lekko, bo konik także był ślepy – w miejscu, gdzie powinny znajdować się oczy, były dwie wycięte nożem dziury.**

**Wnętrze domu prezentowało się odrobinę lepiej niż fasada i ogród. Można tu było znaleźć zarówno stare, wysłużone sprzęty, jak i nowe fikusne mebelki. Nieliczna służba nosiła zbyt dobre stroje, a Emma Marivel, pani na Ferlay, nie pokazywała się inaczej, jak tylko ubrana we wspaniałe suknie z brokatu, mory lub ciężkiego jedwabiu. Wszystko świadczyło o tym, że choć Ferlay lata świetności ma już za sobą, to donna Emma nie przyjmuje tego faktu do wiadomości.**

**Robert Darnis nie potrafił jednak jej potępić. Nie krył, że Emma Marivel wywarła na nim wielkie wrażenie. Była to wysoka, jasnoskóra i złotowłosa kobieta o dumnej urodzie, która ledwo zdolała nadwytłic upływający czas. Siedząc przy stole, pekaty medyk chłonał oczami panią domu, bo w blasku słońca wydała mu się jeszcze piękniejsza niż wczorajszego wieczoru.**

**Po śniadaniu donna Emma zaprowadziła ich do sypialni córki. Weszła pierwsza, w półmroku pochylała się nad leżącą w łóżku dziewczyną i szeptała długo. Darnis miał wrażenie, że matka i córka spierają się o coś. Jakis przedmiot przewędrował z rak do rak i dopiero wtedy donna Emma odsunęła zasłony.**

**Darnis mało nie krzyknął, ale raczej ze zdziwienia niż z przestachu.**

**Juliana Marivel siedziała na łóżku z kołdrą podciągniętą pod brodę. Na głowie miała czarny kapelusik z opadającą na twarz gestą woalką.**

**Donna Emma wyszła, a Darnis przysunął sobie krzesło i spróbował przybrać profesjonalny, współczujący wyraz twarzy, zupełnie jakby badanie ukrywających się pod woalką dziewcząt było dla niego codziennością. Jordan stanął przy oknie. Wyglądało na to, że rozciągający się na zewnątrz widok jest dla niego znacznie ciekawszy niż cierpiąca dziewczyna.**

**Zachecona przez Darnisa Juliana zaczęła mówić. Opowiadała o braku apetytu, bezsennych nocach, osłabieniu, duszności w piersi i kołataniu serca. Mówiła długo i chętnie, ale niezbyt jasno, po kilka razy wracała do tych samych objawów. Medyk, nie mogąc spoglądać pacjentce w twarz, patrzył na jej ręce, na szarpiące brzeg kołdry drobne, delikatne palce.**

**Robert Darnis wyspecjalizował się w leczeniu bogatych, rozkapryszonych dam, którym tak naprawdę nic poza nudą nie dolegało. Był w tym dobry, bo natura**

obdarzyła go darem wymowy, a przede wszystkim zdolnością słuchania. Wysłuchiwał więc skarg swoich pacjentek, uspokajał je, a potem przepisywał jakiś niezwykle drogi, egzotyczny lek. Przekonał się już, że im trudniejsze do zdobycia składniki medykamentu i im oryginalniejsza jego nazwa, tym szybciej chora wstawiała z łóżka.

W dziewięciu przypadkach na dziesięć, słysząc to, co mówiła Juliana, Darnis powiedziałby, że ma do czynienia właśnie z taką sytuacją – oto znudzona panna wymyśla sobie nieistniejącą chorobę, chcąc w ten sposób zyskać odrobinę uwagi i współczucia.

Tym razem jednak nie miał pewności. Dziewczyna fizycznie była zdrowa, ale w jej głosie wyczuwał autentyczną udreke. Mimo to zdecydował się potraktować ją w zwykły sposób. Na kartce papieru wypisał receptę -piec wyciągów z rzadkich ziół, które razem tworzyły po prostu wyjątkowo drogi lek na uspokojenie.

Gdy wyszli z sypialni panny Marivel, Darnis zaproponował Jordanowi spacer po ogrodzie. Atmosfera domu działała na niego przygnębiająco.

Jak pan sądzi, mamy tu do czynienia z przypadkiem młodzieńczej hysterii, czy też z czymś poważniejszym? – spytał, gdy przechadzali się wąskimi alejkami. Obaj, jakby umówieni, unikali miejsca, które Jordan nazwał zbiorową mogiłą.

Zapytany potrząsnął głową.

Bezsennosc, brak apetytu, wszystko to bzdury. Ani słowa nie powiedziała nam o tym, co naprawdę ją dreczy, czego się boi.

Boi się? – Darnis pytająco unosił brwi, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Widziałem kogoś w ogrodzie – powiedział zamiast tego Jordan. – Chłopca, wpatrującego się w okno pokoju dony Juliany.

Jednego ze służących?

Nie jestem pewien. Stał niedaleko, mimo to nie widziałem go zbyt wyraźnie. Nie wyglądał jednak na służącego.

Darnis wkrótce przekonał się, że wpadł w pułapkę własnej rutyny.

Ingredencje, które wchodziły w skład przepisanej leku, można było zdobyć jedynie w odległym o dwa dni drogi mieście. Emma Marivel wysłała już służącego, ale miał on wrócić nie wcześniej niż w czwartek rano. Ublagała więc Darnisa, by został do tego czasu i osobiście nadzorował sporządzanie leku. Medyk zgodził się, kierowany poczuciem winy. Nie sądził, by lekarstwo pomogło pani Marivel, ale liczył, że w ciągu tych dwóch dni uda mu się wyciągnąć z dziewczyny prawdziwą



**przyczynę jej cierpienia.**

**Również Jordan zdecydował się zostać. Zapytany przez Darnisa, wyjaśnił to ciekawością.**

**W tym domu – powiedział – dzieje się coś niedobrego, a ja mam zamiar dowiedzieć się, co.**

**Domenic Jordan nie był lekarzem. Miał potrzebną wiedzę, owszem, w tym względzie z pewnością nikt nie zarzuciłby mu oszustwa, ale Darnis znalazł tak wielu medyków, że bez trudu potrafił rozpoznać kogoś, kto nim nie był. Jego podchwytliwe pytania były uprzejmie zbywane.**

**Dużo, raczej teoretyczna niż praktyczna, wiedza Jordana, jego nienagane maniery, zamilowanie do ekscentrycznego czarnego stroju, a przede wszystkim osobliwe poczucie humoru – wszystko to przemawiało za tym, że Darnis miał za towarzysza po prostu dobrze urodzonego, bogatego dziwaka.**

**I na tym wniosku medyk chwilowo musiał poprzestac.**

**Tuż przed zmierzchem zaczął padać pierwszy tego roku śnieg. Domenic Jordan wyszedł do ogrodu. Stał tam przez chwilę z zamkniętymi oczami i uniesioną twarzą. Na skórze czuł płatki śniegu niczym delikatne musniecia lodowatych dziecięcych palców.**

**Gdy otworzył oczy, zobaczył zbliżającą się ku niemu dziewczęcą postać. Szła szybko, nieomal biegnąc, a jej czarna suknia i czarna woalka wyraźnie odcinały się od śnieżnej bieli.**

**Chciałam porozmawiać. Proszę... – powiedziała zdyszana, chwytając go za ramię. Przez chwilę zdawało mu się, że przez gesty oczka woalki widzi błagalny**

**błysk oczu.**

**Mama... – ciągnęła Juliana z wahaniem – mama powiedziała mi, że panowie zostają aż do czwartku. Po co? Przecież to tylko kaprys mamy, naprawdę nie trzeba się mna aż tak przejmować. Prawda, że ostatnio trochę źle się czulam, ale...**

**Nawet nie patrzyła, dokąd idzie. Jordan pewnie wiodł ją w głąb ogrodu.**

**Chciałabym, aby panowie wyjechali – wyrzuciła z siebie desperacko, po czym, przestraszona własną odwagą, znowu zaczęła się wahać. – Tak będzie najlepiej. Ja...**

**Zamilkła i rozejrzała się. Stali przy kamiennej cembrowinie fontanny.**

**Interesujące, prawda? – zauważył niedbale, zupełnie jakby nie usłyszał ani słowa z tego, co mówiła dziewczyna. – Już rano zwróciłem uwagę na te zabawki. Ciekawe, kto je tu porzucił?**

**Juliana cofnęła się z lekkiem.**

**To... to zabawki mojego brata. Jutro wypada pierwsza rocznica jego śmierci. Myślę, że to dlatego tak źle się czuję. Wszystko to nerwy, rozumie pan? Nerwy i przygnębienie, nic więcej.**

**Spróbowała rozesmiać się, ale w jej śmiechu zamiast beztroski zabrzmiały histeryczne nuty. Umilkła speszona.**

**A więc brat pani zmarł rok temu? A po jego śmierci matka wyrzuciła tu zabawki syna?**

**Ależ skąd! – Potrząsnęła głową, a Jordanowi zdawało się, że mimo woalki dostrzega jej czujny, pełen napięcia wzrok. – Alan sam je wyrzucił. Powiedział, że ma już trzynaste lat i nie chce dłużej być dzieckiem. Wyniósł zabawki do ogrodu i próbował podpalić, ale**

**deszcz zgasił ogień. Wkrótce potem miał miejsce ten... wypadek i mój brat zginął. Proszę, czy możemy już wracać do domu? Zimno mi.**

**Czy twój brat w chwili, gdy stał się dorosły, zaczął wrywać pluszowym misiom oczy? – w myślach zapytał Jordan, ale nie powiedział nic.**

**Zawrócili w stronę rezydencji. Śnieg przestał padać, promienie zachodzącego słońca kładły się czerwonymi i pomarańczowymi refleksami na pokrytej białym puchem ziemi.**

**Wyjedzie pan? – spytała szeptem dziewczyna.**

**Nie – odparł równie cicho.**

**W pobliżu domu Jordan zauważył wydrapane na śniegu litery. Dziewczyna zaskoczyła jak ranne zwierze i pobiegła. Ruszył za nią, ale nim zdolał odczytać napis, Juliana już klęczała, ramionami zagarniając śnieg wraz z mokra ziemią. Zdażył zauważyć tylko trzy litery: RAW, ale nie potrafił zgadnąć, jakiego słowa były częścią.**

**Wieczorem Domenic Jordan długo nie mógł zasnąć. W końcu zapalił stojącą przy łóżku świecę i wyszedł z pokoju.**

**Zmierzal do biblioteki, licząc na znalezienie jakiejś interesującej lektury, która pozwoli mu przetrwać noc. Bez trudu trafił do właściwego pomieszczenia, ale**

rozczarował się gorzko, bo w bibliotece było zaledwie kilkanaście książek, z czego większość stanowiły tomy kazań sprzed kilkadziesiąt lat. Poświęcił się więc studiowaniu wiszących na ścianach portretów. Najnowszy przedstawiał panią Marivel wraz z dziećmi. Tuż przy matce stał syn (Alan, podsunęła usługę pamięci), a na drugim planie, w cieniu – córka. Jordan po raz pierwszy ujrzał rysy Juliany. Nie było w nich śladu podobieństwa do matki. O, zwyczajna buzia, nawet miła, ale niezbyt ładna. Pomyślał, że kobiety w rodzaju dony Emmy – piękne i dumne – zazwyczaj wolały synów niż córki, zwłaszcza jeśli córki te nie dorównują im urodą.

Przeniósł wzrok na chłopca. Alan miał piegowatą, okrągłą twarz rozpieszczonego urwisa i strzeche jasnych, gestych włosów. Uśmiechał się zawadiacko, ukazując przerwy między przednimi zębami.

Wcale nie zdziwił Jordana fakt, że Alan z portretu przypomina chłopca, którego rankiem dostrzegł w ogrodzie.

Następnego dnia przy śniadaniu Jordan pierwszy rozpoczął rozmowę.

Dowiedziałem się o nieszczęściu, które dotknęło pani rodzinę – powiedział. – Szczerze współczuję. Utrata jedyne go syna to prawdziwa tragedia.

Niosąc do ust łyżeczkę z kawalkiem jajka na miękko, Darnis zamarł. Słowa te, choć wypowiedziane z nienaganną uprzejmością, były pierwszym nietaktem, jaki popełnił Domenic Jordan.

Emma Marivel uniosła głowę i spojrzała Jordanowi prosto w oczy.

Kochałam Alana bardziej niż kogokolwiek innego na świecie – powiedziała spokojnie, choć było widać, że panowanie nad sobą wiele jej kosztuje. – Nic mi go nie wroci, wiem o tym. Ale wiem też, że syn mój zginął jak bohater i jestem dumna z tego, co uczynił. Choć przyniosło mu to śmierć, to świadomość, że postąpił jak bohater, jest dla mnie pociechą w rozpacz. Nie lubię o tym wspominać, proszę wybaczyć. To dla mnie zbyt bolesne.

Jordan opuszczył głowę, jakby godząc się z porażką. Darnis miał ochotę bić kobietę brawo.

Ale dona Emma nie skończyła jeszcze mówić.

Alan kochał mnie równie mocno, jak ja jego -kontynuowała. Jej piękne, błękitne oczy były puste. Nie spoglądała już na swego rozmówcę. Patrzyła w dal, na coś, czego nikt poza nią nie widział. – Zrobiłabym dla niego wszystko, ale nie udało mi się ocalić go przed śmiercią. Był takim dobrym, kochanym chłopcem... I takim odważnym... Dlatego zginął, zginął jak bohater – powtórzyła, po raz trzeci tego ranka.

**O raz za duzo, by Domenic Jordan mogl jej uwierzyc.**

**Jordanowi potrzebny byl ktos, kto wiedzialby, co takiego wydarzylo sie przed rokiem w rezydencji Ferlay.**

**Jakas sluzaca, gadatliwa, ale nie nazbyt glupia i najlepiej pozbawiona wyobrazni, myslal, przechadzajac sie po pokojach. Ale trafil tylko na mlodziutkie pokojowki, ktore najwyrazniej potrafiły jedynie wdzieczyc sie i chichotac. A potrzebny byl mu ktos starszy, powazniejszy.**

**Podszedl do jednego z okien. Przez chwile spogladal na ogrod, potem jego uwage przyciagnal majaczacy pomiedzy drzewami ksztalt.**

**Z poczatku zdawalo mu sie, ze to tylko zludzenie, cien rzucany przez karlowate drzewo o osobliwie wygietych konarach. Ale ow ksztalt ruszyl w strone domu i wktotce Jordan rozpoznał w nim zwinna sylwetke chlopca. Dzieciak zatrzymal sie i spojrzal na niego. Usta poruszaly sie, jakby cos mowil, ale gdy Jordan otworzyl okno i wychylil sie na zewnatrz, uslyszal tylko krakanie krazacych w powietrzu wron.**

**Jednak tym razem rysy chlopca byly na tyle wyrazne, ze nie moglo byc mowy o pomyłce. Jeszcze chwile temu w ogrodzie stal zmarly przed rokiem Alan Marivel.**

**Jordan zamknal okno i poszedl w strone kuchni. Kucharki, pomyslal, rzadko kiedy sa mlode, a czesto tez bywaja gadatliwe.**

**Ale w kuchni zastal jedynie zgarbionego staruszka, ktory pykajac z glinianej fajeczki, grzal sie przy piecu.**

**Jordan usiadl na debowej lawie.**

**Witajcie, dziadku – powiedzial uprzejmie. – Od dawna tu sluzycie?**

**Ano od dziecka. – Stary wyjal z ust fajke. – Najsampierw to za pokojowca bylem, sluge jasnie pana, ojca naszej pani. Ale ze z rak mi wszystko lecialo, to**

**pan pozwolil, zebym sie na woznice uczyl. O, w tym ja dobry bylem! Konie tak potrafilem batem zaciac, ze jak wicher gnaly, a spod kol skry szly! Ale teraz za stary jestem na woznice. Latem w ogrodzie troche pomoge, ale serca nie mam do tej roboty. A nasza pani dobra, chleb mi daje, choc moglaby jak psa wypedzic.**

**A mlodego panicza, Alana, znalazcie? Mozecie mi powiedziec, jak umarl?**

**W zrecznych palcach Jordana zamigotala srebrna moneta. Stary przygladal sie jej chciwie. Nie podobal sie sludze ten obcy, bladny mezczyzna. Licho zreszta wie dlaczego, po prostu nie podobal sie i juz. Ale, pomyslal stary rozsadnie, przeciez on**

**niczego z tego ode mnie nie chce. Wszyscy wiedzą, jak umarł młody panicz. To żadna tajemnica.**

**Powiem, czemu nie. Widział jasnie pan wieże, co przy domu stoi?**

**Jordan skinął głową.**

**Zbudował ją pierwszy pan na Ferlay, Martin Marivel. To był dzielny szlachcic, ale i zły człowiek, tak przynajmniej mówią. Sakiewkę wciąż miał pustą, bo wszystko wydawał na wino i kobiety. W końcu znalazł się diabelskich sposobów i w tej oto wieży przy pomocy czarnoksiężskich zaklęć próbował ołów w złoto zmieniać. Ale słabe to widziały zaklęcia, bo sakiewka nadal pustkami świeciła. Aż w końcu przyszedł do niego sam diabeł i mówi: ja ci dam złota, ile tylko zechcesz, ale w zamian za lat pięćdziesiąt, w noc wigilii św. Mateusza, duszę twoją zabiorę. Odtąd wystarczyło słowo, by ołów zmieniał się w czystusienkę złota, a don Martin zasłynął z bogactwa na całą okolicę. A za pół wieku, gdy siedział na wieży, przyszedł po niego diabeł. Don Martin nie pamiętał już o umowie i duszę oddać nie chciał. Ale kto tam poradzi przeciw sile diabelskiej? Zdusił czart nieszczęsnego człowieka i taki był koniec pierwszego z rodu Marivel. Od tego czasu każdego roku w wigilii św. Mateusza diabeł zjawia się na**

**wieży i czeka od północy aż do świtu. Czeka na kogoś, komu znowu mógłby swój diabelski pakt zaproponować. Za dnia mało kto tam zachodzi, a już w nocy... – Stary sługa pokręcił głową.**

**Alan Marivel poszedł tam o północy, w wigilii św. Mateusza, prawda?**

**Starzec przytaknął.**

**Młody był i, jak wszyscy młodzi, głupi. Dwa lata temu...**

**Rok temu – poprawił odruchowo Jordan. Stary obrzucił go niechętnym spojrzeniem.**

**Dwa lata temu – powtórzył z naciskiem – nasz panicz, panią Juliana i przyjaciół panicza, Christian Valadour, poszli na wieżę z diabłem porozmawiać. Ale**

**widział tyle czekania mocno czartu krew zepsuło, bo nic nie chciał gadać, tylko od razu do gardel dzieciom się rzucił, co by ich wszystkich pomordować. Panicz Alan siostrze życie uratował, z pokoju na wieżę w ostatniej chwili ją wyciągnął. Ale przyjaciela ocalić nie zdołał. Diabeł kark mu złamał jak sucha szczapa. O, pamiętam ten dzień jak dziś. Nasza pani kazała panicza Christiana do domu przenieść i medyka wezwać, ale jemu nic już pomóc nie mogło. Leżał tam, zimny i biały jak suknia panny młodej w dzień ślubu, a panicz Alan płakał przy nim. W południe przyjechał ojciec panicza Christiana, hrabia Valadour. To wielki pan, dumny i majątny, a jego rod**

ponoc rownie stary co krolewski. Wszedl i od progu krzyczal, ze smierci syna nie daruje. Ale ledwie na twarz naszej panienki spojrzal, od razu spokojnie i pojal, ze i on potedze diabelskiej rady nie da. Naszemu paniczowi powiedzial, ze nie ma mu za zle tej

nocnej wyprawy. Nawet podziekowal, ze ratowac przyjaciela probowal. Modlili sie potem wszyscy w kaplicy o spokoj duszy panicza Christiana i o zdrowie panienki Juliany. Od tamtej pory malo kto widzial twarz panienki, ale ja wiem, co diabel jej zrobil. – Stary znizyl glos, a Jordan odruchowo pochylil sie do przodu. – Ona na policzku ma wypalony slad diabelskiej dloni: piec palcow zakonczonych pazurami!

Spojrzal w twarz Jordana, chcac sie przekonac, jakie wrazenie wywarla na nim opowiesc. Ale mezczyzna milczal, czekajac na dalszy ciag.

Rozczarowany starzec westchnal.

Przez nastepny rok – podjal juz spokojniejszym tonem – panicz Alan nikl w oczach. Dawniej to byl urwis jakich malo, tylko figle mial w glowie. Ale nikt sie nigdy na niego nie gniewal, co to, to nie. Wiadomo, jedyny syn, bez ojca chowany, bo pan Marivel zmarl, jak Alan jeszcze w kolysce lezal. Matka swiata poza nim nie widziala i rozpuscila dzieciaka. Ale chlopak mial dobry charakter, to trzeba przyznac. Nie mogli przebolec smierci przyjaciela. Spowaznial, schudl, ciegim smutny chodzil. A w rocznice smierci panicza Christiana na wieze sie wybral, z diablem, co mu przyjaciela zabil, sie rozprawic. Ej, biedny, glupi dzieciak. Nasza pania przeczucie jakies tknelo. Nad ranem sie zbudzila i do wiezy pobiegla. Ale juz za pozno. Diabel scisnal chlopca za gardlo i zycie z niego wydusil. Pani trumne zakazala na pogrzebie otwierac, bo podobnoz caly siny byl i jezyk na wierzch mu wyszedl.

Starzec zamilkl, moze wspominajac mlodego panicza, a moze po prostu delektujac sie makabrycznymi szczegolami jego smierci.

Widzialem Alana Marivela – powiedzial niespodziewanie Domenic Jordan. – Dwa razy. W ogrodzie.

Sluga zachichotal.

Oj, nie pan jeden. Wszyscy go tu ostatnio widujemy. Najwiecej to chyba ja, z szesc, nie, siedem razy panicza widzialem. Czasem jest jak mgla przezroczysty, a czasem widze go tak wyraznie, jak teraz jasnie pana. Stoi tylko i usta jak ryba otwiera, ale ani slowa nie slychac. Pewno na diabla probuje sie skarzyc, biedaczek. Ale za takie gadanie pani zaraz by mi glowe zmyla, wiec wole siedziec cicho.

Pamietacie moze, gdzie i kiedy go widzieliscie? Starzec podrapal sie po glowie.

Pamiec mam dobra, chwalic Boga, a i oczy niezgorsze. Pierwszy raz to bylo ze dwa

**tygodnie temu, w niedziele...**

**Jordan wyciagnal z kieszeni oprawiony w skore notes i kawalek ołowiu. Zaczal notowac.**

**Domenic Jordan bez trudu odnalazl male drewniane drzwi prowadzace z ogrodu na wieze. Przedarl sie przez zagradzajace mu droge krzewy i nacisnal klamke.**

**Drzwi ustapily z jekliwym zgrzytem. Pchnal je mocniej i wsunal sie do srodka. Unoszacy sie w powietrzu kurz podraznil mu nos. Jordan kichnal i siegnal po chusteczke. Poczekal, az jego oczy przywykna sie do polmroku i ruszyl w gore stromymi, spiralnie kreconymi schodami. Wspinajac sie, liczyl wykute w grubym murze waziutkie okienka. Po osmym schody sie skonczyly. Tutaj drzwi nie bylo i wszedl wprost do pracowni alchemika Martina Marivela.**

**Przywital go lopot skrzydel, w dusznej, martwej atmosferze brzmiacy bardzo osobliwie. Jordan zadarl glowe. Sufit okraglego pokoiku stanowilo zaledwie kilka pociemniacych ze starosci belek. Pomiedzy nimi widac bylo zwezajace sie w szpic poddasze. Tam wlasnie krazyl biały golab. Po chwili ptak znizyl lot, wpadl do komnatki, przysiadl na parapecie okna i wyfrunal przez dziure w czarnej, nigdy chyba niemytej szybie. Przez ten wlasnie otwor wpadalo wystarczajaco duzo swiatla, by Jordan mogl dojrzec rozstawione sprzety.**

**Nie bylo tego wiele. Mala szafka, ktorej drzwi dawno temu wyrwano z zawiasow, opierajacy sie na trzech nogach zakurzony stolik i dwa rozlatujace sie ze starosci krzesla. Ani sladu diabla, pomyslal Jordan, usmiechajac sie lekko. Ale, jesli wierzyc legendzie, diabel zjawi sie dzis, o polnocy.**

**Domenic Jordan polozyl na stole w jadalni notes i arkusz papieru. Potem zaostrzył pióro i zanurzył je w atramencie. Starannie przenosił na kartke chaotyczne notatki, układając daty we właściwej kolejności.**

**Jesli mial racje, to w miare zbliżania się wigilii dnia św. Mateusza widmo młodego Alana Marivela powinno stawac się coraz wyraźniejsze.**

**Ale tak nie bylo. Odložyl pióro i zamyslił się, postukujac zgiętym palcem w blat stołu.**

**Duch Alana pojawial się w ogrodzie, w pobliżu wieży, ale nie zawsze w tym samym miejscu. To jest to, pomyslal Jordan. Liczy się nie tylko czas, ale i miejsce.**

**Przejrzal ponownie zapiski, tym razem biorac pod uwage dwa czynniki. Wynik byl taki, jakiego oczekival. W miare uplywu dni i w miare zbliżania się do wieży widmo coraz bardziej przypominalo człowieka z krwi i kosci.**

**Z prostego rachunku wynikało, że w noc poprzedzająca dzień św. Mateusza w pokoiku na wieży proces ten osiągnie szczyt.**

**Dzień św. Mateusza wypadł na jutro.**

**Dzisiejszej nocy, pomyślał Jordan, ktoś, kto odważy się wspiąć na wieżę, spotka tam Alana Marivela i będzie mógł spojrzeć mu w twarz, zupełnie jakby spoglądał na żywego człowieka.**

**Rozmawiając ze starym sługą, Jordan poczuł w pewnej chwili, że bliski jest rozwiązania zagadki. Jednak skupiony na słowach starca, nie miał czasu schwytac tej ulotnej myśli, a potem, gdy próbował ją odtworzyć, okazało się, że jest już za późno. Im intensywniej przywoływał ją z powrotem, tym głębiej chowała się w jego umyśle. Pozostało jedynie nieprzyjemne wrażenie, że było to coś ważnego, co z całą pewnością powinien wziąć pod uwagę. Miało to coś wspólnego ze słowami starca i z obrazem porzuconych w cembrowinie fontanny zabawek – tyle wiedział.**

**Powtarzając więc w myślach słowa starego sługi, wyszedł do ogrodu. Przy fontannie zastał Roberta Darnisa.**

**Widzę – powiedział Jordan – że również i pana fascynuje to miejsce.**

**Pulchny medyk zjeżył się.**

**Wyszedłem tylko zaczerpnąć świeżego powietrza – odparł opryskliwie. – Pokojowka opowiedziała mi właśnie niesamowitą historię, jakoby syn pani Marivel został zaduszony przez diabła, który rok w rok pojawia się na wieży. Słyszał pan o tym?**

**Jordan skinął głową.**

**Darnis usiadł na cembrowinie fontanny i otarł pot z czoła.**

**Nie znoszę takich opowieści – wyznał. – To znaczy, lubię słuchać o duchach i demonach, gdy siedzę sobie bezpiecznie przy kominku i popijam grzane wino.**

**Ale tutaj... rozumie pan, tutaj takie historie brzmią aż nadto wiarygodnie, jak na mój gust. A dona Juliana – uwierzy pan? – ponoć ukrywa pod tą czarną woalką**

**ślady po trzech diabolicznych pazurach.**

**Pieciu – poprawił Jordan. – Tak przynajmniej ja słyszałem. Ciekawe – uśmiechnął się – tyle razy spoglądałem diabłu w twarz, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, by policzyć jego palce.**

**Darnis odpowiedział niepewnym uśmiechem, po raz kolejny myśląc, że poczucie**



humoru Domenica Jordana zdecydowanie rozmija się z jego własnym.

Jordan zbliżył się, zamierzając usiąść obok Darnisa, jednak zrezygnował, gdy zobaczył przykrywającą cembrowinę warstwę zimowego błota. Patrzył przez chwilę na zabawki.

Dlaczego mordercy wydzierają swoim ofiarom oczy? – zapytał.

Darnis spojrzał na niego zdumiony.

A skąd ja to mam wiedzieć?

To bardzo popularny przesąd. Pan także musi go znać.

Darnis wzruszył ramionami.

Ach, o to chodzi? Niektórzy wierzą, że w oku ofiary odbija się obraz zbrojcy. To nieprawda. W rzeczywistości...

Umilkł, spostrzegłszy, że Jordan wcale go nie słucha. Zimny dreszcz przebiegł mu wzdłuż kręgosłupa.

Ma pan na myśli te... zabawki? Że niby ktoś wylupił im oczy, by nie mogły świadczyć przeciwko mordercy, czy coś w tym rodzaju?

Uhm – mruknął Jordan. – Właśnie coś w tym rodzaju.

W jadalni zastał Julianę Marivel. Pochyliła się nad stołem, chusteczka ścierała atrament, który wyciekł z przewróconego kalamarza. Chusteczka była mała, koronkowa szmatka, a plama atramentu rozlewała się aż po brzeg stołu. Praca dziewczyny nie miała wiele sensu.

Jordan chwycił ją za nadgarstek. Podskoczyła i próbowała się wyrwać, ale trzymał mocno.

Ja... – dobiegł go spod woalki zalekniony głos. – Przewróciłam kalamarz. Taka jestem niezdarna...

Spojrzał na stół i puścił jej rękę.

Rozmazuje pani tylko te plamy. A może właśnie o to chodzi? Może chce pani zatrzymać wiadomość, którą ktoś pozostawił dla pani?

Ja... jaka wiadomość? Od kogo?

Od kogoś, kto próbuje się z panią w ten sposób skontaktować. Piszac, nie mówiac,

bo mowic nie potrafi. Czego brat chce od pani?

Moj brat nie zyje! – wrzasnela i cofnela sie gwaltownie.

Woalka przekrzywila sie. Jordan spokojnie wyciagnal reke, zdjal kapelusik i cisnal w kat. Juliana krzyknela raz jeszcze i zaslonila twarz rekami, jednak zdazyl dostrzec blizny na policzku dziewczyny – nie trzy i nie piec, lecz cztery glebokie zadrapania, jakby ktos przejechal jej po twarzy uzbrojona w pazury lapa.

Czego chce od pani Alan Marivel?

Siegnela po typowo kobieca bron – rozszlochala sie dramatycznie. Ale na Jordanie lkania nie robily wrazenia. Chwycil ja za ramiona i zmusil, by spojrzala mu w oczy. Wytrzymała jego wzrok nie dluzej niz przez kilka uderzen serca.

Chce, zebym powiedziala prawde! – krzyknela.

Prawde o tym, jak zginal?

Przytaknela. Domenic Jordan pomyslal o wiszacym w bibliotece portrecie. O uwielbianym przez matke synu i jego nieładnej, zawsze spychanej na drugi plan starszej siostrze. O corce, dla ktorej pozostaly jedynie okruchy matczynej milosci.

Juliana wydawala sie odgadywac myśli mężczyzny. Jej oczy zaokraglily sie ze strachu.

Niech pan sobie nie wyobraza, ze... ze ja... ze ktoras z nas moglaby go skrzywdzic. Kochalam Alana. Obie go kochalysmy...

Patrzyl na nia przez chwile w milczeniu. – Zabilyscie go ta wasza miloscia – powiedzial w koncu.

To dzisiaj jest ta noc, pomyslal Robert Darnis, spoglądając z niepokojem w panujaca za oknem ciemnosc. Dzis na wiezy bedzie mozna spotkac diabla.

No, w kazdym badz razie ja nie zamierzam sie tam pchac, dodal w myslach, przeciagnal sie i wrocil do lozka.

Dlugo nie mogl zasnac. Stojacy na kominku zegar wybil jedenasta, potem wpol do dwunastej. Cicho zaskrzypialy drzwi pokoju sasiadujacego z sypialnia Darnisa. Medyk nadstawil uszu. Tak, nie pomyllil sie. Ktos szedl korytarzem.

To Jordan, pomyslal w zdumieniu. Jak nic lezie na te diabelska wieze.

Naciagnal koldre na glowe, nie chcąc juz slyszec niczego. Zasnal, nim wybila polnoc.

Ranek wstał pogodny, choć mroźny. Ziemia pokryta była grubym, białosrebrnym kożuchem, który skrzył się w promieniach słońca. Oszronione galezie drzew i krzewów wyglądały jak posypane cukrem lodowe lakocie.

Na ten widok, po raz pierwszy od dwóch dni, Darnis usmiechnął się z prawdziwą radością. Nocne strachy wydały mu się teraz blahym, niegodnym wspomnienia incydem.

Zmarkotniał na powrót, gdy minęła dziesiąta, a Jordana nadal nigdzie nie było widac. Cicho zapukał do drzwi jego pokoju. Nikt nie odpowiedział, nacisnął więc klamkę i wszedł.

Domenic Jordan bez wątplenia lubił porządek. Przez uchylone drzwiczki szafy medyk mógł zobaczyć złożone w równiutkie kostki koszule, a łóżko było starannie zasłane i przykryte barwną narzutą. Albo Jordan, nie czekając na pokojówkę, sam posłał łóżko, albo, co znacznie bardziej prawdopodobne, w ogóle nie spał tej nocy w pokoju.

Darnis odwrócił się. Stojąca w drzwiach służąca podskoczyła na jego widok. On również drgnął nerwowo, ale w porę zdążył się opanować.

Gdzie pan Domenic Jordan? – spytał, starając się, aby zabrzmiało to surowo.

Pan Jordan wczesnym rankiem kazał osiodłać konia. Chłopak ze stajni mówił, że pytał o drogę do Savajol. To duży majątek, po sąsiedzku leży. Jego właścicielem jest hrabia Valadour.

Do Savajol? Po co Jordan miałby tam jechać?

Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie, ale słowa służącej uspokoiły go trochę.

W południe przybył sługa, wioząc zamówione przez Darnisa składniki. Medyk przyrzadził miksturę i dał ją pani Marivel. Chwilę później dziewczyna zjawiała się w salonie, oznajmiając, że czuje się już znacznie lepiej. Darnis za grosz jej nie wierzył. Skutek nie mógł być tak szybki, poza tym lekarstwo miało uspokajać, nie ożywiać. Najpewniej Juliana w ogóle nie tknęła mikstury.

Mimo radosnego, nieco nawet nerwowego szczebiotu dziewczyny, w salonie panowała ciężka atmosfera. Dona Emma była zła, choć starała się to ukryć pod zwykłą maską chłodnej dumy. Najwyraźniej nie podobało jej się, że Domenic Jordan przepadł gdzieś, zabierając bez pytania jednego z jej koni.

Darnis nie miał pojęcia, co teraz robić. Czy czekać na Jordana, który nie wiadomo kiedy wróci, czy też może pożegnać się grzecznie i wyjechać, skoro wykonał już swoje zadanie?

**Przeprosil wiec i pobiegł do stajni. Mroźne powietrze klulo go w płucach, gdy zdyszany stanął obok chłopca czyszczącego konia.**

**O której pan Jordan wyjechał? – wyrzucił z siebie. – Jak daleko stąd do Savajol? Zdąży wrócić przed zmierzchem?**

**Chłopak spojrzał na niego zdziwiony.**

**Ano, czemu nie. Savajol niedaleko. Ale jasnie pan już z powrotem jest. Przyjechał jakiś kwadrans temu.**

**Darnis zaklął. Jordan nie raczył zjawić się w salonie i choć w kilku słowach wytłumaczył pani Marivel swoją nieobecność. Poszedł dokąś, a Darnis miał paskudnie silne przeczucie, że wie, gdzie może go znaleźć.**

**Ostrożnie pchnął prowadzące na wieże drzwi. Uchyliły się lekko. Darnis ani myślał tam wchodzić, przynajmniej nie od razu. Wsunął najpierw głowę.**

**Wsunął i wrzasnął wniebogłosy. Siedzące na pobliskim drzewie kruki odpowiedziały krzykiem i czarna chmura zerwała się do lotu.**

**Darnis klapnął w śnieg. Drzwi otworzyły się szerzej. Stanął w nich Domenic Jordan, śmiejąc się i wymachując trzymana w ręku karnawałowa maska.**

**To działa – powiedział z satysfakcją. – Tak właśnie sadziłem.**

**Nareszcie sprawa jest jasna, pomyślał oszołomiony Darnis. To nie pozer ani ekscentryk. To po prostu kompletny wariat.**

**Jordan pomógł mu wstać i otrzepać się ze śniegu. Przeprosil przy tym, a Darnis, sapiąc i prychnając, czuł, że jego złość powoli topnieje.**

**Ze też dorosłego mężczyzny trzymają się takie dowcipy – powiedział raczej z łagodną nagana niż z gniewem. – Skąd pan ma te maski?**

**Należała do syna pani Marivel. Wyrzucił ją razem z resztą zabawek. Obawiam się, że wilgoć trochę jej zaszkodziła. Dwa lata temu musiała robić znacznie większe wrażenie.**

**Była to prawda. Gipsowa maska wykonana z prawdziwym artyzmem. Blżej nieokreślony stwor wykrzywił się w uśmiechu, który nic dobrego nie zapowiadał. Oczy były przekrwione, żeby ostre, a starcza, trochę jakby zwierzęca twarz, pokrywały czarne wrzody.**

**Darnis chrząknął i spróbował ratować resztki honoru.**

Nie wystraszyłbym się tego paskudztwa, gdyby nie to, że wciąż myślałem o diable i... – Wzruszył ramionami.

To samo spotkało Christiana Valadour. Chłopcy poszli na wieże spotkać się z diabłem, a Alan, który z natury był figlarzem, uznał, że to znakomita okazja,

aby nastraszyć towarzysza. Zakładam, że wyprzedził Christiana, założył maskę, uprzednio schowaną w komnacie na wieży i pokazał się przyjacielowi, który dopiero wchodził po schodach. Ten cofnął się w przerażeniu, stracił równowagę i poleciał gwałtownie w dół, łamiąc sobie kark.

Alan zabił swojego przyjaciela? – z niedowierzaniem spytał Darnis.

Nieumyślnie, ale on szczerze wierzył, że jest mordercą. Ta śmierć mocno ciążyła mu na sumieniu. Spoważniał i dorósł. Wyrzucił też swoje zabawki. A jeśli chodzi o oczy... – Jordan zamilkł.

Tak, mógł to sobie wyobrazić. Alan pochylał się nad suchą cembrowiną fontanny. W ręku trzymał świecę. Za chwilę płomień ogarnie zgromadzone tam zabawki. Oczy pluszowego misia i konika na biegunach spoglądają z wyrzutem, a on nie potrafi znieść ich wzroku. Zabawki trzeba spalić, bo przecież Alan nie jest już małym chłopcem. W sercu nosi mroczną tajemnicę, która uczyniła go dorosłym. Ale nie zmienia to faktu, że podpalenie wiernych przyjaciół z dzieciństwa dla Ala-na równa się niemal morderstwu, a ludzie mówią, że w zrenicach ofiary zawsze pozostaje odbicie twarzy zbrojcy. Dlatego chłopiec odkłada świecę, bierze noż i pomagając sobie paznokciami, tnie i wyrывa guzikowe oczy...

Darnis bezradnie potrząsnął głową.

A blizna na twarzy dony Juliany? A diabeł?

Ciemne oczy Jordana zablęsnęły.

Chciałbym przeprowadzić pewien eksperyment.

Domenic Jordan mówił uprzejmie, nie podnosząc głosu. Mimo to Emma Marivel słuchała go z pobladłą twarzą, a Darnis zastanawiał się, kiedy pani domu zdecyduje się wezwąć lokaja, który grzecznie wyprosi ich za drzwi. W kacie, kryjąc twarz w cieniu, siedziała Juliana, tym razem – jak zauważył ze zdziwieniem – bez przysłaniającej rysy woalki.

Niepotrzebnie jesteś, pani, tak skromna – mówił Jordan. – Dlaczego opowiadasz, pani, o bohaterstwie syna, gdy nieporównanie większa odwaga i przytomność umysłu wykazała się pani córka?

**Corka? – spytała dona Emma dziwnie napiętym glosem.**

**Tak, corka. Dona Juliana oczywiscie nie brala udzialu w nocnej wyprawie na wieze. Mlodzi chlopcy rzadko kiedy dopuszczaja do swych tajemnic starsze**

**siostry. Ale gdy tylko dowiedziala sie o tym nieszczesnym wypadku, nie wahala sie dzialac. Jesli o polnocy na wieze wchodzi dwie osoby, a o swicie jedna z nich**

**znajduje sie ze skreconym karkiem, a druga cala i zdrowa, to – zgodzisz sie, pani, ze mna – moze to wygladac troche podejrzenie. Lecz jesli na wieze wchodzi trzy osoby: jedna ginie, druga jest ranna, a trzecia szcieszliwie uchodzi calo, a ponadto slowa mlodego chlopca poswiadcza starsza, rozsadna dziewczyna, to... No coz, wtedy nawet historia o diable brzmi prawdopodobnie. Ten pomysl z ranami na twarzy byl doskonaly, rzeklbym iscie... szatanski. Hrabia Valadour nie mial watpliwosci, ze jego syna zabil diabel, a trudno dochodzic sprawiedliwosci, gdy w gre wchodzi sily piekielne. Dona Juliana wiedziala, ze za cene bolu i oszpecenia moze zapewnic bratu bezpieczenstwo. I nie zawahala sie. Szczerze ja podziwiam. Powinnas byc, pani, dumna raczej z corki niz z syna.**

**Emma Marivel podeszla do Jordana i spojrzala na niego plonacymi z wscieklosci oczami. Darnis przez chwile bal sie, ze go uderzy.**

**Skoro wie pan juz tyle, panie medyku, czy kim tam pan naprawde jest, to niech sie pan tez dowie, ze ja to wymyslilam! Cala zaslugula Juliany bylo nadstawienie**

**policzka i powiedzenie tego, co powiedziec jej kazalam! To strachliwe biedactwo mialoby wykazac sie odwaga?! Przytomnoscia umyslu?! Smieszne! Ja ocalilam mego syna i mnie on dziekowal, calujac moje rece!**

**Dziekowal! – wrzasnela Juliana, zrywajac sie z fotela. Rzucila sie w kierunku matki. – Tak ci dziekowal, ze w rocznice smierci Christiana powiesil sie na tej przekletej wiezy! Ale ty nawet wtedy nie pozwolilas mu spoczac w spokoju. Kazalas mi zniszczyc sznur i list, ktory zostawil. Po smierci Christiana chwalilas sie wszystkim, jakiego to masz dzielnego syna, ktory ocalil siostre i probowal ratowac przyjaciela. A on nie mogl tego zniesc! Twój ukochany syn podziekowal ci, zakladajac sobie sznur na szyje!**

**Dona Emma uderzyla ja w twarz. Juliana krzyknela i rzucila sie na matke, mlocac drobnymi piastkami, ale z postawna kobieta nie miala szans. Pani Marivel chwycila corka i potrzasnela nia jak slomiana kukla.**

**Zamknij sie, glupia dziewczyno! Ani slowa wiecej, rozumiesz?! – Uderzyla ja raz jeszcze, i znowu, w drugi policzek. Twarz Juliany napuchla od ciosow i lez. – Bzdury wygadujesz i dobrze o tym wiesz! To nieprawda!**

**Prawda! Prawda! – krzyczała dziewczyna piskliwie.**

**Szarpiace się kobiety rozdzielił dopiero Jordan. W jego oczach widniało zdziwienie człowieka, który tracąc kamień, wywołał lawinę.**

**Emma Marivel odetchnęła głęboko. Szybko odzyskała spokój, w przeciwieństwie do córki, która opadła na podłogę i zwinęła się w kłębek, łkając i kryjąc twarz w zgiętym łokciu.**

**Powóz czeka przed domem. Odwiezie panów do gospody. Zegnają i mimo wszystko proszą przyjmując podziękowania. Moja córka – ta kobieta rzuciła pogardliwe spojrzenie szlochającej dziewczynie – z pewnością czuje się już znakomicie, skoro ma siłę urządzić takie przedstawienie.**

**Wyszła z dumnie uniesioną głową, szeleszcząc piękną, jedwabną suknią. Darnis odetchnął i pomknął do drzwi. Myślał, że za chwilę znowu zobaczy przytulne wnętrze gospody i poczuje, niezbyt madre żeby swego lokaja i stangreta, podtrzymywała go na duchu przez ostatnie minuty.**

**Juliana usiadła i dłonią przetarła zapuchnięte oczy. Potem wysmarkała się w chusteczkę. Gdy uniosła głowę, jej wzrok padł na stojącego w drzwiach Jordana.**

**Jeszcze pan tu jest?**

**Nie doczekała się odpowiedzi, skądinąd oczywistej.**

**Myślała – poskarżyła się cicho – że wszystko byłoby inaczej, gdyby Alan żył. Tak wiele dla niego poświęciliśmy, dlaczego i on nie mógł pocierpieć dla nas odrobinkę? Dlaczego musiał pojsć na te wieże i odebrać sobie życie?**

**Dalyscie mu wszystko. Wszystko prócz możliwości odpokutowania winy.**

**A co pan może o tym wiedzieć? – rzuciła ostro, ale mężczyzna nie dał się sprowokować.**

**Wiem wszystko o winie i pokucie – odparł spokojnie.**

**Podniosła rękę do oszpeconego bliznami policzka, zapatrzyła się w okno, za którym znowu prosił śnieg.**

**Uwierzy pan, że w tamtej chwili, gdy matka uderzyła mnie ogrodowymi grabkami, naprawdę byłam szczęśliwa? Mama mówiła do mnie, prosiła, bym była dzielna, tuliła i głaskała. Myślała, że ten jeden jedyny raz w życiu kochała mnie naprawdę...**

**Juliana spojrzała na drzwi i dopiero wtedy zorientowała się, że od jakiegoś czasu**

**przemawia do pustki.**

**Po co jezdził pan do Savajol? – spytał Darnis, uchylając okienko powozu. Z ulgą wdychał świeże, mroźne powietrze. Płatki śniegu osiadły mu na dłoni.**

**Pojechałem powiedzieć hrabiemu prawdę o śmierci jego syna. Spełniłem w ten sposób życzenie zmarłego Alana.**

**O! A skąd pan wiedział, jakie jest to życzenie?**

**Chłopiec sam mi o tym powiedział. Dzisiejszej nocy, na wieży.**

**Wiec jednak poszedł pan na te wieże! A co z diabłem? Widział pan diabła?**

**Darnis zadał pytanie lekkim tonem, bo odkąd wyjechali z Ferlay, był w znakomitym humorze, ale Jordan pozostał poważny.**

**Nie. Zreszta... – Zawahał się, wspominając matkę i córkę zamknięte w starym domu, który dogorywał powoli pod cienką warstwą blichtru. – Nie trzeba wcale diabła, by stworzyć sobie piekło na ziemi.**



# 1. Czarna Saissa

Rainaud d'Andrieux podniósł kieliszek w geście toastu.

Z pięciu bawiących się w ogrodzie dziewcząt tylko jedna, wysoka i rudowłosa, odpowiedziała uśmiechem. Podeszła do zastawionego stołu i sięgnęła po wino. – Zupełnie jak dzieci, prawda? – rzuciła, spoglądając na koleżanki uganiające się za kolorowym motylem.

Ponad nimi wysoko na bładobłękitnym niebie pojawił się czarny punkcik.

Rainaud obserwował swoją trzódkę. Dziewczeta były piękne i młode – żadna nie miała więcej niż osiemnacie lat. Najsmielsza zdjęła buty i ponczochoy, po czym przebiegła bosą kilka kroków. Zaraz jednak opadła na rozłożony koc. Od miesiąca nie padał deszcz i palona czerwcowym słońcem trawa stała się sucha i szorstka.

W szybko zbliżającym się kształcie można już było domyslić się jakiegoś dużego ptaka.

Do Rainauda podeszła drobna blondynka i coś mu szepnęła. Zachichotała, odskoczyła, a on wyciągnął rękę i złapał ją zrecznie. Przysunął usta do jej polyskującego złotym kolczykiem ucha. Musiał się nachylić, bo panna, krzepko trzymana w pasie, odginała się do tyłu, jakby chciała uciec przed przystojnym kawalerem. Śmiała się jednak przy tym weselo.

Ogromny brązowo-czarny orzeł zniżył lot. Nie krążył w poszukiwaniu ofiary. Pedził wprost na Rainauda d'Andrieux.

Blondynce wreszcie udało się wyrwać. Pogroziła młodzieńcowi palcem i schowała się bezpiecznie za rudowłosa dziewczyną, która małymi łyżkami popijała wino. To właśnie ona pierwsza zauważyła orla.

Rainaud rozłożył ramiona, sugerując, że nic nie jest w stanie poradzić na kobiecą płochosć i przewrotność. Zrobił przy tym śmieszna minę bezpanskiego szczeniaczka, moknącego w deszczu i proszącego o wpuszczenie do ciepłego domu.

Blondynka parsknęła śmiechem. Na twarzy jej rudej koleżanki zdziwienie właśnie zmieniło się w niepokój. – Patrzcie! – zawołała.

Młodzieniec spojrzał w niebo.

Dwadziesiąt funtów pior, mięsi i pazurów jak z żelaza spadło na jego twarz. Rainaud wrzasnął i zatoczył się do tyłu. Orzeł sięgnął szponem lewego oczodołu, wyrwał gałkę oczną. Krzyk Rainauda, przez chwilę piskliwy jak odgłos noża tnącego

szkło, złamał się i przeszedł w chrapliwy skowyt. Wyc zaczęła również jedna z dziewcząt, monotonnie i długo. Dwie inne popędziły w stronę domu, a blondynka opadła na kolana i wpatrywała się w młodzieńca szeroko otwartymi, pustymi oczami.

Najdzielniej, choć może nie najrozsadniej, zareagowała ruda. Chwyła butelkę wina i rzuciła ją. Nie trafiła, szkło musnęło tylko orla i rozprysło się na kamieniu, a ptak na jeden krótki moment zamarł w bezruchu. Potem odwrócił głowę i spojrzał na rudowłosa.

Dziewczyna, która w swoim życiu miała opowiadać te historie setki, jeśli nie tysiące razy, nigdy nie pominęła przy tym tego, co zobaczyła w oczach orla.

To była ludzka inteligencja, zaprawiona nie gniewem czy nienawiścią, ale goryczą.

Ptak sięgnął szponami szyi ofiary. Rudowłosa cisnęła kieliszkiem. Tym razem także chybiła. Orzeł, nie zwracając już na nią najmniejszej uwagi, wzbil się w powietrze.

Dziewczyna podskoczyła, by pomóc Rainaudowi, ale zaraz cofnęła się na widok zmasakrowanego oblicza. Młodzieniec, wyciągając ręce, spoglądał na nią ocalałym okiem, jakby błagał o pomoc. Przez dziurę w lewym policzku przeswitywała biel zębów, z poszatkowanych, wciąż poruszających się warg ciekła krew. Rudowłosa zaszlochła głucho, zasłaniając twarz.

Rainaud zatoczył się i runął na stol.

Rozlane na śnieżnobiałym obrusie wino było czerwone, ale nie tak czerwone jak krew, która tryskała z przeciętej tętnicy.

Lucie otrulem strychniną, skończyła w ciągu dwóch godzin. Zgon poprzedziły silne drgawki. Otworzyłem jej ciało, proszę spojrzeć na te charakterystyczne krwawe wybroczyny w tkance mózgowej i w obrębie mięśni. Gosiemu zaaplikowałem podskórnie wyciąg z czarciwego oka, Bercie to samo, tyle że roztwór zmieszałem z tłuszczem, którym natarłem ogoloną skórę. Gosi już skończył, Berta jeszcze się trzyma, choć pół godziny temu nastąpił paraliż mięśni.

Siwy jak gołąb profesor Parmenes podreptał do klatek z laciętymi krowiczkami. Był na wpół ślepy i żeby cokolwiek zobaczyć, musiał niemal wtykać nos pomiędzy oczka siatki.

Świetnie, świetnie – wymamrotał. – Szkoda tylko, że nie możemy prowadzić badań na czymś większym.

Na przykład na ludziach.

Profesor spojrzał ostro. Brakowało mu poczucia humoru, a nawet gdyby miał

nature wesolka, to zarty asystenta prawdopodobnie i tak wprawialyby go w konsternacje. Domenic Jordan bowiem wygladal na podrecznikowy wrecz przyklad melancholika – byl blad, spokojny, a kazde zdanie wypowiadal z tak absolutna powaga, jakby slowo "zart" znal jedynie z opowiesci.

Parmenes odwrocil sie z powrotem w strone klatek.

A to co? – W jego glosie zabrzmiala nagle podejrziwa nuta.

Krolik, panie profesorze – odparl Domenic Jordan. – Martwy krolik, o ile mi sie nie zdaje.

Moj? Jak ma na imie?

Przez twarz Jordana przemknal lekki wyraz irytacji.

Zapisalem go w dzienniku pod nazwa "krolik numer cztery". Nie widze sensu w nadawaniu imion zwierzetom, zwlaszcza jesli tak czy inaczej skazane sa na smierc.

Nie widzisz sensu, co? Wydaje ci sie, moj ty bezczelny mlodziencze, ze skoro jestes moim asystentem, to juz wszystko ci wolno?

Profesor sam dal mi pozwolenie na zajmowanie sie moimi wlasnymi badaniami. Zaznaczam, iz w zaden sposob nie przeszkadza mi to w wypelnianiu obowiazkow, jakie mam wobec profesora.

Uprzejmy ton zamiast uspokoic staruszka, tylko rozpalil jego gniew. Profesora i asystenta laczylo jedynie zamilowanie do nauki. Poza tym roznili sie pod kazdym niemal wzgledem. Parmenes byl pozbawionym rodziny i przyjaciol samotnikiem, ktory mury uniwersytetu opuszczal jedynie wtedy, gdy naprawde musial. Jordan natomiast – niezaleznie od tego, czy byl szlachcicem, czy tylko takiego udawal – ubieral sie i zachowywal jak mlody hrabia, prowadzil swiatowe zycie i mial wysoko postawionych przyjaciol.

O tym ostatnim fakcie profesor Parmenes przypomniat sobie, gdy jego starcze oczy zauwazyly niewatpliwa przyczynę smierci krolika numer cztery: zawieszony w klatce pek suszonych ziol zwiazanych nitka, z ktorej zwisala czaszka jakiegos drobnego ssaka. Prosty wiedz-mi amulet wzmacniony smiertelnyimi zakleciaimi. Zbyt slaby, by zabic czlowieka, ale na drobnego krolika w zupelnosci wystarczajacy.

Czerwony – stwierdzil Ipolit Malartre, biskup Alestry, z leciutkim usmiechem. – Jak krew. Bardzo piekny.

Domenic Jordan podziekowal lagodnym skinieniem glowy i wsunal pierścien z powrotem na palec. Czekal na dalsze slowa biskupa, bo Jego Ekscelencja z

**pewnoscia nie wezwal go po to, by dyskutowac o klejnotach.**

**Ten zas siegnal po lezacy na orzechowym biurku list.**

**Czytaj.**

**Jordan rozlozyl kartke i skrzywil sie na widok bladego, seledynowego atramentu. Ale zwiezla tresc pisma sprawiala juz znacznie lepsze wrazenie.**

**Dona Patricia polozyla reke na Biblii i przysiegla, ze Rainauda d'Andrieux nie zaatakowal ptak, lecz czlowiek – przeczytal na glos.**

**Ksiadz Sauvin prosi o przyslanie kogos, kto pomoglby odnalezc morderce. Pomyslalem o tobie.**

**Czy nie lepszy bylby jakis obdarzony laska jasnowidzenia kaplan?**

**W Charnavin jest ktos taki, pewien mnich, ktore go imienia nie pamietam. Skoro on nie zdolal pomoc, to sadze, ze w tej sprawie przyda sie bardziej inteligencja i wiedza niz zdolnosc jasnowidzenia.**

**Jordan wiedzial, ze nie moze odmowic. Kosciol tolerowal magie – choc w tym przypadku niechetnie uzywano tego slowa – jedynie gdy umiejtnosc uzdrawiania czy jasnowidzenia pochodzila od jakiegos swietego, a obdarowany uzywal jej dla ludzkiego dobra. Ale nawet wtedy nie wolno bylo analizowac tego daru ani zastanawiac sie nad jego natura. Ludzi, ktorzy probowali zglebiac magie naukowymi metodami, skazywano na smierc jak czarownikow. Przynajmniej tak nakazywalo koscielne prawo. Lecz w praktyce czesto zdarzalo sie, iz uczeni znajdowali poparcie jakiejs wysoko postawionej osoby, ktora zapewniala im bezpieczenstwo.**

**Domenic Jordan z wyksztalcenia byl lekarzem. Interesowaly go przede wszystkim zmiany, jakim pod wplywem magii podlega organizm – w tym wszelkiego rodzaju deformacje, ponadnaturalne zdolnosc, a takze choroby i w koncu smierc. Swoje badania mogl prowadzic jedynie dzieki opiece, jaka otaczal go biskup Alestry – czlowiek w miare uczciwy, a przy tym wystarczajaco rozsadny, by od czasu do czasu w imie wyzszego celu przymknac na cos oczy. Opieka ta jednak miala swoja cene – Jordan nie mogl odmowic Jego Ekscelencji. Skadinad zreszta wcale nie chcial odmawiac. Sprawa zainteresowala go, a wiedzial tez, ze zostanie odpowiednio wynagrodzony.**

**To nie wszystko. – Biskup w milczeniu przyjawszy zgode Jordana, siegnal po kolejny list. – Chcialbym, abys rzucil okiem i na to, choc nie sadze, ze by to bylo cos waznego.**

**Autor pierwszego listu, ksiadz Sauvin, byl czlowiekiem wyksztalconym, ktory**

potrafil jasno formułować myśli. Autor drugiego – również duchowny – pisał dziecinnymi kulfonami, robił błędy ortograficzne i całą stronę poświęcił na przeprosiny za to, że osmiela się niepokoić tak ważną osobę jak Jego Ekscelencja. Właściwy powód napisania listu Jordan znalazł dopiero w trzecim akapicie.

Ekscelencja słyszał zapewne o martwym już Upiorze z Charnavin. Ktorzby zreszta nie słyszał o tym, kogo prosty lud do dziś uważa za Demona, i o jego straszliwej śmierci? Otoż ja, którym jest ledwo skromnym sługą Kosciola i który wierzyłem, że może jedynie płakać nad pomordowanymi w okrotny sposób, ja w dzień śmierci Upiora z łaski Boga i naszej Świętej pojąłem, iż Charnavin stało się sceną ohydnej zbrodni, będącej policzkiem dla Sprawiedliwości, a ten policzek jest tym samym dla świętej patronki naszego miasta, Alamandy, która wszak tak wielką opieką dąży przedstawicieli prawa.

Wielki Boże – powiedział Jordan, gdy skończył czytać. – Czy ojciec Fabresse nie mógłby pisać odrobinkę krótszych zdań? I coż on właściwie sugeruje?

Ze Upior był niewinny. – Biskup wzruszył ramionami. Nie wyglądał na zbyt przejętego niejasnymi rewelacjami pocziwego księdza.

Jordan złożył list i schował go do kieszeni.

Porozmawiam z ojcem Fabresse – obiecał. – I dla jego własnego dobra mam nadzieję, że będzie miał do powiedzenia coś interesującego.

To są rekawy alestranskie – mówił Jordan. – A to zwykle, zwięzane. To natomiast jest jedwab, a to adamaszek. Naprawdę nie widzisz żadnej różnicy?

Peyretou słuchał, wbijając wzrok w równiutko rozłożone kaftany. Wszystkie były czarne i może dlatego wydawały się młodemu słudze identyczne. Jego pan właśnie boleśnie uświadomił mu, że trudno o bardziej mylne przekonanie.

Słudzy wymamrotał coś niewyraźnie.

Usiądź – polecił Jordan.

Chłopak przycupnął na brzezku krzesła. Wytrzeszczone błękitne oczy wyglądające spod jasnych jak len włosów nadawały jego twarzy głupkowaty wyraz, ale Jordan miał nadzieję, że to raczej efekt strachu niż ocieźłości umysłowej. Wciąż jeszcze nie zdecydował, czy zatrzyma go na stałe, i Peyretou próbował udowodnić, że jest znakomitym słuzakiem – tak desperacko, że niemal odbierało mu to zdolność jasnego myślenia.

Domenic Jordan długo wpatrywał się w chłopaka. Pod wpływem tego wzroku młodzieniec kulil się i dygotał, nieswiadom, że jego pan bliździ teraz myślami gdzieś

**bardzo daleko.**

**Czy powinien zabrac Peyretou do Charnavin, czy moze lepiej poszukac sobie nowego sluzacego i jaka, u licha, ma gwarancje, ze nie trafi na kogos jeszcze gorszego?**

**Wyjezdzam jutro – powiedzial. – Chcialbys mi towarzyszyc?**

**Peyretou gorliwie skinal glowa.**

**To moze byc – Jordan celowo zawiesil glos – niebezpieczna podroz.**

**W oczach chlopaka dostrzegl blysk, ktory stanowil odpowiedz na niezadane pytanie. A wiec maly Peyretou w glebi duszy byl awanturnikiem. Znakomicie, pomyslal Jordan. Przynajmniej nie bede mial wyrzutow sumienia, ciagnac ze soba kogos, kto wolalby raczej wygrzewac sie na sloncu.**

**Dobrze, pojedziesz ze mna – powiedzial. Peyretou padl na kolana i sprobował pocalowac chlebodawce w reke. Jordan podniosl go, szarpiac za ramie.**

**Nigdy wiecej tego nie rob. Wystarczy zwykle "dziekuje".**

**Dziekuje, panie – odparl po chwili chlopak powsciagliwie, a Jordan pomyslal, ze byc moze jednak dokonal dobrego wyboru.**

**I... panie?**

**Tak?**

**Ja sie nie boje niebezpieczenstwa. Doskonale umiem strzelac z procy – pochwalil sie Peyretou, wciaz wbijajac wzrok w podloge. Gdyby uniosl teraz glowe, ujrzalby, ze jego pan usmiecha sie lekko.**

**Wyglada na to – powiedzial ksiadz Sauvin – ze sprawa jest jednak calkiem prosta.**

**Jordan stal przy oknie, spogladajac na rzeke. Tego roku lato bylo wyjatkowo upalne, deszcze padaly rzadko i Saissa, wbrew swej nazwie nie czarna, a brudno-zolta, plynela leniwie, niosac wiecej smieci i blota niz wody. Do nozdrzy medyka dochodzil nieprzyjemny fetor zgnilizny. Charnavinscy notable, jak hrabia d'Andrieux, ktory zaproponowal mu goscine, pobudowali swoje palace wlasnie wzdluz rzeki, ale w taki dzien jak dzis trudno bylo uznac to za szczesliwy wybor.**

**Odwrocil sie, stajac twarza w twarz z ksiedzem Sauvinem i hrabia d'Andrieux. Z cala pewnoscia salon, w ktorym sie znajdowali, byl znacznie przyjemniejszy niz widok za oknem. Hrabia byl bardzo bogatym czlowiekiem, a przy tym obdarzonym znakomitym**

gustem. Pokoj wypełniały dzieła sztuki i pięknie tkane kobierce. Świeczniki i kandelabry wyglądały na zrobione ze szczerego złota, a okna sięgające od podłogi aż po sufit musiały kosztować fortunę. Jordan wiedział też, że hrabia jest właścicielem ziem leżących poza Charnavin – właśnie tam, w jednej z wiejskich posiadłości, przed sześcioma tygodniami zginął jego syn.

Już niemal straciliśmy nadzieję – mówił dalej ksiądz, poważny starszy mężczyzna. – Charnavin to spokojne miasto, nigdy nie mieliśmy tu kłopotów z czarownikami. Co najwyżej jakaś wiejska baba... – Wzruszył ramionami. – Ale to morderstwo... Żadnych dowodów, świadków, nic. Zasięgnęliśmy nawet rady brata

Manfreta, który z łaski naszej świętej patronki został obdarzony zdolnością jasnowidzenia zła i występku.

I coż brat Manfred ujrzał w kryształowej kuli? – Jedyne najczulsze ucho wychwyciłoby w głosie Jordana ironię.

On nie patrzy w kule, lecz w misę wypełnioną wodą – odparł ksiądz Sauvina spokojnie.

Świecona? – Tym razem ironia była znacznie wyraźniejsza.

Ksiądz obruszył się.

Proszę nie kpć. Zresztą chodzi o to, że nic nie ujrzał. Dlatego też pozwoliłem sobie napisać do Jego Ekscelencji, prosić o przysłanie kogoś, kto ma doświadczenie w takich sprawach. – Grymas księdza zdradził, że choć nie śmie głośno podważać decyzji biskupa, to nie uważa Jordana za właściwą osobę. Przysłany z Alestry ekspert wydawał mu się, po pierwsze, nieco zbyt młody, po drugie, cudacznie ubrany (kto to widział,

nosić się na czarno niby diabeł z jasełek?), a po trzecie i najważniejsze: nazbyt pewien siebie. Ksiądz, na co dzień przywykły do towarzystwa szlachty, nie prostego ludu, mógł wiele wybaczyć: bogactwo, nawet rozwiązłość, ale jeśli ktoś z niezmaconym spokojem wysłuchał szczegółów makabrycznej śmierci młodego Rainauda, a potem jeszcze osmielał się żartować z daru świętej, to znaczyło, że nie ma w nim krzyku bojaźni bożej.

Dzisiaj jednak hrabia szczęśliwym przypadkiem odnalazł w biurku syna pewien list. Panie hrabio, jeśli mogłbym prosić...

Hrabia d'Andrieux, zasuszony staruszek, na którego twarzy cierpienie wyryło głębokie bruzdy, pociągnął za sznur dzwonka. Barczysty młody sługa, najwyraźniej już wcześniej uprzedzony, w reku trzymał rozpieczętowany list. Jordan zaczął czytać napisany ciemnozielonym atramentem tekst, a słuzacy pochylili się nad fotelem

hrabiego i troskliwie poprawił starcowi poduszki.

Dziękuję, Herran – Hrabia uśmiechnął się ciepło.

W imię łączącej nas w dzieciństwie przyjaźni wszystko mogłbym Ci wybaczyć. Wszystko prócz odebrania mi panny Castaing, która od dawna kochałem. Wiesz, że zawsze dotrzymuje obietnic. Otoz przysiegam Ci w tej chwili zemstę, która spadnie na Ciebie równie niespodziewanie, jak na mnie wiadomość, że dona Laura nie należy już do mnie.

Salvair de Fargues

Jordan skończył czytać i unosił wzrok znad kartki.

–I ten młodzieniec pokłocił się z panskim synem, hrabio? – zapytał. – O jakąś pannę Castaing?

Hrabia d'Andrieux skinął głową.

Syn mój, wstyd powiedzieć, był niepoprawnym kobieciarzem – powiedział, a w jego oczach pojawił się błysk gorzkiej dumy. – Nieraz powtarzałem, że ta namietność go zgubi, i tak się stało.

Don Salvair jest czarownikiem?

Jest cudzoziemcem – wyjaśnił d'Andrieux. – Przynajmniej w połowie. Jego ojciec przywoził sobie żonę z za morza. To była ciemnowłosa, pogańska dzikuska, która ledwo władała naszą mową. Ani chybi to właśnie ona wyuczyła syna czarow.

A don Salvair? Przyznał się?

Nie. List odnalazłem przed dwiema godzinami. Nikomu prócz księdza jeszcze o nim nie mówiłem.

Na razie niech wiec tak zostanie. Sam wypytam go o te grozby. Wieczorem, nie teraz. Na razie zaś chciałbym panów przeprosić.

Stojąc już w drzwiach, Domenic Jordan odwrócił się. Czekal na słowa protestu, na zadania, aby natychmiast aresztować morderce. Nie doczekał się.

Gdyby przyszło mu wyrokować na podstawie tej jednej rozmowy, powiedziałby, że hrabia nie tylko zna nazwisko zbrojcy syna – i to nie dopiero od dwóch godzin – ale w dodatku wcale nie pragnie dlań kary.

Domenic Jordan nie kazał zaprzęgać do powozu. Poszedł pieszo, nie chcąc sciągać na siebie uwagi. Lepiej, aby na razie nikt nie wiedział o drugiej sprawie, dla której



przybył do tego miasta.

Idąc ulicami, z ciekawością rozglądał się wokół. Charnavin nie bez podstaw uważano za prawdziwą perłę. Niemal wszystkie ulice były tu brukowane i dobrze oświetlone, na placach stały marmurowe fontanny, palace, a nawet niektóre mieszczańskie kamienice imponowały przepychem, zaś w kościołach większą uwagę niż ołtarz przyciągały posagi i obrazy ufundowane przez bogatych mieszkańców. Charnavin było miastem spokojnym, może odrobinę swawolnym – tu w końcu znajdowało się Reix, słynna na cały kraj dzielnica rozpusty – ale bezpiecznym. Dbano tutaj nawet o najuboższych, bo w mieście założono więcej przytułków i szpitali dla biedoty niż w dwa razy większej Alestrze.

Jordan zatrzymał się na moście i przez chwilę patrzył w leniwy nurt Czarnej Saissy. Potem przeniósł wzrok na grupę mężczyzn uwijających się przy brzegu. Jeden z nich bosakiem zahaczył coś, co wyglądało na kupe przegniłych szmat zmieszana z wodorostami i smieciami. Powoli, ostrożnie zaczął ciągnąć znalezisko do siebie. Wokół zaczynał już gromadzić się tłum.

Woda zabulgotała, zakotłowała się. Wśród smieci i wodorostów pojawiło się pasmo długich czarnych włosów. Jakas kobieta krzyknęła, inna zaintonowała modlitwę, której nikt nie podchwycił.

Mężczyzna z czułością, jakby dziecko jeszcze żyło, wyciągnął na brzeg ciało małej dziewczynki. Jej głowa ledwo trzymała się szyi, z brzucha ktoś wyciął płatek skóry i wyjął część wnętrza. Mężczyzna schylił się i spróbował odgarnąć włosy przesłaniające twarz. Pod wpływem dotyku sinogranatowa, napuchnięta skóra zsunęła się jak rekawiczka, odsłaniając naga czaszkę.

Kobieta, która przed chwilą krzyczała, teraz łkała spazmatycznie, ta zaś, która próbowała się modlić, upadła na kolana, wypuszczając z rąk koszyk z zakupami, i zakryła oczy dłońmi.

Dwudziesta siódma – szepnął ktoś obok Jordana. – Niech nas Bog ma w swojej opiece, to już dwudziesta siódma.

W Charnavin nawet dzielnica biedoty wyglądała tak, że władze miejskie nie miały się czego wstydzić. Jordan minął rzad drewnianych, w miarę solidnych domów, przeszedł obok kościoła – niewielkiego, ale murowanego – i zastukał w drzwi plebanii.

Otworzyła mu kobiecina pomarszczona jak suszona sliwka. Wokół niej unosił się silny zapach lugu, przez który przebijała delikatnie won starczego ciała.

Witajcie, matko – zagaił Jordan. – Mam sprawę do tułejszego proboszcza, ojca Fabresse. Zastanem go może?

**Staruszka cofnela sie w cien.**

**To wy nic nie wiecie, panie? – szepnela trwoznie. – Ojciec Fabresse nie zyje. Dwa dni temu go pochowalismy.**

**Co sie stalo?**

**Staruszka otarla oczy.**

**Utonal, biedaczysko. Czarna Saissa dostala jeszcze jedna ofiare.**

**Jordan zacisnal wargi. Smierc proboszcza byla zbyt dziwnym zbiegiem okolicznosci, by uznac ja za naturalna. Bardziej prawdopodobne, ze ksiadz istotnie odkryl jakas zbrodnie. Odkryl, a potem wygadal sie nieostroznie i ktos na zawsze zamknal mu usta.**

**Ksiadz proboszcz mial moze pomocnika? – zapytal Jordan. – Wikarego?**

**Nie, panie. Ojciec Fabresse tylko mnie mial do pomocy, a teraz calkiem sama zostalam. Jutro ma przyjechac nowy proboszcz, trzeba dom wysprzatac...**

**Chcialbym zajrzec do jego papierow. Byc moze ojciec Fabresse zostawil dla mnie jakas wiadomosc. Prosze zaprowadzic mnie do gabinetu ksiedza proboszcza.**

**Jordan liczy na nawyk posluszenstwa, jaki sluzba ma wyrobiony wobec wyzej postawionych osob przemawiajacych rozkazujacym tonem. Nie pomyлил sie, bo gospodyni, choc z mina pelna watpliwosci, ustapila i poprowadzila go w glab mieszkania.**

**W skromnie urzadzonym gabinecie, na zbitych z desek polkach, stalo zaskakujaco duzo ksiazek. Przejrzal je pobieznie. Kazania, traktaty dotyczace ogrodnictwa i hodowli trzody – ksiadz proboszcz pochodził chyba ze wsi – tomik Mysli chrzescijanskie na kazdy dzien. Nic ciekawego. Nic, z wyjatkiem oprawionej w skore ksiegi wcisnietej skromnie w kat polki. Jordan spojrzal na tytul i z trudem udalo mu sie zachowac obojetny wyraz twarzy. O naturze swietych. Traktat Carla Villaniego, jednego z zalozycieli Charnavin. Dzieło to, w którym uczony osmielal sie twierdzic, ze swieci maja ludzkie slabosci, zostalo uznane za herezje.**

**Jordan odlozyl ksiege. Sprawdzil jeszcze – ku wyraznej dezaprobachie gospodyni – zawartosc biurka, ale nie znalazl nic, co mogloby mu pomoc.**

**Ojciec Fabresse nie wspominal moze, ze cos go martwi? – zagadnal.**

**Ano – kobieta skinela glowa – jakas troska zzerala ksiedza proboszcza, to prawda. Ale mnie nie mowil, co go gryzie. Raz jeno powiedzial cos dziwnego, ze niby ludzie**

**Upiora za demona maja, ale tak naprawde w tym miescie kazden jeden szlachcic to diabel wcielony.**

**Gospodyni zamilkla. Jordan podniosl glowe i nadstawil uszu.**

**Ktos puka – powiedzial.**

**Nic nie slysze.**

**A ja wam mowie, matko, ze slyszalem stukanie w drzwi. Lepiej idzcie i sprawdzcie.**

**Raz jeszcze instynkt posluszenstwa okazal sie silniejszy niz nieufnosc. Kobieta, ociagajac sie, podreptala do drzwi. Chwile pozniej dolaczyl do niej Jordan.**

**Musialem sie pomylic – powiedzial, wciskajac w pomarszczona dlon monete. – Wybaczcie, matko.**

**Wyszedl scigany zaniepokojonym spojrzeniem starczych oczu.**

**Polozil ksiege na koscielnej lawie, uklakl i zmowil modlitwe, proszac o wybaczenie za to, co wlasnie uczynil. Potem wstal i rozejrzal sie. Jego uwage zwrocily swiece, plonace po prawej stronie oltarza. Ponad nimi zamiast obrazu czy rzezby wisialy zapisane karty. Jordan zblizyl sie.**

**Kazda karta to bylo jedno dzieciece imie, jeden opis straszliwej smierci, jedno blaganie o sprawiedliwosc.**

**Slowa zostaly wykaligrafowane na pergaminie, nie na zwyklym papierze, tym samym ozdobnym pismem, najprawdopodobniej przez urzednika pocztowego, który za niewielka oplata sluzyl pomoca ubogim analfabetom.**

**Jordan zaczal czytac.**

**Marietta, corka Bruna, szesc lat, zginela siedemnastego kwietnia. Morderca poderznil jej gardlo, a potem rozcial brzuch i wywlokl wnetrzności. Patronko nasza, blagam Cie, klezczac u Twych stop, nie odmawiaj nam slusznej zemsty.**

**Amelia Cabirol, piec lat, zginela dwudziestego trzeciego kwietnia. Upior poderznil jej gardlo i rozprul brzuch. Ja, matka, ktora ja urodzila i wykarmila, nie pragne niczego ponad nalezna mi sprawiedliwosc. Swieta patronko spraw, by cierpial, jak cierpialo moje dziecko.**

**Artur, syn wdowy Germondy, z ojca Jeana, lat szesc, zamordowany drugiego maja...**

**Slowa, cale mnostwo slow, a z kazdego wyzieral bol po strasznej smierci jakiegos**

**dziecka. Upior atakował od tyłu, dzieci nie widziały go i żaden jasnowidz nie potrafił odnaleźć obrazu zbrojcy zapisanego w krwi zamordowanych – bo obraz ten, wbrew powszechnemu posadowi, pozostaje właśnie we krwi, nie w oczach. Dopiero ostatniej ofierze udało się uciec, a wcześniej jeszcze ujrzec go i – co więcej – rozpoznać. Znakiem charakterystycznym były poderzniete gardła i głębokie rany podbrzusza, czasem też ślady zębów na wyjętych z ciała organach wewnętrznych. Dwadzieścia siedem ofiar zabitych w niespełna dziewięć tygodni, od początku kwietnia do pierwszych dni czerwca. Jasnowidz z pewnością nie badał wszystkich ciał i Jordan podejrzewał, że od pewnego momentu na konto Upiora zaczęto zaliczać po prostu każde martwe, okaleczone dziecko, ale nawet gdyby od liczby dwadzieścia siedem odjąć pięć, dziesięć ofiar, to i tak Upiór z Charnavin był swego rodzaju ponurym rekordzistą.**

**Jordan czytał dalej, czując, jak na jego gardle zaciska się obroż. Imiona, przytłaczająco wiele dziecięcych imion i precyzyjnie opisany koszmar każdej śmierci.**

**Za jego plecami rozległ się jękiwy zgrzyt. Opanował się z wysiłkiem i spojrzał w stronę wejścia. Przez chwilę w świetle słońca widział wyraźnie zgarbioną kobiecą postać, potem z kolejnym zgrzytem drzwi zatrzasnęły się i nieznajoma znikła w mroku.**

**Cos w jej lekkich, ostrożnych krokach podpowiedziało mu, że nie chce być widziana. Cofnął się więc poza żółty krąg światła. Teraz, gdy jego oczu nie oslepiały już płomienie świec, widział ją dość wyraźnie.**

**Kobieta, tak pochylona ku ziemi, że nie mogło to być spowodowane wiekiem, a raczej jakąś deformacją, stała na palcach i z wysiłkiem sięgnęła świeconej wody. Zabulgotało i chwilę później sporych rozmiarów bukłak znikł pod warstwą otulających drobna sylwetkę chust.**

**Garbuska, nadal stając ostrożnie i cicho jak kot, zbliżyła się do ołtarza. Nożykiem uciął kawałek prostego białego obrusu i ruszyła w stronę świec, które płonęły pod kartami z imionami dzieci.**

**Jordan wynurzył się z mroku i złapał ją za kołnierz. Była tak drobna i lekka, że unosił ją w góre jedną ręką. Fiknęła nogami.**

**Nie wiem, po co ci to wszystko, wiemy – warknął – ale od tych świec trzymaj się z daleka, pojmujesz?**

**Postawił ją na ziemi. Zasmiała się nieoczekiwanie czystym, wolnym od leku głosem.**

**To świece zapalone za zamordowane dzieci – wyjaśniła. – Złe świece, w których zbyt wiele jest bólu i nienawisci. Ja nie uprawiam magii, w której potrzebne byłoby coś takiego. Tutaj przyszłam jedynie pomodlić się, podumać nad okrucieństwem**

**tego swiata. Tak jak i ty, panie, przynajmniej tak sadze.**

**Jordan zdumial sie, bo garbuska mowila jak osoba wyksztalcona. Z cala pewnoscia nie urodzila sie w tej dzielnicy.**

**Nigdy wczesniej nie spotkalem sie z takim zwyczajem – powiedzial juz znacznie lagodniej.**

**Patronka naszego miasta jest przeciez swieta Alamanda, opiekunka sedziow, katow, jasnowidzow, a nawet strazy miejskiej, wszystkich, ktorzy walczą ze zlem. Nic wiec dziwnego, ze ludzie zwracaja sie do niej z prosbami o sprawiedliwosc.**

**Ale to jest kosciol pod wezwaniem swietego Ignacego, nie Alamandy – zwrocil jej uwage,**

**Prawda. – Skinela glowa, a jemu sie zdawalo, ze w mroku usmiecha sie lekko. – Kosciol naszej patronki stoi na rynku, w samym srodku Charnavin. Tam wlasnie ludzie zanosza swe prosby. Ale gdy Upior zaczal zabijac, kartek zrobilo sie tak duzo, ze ojciec Sauvin powiedzial w pewnym momencie: dosc. Nie w smak mu bylo, ze jego bogaci, szlachetnie urodzeni parafianie kazdej niedzieli beda spogladac na sciane zapelniona imionami ubogich dzieci. Tak wiec nasz swietej pamieci proboszcz zabral karty i przeniosl tutaj.**

**Upior mieszkal w tej okolicy?**

**Znow wybuchnela tym czystym, butnym smiechem, który powinien nalezec raczej do pieknej dziewczyny, nie do zdeformowanej garbuski.**

**Upior, moj panie, byl czystej krwi arystokrata. Ludzie wolaja: Upior, jakby nie mial imienia, ale on nazywal sie Joan Baptiste de Mareuil. Najstarszy syn barona de Mareuil. Pierwsza ofiara byla jakas mieszczyzna coreczka. Potem mlodzieniec najwyrazniej doszedl do wniosku, ze w naszej dzielnicy znajdzie wieksze pole do popisu. Tutaj dzieci wloca sie samopas nawet po zmroku. Tak wiec uciekl bogatemu tatusiowi i zamieszkal w piwnicy opuszczonego, na wpol spalonego domu. Ludzie, ktorzy po niego przyszli, mowia, ze byl gorzej niz zwierze w wygrzebanej w ziemi jamie. Wiesz, panie, jak**

**zginal?**

**Jordan skinal glowa. Przypomnial sobie przy tym list ojca Fabresse. Byc moze, pomyslal, najstarszy syn barona de Mareuil w rzeczywistosci byl niewinny.**

**No, smierc mial taka, na jaka zaslugiwal – powiedziala czarownica bez cienia wspolczucia. – Czasem sie zastanawiam, czy aby naprawde nie wstapil w tego**

chłopca demon. Trudno uwierzyć, że ludzka istota mogła robić takie rzeczy. Z drugiej jednak strony, wygląda na to, że on myślał całkiem rozsądnie. Był sprytny, długo nie pozwalał się złapać.

Zamilkła. Jordan nie zadał następnego pytania.

Znałam go – dodała niespodziewanie. – Niezbyt dobrze, bo moja rodzina to żadna szlachta. Ale spotkałam go parę razy w dzieciństwie, jeszcze zanim ojciec

wyrzucił mnie z domu. – Wymownym gestem wskazała zdeformowane plecy.

I jaki był?

Nijaki – przyznała otwarcie. – Malomowny, spokojny, z tych, co to ludzie zawsze mówią, że "nigdy by się po nim czegoś takiego nie spodziewali".

A Rainaud d'Andrieux? Może i jego znalazła?

Nie. On także nie żyje, prawda?

Jordan nie odpowiedział.

A ojciec Fabresse? – zapytał zamiast tego.

Wzruszyła ramionami.

Trudnie się magia, ale nasz święty Ignacy nie ma, jak widać, nic przeciwko czarownicom. Czasem więc chodziłam na niedzielne msze, i owszem, ale z proboszczem rzadko rozmawiałam.

A może imię Salvair de Fargues coś ci mówi? Kobieta skinęła głową.

Widywałam go tu. Przywoził pieniądze, od czasu do czasu jakieś ubrania i prosił, żeby ojciec Fabresse rozdał to ubogim. Miły chłopak, wcale nosa nie zadziera. Coż mnie, panie, tak wypytujesz?

Znow nie doczekała się odpowiedzi. Kiedy odezwała się chwilę później, w jej głosie po raz pierwszy zabrzmiał strach.

Nie powiesz, panie, nikomu o tym, co robiłam?

To nie moja sprawa.

Odetchnęła z ulgą.

Jestes, panie, dobrym człowiekiem. Powrozie ci w zamian.

**Dziękuję, nie trzeba.**

**Nic więcej nie mogę ci dać, panie. Pomyślmy: jeden fakt z przeszłości, by przekonać cię, iż mówię prawdę, i jedna przepowiednia. Miałaś, panie, bardzo szczęśliwe dzieciństwo i rodziców, którzy cię rozpieszczali. Ale nic dobrego cię nie czeka. Umrzesz, nim skończysz dwadzieścia pięć lat.**

**Moje dzieciństwo było paskudne, a lat mam dwadzieścia sześć. Albo więc od roku jestem martwy, czego nie zauważyłem, albo ty, pani, powinnas poszukać sobie innego zajęcia – powiedział Jordan, bardziej rozbawiony niż zirytowany.**

**Skoro tak mówisz, panie – ze śmiechem zgodziła się czarownica. – Gdybyś jednak potrzebował kiedyś pomocy, zapytaj o dom Modesty Veran – pod takim**

**imieniem jestem tu znana. Każdy wskaże ci drogę.**

**Wyszła z kościoła, a Jordan odczekał chwilę i podążył za nią. Nie zapomniał o księdze, ukradzonej z gabinetu ojca Fabresse. Nie miał wyrzutów sumienia. Gospodyni nawet nie zauważyła straty, a nowy proboszcz najpewniej wrzuciłby heretyckie dzieło do ognia. Lepiej więc, by traktat Villaniego znalazł się w rękach Jordana, który potrafi zrobić z niego lepszy użytek.**

**Na pierwszy rzut oka Charnavin nie zmieniło się wcale. Przekupki przy straganach nawoływały głośno, koła powozów razno turkotały na bruku, matki strofowały dzieci, by te nie próbowały tańczyć w fontannach, i tylko unoszący się z nad rzeki fetor psuł wrażenie piękna i harmonii. Ale Jordan wyczuwał w pozornie zwyczajnych odgłosach miasta fałszywą nutę. W ten gorący sierpniowy dzień Charnavin przypominało psa, który wpadł w kąt, by w spokoju lizac zranioną łapę.**

**Na ustach przechodniów widniały przyklepione uśmiechy, ale w ich oczach Jordan dostrzegał pustkę, jakby przeżycia minionych dni wypaliły w nich wszelkie uczucia, pozostawiając jedynie coś na kształt przepelnionego bólem zdumienia. Czasem pośrodku wesołej na pozór pogawędki ludzie milkli i pogrążali się w ponurych wspomnieniach, dopóki ktoś desperackim żartem nie podtrzymał gasnącej rozmowy. W Charnavin wciąż żyła pamięć o Upiorze i jego ofiarach. Dlaczego tak się stało? Nie było to jedyne miasto, które dotknęło nieszczęście, a ludzie mają zdolność zapominania. Ale w tym przypadku zbrodnie były zbyt straszne, by szybko powrócić do codziennego życia, może też zaważył fakt, że koszmar jeszcze się nie skończył – wciąż przecież znajdowano martwe dziecięce ciała. A może chodziło jeszcze o coś innego. Gdy sprawiedliwości staje się zadość i morderca ginie pod toporem katedy, ludzie czują ulgę, ale makabryczna śmierć Upiora jedynie rozjatrzyła ranę.**

**A na dodatek, uswiadomił sobie Jordan, istniała jeszcze możliwość, że Joan Baptiste de Mareuil był niewinny, a prawdziwy morderca wciąż pozostawał na**

wolności. Przynajmniej coś takiego sugerował w swoim liście ojciec Fabresse. Być może część dzieci, których zwłoki odnaleziono w ciągu ostatniego miesiąca, w rzeczywistości zginęła już po aresztowaniu syna barona de Mareuil. Trudno jest stwierdzić, czy ciało przebywało w wodzie cztery czy osiem tygodni, a panujący tego lata upał mógł przyspieszyć rozkład. Pozostawało jeszcze pytanie, czy istniał związek pomiędzy zbrodniami Upiora a śmiercią Rainauda d'Andrieux. Jordan mógłby się założyć, że tak. Joan Baptiste de Mareuil i Rainaud d'Andrieux pochodzili z tej samej sfery, byli w jednym wieku, możliwe więc, że dobrze się znali.

Jordan znalazł się w najbogatszej dzielnicy i spacerował teraz wzdłuż rzeki, mijając siedziby charnavińskich wielmożów. Większość pałaców była opustoszała, z jednego właśnie wnoszono meble. Przypominał sobie ludzi, których poznał podczas poprzedniego pobytu w Charnavin. Markiz de Vic, który bardziej dbał o swoje konie niż o trzech rozbitych synów. Uroczą wdowę, Estrela de Mireio, u której spotykać można było najmodniejszych malarzy i poetów. Don Fabian, chwalcący się, że u niego w domu wszystkie naczynia zrobione są ze szczerzego złota. Narcis Rudel i jego przepiękna córka – "partia w sam raz dla księcia", jak mawiał dumny ojciec. Nieladna, ale zdumiewająco bystra dona Mirelha, wiodząca na pasku swego nijakiego meza. A także don Sicart, don Jironi, hrabia de Liberau... Jordan nie znalazł ich zbyt dobrze – dwa lata temu spędził w Charnavin ledwo parę dni, ale wszyscy zapadli mu w pamięć. Charnawinci, tak jak samo miasto, mieli swój urok i styl. A teraz okna ich pałaców i domów zabito deskami, a bramy opleciono ciężkimi żelaznymi łańcuchami.

Jordan wszedł do znajdującej się w pobliżu cukierni, kupił posypanego makiem precla i zapytał właściciela o powód tak masowej wyprawki.

Mezyczyna strzepał obrus i rozłożył go na jednym ze stolów.

To z powodu Upiora – powiedział. – Tak mi się zdaje. Mówią, że to nie był człowiek, jeno diabeł czy demon jakowys. A teraz jeszcze ta pogoda. Ani kropli

deszczu, Czarna Saissa sam brud niesie. Zarazy tylko patrzec. – Wzdrygnął się. Był wystarczająco stary, by pamiętać epidemie sprzed dwudziestu pięciu lat: upał i unoszący się nad miastem smród, ciała, których nie miał kto pochować, leżące w coraz wezszym i płytszym nurcie Saissy. – Mówię ci, panie, czekają nas jeszcze ciężkie czasy. W mieście dzieją się dziwne rzeczy. Mojemu sąsiadowi przysniło się, że jego pomocnik pieniądze z kasy podbiera. I, wyobraź pan sobie, okazało się, że to prawda. Znam też dziewczynę, do niedawna całkiem zwyczajną, która teraz bezbłędnie potrafi rozpoznać, czy ktoś kłamie, czy nie. A wczoraj usłyszałem o pewnym kupcu, ten z kolei bez wazenia każda fałszywa moneta pozna. To znak, pojmujesz pan? Znak od

Boga, żebyśmy się opamiętali, zanim będzie za późno. Ani chybi wkrótce spadnie



na nas kara boza.

Kara za co?

Za Reix, rzecz jasna. Za rozpuste, ktora tam sie odbywa. Z calego kraju ludzie przyjezdza, zeby wydac pieniadze u jakiejdz dziwki albo zagrac w karty. Pomyslalbys pan tylko? Z calego kraju!

Jordan zaplacil i wyszedl, wyrzucajac po drodze nie-dojezzonego precla. Zmierzajac w strone palacu hrabiego d'Andrieux, minal szeroki plac, przy ktorym stal gmach sadu. Tu wlasnie zginal Upior. Nie bylo procesu, wyroku ani czekajacego z toporem kata. Rozwscieczony tłum przedarl sie przez kordon straznikow, ktorzy nie stawiali zreszta zbytniego oporu, i rozszarpal Joana de Mareuil na strzepy.

Po powrocie Jordan z zadowoleniem stwierdzil, ze Peyretou rozpakowal juz jego rzeczy. Przebral sie wiec i chwile pozniej, odswiezony i w znacznie lepszym humorze, siedzial w fotelu, czytajac znaleziony na sekretarzyku list.

Pozwalam sobie przeslac Ci, panie, zaproszenie na dzisiejszy wieczor do domu dony Orsuli – najlepszego domu w calym Reix. Ufam, iz propozycja ta nie zostanie zrozumiana falszywie. Moim zyczeniem jest jedynie, aby Pan wywozl z Charnavin jak najlepsze wspomnienia.

Jordan zmial kartke w kulke i cisnal za siebie. W slad za listem podazyl czarny prostokacik. Za kogo on mnie ma? – pomyslal, czujac, jak wzbiera w nim gniew. Z checia zlapalby teraz starego hrabiego za koszule i powiedzial mu w oczy pare przykrych rzeczy.

Opanowal sie, podniosl zaproszenie i wrzucil je do szufladki, ktora zatrzaszal z taka sila, jakby pragnal w ten sposob odgradzic sie od przeczytanych slow.

Spotkali sie w domu Eliasa de Fargues, stryja mlodego Salvaira. Jordan, ktory poprosil o mozliwosc porozmawiania z mlodziencem sam na sam, usiadl w malym saloniku. Gdy Salvair pojawil sie w drzwiach, wskazal mu miejsce naprzeciw siebie. Dzielil ich tylko okragly stoliczek z blatem z zielonego szkla, tak niski, ze Jordan bezustannie uderzal w niego kolanami. Siegnal po list.

Ty to napisales?

Salvair, sniadoscory i ciemnowlosy, o twarzy, ktora wciaz jeszcze nie stracila dzieciacej miakkosci, ostroznie skinal glowa.

I wszystko to prawda? Rainaud zabral ci ukochana, a ty obiecales mu zemste?

Kolejne skiniecie.

**I zabiles go?**

**Byl przygotowany na goracy protest, na przerazenie, nawet na przyznanie sie do winy. Ale nie na udreke i rozpacz, ktore odmalowaly sie na twarzy Salvaira.**

**Chlopak milczal dlugo. Zbyt dlugo.**

**Nie. Ja tylko... napisalem list.**

**Jednym slowem: miales powody, by go zabic, ale tego nie zrobiles.**

**Tak. – Tym razem w glosie Salvaira zabrzmiala nuta ulgi i wdziecznosci, jakby Jordan odpowiedzial mu wlasciwa kwestie.**

**Czesto zdarza ci sie grozic ludziom juz po ich smierci?**

**Nie rozumiem.**

**Jordan rozlozyl na stoliku dwa listy.**

**Ten – wskazal list ojca Sauvin do biskupa – zostal napisany osiem dni temu, ten zas, z twoim podpisem, przed szescioma tygodniami. Przynajmniej tak wynika z daty. Oba napisano bardzo modnym ostatnio atramentem w kolorze igiel swierku. Jest bardzo elegancki, ale ma jedna wade: blaknie po trzech, gora czterech**

**dniach. Widzisz, pismo w liscie do biskupa juz przybralo seledynowa barwe, w twoim zas litery nadal maja piekny ciemnozielony kolor. Jak to mozliwe?**

**Chwila milczenia, gdy chlopak zbieral mysli, a potem juz nie rozpacz, ale wrecz panika pojawiajaca sie w jego oczach.**

**Ja... nie wiem. To musi byc jakas pomyłka.**

**Nie ma zadnej pomyłki. Mogles napisac ten list, nie przecze, ale z pewnoscia nie przed smiercia Rainauda.**

**Salvair wpatrywal sie w niego szeroko otwartymi, przerazonymi oczami. Potem spuscil glowe, jego ramionami wstrzasnal szloch. Ten wyrosniety, szesnasto- lub siedemnastoletni mlodzieniec plakal jak dziecko.**

**Jordan milczal. Wyglada na to, ze sprawa jest prosta – tak powiedzial ksiadz Sauvin. Potem pokazal mu list, osobliwy list, ktory musial zostac napisany juz po smierci adresata.**

**A teraz autor owego listu siedzial przed nim niczym skazaniec z rezygnacja czekajacy na sciecie. Nie buntowal sie, nie probowal zapewniac o swej niewinnosci.**

Salvail de Fargues, niezależnie od tego, czy naprawdę zabił Rainauda d'Andrieux, czy też nie, pogodził się już z losem. Jordan wiedział, że wystarczy jedno tylko pytanie, a chłopak przyzna się do winy. Prosta sprawa, zupełnie tak, jak powiedział ojciec Sauvina.

Ale Jordan nie wierzył, by naprawdę była to prosta sprawa, i dlatego nie zadał już żadnego pytania.

Minęła północ, gdy Jordanowi udało się jednak przekonać samego siebie, że wizyta w Reix nie jest wcale złym pomysłem. To tylko ciekawość, nic więcej, rozgrzeszył się, bo dla Jordana właśnie pragnienie wiedzy – nawet jeśli dotyczyło rzeczy najbardziej błahych – mogło usprawiedliwić większość win.

Reix było sporych rozmiarów dzielnicą leżącą na obrzeżach Charnavin. Część ulic – dostępnych tylko dla pieszych – przykryto dachem, tak iż tworzyły długie, szerokie tunele, rozświetlone ciepłym blaskiem kolorowych latarni: zielonych, czerwonych i złotych. Po lewej i prawej stronie ciągnęły się rzędy podobnie zaprojektowanych kamienic. Na parterze każdej z nich znajdował się wielki hol, z oknami tak wysokimi i szerokimi, że przechodzący ulicą człowiek bez trudu sięgał wzrokiem aż do szklanych fontann, przetykanych złotem kobierców i donic z egzotycznymi kwiatami. Na piętrze natomiast pomieszczenia były mniejsze i bardziej przytulne, pełne miękkich foteli i kanap, a jeszcze wyżej znajdowały się po prostu dyskretne, zamykane na klucz pokoje. Na tym nie koniec, bo w Reix każdy dom miał także ogród. Niektóre połączone z budynkiem tak przemyślnie, iż nikt nie potrafił rozpoznać, gdzie kończy się naturalna zielen, a gdzie zaczyna wypełniony roślinami w donicach hol. Inne, tak jak ulice, przykryto dachem. Były to mroczne, pełne cieniolutnych ziół i kwiatów ogrody, w których plonęły przedziwne latarnie w kształcie zwierząt czy otwartych do krzyku ust. W jeszcze innym Jordan ujrzał okrągłe sztuczne jezioro. Pływały po nim wysmukłe łodzie, w których wylegiwali się na wpol rozebrani ludzie, podczas gdy ukryta w krzewach orkiestra przygrywała rzewnie.

Rozesmiał się, czując, jak opuszcza go napięcie. Reix stanowiło przedziwną mieszankę wyobrażeń o niewinności rajskiego ogrodu z marzeniami o pełnej przepychu rozpucie i egzotycznych rozkoszach. Wszystko to było czasem naiwne, czasem pretensjonalne i zabawne, ale, do licha, robiło wrażenie. Jordan raz jeden w życiu odwiedził dom publiczny i doskonale pamiętał te wizyty. Rozkosz była tam podszyta poczuciem grzechu, w oczach kobiet zamiast miłości – choćby i udawanej – widniały jedynie chciwość i zmęczenie, a wino pili się po to, by utopić w nim smutek. W Reix natomiast panowała atmosfera karnawalowej zabawy, zaś porozbierane dziewczęta sprawiały raczej wrażenie frywolnych nimf niż dziwek.

Spróbował poddać się radosnemu nastrojowi, ale nawet siedząc w saloniku dony Orsuli na obitej różowo-czerwonym atlasem kanapie nie potrafił do końca wyzbyć się

**goryczy.**

**Dziewczyna, która przywołała gestem dłoni, miała jasne włosy i wielkie błękitne oczy. Zapytał ją o imię.**

**Rosita – odparła wysokim głosem.**

**Imię brzmiało tak typowo kurewsko, że natychmiast poczuł przypływ złości. Wszystko w tej dziewczynie było udawane: i niewinne spojrzenie, i naiwny wyraz buzi. Ale zmieszany z goryczą gniew niespodziewanie podziałał na niego jak silny afrodyzjak. Napietowana grzechem Rosita budziła jego pożądanie i nie potrafił jej się oprzeć**

**Ostatnia świeca mrugnęła czerwonym ślepiem i zgasła, w górę uniosła się smuzka szarego dymu. Słońce na zewnątrz rozbłysło mocniej, wypełniając hol polcieniami i złotymi plamami blasku. W Reix wstawał świt.**

**Znużony Petre trwał na posterunku. O tej porze, gdy życie w dzielnicy zamierało, nie spodziewał się żadnych kłopotów. Siegnął więc po flaszkę wina, pociągnął solidny łyk i z ulgą odnalazł najwygodniejszą pozycję w głębokim fotelu. Przymknął oczy, pograżając się w czujnym polsniu. Wyjątkowo czujnym, bo Petre wart był pieniędzy, które mu płacono.**

**Słyszac lekkie kroki, uniosł powieki. Przez hol szedł szczupły chłopiec ubrany w jasnozielone spodnie i nieco ciemniejszy kaftan. Petre podniósł się i odprowadził go wzrokiem.**

**Nieznajomy podszedł do dony Orsuli i szepnął jej parę słów. Ze swojego miejsca Petre widział, jak twarz kobiety zmienia się i bladeje. Zrozumiał, że życzenie spóźnionego klienta nie przypadło doni Orsuli do gustu. Jeszcze zanim zdążyła dać mu dyskretny znak, znalazł się przy chłopaku i złapał go za kołnierz.**

**Chodź, maly – powiedział, starając się, żeby zabrzmiało to w miarę ciepło. Żał mu było chłopca i nie chciał używać siły. Jeszcze nie. – Wracasz do domu.**

**Dzieciak odwrócił się. Wyglądał dokładnie tak, jak Petre się spodziewał. Przesadnie bogaty strój dodawał mu nieco powagi, ale nic nie było w stanie ukryć gładkiej twarzy szesnastoletniego najwyżej wyrostka. Jedynie głęboko osadzone czarne oczy i zrosnięte u nasady nosa brwi budziły lekki niepokój.**

**Chłopak podniósł ręce i pchnął Petre'a w pierś. Mężczyzna z przekomicznym wyrazem zdziwienia w oczach wylądował na podłodze. Zerwał się zaraz spreżyscie, czując, jak gniew wypełnia mu żyły.**

**Nic nie zdążył zrobić. Następny cios – tym razem kantem dłoni w głowę – odebrał**

mu przytomność. Dona Orsula wrzasnęła. Chłopak pochylił się nad leżącym, rozpiął mu koszulę i położył dłoń na piersi. Wyglądał teraz jak doktor szukający pulsu chorego pacjenta.

Dona Orsula zwilżyła językiem wyschnięte wargi.

Co ty ro... – urwała, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi.

Długie palce chłopca kończyły się spilowanymi w szpic paznokciami. Teraz paznokcie te wbijały się w skórę Petre'a. Dzieciak wepchnął dłoń w ciało bez wysiłku, zupełnie jakby było to miękkie ciasto. Zgwał palce pod zębami i szarpnął w gore.

Dona Orsula zaczęła wyc. Na jedną straszna chwile świat ograniczył się do jej własnego wrzasku i tego koszmarnego widoku, który miała przed oczami. Otrzeźwił ją dopiero huk strzału. Chłopak upadł na piers Petre'a, twarzą wprost w odsłonięte, wciąż pulsujące serce.

Ktoś podtrzymał ją, podprowadził do kanapy. Rozpoznała bladolicę medyka, któremu hrabia d'Andrieux nakazał okazać "jak największe względy". Mężczyzna odłożył pistolet, zwilżył w fontannie chusteczkę i przetarł jej twarz. Dona Orsula szybko przychodziła do siebie.

Nie żyje? – spytała.

Obaj już nie żyją – odparł po chwili wahania.

Kto to... Ja nie rozumiem... – zająknęła się bezradnie. Lecz zaraz jej umysł zaczął pracować. Nieważne, kim był ten dzieciak. Ważne, co teraz powinna zrobić. Powiadomić straż miejską? W życiu! Aż wzdrygnęła się na ten pomysł. Rozgłos mógłby tu jedynie zaszkodzić. Trzeba dyskretnie pozbyć się ciała...

Jordan – kobieta przypomniawszy sobie nazwisko gościa hrabiego – zdawał się odgadnąć jej myśli.

Mężczyżne – tu wskazał zwłoki Petre'a – pozostawiam pani. Chłopca zabiorę ze sobą.

Ależ po co? – zdumiała się.

Uśmiechnął się lekko.

Coż, jestem lekarzem. Interesują mnie wszelkiego typu anomalie, a ten dzieciak wygląda mi na bardzo interesujący przypadek.

On jest martwy – przypomniawszy rozsądnie dona Orsula.

**Uśmiech Jordana stał się szerszy i bardziej kpiący.**

**Z mojego punktu widzenia martwi się czasem więcej warci niż żywi.**

**Wejdz, panie.**

**Młoda czarownica cofnęła się, przepuszczając Domenica Jordana. Raz tylko spojrzała na ciało, które dzwigał na rękach, jednak nic nie powiedziała. Przeprasiny zbyła machnięciem ręki. Najwyraźniej postanowiła zagrać rolę osoby, której nic w życiu już nie zaskoczy.**

**Wnętrze domku było przytulne, schludne i wcale nie ubogie. Jordan położył chłopca na łozku, zawrócił i zamienił parę zdań z czekającym na zewnątrz stangretem. W tym czasie Modesta Veran cisnęła w kąt otulającą jej ciało chustę i pospiesznie zmieniła koszulę nocną na domową suknię. Potem dopiero podeszła do chłopca. Skinieniem dłoni przywołała Jordana, który właśnie stanął w drzwiach izby.**

**Nie potrafię mu pomóc – powiedziała. – Przykro mi. Skona w ciągu najbliższych minut.**

**Nie sadze.**

**Przewrócił chłopca na brzuch i rozerwał mu koszulę. Garbata czarownica uniosła lekko brwi na widok okrągłej rany w plecach, dokładnie na wysokości serca.**

**Jordan kazał jej rozdmuchać żar w piecu i zagrzać wody. Po godzinie później do drzwi zapukał Peyretou. W ręku trzymał skorzaną torbę. Jordan zdjął kaftan, podwinał rękawy koszuli i sparzył wrzatką chirurgiczne narzędzia. Peyretou, zagryzając wargi, patrzył na zmuśniony proces wydobywania kuli. Od czasu do czasu łowił wzrokiem zdumione spojrzenie stojącej po drugiej stronie łozka kobiety. Dla niej nic tu nie miało sensu. Nawet jeśli chłopiec jakimś cudem przeżył strzał prosto w serce, to grzebanie w jego ciele z pewnością mogło jedynie przyspieszyć nieunikniony koniec. Jednak ranny żył nadal, a gdy Jordan z lekkim uśmiechem triumfu zważył w dłoni płaski kawałek ołowiu, wydało jej się nawet, że chłopiec odetchnął z ulgą.**

**Jordan zostawił Peyretou u czarownicy, a sam wrócił do palacu hrabiego d'Andrieux. Wykapał się, przebrał i poprosił o możliwość zatrzymania jeszcze na ten dzień pożyczonego powozu, bo jego własna karetę przystosowano do dłuższych podróży niż do jazdy po mieście.**

**Po śniadaniu stangret zawiózł go do domu dony Patricii, ubogiej krewnej hrabiego d'Andrieux, która fatalnego dnia była świadkiem śmierci swego kuzyna.**

**Rudowłosa dziewczyna zrobiła na nim jak najlepsze wrażenie. W krótkich,**

wywazonych zdaniach opowiedziala mu wydarzenia tamtego popołudnia, ani razu nie okazując przy tym własnych uczuc. Jordan, który obawiał się szlochów i mdlenia, podziwiał jej opanowanie. Rozplakala się za to stara matka Patricii, i to tak bardzo, że córka musiała wyprowadzić ją z pokoju.

Proszę wybaczyć – powiedziała po powrocie. – Rainaud był ulubieńcem mamy.

Jordan pominał te uwagi milczeniem.

Kto najczęściej był gościem u pani kuzyna? – zapytał.

Patricia zaczęła wymieniać imiona i nazwiska. Przy siódmym z kolei Jordan rozesmiał się cicho.

Czy pani kuzyn miał wyłącznie przyjaciółki, nie przyjaciół?

Odwzajemniła uśmiech.

O tak, Rainaud uwielbiał otaczać się dziewczętami.

Jordan zastanowił się, jak sformułować kolejne pytanie.

A czy któraś z nich była mu... szczególnie bliska? Patricia, jak wiele dziewcząt ze uboższych rodzin, potrafiła nazywać rzeczy po imieniu, bez fałszywego wstydu.

Nie przez dłuższy czas. Rainaudowi potrzebna była nie tyle kochanka, ile adorujące go stadko wielbicieli.

Nigdy nie dochodziło na tym tle do żadnych konfliktów? Słyszałem, że don Rainaud pokłócił się ze swoim przyjacielem Salvaiem de Fargues z powodu dony Laury Castaing.

Ktoż panu nagadał takich bzdur? – spojrzała na niego w zdumieniu. – Po pierwsze, Rainaud i Salvair nigdy nie byli przyjaciółmi. Moją kuzyną nawet w dzieciństwie wolał bawić się z dziewczynkami niż z chłopcami, a de Fargues... Coz, jego wychowywał stryj, człowiek bardzo apodyktyczny i nieznoszący sprzeciwu. Lubi trzymać go blisko siebie, w domu, i w rezultacie chłopak niewiele ma okazji, by spotykać się z rówieśnikami. Po drugie, dona Laura, owszem, należała do orszaku mojego kuzyna, ale Salvaira ledwo знаła. Nie sadzę, by zamienili ze sobą więcej niż parę zdań. Trudno więc przypuszczać, by Rainaud i Salvair pokłócili się z jej powodu.

Mówiła z wielkim przekonaniem, choć przecież nie mogła mieć pewności. Mimo to Jordan był skłonny jej uwierzyć. Pamiętał o tamtym liście, który pokazał mu hrabia d'Andrieux. Uderzał w nim nie tylko kolor atramentu, ale także dobór zdań. Wydawały się nazbyt sztuczne, jakby wzięte z książki, nie z serca. Brakowało w nich pasji,

ktorej mozna by sie spodziewac po zdradzonym kochanku. Teraz slowa dony Patricii potwierdzily podejrzenia Jordana – jesli nawet de Fargues faktycznie zabil Rainauda, to powodem z pewnoscia nie byla panna Laura Castaing.

A slynny Upior? Czy pani kuzyn znal syna barona de Mareuil?

Dziewczyna wzruszyla ramionami.

To niezbyt duze miasto, tu wszyscy sie znaja. Prawdopodobnie wiec i oni zostali sobie przedstawieni, ale, o ile wiem, nie laczyła ich zadna blizsza znajomosc.

Nie byla to odpowiedz, jakiej oczekival, ale z drugiej strony niczego jeszcze nie przekreslala. Rainaud mogl miec przed kuzynka sporo sekretow. Jordan postanowil przy najblizszej okazji spytac hrabiego, choc niezbyt liczył na uczciwa odpowiedz.

Domenic Jordan przykazał Peyretou pomagac w pielegnowaniu rannego chłopca, ale wygladalo na to, ze ani sluzacy, ani garbata czarownica nie beda mieli wiele do roboty. Pacjent spal spokojnie, a z twarzy nie schodzil mu lekki, zdrowy rumieniec. Zbudzil sie tylko raz, na chwile, ale jego oczy patrzyly na wpol przytomnie. Modesta Veran wykorzystala ten moment na wlanie mu w gardlo jakiegos ziolowego, niezbyt miło pachnacego wywaru i chłopiec na powrot zapadł w sen.

Widzac to, Peyretou zdecydowal sie zostawic rannego z czarownica i wyjsc na miasto. Domenic Jordan dbal nie tylko o wlasna elegancje – zalezalo mu tez na dobrej prezencji sluzacego i Peyretou, puszcac sie jak paw, spacerowal teraz po gwarnych ulicach Charnavin w blekitnym kaftanie i wysokich, blyszczacych butach. Nie dostrzegal nic z tego, co wczoraj zwrocilo uwage Jordana – ani pustych oczu przechodniow, ani niepewnych usmiechow na ich wargach. Dla niego Charnavin bylo uroczym miasteczkiem, akurat odpowiednim, by przystojny, ladnie ubrany chłopak z naprawde duzego miasta, czyli z Alestry, mogl tu zrobic wlasciwe wrazenie.

Trafil na zatloczony plac targowy, zatrzymal sie przy straganie z amuletami i czarodziejskimi akcesoriami. Sprzedajaca byla sliczna mloda kobieta i Peyretou, niewiele sie zastanawiajac, spytal o cene pierwszego z brzegu przedmiotu: zawieszzonego na rzemyczku kawalka bazaltu. Rozpoczely sie chytre targi, obficie okraszone okrzykami udawanego oburzenia i zalotnymi usmiechami. Wkrotce jednak Peyretou musial ustapic miejsca jakiejs staruszce, bo Domenic Jordan byl wprawdzie panem hojnym, ale nie rozrzutnym i jego sluga nie mial az tylu pieniedzy, by pozwalac sobie na spelnianie wszystkich zachcianek. Staruszka podniosla krysztalowa kule i przez chwile obmacywala ja jak polec miesa. Potem zupełnie niespodziewanie krzyknela, rzucila kule i spojrzala na opinajacy jej biodra pas. Twarz wykrzywilo jej przerazenie, a zaraz pozniej gniew. Powiodla wzrokiem po klebiacym sie przy straganach tlumie.



**To ona! – wrzasnęła, wskazując chuda dziewczynę, która kilkadziesiąt kroków dalej wpinała we włosy kosciany grzebyk. – Ukradła mi sakiewkę! Lapac złodziejke!**

**Wskazana odwróciła się, zobaczyła wycelowany w siebie palec i niewiele myśląc, wzięła nogi za pas. Staruszka nadal darła się jak opętana, ludzie przepychali się w stronę źródła krzyków. Korzystając z zamieszania, dziewczynie omal nie udało się uciec, ale ktoś przytomny złapał ją za kołnierz i osadził w miejscu. Staruszka podreptała do niej triumfalnie, ciągnąc za sobą gromadkę ciekawskich, wśród których znajdował się także Peyretou. Z drugiej strony już nadchodził strażnik miejski.**

**To złodziejka – wysapała staruszka. – Przeszukaj ją, panie, a głowę daję, że znajdziesz moją sakiewkę z niebieskiego plotna.**

**Dziewczyna ubrana była jak posługaczka: w narzucony na suknie fartuch z głęboką kieszenią z przodu. Strażnik sięgnął do kieszeni i wyciągnął pekata sakiewkę.**

**Dziewczyna poczerwieniała, spuściła głowę. Zapanowała groźna cisza, przerywana naraz pełnym potępienia pomrukiem tłumu.**

**Chwile – odezwał się nagle mężczyzna, który złapał winowajczynię. – Ja tu czegoś nie rozumiem. Ona – tu wskazała staruszce – zaczęła krzyczeć, jak tamta –**

**skinienie głową ku dziewczynie – była już daleko. Skoroś widziała, matko, jak panna ci sakiewkę kradnie, to czemuś nie wrzeszczała od razu?**

**Niechec tłumu odrobine zelżała, w oczach złodziejki zabłysła nadzieja. Podejrzliwe spojrzenia skierowały się teraz na staruszkę, ale ta nie straciła głowy.**

**W czarodziejskiej kuli ujrzałam, co przed chwilą się zdarzyło – oznajmiła, zadzierając z satysfakcją nos. – Kule, o, przy tamtym straganie sprzedają.**

**Ladniutka sprzedawczyni amuletów dostrzegła swoją szansę.**

**To znakomite kule – powiedziała przedko – przeszłość pokazała, zgubę każda odnajda, a jeszcze przyszłość wywoza...**

**Dostę tego – przerwał strażnik. – Dziewczyna idzie ze mną, a wy, matko, na drugi raz nie zerkajcie tak chętnie w kryształowe kule, bo dobry Bóg się zgniewa i kare jaką na was zesle.**

**Tłum powoli zaczął się rozchodzić. Peyretou złapał za ramię sprzedawczynię amuletów.**

**Zaczekaj, pani – poprosił szeptem. – Naprawdę te kule są takie dobre?**

Spojrzała niepewnie, zastanawiając się, czy może mu zaufać. Chłopak wydal jej się sympatyczny, zaczęła więc mówić.

Kule są nieźle, owszem, ale problem polega na tym, że w kuli zobaczyć coś może tylko czarownica, a ta staruszka nie bardzo mi na taką wygląda.

No więc co się stało?

Kobieta rozejrzała się wokół i pociągnęła Peyretou pomiędzy stragany.

Mandy się obudziła – szepnęła mu w ucho.

Mandy? – Chłopak zmarszczył brwi. \_

Święta Alamanda – zniecierpliwiała się kobieta. – Tak sobie myślę, że zbrodnie Upiora wyrwały święta z letargu. Sprawiedliwość zawsze leżała jej na sercu, więc teraz obdarza ludzi zdolnością jasnowidzenia zbrodni, tych poważnych i tych błahych, jak dzisiaj. To zdarza się coraz częściej. Tydzień temu pewna kobieta wskazała zbrojce męża dzięki temu, że sniła o tym. Mówię ci, młodzieńcze, za parę tygodni w Charnavin nie będzie ani jednego złodzieja, oszusta czy mordercy, a za to połowę mieszkańców stanowić będą jasnowidze. Nie jestem pewna – z powątpiewaniem potrząsnęła głową – czy będzie mi się podobało życie w takim mieście.

Mój przyjaciel, baron de Mareuil. – Hrabia przedstawił starszego, wysokiego mężczyznę, a Jordan natychmiast pomyślał, że oto ma przed sobą ojca osławionego Upiora, a przynajmniej tego, którego za Upiora uważano.

Dziwne, ale przy zgarbionym, złamanym nieszczęściem hrabim d'Andrieux baron wyglądał niemal na okaz sily i zdrowia. O bólu, jaki przeżył, świadczyły jedynie głębokie bruzdy wokół ust i pustka w szarych oczach.

Hrabia d'Andrieux zaproponował, by wyszli do ogrodu. Odprowadził ich Herran, który podtrzymywał wolno drepczącego gospodarza. Tym razem Jordan przyjrzał się słuzacemu uważnie. Troskliwość, jaką ten okazywał starcowi, a także pewne podobieństwo rysów twarzy pozwoliły Jordanowi odgadnąć prawdę. Herran był niesłubnym synem hrabiego. Ubrany zbyt elegancko jak na swój stan, ze szpada przy boku, wyglądał bardziej na młodego panicza niż na sługę. Być może, pomyślał Jordan, sprytny Herran zajmie wkrótce miejsce zmarłego Rainauda d'Andrieux.

Usiedli w niewielkim murowanym pawiloniku znajdującym się w glebi ogrodu, Herran sięgnął do drewnianej skrzyni po kieliszki, odkorkował butelkę, którą przyniósł ze sobą, rozlał wino i odszedł.

Hrabia zwrócił się do barona de Mareuil.

**Powtorz, prosze cie, co mi mowiles. Pan Jordan – wymawial, jak wszyscy Okcytanczyzy, "Jourdain" – powinien to uslyszec.**

**Ojciec Upiora upil lyk wina.**

**Widzisz, panie, tuz przed smiercia nieszczesnego Rainauda bylem swiadkiem jego klotni z mlodym Salvaiem de Fargues. Don Salvair grozil Rainaudowi, krzyczal, ze wkrotce go zabije. Chodzilo, jesli dobrze pamietam, o jakas dziewczynie. Nie zwrocilem na to wtedy wiekszej uwagi, wszak gwaltowne sprzeczkiz to cecha mlodosci. Dopiero dzis, gdy hrabia powiedzial mi o liscie, pojalem, ze zamiary don Salvaira byly jednak powazne.**

**Jordan milczal, spoglajajac pod swiatlo na rubinowozloty plyn w kieliszku.**

**I coz pan na to? – przerwal cisze zniecierpliwiony hrabia. – Czy nie czas kazac arestowac tego mlodziencza?**

**Jordan postawil nietkniete wino na drewnianym stoliczku.**

**Czy panowie takze zamierzaja wyprowadzic sie z miasta? – zapytal uprzejmie.**

**Hrabia skrzywil sie, jakby w slowach Jordana bylo cos niestosownego.**

**Tak, istotnie – odparl zimno. – Pod koniec sierpnia pozegnamy sie z Charnavin. Nie rozumiem jednak...**

**I stac panow na strate tylu pieniedzy? – przerwal mu Jordan. – Dzielnica jest niemal opustoszal, ceny domow musza tu spadac na leb na szyje.**

**Doprawdy, drogi panie – rownie chlodno odezwal sie baron de Mareuil. – Sadsisz, ze to ma jakies znaczenie? To miasto jest przeklete, coz w tym dziwnego, ze ucieka stad kazdy, kto moze sobie na to pozwolic?**

**Jordan sklonil glowe, na pozor pokonany sila argumentacji rozmowcy. Baron podniosl kielich z winem. Promien slonca padl na szklo, wtopil sie w rubinowy plyn. Wino w kielichu barona wydalo sie Jordanowi nagle metne niczym brudna, rzeczna woda. Uznal, ze musiala to byc mamiaca oko gra swiatel.**

**Jeszcze tego samego dnia Salvair de Fargues poprosil Jordana o spotkanie. Na powrot znalezi sie w tym samym przytulnym saloniku, w ktorym rozmawiali ostatnim razem. Dzis jednak mlodziencowi towarzyszył stryj, don Elias, wysoki i oschly mezczyzna w srednim wieku. Byl to jedyny obecnie mieszkaniac Charnavin, ktorego Jordan pamietal ze swej poprzedniej wizyty w tym miescie.**

**Chce sie przyznac. To ja zabilem Rainauda d'Andrieux – powiedzial cicho, ale**

**pewnie stojący przy parapecie Salvair. Jego profil rysował się ostro na jasnym prostokacie okna. Jordan i don Elias siedzieli przy zielonym stolczku, spoglądając na młodzieńca.**

**Aha. – Skryta w cieniu twarz Jordana nie wyrażała niczego. – Opowiedz mi o tym.**

**Czy to konieczne? – spytał don Elias, marszcząc brwi.**

**Jordan skinął głową, gestem poprosił o milczenie i spojrzał wyczekująco na Salvaira.**

**Opowiedzieć? Jak to? – W głosie młodzieńca zabrzmiało tyle dzieciennego zdumienia, że Jordan uśmiechnął się mimowolnie.**

**Zwyczajnie. Opisz mi po kolei wszystkie czynności, które wykonałeś od momentu, gdy powziąłeś ten niezbyt... hm, chrześcijański zamiar. Opowiedz, w jaki sposób twoje ciało zmieniło się w ciało orla, jak zaatakowałeś don Rainauda i tak dalej.**

**To nie tak. – Salvair potrząsnął głową. – Człowiek nie może zmienić się w zwierze. Trzeba...**

**Od początku – przypomniał łagodnie Jordan.**

**Tak więc najpierw odwiedziłem menażerie doktora Caffy'ego. Tam można kupić różne egzotyczne stworzenia: jadowite skorpiony, ptaki, nawet lwy i tygrysy. Ja kupiłem orla. Zaniósłem go do domu, wziąłem kawałek kredy i na podłodze wyrysowałem ochronny krąg, bo w opuszczone ciało łatwo może wtargnąć jakiś zblakany duch czy demon. Potem położyłem się pośrodku, a klatkę z orłem ustawiłem tuż obok głowy...**

**Klatka była zamknięta na kłódke?**

**Och, nie. To nie miałoby sensu. Zamknąłem ją na prostą zasuwkę. Ptak nie mógłby jej otworzyć, ale człowiek w ciele ptaka już tak, nawet jeśli wziąć pod uwagę, że do dyspozycji ma jedynie dziób i pazury. Potem przeniósłem swoją świadomość w ciało orla. Nauczyła mnie tego moja matka. Później... Czy muszę mówić, co było później?**

**Nie, wystarczy. – Podobną wiedzę mógł posiadać tylko człowiek praktykujący magię albo ewentualnie ktoś taki jak Jordan, interesujący się czarami jedynie teoretycznie. Ale niewiele było osób, dla których magia stanowiła dyscyplinę naukowych dociekań. – Dlaczego to zrobiłeś?**

**Salvair zacisnął usta w wąską kreskę i wyzywająco spojrzał w oczy Jordana.**

**Czytał pan list, który napisałem do Rainauda. Każde słowo to prawda.**

**Tym dziwniejszy jest fakt, że za grosz ci nie wierze. De Fargues wzrokiem poszukiwał pomocy u stryja.**

**Mezyczyna wstał i objął go, ale w geście tym niewiele było miłości czy choćby tylko sympatii. Don Elias przypominał raczej człowieka, który kurczowo ścisną swoją własność, chroniąc ją przed zakusami złodzieja.**

**Salvail przyznał się i to powinno w zupełności wystarczyć – powiedział chłodno. – Nasza rozmowa uważam za skończoną.**

**Jordan spojrzał na nich uważnie.**

**Coż, wasza wola. Ostatecznie dla chłopca to żadna różnica, czy w aktach sądowych znajdzie się prawdziwy powód śmierci Rainauda, czy też nie. On i tak zginie pod toporem kate.**

**Pod wieczór upał wcale nie zelzał, a tylko zaległ nieruchomo nad miastem, bezwietrzny, suchy, drażniący nos i gardło drobinkami kurzu, wzbijanego stopami przechodniów.**

**Jordan wysiadł z powozu, odesłał stangreta i zapukał do drzwi domu Modesty Veran. Miał przy sobie parę najniezbędniejszych rzeczy, by zatrzymać się u czarownicy przez jakiś czas. Gdy opuszczał pałac, hrabia d'Andrieux wyglądał na zaniepokojonego. Nic jednak nie powiedział. Stosunki pomiędzy nim a Jordanem były tak napięte, że obaj woleli ograniczyć się jedynie do wymiany nic nieznaczących uprzejmości.**

**Peyretou otworzył i cofnął się w głąb sieni. Mine miał dość niewyraźna, a Jordan bez większego trudu odgadł przyczynę.**

**Obudził się?**

**Młody sługa skinął głową. Przez zazwyczaj tak spokojną twarz Jordana przemknął skurcz, który uważniejszy obserwator mógłby uznać za grymas leku.**

**Sadzilem, że dłużej to potrwa – wymruczał.**

**Ciemnowłosy chłopiec, który jeszcze tego ranka wydawał się być bliski śmierci, teraz siedział na łozku wyprostowany i całkowicie przytomny. Rysy twarzy miał napięte, w oczach czaiła się groźba. Przypominał psa, który tuż przed atakiem czujnie obserwuje przeciwnika. Jego górna warga uniosła się, odsłaniając mocne zęby i Jordan niemal spodziewał się, że usłyszy ostrzegawcze powarkiwanie. Jednak gdy chłopiec odezwał się, głos zabrzmiał zdumiewająco normalnie.**

**Uratowałeś mnie, kiedy tamta kobieta strzeliła mi w plecy – powiedział, a Jordanowi**

udalo sie ukryc zaskoczenie. Nie zamierzal wyprowadzac chlopca z bledu. –  
Dlaczego? Czego ode mnie chcesz? Jesli sprobujesz zatrzymac mnie sila, zabije cie.

Jordan szeroko otworzyl drzwi. Peyretou, ktory podsluchiwal przy dziurce od klucza, odskoczyl jak oblany wrzatkiem.

Droga wolna.

Chlopiec nie ruszyl sie z miejsca. Napiete rysy zlagodnialy, a w oczach pojawila sie ciekawosc.

Mam dla ciebie propozycje. – Jordan zamknal drzwi i ostroznie zblizyl sie do siedzacej na lozku postaci. – W zamian za uratowanie zycia zostaniesz ze mna, powiedzmy, przez trzy dni. Bede zadawal ci pytania i spisywal odpowiedzi. Potem odejdziesz.

Chlopiec wyszczerzyl zeby. Nadal w jego twarzy bylo cos osobliwie zwierzecego, choc teraz nie przypominal groznego psa, a skorego do zabawy szczeniaka.

Czemu nie. Zaczynaj.

Musze cie jakos nazywac. Masz jakies imie?

Matka wolala na mnie Fiari.

Dobrze, Fiari. Pytanie drugie: dlaczego zabiles tamtego czlowieka w Reix?

Bo stanal mi na drodze – odparl chlopak bez emocji.

Pozwolisz, panie, ze sprobuje jeszcze raz? – Modesta Veran wybiegla za Jordanem na prog domu. – Daj mi chwile... Urodziles sie w ubogiej rodzinie, tylko wlasnemu uporowi zawdzieczasz to, ze zdobyles wyksztalcenie, a takze majatek i mozesz teraz uchodzic za szlachcica. Wkrotce jednak stracisz ponad piecset tysiecy eccu i na powrot zaczniesz klepac biede. Jordan zachichotal.

Kiedy ja naprawde jestem szlachcicem, a co do mojego majatku, to obawiam sie, ze troche go pani przeceniasz. Nigdy w zyciu nie mialem pieciuset tysiecy eccu.

Mlada czarownica z uraza obrzucila spojrzeniem elegancki czarny kaftan Jordana, jakby chciala powiedziec, ze ktos, kto nie dysponuje taka suma, powinien bardziej uwazac, na co wydaje pieniadze. Potem wrocila do domu, a Jordan i Peyretou ruszyli w dol ulicy. Fiari szedl kilka krokow przed nimi.

W kazdym innym okcytanskim miescie letni wieczor byl pora, gdy zmeczeni upalem mieszkancy wylegali na ulice. Lecz w Charnavin zmierzch nie przyniosl ze soba ani

odrobiny chłodu. Ludzie pochowali się po domach, latarnie paliły się jedynie nad drzwiami opustoszałych gospod i tawern. W ciszy i mroku daleko niosło się echo kroków.

Moge o coś spytać, panie? – szepnął Peyretou.

Pytaj.

Sluga rzucił niepewne spojrzenie na Fiarięgo i jeszcze bardziej zniżył głos.

Kim on jest?

Jordan zwolnił, zwiększając dystans pomiędzy nimi a idącym na przód chłopcem. Ciekawość kiedyś mnie zgubi, pomyślał z błyskiem gorzkiego humoru. Zdawał sobie sprawę, że Fiari zgodził się na zaproponowany układ powodowany bynajmniej nie wdzięcznością. Chłopcu po prostu pochwalało zainteresowanie Jordana, który wypytywał go, a odpowiedzi starannie zapisywał w notesie. Dla niego był to rodzaj zabawy, ale jak każda zabawa, tak i ta mogła mu się wkrótce znudzić. A wtedy Fiari odejdzie, zabijając każdego, kto spróbuje mu przeszkodzić. Niewiele w tym chłopcu pozostało ludzkich cech. Był całkowicie amoralny, pozbawiony wyrzutów sumienia, a także o wiele silniejszy i zreczniejszy niż przeciętny człowiek. Jordan bał się, że w razie czego, pomimo dwóch pistoletów, które przezornie zabrał z domu, nie zdoła sobie z nim poradzić. Nie miał też pojęcia, co robi, gdy minie wyznaczony termin.

Niewykształceni ludzie nazywają takich jak on wilkolakami. Nie zmienia się w zwierze w czasie pełni księżyca, to bajki, ale jest bardzo silny, szybki, a jego rany, nawet te poważne, goją się ze zdumiewającą łatwością. Sam zresztą widziałeś. Niezwykle interesujący przypadek, ofiara klątwy rzuconej na niego najprawdopodobniej jeszcze w dzieciństwie.

Czy to można by zdjąć? Znaczący, te klątwy? Jordan zastanowił się.

Myślę, że tak, choć wymagałoby to sporych umiejętności magicznych. Kłopot jedynie w tym, że Fiari wcale nie chce być człowiekiem.

Rosa Duprat, jedyna ocalała ofiara Upiora, miała czternaste lat, a wyglądała co najmniej na siedemnaste. W ramionach kołysała małe niemowlę. Jordan nie bardzo mógł uwierzyć, że gustujący w dzieciach poniżej dziesiątego roku życia Upior zainteresował się tą wyrosniętą panną, która na początku czerwca musiała być w ostatnim miesiącu ciąży.

Czego panowie ode mnie chcecie? – hardo rzuciła Rosa, ale na dnie jej oczu pozostał cień niepokoju.

Dziecko zbudziło się i zapłakało. Do pokoju weszła starsza kobieta ubrana już w

**nocny stroj i zabrala niemowle. No prosze, dziewczynke stac nawet na nianke, pomyslal Jordan, z premedytacja przedluzajac milczenie i jednocześnie rozgladajac sie wokol.**

**Dom, w ktorym sie znajdowali, do zludzenia przypominal dom garbatej czarownicy. Polozony w podlej dzielnicy i na pozor skromny, wewnatrz urzadzony byl bardzo przytulnie. Rosa Duprat, sierota, ktora do niedawna szorowala podlogi w palacu barona de Mareuil, z pewnoscia nie cierpiala biedy.**

**Chcialbym wiedziec – powiedzial Jordan spokojnie – kto zaplacil ci za oskarzenie Joana Baptiste de Mareuil?**

**Oczy dziewczyny przypominaly teraz okragle spodki. Z sasiedniego pokoju dobiegal coraz silniejszy placz dziecka. Opiekunka ostroznie uchytila drzwi, wysunela glowe i spojrzala na mlodziutka matke.**

**Ona jest glodna – szepnela.**

**Wynos sie i zamknij drzwi! – wrzasnela Rosa. – I nie waz sie tu wiecej przychodzic!**

**Chwile pozniej z dzieciecym placzem zmieszal sie nieco nerwowy glos nucacy kolysanke.**

**Domenic Jordan podszedl do dziewczyny i spojrzal jej w oczy.**

**Posluchaj mnie, panienko – powiedzial spokojnie, ale tonem tak zimnym, ze Peyretou odruchowo skulil ramiona. – Wybrano cie prawdopodobnie ze wzgledu na to, ze jestes dosc bystra. W przeciwnym wypadku nie potrafilabys wiarygodnie klamac przed sadem. Sprobuje wiec odwolac sie do twego rozsadku. Ktos dal ci ten dom i pieniadze, ktos zapewnil opieke tobie i dziecku. W zamian chcial tylko, bys oskarzyla syna barona de Mareuil, a potem trzymala buzie na klocku. Nie mam pojecia, kim jest ten czlowiek, ale dowiem sie, z twoja pomocą czy bez niej. A w calym Charnavin nie ma nikogo, kto moglby przeciwstawic sie woli biskupa Alestry. Rozumiesz mnie dobrze, panienko? Pojdiesz na dno razem z twoim tajemniczym opiekunem, a twoje dziecko zostanie sierota. Bedzie dorastac jak ty, w ochronce, a nim skonczy dziesiec lat, pojdzie na sluzbe szorowac podlogi. Dokladnie tak jak ty. Chcialabys tego? Nie sadze. Dlatego daje ci szanse. Chce uslyszec nazwisko tego czlowieka, nic wiecej.**

**Dopiero teraz w przerazonych oczach zamigotala iskierka zrozumienia. Jordan poczul przyplyw niecheci do samego siebie. Rosa byla jeszcze dzieckiem, wiec zastraszenie jej przyszlo mu zdumiewajaco latwo. Zalowal tego, ale nie cofnal sie.**

**Dziewczyna poruszyła ustami.**



**Nazwisko. Teraz. Zaraz – powtorzył, nadal nie podnosząc głosu.**

**Spuszcza głowę i pociągnęła nosem.**

**Baron de Mareuil – szepnęła. – To baron de Mareuil kazał mi oskarżyć swego własnego syna. Panie, co ja teraz mam zrobić?**

**Rozmowa z Rosa przekonała Jordana o jednym: Joan Baptiste de Mareuil był jednak Upiorem. Żaden ojciec, nawet najmniej kochający, nie mógłby pragnąć skazania niewinnego syna. Jordan uswiadomił sobie, że już na początku popełnił błąd, pozwalając zasugerować się słowom biskupa Alestry, podczas gdy w rzeczywistości ojciec Fabresse wcale nie twierdził, że nazywany Upiorem człowiek był niewinny. Niewykształcony proboszcz miał kłopoty z jasnym formułowaniem myśli, a z jego listu dało się wywnioskować tylko tyle, że odkrył jakąś mroczną tajemnicę związaną ze śmiercią Upiora.**

**...który wierzyłem, że może jedynie płakać nad pomordowanymi w okrutny sposób... – Jordan przeczytał te słowa raz, a potem drugi i trzeci. Zdanie na pozór zdawało się nie mieć żadnego związku z treścią listu, możliwe jednak, że właśnie tutaj krył się klucz do rozwiązania tajemnicy.**

**Gdzie ojciec Fabresse mógł "płakać nad pomordowanymi"? W domu? Na cmentarzu? A może w kościele, przy kartach, na których wypisano imiona zabitych? A jeśli tak, to w którym kościele, bo takie karty wisiały przecież i u świętego Ignacego, i u patronki miasta?**

**Kościół świętej Alamandy miał ponad sto pięćdziesiąt lat, dokładnie tyle, ile liczyło sobie Charnavin. Tablice z nazwiskami zamordowanych, jeśli tylko zrobiono je z czegoś twardszego niż zwykły papier, mogły przetrwać tyle czasu.**

**Jordan zapalił nową świecę i sięgnął po księgę, którą ukradł zmarłemu ojcu Fabresse. Dom Modesty Veran pograżył się we śnie i nikt nie przeszkadzał mu w studiowaniu heretyckich wywodów Carlo Yillaniego. Nim świeca zgasła w kałuży wosku, znalazł odpowiedź, której szukał. Na dworze było jeszcze ciemno, ale niedługo powinien wstąpić wczesny letni świt.**

**Jordanowi pozostawało już tylko czekać, aż wrota kościoła świętej Alamandy zostaną otwarte.**

**Wpadające do wnętrza kościoła przez otwarte drzwi promienie słońca wycinały w ciemności długie, wąskie tunele. Wiszące w nich szare drobinki kurzu drgały leciutko.**

**Przy ołtarzu płonęły dwie samotne świece. Jordan zapalił od jednej z nich latarnię, którą przyniósł ze sobą, i zanurzył się w mroku prawej nawy.**

Były tam, i owszem. Cała ściana, od wysokości, do jakiej z trudem sięgał dorosły człowiek, aż po kamienną podłogę pokrywały tablice. Marmurowe, drewniane, czasem tylko pergaminowe – z tych ostatnich zostało niewiele ponad wiszące na żardzewiałych gwoździach strzepy. Ale reszta, choć mocno okopcona przez plonące pod nimi przez jakiś czas świece, wciąż była czytelna. Jordan zauważył też, że ktoś niedawno usunął z tablic nieco kurzu i pajeczyn.

Zaczął od początku, od roku, w którym założono miasto i zbudowano kościół. Pierwsza interesująca tablica pochodziła z roku 1603. Tamtej wiosny, dokładnie dziewiątego kwietnia, została zamordowana osmioletnia Francesca, córka kupca Dedieu. Zginęła tak, jak ginęły ofiary Upiora: poderzniete gardło, rozciety brzuch, częściowo wyjęte wnętrzności.

Szukał dalej, przeglądając kronikę zbrodni miasta Charnavin. Żadnych pospolitych przestępstw: bojek w karczmie czy drobnych kradzieży. Tylko zbrodnie najcięższe, takie, że człowiek gotów jest upaść u stóp ołtarza i płacząc, błagać o sprawiedliwość.

Kwiecień roku 1633. Córeczka niejakiego Claude'a d'Eyssette, ledwie czteroletnia. I znowu poderzniete gardło, głębokie rany podbrzusza...

Kolejnych trzydzieści lat, kolejne tablice. Otruci mezowie, podpalenia, rozboje, ciała znalezione w mrocznych zaułkach z nożem w plecach. Rzeczy straszne, ale takie, które zdarzają się w każdym mieście. A potem rok 1663, znowu kwiecień. Tym razem chłopiec o nazwisku, którego Jordan nie potrafił odczytać. Prawie dwunastoletni, zginął z poderzniętym gardłem...

Jordan poszukiwał tablic z 1693 roku. Znalazł jedną, oczywiście z kwietnia. Elena Gourbeyre, niespełna szesnoletnia, zmarła dokładnie w ten sam sposób, co ofiary Upiora...

Rok 1723. Przez chwilę szukał właściwej tablicy. Znalazł, tuż nad ziemią. Jednak dziecko zginęło nie w kwietniu, a miesiąc później, w maju...

I w końcu kwiecień roku 1753. W Charnavin zabijacz zaczyna człowiek, który wkrótce zyska sobie miano Upiora...

Zaabsorbowany, nie usłyszał kroków za plecami. Z zamyslenia wyrwał go dopiero trzask odwodzonego kurka. Jordan wyprostował się i odwrócił, ale było już za późno.

Pojdziesz ze mną – powiedział Herran. Czuli się bardzo pewnie z ciężkim pistoletem w ręce i mając za plecami trzech barczystych drabów. Jordan podniósł wyżej latarnię. Twarze ich były zdumiewająco podobne do siebie: złamane nosy, blizny, zarosnięte policzki.

Podobne były także ich postawy, bo każdy zaciskał dłoń na rekojesci rapiera.

Ponaglany przez Herrana Jordan skierował się w stronę ogrodowego pawiloniku, tego samego, w którym poprzedniego dnia pił wino. Hrabia d'Andrieux już czekał. Drabom kazał zostać na zewnątrz, Herranowi pozwolił wejść.

W powietrzu unosił się ślad zgaszonych świec, ale nikt nie pofatygował się, by otworzyć okno, i pawilonik pogrążony był w półmroku. Jordan zbliżył się, by spojrzeć hrabiemu w twarz. Pod wpływem jego wzroku starzec wzdrygnął się lekko.

Usiądź, panie – powiedział. – Spotkanie nasze nie jest najszczęśliwsze, lecz wciąż przecież możemy zachowywać się jak kulturalni ludzie.

Herran odebrał Jordanowi szpade. Zbliżył się teraz do okna, gdzie przez szpary w okiennicach przenikała odrobina światła. Obracał bronę przez chwile w rękach, dziwił się jej lekkości, zdobieniom, precyzji wykonania. Przez jego usta przemknął pogardliwy grymas. W myślach nazwał szpade "zabaweczka" i odłożył na drewnianą skrzynię z naczyniami stołowymi. Błąd, pomyślał Jordan. Od broni dzieliły go tylko trzy kroki.

Herran przysunął sobie krzesło i usiadł. Pistolet położył na udzie, palec wciąż trzymał na spuszcze.

Nie sądz, panie – powiedział d'Andrieux – że kazałem ci tu przyprowadzić, by się przed tobą usprawiedliwić. Chce tylko, byś zrozumiał pewne rzeczy.

Zamilkł. Jordan nie odpowiedział. Odruchowo poprawił opadające na czoło włosy, cofnął rękę i spojrzał na nią z niesmakiem. Zapomniał, że dłonie ma pokryte kurzem. Niespiesznym gestem wytarł je w chusteczkę.

Charnavin zostało założone dokładnie sto sześćdziesiąt dwa lata temu – podjął po chwili hrabia. – Od początku stał tu kościół świętej Alamandy, istniało tak że Reix, wówczas dość podła dzielnica rozpusty. Elite Charnavin stanowili moi przodkowie, a także przodkowie rodów de Mareuil, de Fargues, de Liberau, de Mireio i jeszcze kilku innych. To właśnie oni wpadli na myśl, by przekształcić Reix w dzielnicę, gdzie będzie

można znaleźć zwykle w takich razach rozrywki: kobiety, hazard, proste czary miłosne, tyle że w znacznie... hm, szlachetniejszej oprawie. Niestety, rosła też moc patronki miasta. Inni święci uzdrawiają chorych, strzegą podróżnych czy nawet odnajdują zagubione przedmioty, święta Alamanda natomiast, zgodnie z wola wiernych, wzięła pod opiekę stróżów prawa i sama stanęła po stronie sprawiedliwości. Ponoc w tamtych czasach wystarczyło wstąpić do straży miejskiej, by stać się silniejszym i zreczniejszym, a zostać sędzią, by zyskać na bystrości umysłu, zaś przypadki jasnowidzenia zdarzały się dwa razy częściej niż w innych miastach. Oferowane w Reix rozrywki nie są, przynajmniej w większej części,

nielegalne, ale dla naszej patronki nie ma to znaczenia. Jej poczucie sprawiedliwosci zgadza sie raczej z tym, co w powszechnej opinii uchodzi za "moralne", niz z litera prawa. A z gniewem swietej nie ma Zartow. Zycie wlascicieli domow w Reix zaczelo przypominać zycie w cieniu wulkanu, który w kazdej chwili moze wybuchnac. Rozwiazanie znalazl dopiero Carlo Villani. Swieta Alamanda chce sprawiedliwosci? Na poczatek dajmy jej wiec zbrodnie, która wstrzasnie calym miastem. Niech zginie dziecko, bo smierc dziecka budzi najwiekszy gniew. Oczywiscie musi pochodzic /, bogatej rodziny, bo losem najbiedniejszych nikt procz nich samych sie nie przejmuje. Zginie zamordowane w okrutny sposob, a przerazeni, zadni zemsty ludzie przez kilka dni beda mowic jedynie o sprawiedliwej karze, która powinna spasc na morderce. I sprawiedliwosci stanie sie zadosc. Morderca zostanie aresztowany, przyzna sie, podajac jakis w miare prawdopodobny powod zabojstwa, a kat zetnie mu glowe. Emocje charnavinczykow opadna, usatysfakcjonowana tym spektakularnym triumfem sprawiedliwosci Alamanda zapadnie w bloga drzemke. Za kazdym razem poswiecic sie musial jeden z nas. Wynajecie jakiegos podlego rzezimieszka nie wchodzilo w rachube. Czlowiek ten musial dobrowolnie pojsc na smierc, a poza tym triumf sprawiedliwosci jest wiekszy, gdy skazany zostaje szlachcic. Sekret przechodzil z ojca na syna, a co trzydziestci lat wtajemniczeni spotykali sie, by wylosowac sposrod siebie morderce. Bezpieczenstwo i bogactwo za cene jednej ofiary co trzydziestci lat. Sam osadz, panie, czy bylo warto. Musisz tez przyznac, ze dobrze wydawalismy nasze pieniadze. Charnavin jest jednym z najpiekniejszych miast w calej Okcytanii. Nie ma wsrod nas nikogo, kto nie kochalby Charnavin...

Starzec zamyslil sie. Tym razem takze Jordan nie przerwal ciszy.

Hrabia d'Andrieux odchrzaknal.

Szansa, ze ktos zdola domyslic sie prawdy, byla nikla. Co prawda, dzieci ginely zawsze w ten sam sposob, który jeden z nas juz na poczatku uznal za najlepszy. Poderzniete gardlo sprawialo, ze dziecko konalo szybko, nie meczac sie, a rozpruty po smierci brzuch to makabryczny szczegol, który mial wstrzasnac ludzmi. Podobienstwo to moglo zwrocic czyjas uwage, ale akta sadowe niszczy sie po cwiercwieczu, a w ciagu trzydziestu lat krazace po miescie opowiesci zmieniaja sie tak bardzo, ze wiecej w nich zmyslenia niz prawdy. Raz tylko, trzydziestci lat temu, gdy bylem mlodym jeszcze czlowiekiem, nasza tajemnica omal nie wyszla na jaw. Ten, który wyciagnal czarny los, stchorzyl. Dla wlasnego bezpieczenstwa musieliśmy go zabic, a na jego miejsce wybralismy innego. Tego roku... Ale dlaczego tylko ja mam mowic, panie Jordan? Wiesz juz, panie, co zdarzylo sie tego roku.

W kwietniu – spokojnie podjal watek Jordan – czarny los wyciagnal Joan Baptiste de Mareuil. Spokojny, troche nijaki chlopak. Zabil dziecko, dokladnie tak, jak chcieliscie. Ale nie zamierzal potem spokojnie czekac, az zostanie aresztowany i skazany, o nie. To jedno morderstwo zbudzilo w nim diabla. Chcial zabijac dalej. I zabijal. Byliscie przerazeni, ale zaden z was nie mogl po prostu pojsc do sedziego i

**powiedzieć: jestem pewien, że dzieci morduje ten właśnie człowiek. Proszę nie pytać, skąd to wiem. Proszę po prostu złapać go i uciąć mu głowę. Dlatego baron de Mareuil zapłacił jednej ze służących, by oskarżyła jego syna. Udało się. Kryjówka Upióra została odnaleziona, on sam aresztowany. Procesu nie było, jak sądzi, ku waszej wielkiej uldze. Istniała przecież szansa, że chłopak zdradzi sędziemu tajemnice. Pozornie wszystko skończyło się jak zawsze; sprawiedliwym ukaraniem mordercy. Ale makabra zbrodni Upióra, a później śmierć zbrojcy, który zginął bez sprawiedliwego procesu, rozszarpany przez tłum ludzi, spowodowały dokładnie odwrotny efekt. Święta Alamanda, miast zasnąć spokojnie, rozgniewała się i obudziła na dobre. Zrozumieliscie, że nadszedł wasz kres. Trzeba było ratować, co się da, i zmykać z Charnavin. Potrzebowaliscie jednak czasu, ostatecznie nikt z was nie jest biedakiem, który mógłby w pół godziny spakować kuferek i zniknąć. A święta w każdej chwili mogła odkryć, że oszukiwano ją przez półtora wieku. Należało znaleźć coś, co na jakiś czas odwróci uwagę świętej Alamandy. Tak więc znowu ciągneliscie losy. Zdaje się jednak, że to, co zrobił Upiór, zbudziło w was wyrzuty sumienia, bo postanowiliscie, że tym razem także ofiarą będzie jeden z was. Z ciekawości, jak wybraliscie ofiarę?**

**Don Salvair wybierał spośród karteczek z naszymi nazwiskami. Nikt prócz niego nie miał pojęcia, kto ma być ofiarą. Gdybym to wiedział, oddałbym własne życie w zamian za syna. Zresztą, to był pomysł barona de Mareuil. Ja byłem przeciwny.**

**Tak czy inaczej, śmierć don Rainauda dała wam to, czego potrzebowaliscie: czas. Nawet więcej, niż się spodziewaliscie. Tym razem święta Alamanda nie popisała się i nikt nie zdołał odkryć mordercy. Ksiądz Sauvin poprosił więc o pomoc biskupa. Sauvin nie jest jednym z was, prawda? W przeciwnym wypadku nie wysłałby listu.**

**Oczywiście, że nie jest jednym z nas. To prostak.**

**Nie chcieliście, aby ktoś obcy mieszał się w waszą sprawę, ale było już za późno. Postanowiliscie więc obroczyć mój przyjazd na własną korzyść. Miałem tylko złapać mordercę za kark i zawlec przed oblicze sędziego. Podsuwaliscie mi kolejne dowody winy don Salvaira, a i sam młodzieniec gotów był przyznać się jak**

**najszybciej, by zaoszczędzić sobie udreki. Aha, byłbym zapomnieli: wasze sumienie obciąża także śmierć ojca Fabresse. Nie był zbyt bystrym człowiekiem, ale miał współczującą naturę i czytał czasem znajdujące się w kościele świętej Alamandy tablice. A gdy przez przypadek wpadło mu w ręce dzieło Carlo Villaniego, nie wyrzucił księgi, lecz przejrzał ją i skojarzył fakty. Nie szukał pomocy u księdza Sauvin – zbyt często widywał go w waszym towarzystwie – jednak zdradził się przed Salvairem de Fargues, którego uważał za milego chłopca. W ten sposób wydał na siebie wyrok.**

**Hrabia otworzył usta, chcąc powiedzieć coś jeszcze. Chciał mówić o swojej miłości do Charnavin, o tym, że przecież zdarzało się już, iż pojedyncze ludzkie życie**

poswiecane bylo w imie wyzszych celow. A w tym przypadku celem bylo Charnavin – miasto spokojne, bezpieczne, a przede wszystkim bogate i bardzo piekne. Zrezygnowal jednak, bo Jordan poruszył sie, zablakany promien slonca padl na jego twarz i hrabia ujrzał wpatrzony w siebie chlodny, ironiczny wzrok.

I ja takze musze umrzec, prawda? – powiedzial Jordan. – Musicie mnie zabic, nim sluzba zacznie krecic sie po ogrodzie. Nie mam wiec wiele czasu. Czy zgodnie z tradycja moze przed smiercia liczyc na spelnienie ostatniego zyczenia?

Slucham.

Moglbym prosic o lusterko?

Do niedawna Peyretou nie golil sie wcale. Hodowal miekkie, jasne wloski, liczac, ze wkrótce przekształca sie w bujne wasy i brode. Potem jednak ktos powiedzial mu, ze golenie przyspiesza porost wlosow, i od tego czasu chlopak pracowicie drapal gladkie policzki.

Ten rano takze zaczal od naostrzenia brzytwy, napelnienia miski woda i siegnięcia po zwierciadlo.

Lusterko?

Tak, lusterko. Moze byc male, takie, jakie kobiety zwykly zabierac ze soba w podroz.

Herran parsknal z pogarda.

Przynies lusterko – powiedzial hrabia znuzonym glosem czlowieka, ktory dla swietego spokoju ustępuje niegrzecznemu dziecku.

Po chwili Herran postawil przed Jordanem podrozne zwierciadelko opravione w czerwona, wytlaczana w zloty wzor skore.

Moglbys odemknac okiennice? – poprosil Jordan. Potem przejrzał sie i starl z policzka smuge kurzu. Pchnal lusterko w strone hrabiego.

Spojrzyj, panie.

Hrabia zmarszczyl brwi. Herran stal za jego plecami, wpatrujac sie w Jordana z wyrazna nienawiscia.

Nie widze w tym zadnego sensu – powiedzial d'Andrieux. – Konczmy juz te komedie, zaczyna mnie to nudzic.

Nie zadam przeciez zbyt wiele. Chce tylko, abys rzucil, panie, okiem na wlasne

odbicie.

Z grymasem niecheci na ustach Hrabia pochylił się nad lustrem. Zamarli. W pawiloniku zapanowała cisza. Herran postąpił pół kroku do przodu i spojrzał ojcu w twarz, doskonale teraz widoczna w świetle poranka. Krzyknął cicho.

Skóra starca była blada, z lekkim odcieniem szarości, jak brzuch sniętej ryby. Oczy zapadły się w głąb, a rysy wyostrzyły tak bardzo, że do złudzenia przypominały odnalezioną w szczelnie zamkniętej trumnie mumie.

Ty umierasz. – Hrabiemu zdawało się, że głos Jordana dobiega z bardzo daleka. – To zaraza. Spróbuj teraz wstać, a poczujesz zawroty głowy. Potem przyjdą dreszcze, poty i gorączka, która rozpali twoje ciało. Skonasz w ciągu kilku godzin.

Baron de Mareuil... – wyszeptał Herran. – Wczoraj wczesnie wrócił do siebie, mówiąc, że źle się czuje...

Dosyc. – Hrabia z całą siłą, na jaką stać było jeszcze jego ręce, uderzył lustrem o kant stołu. Powierzchnia zwierciadła rozprysła się; zwielokrotniona w kilkunastu odłamkach twarz wyglądała jeszcze upiorniej. Jęknął i zamknął oczy.

Usłyszał metaliczny świst, potem zduszony krzyk. Nic więcej. Podniósł powieki, ujrzał wytrzeszczone oczy swego niesłubnego syna i jego gardło przeszyte szpadą. Jordan wyszarpnął ostrze, ciało Herrana zwałilo się na ziemię. Hrabia wstał, ale zakreciło mu się w głowie i z powrotem opadł na krzesło. Wrzasnąć jednak zdołał. Prawde mówiąc, wrzeszczał znacznie głośniejszym głosem niż jego umierający syn.

Pierwszemu drabowi, który wpadł do pawiloniku, Jordan strzelił w twarz z pistoletu Herrana. Zaraz odrzucił bezużyteczną broń, bo w drzwiach stał już drugi drab. W reku, podobnie jak pierwszy, trzymał rapier. Starli się nad leżącym w progu ciałem. Rzeźmieszek był silnym i dobrze wyszkolonym szermierzem, Jordan nie cofnął się jednak, choć iść naprzód też nie zamierzał – stojąc w drzwiach, nie dawał szansy ataku trzeciemu przeciwnikowi.

Sila i umiejętności nie na wiele się zdały wynajętemu rzeźmieszkowi. Upadł na zwłoki swego towarzysza, a Jordan lekko przeskoczył dwa ciała i zbliżył się do ostatniego draba. Ten cofnął się, ale nie zdążył już podjąć decyzji, czy walczyć, czy też uciekać. Zdumiony Jordan ujrzał, jak przeciwnik osuwa się na kolana, a potem wali na ziemię.

Nieprzytomnego mężczyźnię dopadł Fiari i skrecił mu kark. Potem wstał i rozejrzał się. Przez otwarte drzwi pawiloniku widac było bladą twarz hrabiego, który nie krzyczał już, a tylko pojekiwał cicho.

Radziłbym ci zostawić go w spokoju – powiedział Jordan ostrzegawczo. – Jest

chory, a to bardzo zarazliwa choroba.

Fiari parsknal lekcewazaco, ale zostal na miejscu. Peyretou, dotad stojacy na uboczu, niepewnie podszedl do Jordana. W lewej pieści wciaz sciskal dwa sporych rozmiarow kamienie. Z calych sil staral sie nie patrzec na trupy.

Widze, ze bede musial nauczyc cie strzelac z pistoletu. – Jordan usmiechnal sie lekko. – Nie moge przeciez pozwolic, bys w mojej obronie rzucal w ludzi kamieniami. Choc moze wolalbys jednak zrobic sobie proce?

Sluzacy nie odpowiedzial.

Bystry z ciebie chlopak – pochwalil go Jordan. – Domysliles sie, ze tu bede?

Przez chwile w Peyretou walczyly chec sklamania z checia pochwalenia sie niezwyklym przezyciem, a moze i ze zwykla szczeroscia.

Zdecydowal sie na prawdomownosc.

Nie, panie. Ja mialem wizje! Dzisiaj przy goleniu ujrzałem w zwierciadle ciebie i tamtych... – Wskazal lezacych na ziemi rzezimieszkow.

I dlatego masz na podbrodku taka paskudna szrame? A ja juz myslalem, ze napadl cie po drodze jakis bliski krewniak Upiora.

Peyretou faktycznie zacial sie brzytwa, ale nie miescilo mu sie w glowie, ze ktos moze zartowac z tego w takiej chwili. Wymamrotal wiec tylko cos niezrozumiale. Jordan zlitowal sie i odciagnal chlopaka na bok, z dala od lezacych na ziemi cial.

Biegnij i sprowadz tu lekarza. Albo nawet dwoch. W tym domu panuje zaraza.

A ja, pomyslal zdjety naglym lekiem, czesciej zajmowalem sie umarlymi niz zywyymi i nie sadze, bym zdolal kogos uratowac.

W kosciele panowal przyjemny chlod i cisza. Czasem tylko jakis wierny klekal w lawie i odmawial krotka modlitwe. Rzucal tez zdumione spojrzenie na sylwetke rozciagnieta krzyzem przed oltarzem i usmiechal sie z politowaniem. Ubrany na czarno mezczyzna wygladal na pogrzonego w zarliwej modlitwie, a gorliwosc religijna nie byla wsrod charnavinczykow popularna.

Mieszkancy Charnavin mylili sie jednak. Jordan nie modlil sie, a probowal przemowic swietej do rozsadku. Lezac krzyzem na zimnej kamiennej posadzce, bo sposrod wielu sprzecznych informacji krazacych na temat swietych pewne bylo tylko jedno: wszyscy lubili, by wierni wykazywali sie wlasciwa pokora. Nie wiedzial, czy swieta Alamanda go uslyszy, ale nie mial wyboru. Nad miastem zawisla grozba, z



ktorej mieszkańcy Charnavin na razie w ogóle nie zdawali sobie sprawy. A jak na ironie, gniew świętej miał dotknąć ludzi niewinnych, bo większość tych, którzy byli winni, dawno już opuściła miasto.

O tym właśnie mówił Jordan. Przekonywał, prosił, błagał, z nadzieją, że choć część dotrze do właściwych uszu. Gdy brakowało mu słów, zaczynał raz jeszcze, od początku. Czasem łapał się na tym, że wypowiada zdania bezmyślnie, jak dziecko klepiące wieczorną modlitwę. Przywoływał wtedy w pamięci twarze słuzących, którzy umierali w palacu hrabiego, i słowa natychmiast odzyskiwały znaczenie.

Wieczorem do kościoła wśliznął się Peyretou. Ukląkł i pomodlił się w intencji chorych, ale brakowało mu cierpliwości Jordana. Usiadł więc w ławce, a gdy przekonał się, że jego pan nie ma zamiaru w najbliższym czasie wstąpić, ułożył się wygodnie i zasnął.

Ktoś zbudził Peyretou, szarpiając go bez ceregieli za ramię. Chłopak usiadł, przetarł oczy. Od spania na twardej, wąskiej ławce bolały go wszystkie mięśnie.

Co to? – zapytał, bo pierwsza rzecz, jaka zwróciła jego uwagę, był osobliwy odgłos, którego otumaniony jeszcze snem umysł nie mógł z niczym skojarzyć.

Deszcz – odparł Jordan, poprawiając zmierzwiłone włosy i pognieciony kaftan.

Peyretou odwrócił się. Wrota kościoła były otwarte, wpadały przez nie strugi wody i chłodny wiatr. Tuż przy wejściu utworzyła się już spora kałuża, przez którą brnął mężczyzna w mokrej sutannie i sięgających kolan kaloszach.

No proszę – powiedział ojciec Sauvin. – Zastanawiałem się wczoraj wieczorem, czy nie wyrzucić was z kościoła przed zamknięciem. Ciesze się, że tego nie

zrobiłem. To zdumiewające, ale święta wysłuchiwała chyba waszych modlitw. Wracam właśnie z palacu hrabiego. Zmarł tylko d'Andrieux, troje słuzących powraca do zdrowia, a od wczorajszego wieczoru nikt nowy nie zachorował. W domu barona de Mareuil podobnie. Wygląda więc na to, że jednak unikniemy zarazy.

Gdzie Fiari?

Peyretou, wpychający właśnie do ust wielkie kęsy chleba z miodem, zakrztusił się i poczerwieniał. Zapomniał, że wczorajszego popołudnia pan przykazał mu pilnować wilkolaka.

Jordan nie rozgniewał się jednak. Poczł nawet ulgę na myśl, że Fiari poszedł sobie, uwalniając go w ten sposób od odpowiedzialności.

Niestety, ulga była krótkotrwała. Ojciec Sauvin, który zaprosił ich na śniadanie,

odłożył kubek cienkiego wina i spojrzal na Jordana.

Jeśli chodzi o tego ciemnowłosego chłopca, to jest on u mnie. Nie chciał wejść do kościoła ani nawet na plebanie. Noc spędził w szopie na narzędzia, a przed chwilą widziałem, jak rzucił kamieniami w mojego kota. Będzie wdzięczny, jeśli zabierzecie go stąd jak najszybciej. Nie podoba mi się ten młodzieniec.

Jordan marzył już tylko o tym, by wyjechać z Charnavin. Najpierw jednak musiał odzyskać swój powóz, a przede wszystkim stangretą, który wciąż jeszcze przebywał w pałacu hrabiego. Lekarz puścił go z objętego kwarantanną domu, dopiero gdy Jordan listownie poświadczyl, że bierze na siebie całkowitą odpowiedzialność. W międzyczasie napisał też do Modesty Veran i posłał Peyretou z listem. Służący wrócił, gdy gotowy do drogi powóz stał przed kościołem. Deszcz przestał padać, powietrze było świeże i czyste.

Jordan wskazał Fiariemu wewnątrz karety.

Miałes mi towarzyszyć przez trzy dni – przypomniał.

Młodzieniec wzruszył ramionami i wsunął się na skórzane siedzenie. Wyglądał na zmęczony. Nie złamał warunków umowy, ale był już tego blisko. Ruszyli w drogę.

To odpowiedź. – Peyretou wyciągnął z kieszeni złożoną na pół kartkę papieru.

Jordan pomyślał, że młoda czarownica zapewne zechciała podziękować mu za dość pekata sakiewkę dołączoną do listu. Było to jednak nie podziękowanie, a kolejna wroźba.

Jak to mówię, do trzech razy sztuka, czytał. Spróbujmy więc tak: zabiłeś kogoś, zamordowałeś skrytobójczo, bo wierzyłeś, że tak trzeba, że to jest słuszne. A dzisiaj, nim zajdzie słońce, zabijesz znowu, nie patrząc swej ofierze w twarz, tłumacząc sobie, że w ten sposób unikasz znacznie większego zła.

List nie miał podpisu. Jordan zmiażdżył go w kulke i wyrzucił przez okno powozu.

Tym razem Modesta Veran pomyliła się tylko w jednym.

Fiari umarł, patrząc swemu zbrojcy w oczy.

Dla Jakuba Cwieka, który podsunał

mi pomysł na to opowiadanie

## 2. Damarinus

**Domenic Jordan brnal po kolana w wodzie, ciagnac za soba martwe cialo.**

**Tuz przy brzegu zatrzymal sie, poprawil chwyt na kolnierzu ciezkiej od wilgoci marynarskiej kurtki. Fala, dluzsza i wieksza niz poprzednie, liznela mu uda, woda wlala sie do wysokich butow. Zaklal, postapil dwa kroki i szarpnieciem wywlakil zwloki na mokry zwir, kladac je obok pozostalych. Wyprostowal sie, zachodzace slonce rzucalo teraz na plaze jego cien, dlugi i ostry niczym noz. Za nim na falach unosily sie szczatki niewielkiego statku, uwiezony wsrod skal szarobialy zagiel wydymal sie na wietrze. Ponad linia wody przeczytac mozna bylo wypisana na burcie nazwe: "Dea Gratia".**

**Jordan rozejrzal sie, szukajac wzrokiem dwoch mezczyzn, ktorzy pomagali mu wyciagnac z wody poprzednie ciala. Znalazl ich stojacych posrod gapiow. Miejscowi chlopi z ciekawoscia spogladali na nieboszczykow, ule nikt sie nie kwapil, by podjac jakakolwiek decyzje.**

**Przepuscie mnie, do wszystkich diablów! Rozstapic sie, ale juz!**

**Przez tkwiacy na brzegu tlumek przepchnal sie jezdziec. Zeskoczył z konia i podszedł do czternastu ciał ułożonych w rowny rzad. Pochylil sie, spojrzal na uszy jedynej kobiety, ktore rozdarto, brutalnie zrywajac z nich kolczyki, potem przeniosl wzrok na bosc stopy jej sasiada.**

**Jordan nie patrzyl na ciala, patrzyl na przybysza. Ramiona wysokiego mezczyzny juz lekko pochylaly sie do przodu, ale wciaz czulo sie promieniujaca z nich sila. Siwe wlosy rozwiewal ciagnacy od morza wiatr, wytarta, zniszczona sutanna dla wygody rozpieta byla do polowy ud, odslanjajac polatane spodnie i buty do konnej jazdy. Za pasem przybysza tkwily dwa solidne pistolety. Jordan usmiechnal sie. Ojciec Inian, proboszcz Dolnego Tarris, bez watpienia byl osobliwa figura.**

**Selvenes – rzucil teraz, pospiesznie zegnajac zmarlych znakiem krzyza. – Znow palili na brzegu ognisko. Rabusie! Mordercy! – wypluwal slowa, jakby kazde z nich musial wyrywac sobie z glebi trzewi.**

**Tlumek zafalowal. Gapie wyrzaskiwali cos w miejscowym dialekcie, z ktorego Jordan niewiele rozumial. Zwrocil sie wiec do ksiedza.**

**Nie wiadomo, czy oni zostali zamordowani! – powiedzial glosno, starajac sie przekrzyczec narastajacy za jego plecami halas.**

**He? – Ojciec Inian poslal mu ponure spojrzenie. – Co pan mowisz? A niby co im sie stalo? Patrz pan. Ten tutaj ma rozciete czolo, ten obok strzaskany bark, a kobieta...**

**A kobieta – wpadl mu w slowo Jordan – zmarla na skutek tak wyrafinowanej tortury, jaka jest zmiadzzenie trzech palcow lewej dloni. Dajmy temu spokoj, ojcie.**

**Te obrażenia powstały, gdy nad ranem przy wysokiej fali ciała uderzały o skały.**

**To co ich zabiło? Magia? – zapytał kapłan ze złością, najwyraźniej podrażniony kpiącym tonem rozmowcy.**

**Jordan potrząsnął głową.**

**Może po prostu utoneli – powiedział spokojnie, pochylając się nad ciałem bosonogiego mężczyzny. Z kieszeni jego kaftana wyjął dziennik w skórzanej oprawie. Ostrożnie rozlepił wilgotne kartki, licząc, że w środku znajdzie coś, co pozwoli mu ustalić tożsamość zmarłego. Rozczarował się. Nazwisko na pierwszej stronie było już tylko plamą bładoniebieskiego atramentu, a rysunki na pozostałych kartkach nie wyglądały wiele lepiej – z trudem dało się w nich rozpoznać coś jakby szkice owadów i zwierząt.**

**Jordan wyprostował się. Gwar za jego plecami wzmożł się jeszcze. Wśród krzyków udało mu się wychwycić jedno tylko słowo, to samo, które słyszał już z ust ojca Iniana.**

**Selvenes.**

**Lesni ludzie.**

**Dolne Tarris było niewielka rybacka wioska położona malowniczo nad brzegiem morza. Dwadzieścia lat temu pewien arystokrata wybudował tu wille, która nazwał Sol Ceri. Jak łatwo się domyslić, uroki życia na łonie natury szybko mu się znudziły i Sol Ceri przeszła w ręce przedsiębiorczego don Jamme'a, który postanowił założyć tu uzdrowisko.**

**Jordan nie wroził mu powodzenia. Wyjazdy nad morze w celu polepszenia zdrowia stały się wprawdzie ostatnio modne, ale położone na uboczu Tarris nie miało szans z wielkimi, pełnymi atrakcji uzdrowiskami. Mimo to tej kapryśnej, wietrznej wiosny w Tarris przebywało aż czterech kuracjuszy. Piątym mieszkancem Sol Ceri był Domenic Jordan, teraz zmierzający szybkim krokiem w stronę willi.**

**Nie mógł pozbyć się wrażenia, że unoszące się w przybrzeżnej wodzie szczatki "Dei Gratii" kryją w sobie jakąś zagadkę. Morscy rozbojnicy rozpalali na brzegu ognisko, a gdy statek roztrzaskał się o skały, dobijali marynarzy, którym udało się przeżyć. Ale żadna z ran, które Jordan widział dzisiejszego wieczoru, nie wyglądała na zadana ludzkimi rekoma. Obrażenia były zbyt powierzchowne, zbyt chaotyczne. Albo cała załoga "Dei Gratii" utonęła, oszczędzając tym samym rozbojnikom pracy, albo...**

**Druga możliwość była znacznie bardziej przerażająca.**

**Dwadzieścia minut później Jordan wracał tą samą drogą, niosąc skózaną lekarską**

torbe, w której spoczywały narzędzia częściej służące do rozcinania martwych ciał niż do ratowania życia. Gdy dotarł w pobliże plebanii, zapadł już zmierzch. Wiatr wzmożł się i zmienił kierunek; wiał teraz od strony łak, niosąc ze sobą j ostry, świeży zapach trawy.

Przed plebania kilkunastu mężczyzn meczyło się, przytrzymując niespokojne konie. Wierzchowce rwały i próbowały się wyrwać, mężczyźni przekrzykiwali się nawzajem. Pochodnie w ich rekach gasły co chwila, duszone coraz gwałtowniejszymi podmuchami wiatru. W końcu, nie bez pomocy ojca Iniana, wszyscy znaleźli się w siodłach, a mało praktyczne pochodnie zastąpiono prostymi latarniami z rogowymi szybkami. Gdy ich światła wtopiły się w ciemność i w oddali ucichł tetent kopyt, Jordan podszedł do księdza.

To znów pan. – Ojciec Inian podniósł na wysokość oczu latarnie, w której płomień trzepotał jak purpurowa ognista cma. – Kim pan właściwie jesteś, co?

Domenic Jordan – powtórzył ojciec Inian. – I zatrzymałeś się pan w Sol Ceri?

Jordan przytaknął cierpliwie.

Ksiądz obrzucił gościa niechętnym spojrzeniem. W świetle stojącej na stole świecy widział wyraźnie jego ekscentrycznie czarny strój, zbyt drogi i elegancki jak na kogoś, kto zdecydował się odzyskać zdrowie akurat w Sol Ceri. Widział też twarz Jordana, o cerze bardzo bladej w porównaniu do większości Okcytancyków, ale zdecydowanie należącej do człowieka zdrowego, nie chorego.

Jordan, potwierdzając przypuszczenia księdza, pchnął w jego kierunku wyciągnięty z kieszeni list.

Ojciec Inian przebiegł wzrokiem tekst i zerknął na podpis

W życiu bym nie przypuszczał, że Jego Ekscelencje może interesować, co się u nas dzieje – wymruczał.

Nawet do Alestry dotarły pogłoski o tej... przedziwnej wojnie, która tutaj toczy się.

Nie jesteś pan przypadkiem czarownikiem czy kims w tym rodzaju?

Jestem tylko lekarzem, choć przyznam, że interesuje mnie magia. Można nazwać to ciekawością naukowca.

Zacięta twarz proboszcza nie zlagodniała ani na chwilę. Z istnieniem magów godził się, tak jak godził się z istnieniem szcurow czy innych szkodników. Bez wątpliwości Bog miał jakiś zamiar, pozwalając im żyć, lecz dla ojca Iniana nie ulegało wątpliwości, że tutaj, na ziemi, zadaniem porządnego człowieka jest walka z tego rodzaju

stworzeniami. Mysl, ze ktos moglby traktowac magie "z ciekawoscia naukowca", nawet nie miescila mu sie w glowie.

Niemniej Domenic Jordan nosil w kieszeni list podpisany przez samego biskupa i ojciec Inian nie mogli tego zlekcewazyc. Wolno, niechetnie skinal glowa.

Czego pan ode mnie oczekujesz?

Drewniany stol zajmowaly dwa ciala lezace na bokach i przytulone do siebie niczym zsiniali z zimna kochankowie we wspolnym lozu. Reszte zwlok ulozono wprost na ziemi pod kamiennymi scianami.

Niewiele tu miejsca – wymruczal usprawiedliwiajaco ojciec Inian.

Jordan postawil swiece na stole pomiedzy bosa stopa mezczyzny a obuta w zniszczony trzewik noga kobiety.

Zajme sie najpierw nimi – powiedzial. – Potem ojciec pomoze mi przeniesc nastepnych.

Nie – zaprotestowal ksiadz. – Ja nie chce z tym miec nic wspolnego. Radz pan sobie sam albo czekaj do rana i pros kogo innego o pomoc.

Jordan skrzywil sie lekko. Nie mogli czekac. W tak malych miejscowosciach jak Tarris wiadomosci rozchodzily sie blyskawicznie, byl wiec pewien, ze rankiem przed kostnica zgromadzi sie tlum oburzonych mieszkancow, zagladajacych przez szpary w okiennicach i szturmujacych drzwi.

Prosze wiec znalezc kogos i poslac do Sol Ceri po mojego sluzacego. Teraz, nie rankiem. Sluzacy nazywa sie Peyretou.

Bal sie, ze ojciec Inian i tym razem odmowi, ale ksiadz skinal tylko glowa i wyszedl bez slowa.

Gdy skonczyli prace, zblizal sie juz swit. Peyretou wrocil wypoczac do Sol Ceri, a Jordan skierowal sie w strone plebanii.

Ojciec Inian nadal mial ponura mine, ale czekal z goraca woda, mydlem i recznikiem. Jordan wyszorowal rece, zmienil koszule na swieza, ktora przezornie zabral dla niego Peyretou, a potem dolaczyl do ksiedza siedzacego przy stole i popijajacego grzane wino.

Proboszcz podsunal mu kubek. Jordan sprobował i z aprobatą skinal glowa. Wino smakowalo dobrze, przyjemnie rozgrzewajac przy tym zziebniete cialo. Podziekowal, a ksiadz, tak jak sie tego spodziewal, zignorowal jego slowa.

Jordan rozejrzal sie. Wnetrze bylo ubogie, ale czyste – zgadywal, ze ksiedzu pomaga w sprzataniu ktoras z wiejskich kobiet – a jednak plebania w pewien sposob sprawiala wrazenie opuszczonej. Znajdowaly sie tu tylko najpotrzebniejsze sprzety, a od kamiennych, nagich scian wialo zimowym jeszcze chlodem. Nigdzie ani sladu osobistych drobiazgow. Nietrudno bylo zgadnac, ze mieszka tu samotny mezczyzna, ktory niewiele czasu spedza w domu.

Ojciec Inian pierwszy przerwal milczenie.

Znalazles pan cos ciekawego? – spytal sarkastycznie.

Czterech mezczyzn bez watpienia utonelo – odparl Jordan. – Najprawdopodobniej wczorajszego wieczoru badz w nocy, czyli wtedy, gdy statek wpadl na skaly. Pozostali... Coz, z nimi mam pewien problem. – Umilkl. Sluchal przez chwile monotonnego wycia wiatru, do ktorego dolaczyl szum deszczu. Potem spojrzal na ksiedza.

Problem polega na tym – powiedzial lagodnie – ze rozklad tych cial byl bardziej posuniety, a stezenie posmiertne w ich miesniach ustapilo niemal calkowicie, co oznacza, ze ludzie ci zgineli nie wczorajszej nocy, lecz dzien, moze nawet dwa wczesniej. Gdy "Dea Gratia" rozbila sie o skaly, wiekszosc jej zalogi byla juz martwa.

A przyczyna smierci?

Nie jestem pewien..

Zaraza? – Ksiadz pobladl lekko.

Nie sadze – uspokoil go Jordan. – Ci pierwsi zmarli W tym samym dniu, moze nawet w tej samej godzinie, K pozostali zyli jeszcze, gdy "Dea Gratia" wpadla na skaly. Nie znam zarazy, ktora w jednym momencie zabija grupe osob, a potem nagle przestaje sie rozprzestrzeniac. Poza tym jedno z tych cial zbadalem bardzo dokladnie i nie znalazlem zadnych sladow choroby.

Przerwal, upil lyk wina.

Na pokladzie "Dei Gratii" bez watpienia wydarzylo sie cos przerazajacego – kontynuowal. – Sadze, ze cos zaatakowalo, w jednej chwili zabijajac wiekszosc zalogi i pasazerow. Ci, ktorzy pozostali przy zyciu, nie byli w stanie poradzić sobie ze sterem i zaglami, a ponadto strach doprowadzal ich niemal do obledu. Nic dziwnego, ze gdy ujrzeli na brzegu swiatlo, natychmiast skierowali tam statek, liczac, ze znajda bezpieczna przystan i pomoc.

Ale co wydarzylo sie na pokladzie tego statku? Ksiadz wyraznie zaczal sie niecierpliwic. Jordan wrecz przeciwnie, sprawial wrazenie irytujaco wrecz

spokojnego.

Stawiałbym na trucizne – powiedział. – Jest wiele szybko działających trucizn, które nie pozostawiają w ciele zmarłego widocznych śladów. Jeśli ktoś dosypał

czegoś takiego do wspólnego posiłku, to ocalili tylko ci marynarze, którzy akurat pełnili wachtę.

W takim razie zbrojca musiał być szalencem – orzekł ojciec Inian. – W przeciwnym wypadku po co by ktoś miał truć wszystkich bez wyjątku?

Jordan przytaknął.

A dlaczego ci, którzy przeżyli, nie wrzucili ciała do wody? – spytał ksiądz.

Ktoż to wie? – Jordan wzruszył ramionami. – Może liczyli na to, że w porcie zwłoki trafią w ręce jasnowidza, który znajdzie przyczynę śmierci, a może im

także przyszło do głowy, że to zaraza, i bali się dotykać ciała?

Ojciec Inian wypił resztkę wina, podniósł się bez słowa i powędrował do kuchni. Wrócił po chwili, niosąc kolejny dzbanek. Tym razem wino było chłodniejsze, ale Jordan i tak z wdzięcznością przyjął poczęstunek. Myślał przy tym o jasnowidzach, którzy potrafią czytać w martwych ciałach, ale tych znaleźć można było tylko w dużych miastach, a reszta miała oni zbyt wiele pracy, by zajmować się zagadką statku, który rozbился niedaleko miejscowości o nazwie Dolne Tarris.

Cokolwiek zdarzyło się na pokładzie "Dei Gratii", jej załoga najprawdopodobniej zabierze ze sobą tajemnice do grobu, pomyślał Jordan.

Biedni ludzie – wymamrotał ojciec Inian. Sciskał w dłoni kubek i patrzył przed siebie szklistym wzrokiem. Jordan pojął, że ksiądz jest na najlepszej drodze do upicia się na smutno. Pojął też, że stan taki nie jest bynajmniej kapłanowi obcy. Proboszcz musiał zaglądać do kielicha z mszalnym winem znacznie częściej, niż wymagały tego kościelne ceremonie.

To nie pierwszy taki przypadek, prawda? Wcześniej były inne statki? – zapytał Jordan.

Ksiądz ożywił się.

"Dea Gratia" jest trzecia – powiedział, a w jego oczach znowu pojawił się mściwy błysk. – Dwa pierwsze, znacznie większe niż ten, rozbily się jesienią: jeden we wrześniu, drugi pod koniec października. Od początku było wiadomo, że to robota selvenes. Oni się z tym nawet nie kryją, rozpowiadają wszystkim wokół, skąd mają



swiecidelka, ktore nosza. Przeklęta krew i rasa! – Ksiadz wygladal, jakby mial ochote splunac, ale w koncu ograniczyl sie do uderzenia piescia w stol. – Pisalem w tej sprawie do naszego ksiecia, prosilem, by przyslal ludzi, ktorzy zrobia z nimi porzadek. Nawet nie odpowiedzial. A teraz pojawil sie pan... – Po raz pierwszy w oczach ojca Iniana Jordan dostrzegl cien sympatii. Musial jednak rozwiac zludzenia kaplana.

Ja nie przyjechalem tu, by z kimkolwiek robic porzadek. Nawet nie wiedzialem o tych statkach. Moge jednak cos dla ojca zrobcic. Znam osobiscie ksiecia de Remoussin. Napisze do niego. Byc moze mojej prosby wyslucha.

Ojciec Inian nie podziekowal, ale w jego oczach wciaz widac bylo ow cien sympatii.

Jesli ojciec nie jest zbyt zmeczony... – Jordan urwal, a gdy rozmowca milczal, kontynuowal: – Prosze mi opowiedziec o selvenes i o wojnie pomiedzy Dolnym a Gornym Tarris.

To pan nic o tym nie wiesz?

Znam tylko plotki, a chcialbym uslyszec o wszystkim od ojca.

Ksiadz westchnal i przeczesal dlonia wlosy. Wygladal na znuzonego i Jordan przez chwile poczul przyplyw wspolczucia. Powinien teraz pozegnac sie i dac temu niemlodemu juz przeciez czlowiekowi odpoczac. Ale ojciec Inian mial trudny charakter i Jordan wiedzial, ze powinien wykorzystac okazje, gdy ksiadz jest w miare przyjaznie nastawiony.

No, ja tam panu wiele wiecej niz plotki nie powiem – zaczal po chwili. – Wszystko zaczelo sie przed stu laty i nikt nie wie, jaka jest prawda. Wiadomo tyle, ze juz wtedy istnialy tu dwie wioski: Dolne i Gorne Tarris. Obie nalezaly do jednego pana. Dolne Tarris tworzylo ledwie pare rybackich chalup, Gorne Tarris bylo wieksze, prawie jak male miasteczko. Z kosciolem i karczma. I zamkiem. W zamku mieszkala rodzina de Veysse. I tutaj – ksiadz skrzywil sie – trudno juz odroznic prawde od legendy. Pan na zamku mial szesciu synow. Albo dwunastu. Nawet dwudziestu. W to ostatnie uwierzyc trudno, bo kobieta to nie krowica, zeby tyle dzieci urodzic. W kazdym badz razie mial tez corke, najmloidsza. Dziecko bylo dziwne i tez nie bardzo wiadomo, na czym owa dziwnosc polegala. Jedni mowia, ze Ursanna – bo tak miala na imie – byla glucha, inni, ze potwornie brzydka, jeszcze inni twierdza, ze mala od dzieciinstwa potrafila czarowac. Tak czy inaczej, bracia nie przepadali za siostra i ponoc tlukli ja przy kazdej okazji. A czasem i bez okazji. Ktoregos dnia Ursanna postanowila sie zemscic. A trzeba pamietac, ze w tamtych czasach zylo jeszcze sporo istot, ktore lud nazywal selvenes, lesnymi ludzmi, choc oni ludzmi wcale nie byli. W jednej wersji Ursanna znalazla sobie wsrod nich kochanka, w innej sama tylko w polowie byla czlowiekiem, bo jej matka nie dochowala mezowi wiernosci. Selvenes pomogli

**dziewczynnie otruc, zamordowac w zwykly sposob czy przy pomocy magii, wstaw tu sobie pan, co chcesz, wszystkich braci. Jednego po drugim, od najstarszego do najmłodszego. A ojciec Urlanny umarl z zalu. Miejscowe opowiesci mowia o tym wszystkim dosc szczegolowo, ale ja oszczedze tego panu, bo znów nie wiadomo tu nic pewnego. Tak czy siak, po niedlugim czasie na zamku panowala juz Ursanna i grupa jej nieludzkich przyjaciol. Proboszcz zebrał wówczas paru najwierniejszych parafian i przeniosl sie z nimi do Dolnego Tarris, ale reszcie mieszkancow Tarris Gornego widac takie towarzystwo nie przeszkadzalo – ksiadz parsknal z pogarda i zamilkl, oburzony.**

**Od stu lat – podjal po chwili juz spokojniej – krew selvenes miesza sie z krwia zwyklych wiesniakow i tamci z Tarris Gornego to teraz jeden w drugiego polludzie i czarownicy. I poganie. Kosciol zamienili w tancbude, do ksiedza, mojego poprzednika, ktory pojechal z nimi rozmawiac, strzelali z lukow. I nie ma pokoju pomiedzy Tarris Gornym a Dolnym. Raz my im zajdziemy za skore, raz oni nam. W zeszlym miesiacu urok rzucili na nasza uzdrowicielke, az w goraczce zgorzala. Na to mysmyslimy im piec chalup z dymem puscili, a da Bog, przyjdzie czas, gdy cale Gorne Tarris splonie w ogniu.**

**A chrzescijanskie milosierdzie? – przypomniał Jordan.**

**Diabla tam warte milosierdzie – warknal Inian, rzucajac mu nieprzychylnie spojrzenie. – Jesli ludziom sila milosci i szacunku do Boga w gardlo nie wepchniesz, to zyc beda w grzechu jak zwierzeta. Albo selvenes.**

**Jak na duchownego, ojciec ma dosc osobliwe poglady.**

**Jordan pochylil sie i palcami zgasil swiece, ktora dopalala sie na stole. Izbe wypelnilo przymglone poranne swiatlo. Ojciec Inian podszedl do okna. Promienie slonca padaly teraz na jego twarz, szara ze zmeczenia, pobruudzona i poznaczona czerwonymi zylkami. Domenic juz mial sie pozegnac, gdy kaplan odwrocil sie gwałtownie.**

**Przyjechali – powiedzial. – Potrzebuja pomocy.**

**W izbie nagle zrobilo sie tloczno. Mezczyzni byli mokrzy i ubloceni, cuchneli konskim potem, spaleni i krwia. Wysoki, ogorzaly mlodzieniec, dotad podtrzymywany za ramiona, przewrocil sie w prog, jeknal glucho i znieruchomial. Jeden z tych, ktorzy go podtrzymywali, zlupal ksiedza za koszule i wybelkotal cos, wskazujac lezacego na ziemi towarzysza. Mowil niewyraźnie, bo brakowalo mu wiekszosci zebow. Krew, ktora wyciekla z ust, zaschla na brodzie, tworzac z kepki rzadkiej brody brudnoczerwony sopel.**

**Ojciec Inian chwycil mezczyzne za nadgarstki i sila oderwal jego rece od swojej**

**koszuli.**

**Zostaja tylko ranni! – wrzasnal. – Reszta do domu! Drobne skaleczenia niech wam opatrze matki i zony.**

**Cokolwiek mowic o miejscowym proboszczu, trzeba przyznac, ze mial u swych parafian posluch. Wychodzili z ociaganiem, jeszcze w progu odwracajac sie i wyrzaskujac jakies slowa, ktore Jordan uznal za przechwalki i pogrozki pod adresem selvenes. Po chwili w izbie zostal tylko lezacy w progu mlodzieniec i postawny brodaty chlop, ktory sztywno przysiadl w kacie. Jordan ze zdziwieniem zauwazyl, ze z jego ramienia sterczy grot strzaly.**

**On pierwszy – powiedzial brodaty dosc wyraznie, celujac brudnym paluchem w towarzysza. – Ja wytrzymam.**

**Jordan i proboszcz przeniesli nieprzytomnego na stol. Mlodzieniec mial paskudna rane na brzuchu, ciagnaca sie na skos az pod serce. Na szczescie ostrze nie uszkodzilo narzadow wewnetrznych, ale gdy Jordan zdarl przyschniety material koszuli, z glebokiego rozciecia znow polala sie krew.**

**Nim zdazyl powiedziec slowo, ojciec Inian byl przy nim, trzymajac miske pelna cieplej wody, gasiorek wodka i pare plociennych recznikow. Jordan oczyscil brzegi rany i odwrocil sie, aby poprosic o igle i jedwabne nici. Nie musial. Ksiadz juz trzymal w rekach odpowiednie akcesoria wyciagniete z lekarskiej torby Jordana.**

**Uczylem sie kiedys na cyrulika – wyjasnil. – Moge go pozszywac.**

**Jordan zawahal sie, spojrzal na drzace palce kaplana.**

**Lepiej ja to zrobie.**

**Zszywal platy miesni, jedna reka sciskajac brzegi rany, druga ostroznie wbijajac igle. W pewnym momencie mlodzieniec oprzytomnial, zajeczal i szarpnal sie mocno. Z rany znow poplynela krew, przylozone pospiesznie do skory plotno przesiaklo czerwienia.**

**Przytrzymaj go, ojcze – syknal Jordan przez zacisniete zeby. – Albo przetlumacz mu, zeby sie nie ruszal. Nie zdolam zaszyc tej rany, jesli sie bedzie tak rzucal.**

**Na studiach tego pana nie uczyli? – spytal ksiadz z owa bezbrzezna pogarda, jaka cyrulicy zywia do uniwersyteckiej medycyny.**

**Uczyli, ale odwyklem od pracy z zywyymi – wyjasnil Jordan. – Wiekszosc moich pacjentow lezy teraz bardzo spokojnie.**

Ojciec Inian wymruczał gniewnie, że z takich spraw nie należy zartować, ale wyszeptał do ucha rannego parę uspokajających słów i młodzieniec przestał się szarpać, pojękując już tylko cicho.

Była jedenasta rano, gdy Domenic Jordan jadł w Sol Ceri późne śniadanie. Towarzyszyła mu pulchna dona Margalida i jej piętnastoletnia siostrzenica, która w Tarris kurowała osłabione płuca.

Andrea – dona Margalida zwróciła się do dziewczyny – przynies mi szal, pojdziemy na spacer. Nie spiesz się, kochanie. I tak będziemy musiały poczekać, aż trochę się przejasni.

Gdy Andrea wyszła, ciotka rzuciła okiem na chmurzące się za oknem niebo, potem spojrzała na Jordana.

Paskudna pogoda, prawda? Przytaknął w milczeniu.

Oczywiście na wiosnę często tak bywa. Deszcz i wiatr, sztormy na morzu... – zamilkła.

Jordan nie miał najmniejszego zamiaru pomagać w podtrzymaniu rozmowy.

Kobieta sięgnęła po stojący na stole dzbanek i wylała do kubka z winem odrobinę wody. Nie wypila, odsunęła kubek, jakby nagle przestał jej się podobać, i w zamian wzięła do ręki kromkę chleba. Mietosiła ją przez chwilę.

Nic dziwnego, że w taką pogodę statki rozbijają się o skały – podjęła zdesperowana. – Słyszałam, że pan badał wyciągnięte z wody ciała. Wielu ludzi uważa, że sekcja to bezczeszczenie zwłok, i oczywiście jest to obrzydliwe, ale... – pod wpływem wzroku Jordana mówiła coraz wolniej i mniej pewnie. – No, czasem przecież nie ma innego wyjścia... To znaczy, ja rozumiem...

Chciałaby pani dowiedzieć się, co znalazłem? – spytał uprzejmie Jordan. – Mogę opowiedzieć, jeśli naprawdę pani tego chce.

Dona Margalida zamilkła na dobre. Chleb w jej rekach zmienił się w sporych rozmiarów kulke. Wyraźnie unikała wzroku sąsiada. Wreszcie wciągnęła głowę w ramiona.

Nie o to mi chodziło. Ja tylko...

Z ulgą odwróciła twarz w stronę Andrei, która pojawiła się w drzwiach. Wyszarpnęła jej z rąk szal i zarzuciła sobie na ramiona.

**Gdzie sie podziewalas? – syknela ze zloscia. – Myslisz, ze nie mam nic lepszego do roboty, jak tylko na ciebie czekac?**

**Przeciez ciocia mowila, ze mam sie nie spieszyc – powiedziala dziewczyna.**

**W jej slowach nie bylo ani zlosliwosci, ani pokory, a tylko lagodne przypomnienie faktu. Dona Margalida zacisnela usta; sympatyczna, pucolowata twarz kobiety, jakby stworzonej do nianczenia malych dzieci, przybrala nieprzyjemny wyraz. Andrea nawet tego nie zauwazyla. Stala przed ciotka jak zawsze spokojna i obojetna, w dloniach sciskajac szkicownik, z ktorym nie rozstawala sie prawie nigdy. Byla bardzo ladna: zgrabna, ciemnowlosa i niebieskooka. Od dawna juz musiala przyciagac meskie spojrzenia, ale w jej zachowaniu nic nie swiadczylo o tym, ze dziewczyna zdaje sobie sprawe z faktu, iz dzieciństwo ma juz za soba.**

**Nie zimno ci, kochanie?**

**Nie, ciociu.**

**Wiatr jest dosc silny. Moge ci dac moj szal. Usiadz na nim, jesli nie chcesz go nosic. Nie powinnas siedziec na golej skale. Mozesz sie zaziebic. Dac ci szal?**

**Nie trzeba, ciociu.**

**Uśmiech na twarzy dony Margalidy powoli zmienia sie w grymas zlosci.**

**Powinnas jednak zabrac cos cieplego. Czy ja zawsze musze ci o wszystkim przypominalac? Sadzisz, ze przez cale zycie bede sie toba opiekowac? Czy ty mnie w ogole sluchasz?!**

**Slucham, ciociu. Na przyszlosc postaram sie byc uwazniejsza.**

**Patrzysz na mnie, jakbys wcale nie sluchala. – Dona Margalida odwrocila sie w strone morza, skad nadciagaly kolejne podmuchy wiatru.**

**Nie miala wlasnych dzieci i cala milosc, jaka w sobie nosila, przelala na siostrzenice. Ale Andrea okazala sie bardzo niewdziecznym obiektem macierzynskiej troski. Nie byla zlým dzieckiem, wrecz przeciwnie, znajomi dony Margalidy czesto powtarzali, ze jej siostrzenica jest niezwykle grzeczna i dobrze wychowana panna, tyle ze Andrea nie potrafila odwzajemnic milosci. Zarowno troskliwosc, jak i polajanki ciotki traktowala z ta sama lagodna obojetnoscia. Zachowywala sie, jakby wsrod ludzi byla tylko gosciem, pelnym dobrej woli, ile w gruncie rzeczy niezbyt zainteresowanym tym, co nic wokol niego dzieje.**

**Dona Margalida spacerowala wolno. Skaly ciagnely sie tylko wzdluz brzegu, szybko**

ustępując miejsca szerokiej łące, dość ubogiej, bo więcej znad morza wiatry pozwalały tu rosnąć tylko twardym, silnym trawom i solnym astrom. Dopiero w oddali – tam, gdzie leżało Górne Tarris – widać było zarysy pierwszych drzew.

W jednej z płytkich zwirowych zatoczek kobieta dostrzegła grupę chłopów brodzących w wodzie i składających na brzegu wylowione szczatki rozbitego stateczku. Szybkim krokiem wróciła do siostrzenicy. Dziewczyna pochylała się nad szkicownikiem, jej oczy błyszczały, policzki poróżwiały. Uśmiechała się. Dona Margalida jeszcze nigdy nie widziała, by widok jakiegokolwiek człowieka wywołał na twarzy Andrei taki uśmiech.

Przejdź się trochę, kochanie, dobrze? Poradzisz sobie sama?

Oczywiście, ciociu.

Dona Margalida rzuciła jeszcze siostrzenicy spojrzenie pełne poczucia winy i potruchtowała w stronę zebranych na brzegu chłopów.

Andrea została sama.

Podniosła głowę, patrząc na linię horyzontu. Tego dnia niebo było szaroniebieskie, a morze miało odcień granatu. Ponad jej głową wiatr pedził chmury, bardzo ciemne, niemal czarne i wydłużone w kształt groteskowych, poszarpanych palców. Palce te czasem przesłaniały słońce i na ziemi padał cień. Pozbawiony kolorów krajobraz zmieniał się wtedy, a okrągła kaluża tuż przy stopach dziewczyny wyglądała niczym wielkie martwe oko w oprawie zszarzałych rzęs. A chwilę później słońce znowu rozbłyskiwało na niebie, w kaluży zapalały się złote iskry i trawy odzyskiwały zieloną barwę.

Dziewczyna zmieniła kredkę na zieloną i wróciła do rysowania.

Nie podniosła głowy, gdy podeszli do niej Jordan i Peyretou. Dopiero gdy młody słuzacy usiadł tuż obok, wymruczała zdawkowe powitanie.

Czy mogę spytać, co pani rysuje, dono Andreo? – odezwał się grzecznie Peyretou.

Dziewczyna była tylko uboższą szlachcianką, a ponadto jej ciotka wyraźnie dawała do zrozumienia, że wciąż uważa siostrzenicę za dziecko – w przeciwnym wypadku Peyretou nie odważyłby się pierwszy rozpocząć rozmowy.

Krajobraz.

Mogę zobaczyć? Dziewczyna odsłoniła kartkę.

Ladny – przyznał.

**Dziękuję.**

**Peyretou zakrecił się niecierpliwie. Był przystojnym młodzieńcem i nie przywykł, by dziewczęta odpowiadały mu tak obojętnie.**

**Malarka z panny raczej nie będzie – zauważył. – Widziałem już znacznie lepsze rzeczy.**

**Jordan wzdrygnął się lekko. Chłopak z całą pewnością nie powinien zwracać się w ten sposób do dziewczyny, która stała w hierarchii społecznej wyżej od niego. Innym razem wziąłby służącego na bok i solidnie natarł uszu. Teraz jednak nie zareagował, bo Andrea wcale nie wyglądała na urazoną tymi słowami.**

**Nie chce być malarka – powiedziała uprzejmie. – ja tylko lubię rysować.**

**Peyretou wstał, wbil ręce w kieszenie kaftana i nie oglądając się, długimi krokami poszedł w tę samą stronę, gdzie niedawno zniknęła dona Margalida.**

**Andrea skończyła rysunek, wytarła ubrudzone pastelowymi kredkami dłonie i rozejrzała się wokół. Peyretou nigdzie nie było widac, obok stał tylko Domenic Jordan.**

**Czy pański sługa się na mnie gniewa? – zapytała.**

**Obawiam się, że tak. – Jordan uśmiechnął się.**

**Dlaczego?**

**Ponieważ nie był w stanie cię obrazić.**

**Zmarszczyła brwi, zastanawiając się.**

**Nie pojmuje – powiedziała po chwili. Położyła na kolanach pudełko z kredkami i zaczęła je porządkować.**

**Jesteś bardzo irytująca, dono Andreo – wyjaśnił Jordan – choć pewnie nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy. Znałem kiedyś dziewczynę bardzo do ciebie podobną. Nie można jej było zranic. Chroniła ją wiara.**

**Wiara? – Andrea podniosła na Jordana oczy, spodziewając się znaleźć w jego twarzy wyraz chłodnej ironii. Zdziwiła się, bo tym razem mężczyzna był całkowicie poważny. – W Boga?**

**A także w anioły. – Dopiero teraz jego wargi wykrzywiły się w lekkim, pełnym gorzkiego uśmiechu.**

**Ja w anioly nie wierze. – Andrea zamilkła, spojrzala na rozciągający się wokół krajobraz. Jej oczy rozblysły. – Ale wierze we wrozki. To jest bardzo dobre miejsce, by spotkac wrozki.**

**–Ta dziewczyna i jej rysunki! – mruzczał Peyretou idac krok za Jordanem. – Trudno uwierzyc, ze ktos moze tak siedziec i rysowac, jakby nic wiecej go nie obchodzilo! I wlasciwie co ona rysuje? Trawe? Skaly? Ile razy mozna podziwiac te sama cholerna skale?**

**Rzucil niepewne spojrzenie na Jordana, bojac sie, ze tym razem przeholowal. Czasy, gdy Peyretou byl lekliwym chlopcem, ktory pelen obaw zaczynal sluzbe, juz dawno minely. Chlopak nabral pewnoscii siebie i bywalo, ze osmielony milczeniem pracodawcy pozwalal sobie za wiele. Na szczescie mial na tyle rozsadku, by wiedziec, ze milczenie to wynika nie tyle z nadmiernej laskawoscii pana, ile z faktu, ze Domenic Jordan paplaniny swego sluzacego wcale nie slucha. Medyk potrafil tez skarcic Peyretou jednym tylko spojrzeniem, ktore, w mgnieniu oka odbieralo chlopcu cala odwage.**

**Dlatego tez, wciaz mowiac, Peyretou popatrywail czasu do czasu ostroznie na pracodawce.**

**Jordan milczal obojetnie.**

**Wczorajszego wieczoru, tuz po kolacji, zdarzylo sie cos dziwnego – ciagnal chlopak. – Andrea, znaczy sie, dona Andrea miala przy sobie ten swój szkicownik, a jej ciotka poprosila, zeby pokazala rysunki wszystkim przy stole. A ona wstala i powiedziala, ze owszem, bardzo chetnie, ale najpierw musi przeprosic na chwile. I wyszla, zabierajac ze soba szkicownik. A wrocila juz z innym szkicownikiem. Kartki byly inne.**

**Jordan zatrzymal sie i odwrocil. Peyretou wstrzymal oddech.**

**Jestes pewien?**

**Chlopak odetchnal.**

**Tak – przytaknal gorliwie. – Dona Margalida, dona Maria i don Valier sa... niezbyt mlodzi i nie maja najlepszego wzroku. Nie widzieli, ze te kartki sie roznia.**

**Ale ja widzialem wyraznie. Mialy inny kolor. Pierwsze szkice narysowano na ciemniejszym, jakby bardziej szarym papierze, a te drugie na jasnym, takim zolta**

**wym. Wyglada na to, ze ona nie chciala pokazac tych rysunkow, ktore miala przy sobie, i poszla do pokoju po inne. Ciekawe dlaczego?**



**Nie mam pojęcia. – Jordan ruszył naprzód, a Peyretou nie mógł odgadnąć, czy jego pana istotnie to nie interesuje, czy też może nie chce zdradzać się ze swoją**

**ciekawością przed słuzącym.**

**Przyspieszył kroku, by zrównać się z pracodawcą.**

**Ciekaw jestem, co na tych rysunkach było. Pewno dona Margalida, gdy wczoraj po południu przewróciła się na schodach, a spodnica podjechała jej prawie do...**

**Urwał, bo w końcu doczekał się potepiającego spojrzenia swego pracodawcy. Zamilkł i nie odezwał się aż do Sol Ceri.**

**Przez cały ranek i popołudnie chłopci znosili na plebanie wylowione z wody rzeczy. W większości były to do niczego nieprzydatne smieci: polamane deski, szczątki roztrzaskanych sprzętów, rozbite naczynia. Czasem zdarzały się cenniejsze znaleziska, przeoczone przez selvenes, takie jak para solidnych skorzanych butów, które pewien chłop przywłaszczył sobie z pomrukiem zadowolenia. Znalazł się i dziennik pokładowy, niestety zbyt zniszczony, by dało się z niego cokolwiek odczytać. Ale dopiero napisy na szczątkach beczek, w których niegdyś znajdowało się bastenskie wino, pozwoliły poznać port przeznaczenia "Dei Gratii": Dubes. Średniej wielkości miasto usytuowane jakieś półtora dnia drogi w dół wybrzeża.**

**Jeszcze tego samego popołudnia Jordan, zgodnie z daną ojcu Inianowi obietnicą, napisał do księcia de Remoussin. Drugi list wysłał do mieszkającego w Dubes znajomego, prosząc go, by dowiedział się wszystkiego, co zdoła, na temat niewielkiego statku o nazwie "Dei Gratia", zmierzającego tam z ładunkiem bastenskiego wina.**

**Nie zamierzał beczynnie czekać na odpowiedź. Na j godzinę przed zachodem słońca zszedł do stajni i kazał osiodłać sobie konia. Odmówił, gdy Peyretou zapytał, czy może z nim jechać. Chłopak niezle strzelał z pistoletów i był do przesady nawet odważny, ale przecież Jordan jechał do Gornego Tarris nie walczyć, a tylko spokojnie porozmawiać i nie chciał brać ze sobą uzbrojonego po zęby narwanego siedemnastolatka.**

**Jordan, który kochał wszystko, co uporządkowane i harmonijne, pomyślał w pierwszej chwili, że w życiu nic słyszał gorszej muzyki.**

**Była chaotyczna, gwałtowna, szarpiąca nerwy. Rozpoznawał dźwięk skrzypiec i fletni, a także podzwanianie blaszanych dzwoneczków, ale pozostałych instrumentów nie znał. Niektóre brzmiały groźnie, jak odzywające się w nieregularnych odstępach głuche dudnienie, które przywodziło na myśl sygnały przesyłane przez prymitywne istoty przyczajone w lesie. Inne brzmiały już tylko zabawnie, jakby ktoś grał na wypełnionych wodą kieliszkach i dmuchał w szklane butelki.**

Po zastanowieniu uznał, że muzyka ta nie była jednak pozbawiona swobodnego dzikiego piękna. Zdawała się pochodzić z pradawnych czasów, gdy ludzie żyli wolni w lasach, czasów, gdy nie istniała jeszcze cywilizacja z jej dyktanem tego, co jest ładne i modne.

Domenic Jordan, który sam był wytworem cywilizacji od czubków eleganckich butów aż po starannie związane na karku włosy, otrząsnął się z zafascynowania i poklepał bok konia, niespokojnie strzygącego uszami.

Siwa klacz stapała ostrożnie środkiem drogi. Po jednej i drugiej stronie ciągnął się szereg wiejskich chałup. Dobiegały z nich śmiechy dzieci i odgłosy zwykłej krzataniny, a od czasu do czasu w oknach pojawiały się zaciekawione twarze, ale na zewnątrz nie było nikogo. Mieszkańcy Górnego Tarris, widząc nadjeżdżającego obcego, chowali się w domach i ryglowali drzwi.

Muzyka płynęła z murowanego kościoła, który stał na końcu wsi. Jordanowi zostało jeszcze jakieś dwadzieścia kroków.

Do księdza, który przyjechał z nimi porozmawiać, strzelali z łuków, przypomniał sobie słowa ojca Iniana.

Miał nadzieję, że tutejsi chłopcy traktują w ten sposób jedynie kapłanów.

Mylił się.

Strzala wyfrunęła z dachu chałupy, która właśnie mijal. Klacz kwiknęła, cofnęła się, uginając jednocześnie tylne nogi. Jordan wysunął stopy ze strzemion, chwycił tkwiące w olstrach przy kulbace pistolety. Zdążył. Zeskoczył z siodła, nim klacz zwałiła się na ziemię. Z jej boku, zagłębiona aż po lotki, wystawała strzala.

Schronił się za rogami przeciwległego domu. Przytulony do ślepej ściany, z nabitymi pistoletami w rękach, czekał na następny ruch łucznika. Ale nie było więcej strzał. Nikt też nie biegł do Jordana, nie próbował go atakować.

I tylko płynąca z wnętrza kościoła muzyka umilkła nagle, przycichły dobiegające z domów śmiechy.

Leżąc na środku drogi klacz nie mogła umrzeć. Rzęła przeraźliwie i wyciągała łeb, rozdymając chrapy, a pod łsniającą, mokra od potu skóra przeżyły się mięśnie. Na jeden krótki moment udało jej się podnieść, stanęła na szeroko rozstawionych nogach, dygocząc i kapiąc z pyska krwawa pianą, potem znowu runęła na ziemię. Jordan podziękował w duchu Bogu, bo sadził, że koni wreszcie padł. Zbyt wcześnie. Klacz poderwała łeb, naprzęła szyję. Przekreciła się do pozycji kłęczącej, ale wstać już nie potrafiła. Oddychała tylko chrapliwie, wciąż napinając mięśnie.

Jordan scisnal w spoconych dloniach rzezbione rekojesci. Mial cztery kule i zbyt malo czasu, by ponownie zaladowac pistolety, gdyby ktos probowal go zaatakowac.

Klacz zarzala raz jeszcze. Jordan wyciagnal reke, wycelowal. W zdenerwowaniu chybil, kula uderzyl w konska szczeka, gruchoczac ja. Klacz przestala rzec, ale wciaz zyla, odlamki kosci sterczaly groteskowo z czegos, co do niedawna bylo pyskiem. Potrzasnela lbem, na moment zwracajac sie w strone Jordana i rozlewajac wokol deszcz szkarlatnych kropel.

Zaklal z rozpacza i wybiegl na droge. Druga kule Wpakowal wprost w oszalale cierpieniem oko.

Podniosl glowe.

Przed nim stal lucznik, chudy wyrostek w przyciasnej koszulinie i przykrotkich spodniach, najwyrazniej odziedziczonych po starszym bracie. W rekach trzymal luk, nalozona na cieciwe strzala skierowana byla w ziemie. Przez moment Jordan zastanawial sie, czy nie poderwac broni, nim tamten wyceluje. Zdazylby to zrobic, byl tego niemal pewien. Ale chlopak nie wygladal zbyt groznie. I nie chcial zabijac – mierzyl do konia, a nie do mezczyzny. Tamta strzala miala raczej ostrzegac, pokazac, kto tu rzadzi.

A i Jordan nie przyjechal tu po to, by walczyć, lecz zeby porozmawiac.

Wolno, spokojnie rozlozyl wiec rece, w ktorych wciaz trzymal pistolety.

Wyrostek powiodl wzrokiem za jedna dlonia mezczyzny, potem za druga. Nie mogli oderwac oczu od lsniacej stali.

Posluchaj – powiedzial lagodnie Jordan. – Niepotrzebnie zabiles mi konia. Chce tylko porozmawiac

Chlopak zamrugal, jakby obudzony ze snu.

Zabierz mu pistolety – zabrzmial za plecami Jordana kobiecy glos. – Nie lubie broni palnej. Szpade mozesz zostawic. Pasuje do niego.

Jordan wreczyl chlopakowi bron. Ubawila go mysl, ze mlody lucznik wyglada na bardziej oszolomionego od niego. On sam zdazyl juz odzyskac spokoj.

Odwrocil sie. Stojaca za nim kobieta skrywala twarz w szerokim kapturze plaszcza.

Chodz ze mna – powiedziala.

Poprowadzila go do murowanego kosciola, tego samego, ktory wedlug slow ojca

**Iniana, selvenes zmienili w tancbude. Za Jordanem zamknely sie ciezkie wrota.**

**Swiatla... Byly tu swiatla, ale jakies dziwne, znajdowaly sie na granicy pola widzenia i umykaly, gdy probowal na nie spojrzec. Kosciol wypelnialy szepty i chichoty, westchnienia, cieplo rozgrzanej tancem skory. Plomienie swiec zapalaly blyski w oczach, wylawialy z mroku jasne jak len wlosy, delikatne usta, zgrabne nosy. Sprobował dojrzec w polmroku choc jedna konkretna osobe, ale wzrok napotykal tylko ciemnosc. Zlote, roziskrzone twarze zdawaly sie byc wszedzie, tylko nie tam, gdzie akurat patrzyl.**

**Zmeczony i zirytowany uniosl glowe. A tam ponad bawiacymi sie selvenes plynal przez ciemnosc rozpiety na krzyzu Zbawiciel. Jordan przypomniał sobie, ze w tej czesci kraju istnial osobliwy zwyczaj wieszania krzyza pod stropem kosciola, poziomo, tak by wierni mogli lepiej go widziec.**

**Umeczony Zbawiciel spogladal w dol. Ktos usposobiony poetycko pomyslalby pewnie, ze jego oczy sa pelne smutku, ale poezja byla ostatnia rzecz, na jaka Jordan mial teraz ochote.**

**Pozwolil przewodniczce poprowadzic sie w strone oltarza. Siedziala na nim drobna figurka. Jordan wzial ja w pierwszej chwili za mala dziewczynke, ale to nie bylo dziecko, a kobieta, skurczona ze starosci. Miala co najmniej sto lat. Moze nawet sto pietnascie.**

**Ursanna de Veysse? – powiedzial niepewnie. Staruszka zachichotala.**

**Sanna. Przywyklam do takiego miana.**

**Jordan wiedzial, ze sytuacja juz dawno wymknela mu sie spod kontroli, a tego nie lubil. Mimo to zachowal uprzejmy wyraz twarzy i dobre maniere.**

**Przyjechalem tu, by z wami porozmawiac – powiedzial. – Bede wdzieczny, jesli znajdzie sie ktos, kto zechce odpowiedziec na moje pytanie.**

**Przyjechal, zeby porozmawiac – zaszemral glos za jego plecami.**

**To bardzo glupie,.. – Glos z prawej. – Mozemy go zabic.**

**Ale odwazne – tym razem glos z lewej, nieco z tylu.**

**Dlaczego mielibyscie mnie zabijac? – Jordan mowil w przestrzen, do nikogo konkretnego. Ursanna de Veysse, wciaz chichoczaca leciutko, nie wydawala mu sie stosowna partnerka do rozmowy. – Nie stanowicie dla was zadnego zagrozenia.**

**U ludzi najbardziej lubie ich logike – zasmial sie ktos.**

**Ursanna de Veysse zdawała się nie zwracać żadnej uwagi na jego słowa.**

**Zdejmijcie mnie – zazała kapryśnie.**

**Natychmiast z mroku wynurzyły się dwie silne ręce, złapały ją pod ramiona i postawiły na ziemi.**

**Chodź. Pokażę ci coś.**

**Poprowadziła go w bok, w stronę prawej nawy. Zniecierpliwiony Jordan był coraz bliższy wybuchu.**

**Kobieta przystanęła i wykonała coś, co od biedy mogłoby ujść za taneczny plas.**

**Tu leży mój brat Felix – oznajmiła. – A tu Guibert. I Ramon. A tu – już nie pamiętam, może kilka kroków dalej? – leży mój ukochany najmłodszy braciszek Rafael. Widzisz? Tancze na grobach moich najbliższych. To takie przyjemne!**

**Cierpliwość Jordana skończyła się w tym momencie. Odwrócił się, błyskawicznym ruchem wyciągnął na chybił trafił rękę. Coś pisnęło w mroku i jego palce zwarły się na kawałku delikatnego materiału. Przesunął chwyt, obejmował teraz dłonią szczupłe kobiece ramie.**

**Dona Ursanna nie jest zbyt interesująca rozmówczynią. – Nie podniósł głosu, ale jego palce zaciskały się coraz silniej. Kobieta, która trzymał, wydała zduszony okrzyk. – Chciałbym porozmawiać z kims, kto ma nie coś jaśniejszy umysł.**

**O czym chcesz pan rozmawiać?**

**Jeszcze przed chwilą przysięgłby, że w kościele jest co najmniej trzydziestu osób, teraz zorientował się, że otaczająca go grupka liczy tylko piętnastoro selvenes, a ściślej biorąc: siedmioro czystej krwi selvenes i osmioro mieszanców.**

**O "Dei Gratii"**

**Niewiele tam było rzeczy, które warto ukręcić – zasmiała się jedna z kobiet, ta sama, która go tu przyprowadziła. Odrzuciła kaptur, odsłaniając jasne włosy**

**i połyskujące w uszach kolczyki z różowych pereł. – Ale zabrałam sobie te kolczyki. Poprzedniej właścicielce nie były już potrzebne.**

**Ograbiamy podróżnych – powiedział mężczyzna siedzący u stóp ołtarza naprzeciw Jordana. W jego bladej twarzy zwracały uwagę wielkie zielone oczy. –**

**Czasem także ich zabijamy, jeśli nie są wystarczająco uprzejmi, by wcześniej utonąć. Potępią nas pan, prawda? – Patrzył wyzywająco, z kpiącym uśmiechem.**

Oczywiście, że tak – odparł chłodno Jordan. – Ale nie przyjechałem tu, by wygłaszać kazania. Chcę tylko zadać wam jedno pytanie. Moje potępienie nie ma z tym nic wspólnego.

Zielonooki wyglądał na rozczarowanego. Skinal przyzwalająco głową.

Jordan opowiedział im, co odkrył, badając wylowione z wody ciała. Słuchali w milczeniu, a on nic nie potrafił wyczytać z ich twarzy.

Zastanawiałem się – powiedział na koniec – czy wśród rzeczy, które zabraliscie ze statku, nie było czegoś, co pozwoliłoby rozwiązać te zagadki. Mogłoby to

być coś... bo ja wiem, dziwnego, nietypowego. Coś, czego nie spodziewalibyscie się tam zastać.

Zielonooki pokręcił głową. Kpina zniknęła z jego oczu.

Nic takiego nie znaleźliśmy.

W tym momencie rozesmiała się stojąca na uboczu kobieta. Jej włosy w przeciwieństwie do większości selvenes miały kasztanowy, nie złoty kolor.

Ale przecież możemy dać ci, panie, coś znacznie lepszego. Nie wszyscy pasażerowie "Dei Gratii" zgineli, jednego z nich znaleźliśmy, gdy unosił się na wodzie. Był taki słiczny i bezbronny, że nie mieliśmy serca go dobić. Jest teraz w zamku i powoli wraca do zdrowia.

Jordan powiodł wzrokiem po otaczających go usmiechniętych twarzach. Zartowali sobie z niego? Może i tak, choć w przypadku selvenes wszystko wydawało się prawdopodobne. Może faktycznie postanowili ocalić jednego z pasażerów tylko dlatego, że był słiczny i bezbronny?

A jeśli tak, to musiał ich koniecznie przekonać, by pozwolili mu z tym człowiekiem – chłopcem? – porozmawiać.

Nie zdążył jednak nic powiedzieć. Wąskie witrażowe okno rozprysło się nagle; na posadzkę u stóp Jordana spadł kamień.

Selvenes krzyknęli i cofnęli się.

Mordercy! – wrzasnął ktoś na zewnątrz kościoła. – Rabusie!

Poparł go zgodny chór głosów. Drugi kamień wleciał do środka przez wybite okno, trzeci stłukł następną szybę. Selvenes cofali się coraz bardziej w stronę przeciwległej ściany, oszłomieni, bezradni, patrząc, jak kolejne szyby wzdłuż prawej nawy sypia

się w odłamki. Jordan odsunął się również, ale stanął za ołtarzem, z dala od jakichkolwiek okien. Postąpił rozsądnie, bo w tym momencie pękła pierwsza szyba po lewej stronie i kolorowe szkło posypało się na głowy stojących tam selvenes.

Kasztanowłosa kobieta wrzasnęła i rzuciła się w stronę wyjścia. Pozostali ruszyli za nią. Mocowali się przez chwilę z szerokimi wrotami, ale te, podparte czymś z zewnątrz, nie chciały ustąpić.

Jest drugie wyjście! – krzyknęła kasztanowłosa, biegnąc w stronę bocznych, znacznie węższych drzwi.

Nie! Tamci tylko na to czekają! – Jordan spróbował zagrozić jej drogę, ale wyminęła go zwinnie. Dopadł ją tuż przy drzwiach, złapał za włosy i pociągnął

w tył. Za późno, już trzymała rękę na klamce, drzwi otworzyły się.

Kula, która przeszła jej głowę, mało nie urwała mu palców. Puścił włosy i kobieta osunęła się na ziemię. Ktoś napierał na drzwi, próbował je zamknąć, nie zważając na leżące w progu ciało. Jordan odepchnął go, otworzył drzwi szerzej i pochylił się. Następna kula przeleciała mu niebezpiecznie blisko twarzy, poczuł na policzku powiew gorącego powietrza. –

Przesunął ciało, ktoś zatrzasnął drzwi. Jordan wyprostował się.

Chodźmy na dzwonnice – zaproponował zielonooki. Jego twarz była zacięta, zdecydowana. Nie wyglądał już na oszłomionego ani bezradnego. Wskazał stojące pod ścianą długie luki. – Możemy przecież strzelać do nich z góry.

Pozostali entuzjastycznym pomrukiem wyrazili zgodę. Zielonooki wziął na plecy małą Ursanne de Veysse i selvenes idąc gęsiego, zniknęli w drzwiach prowadzących na kościelną wieżę. Jordan usłyszał zgrzyt przekrecanego w zamku klucza.

Został sam, jeśli nie liczyć martwej kobiety. Z zewnątrz wciąż dochodziły krzyki, nieco cichsze teraz i pełne bezradnej złości.

Odciągnął ciało dalej i stanął przy wejściu. Ostrożnie nacisnął klamkę, pchnął drzwi, uskakując jednocześnie w bok. Czekal. Trwało dłuższą chwilę, nim jego uszu dobiegł stłumiony oddech i w progu stanął barczysty chłop. Wolno, niepewnie postąpił krok w głąb kościoła.

Jordan chwycił go za ramię, druga ręka bez większego trudu wrywając mu z dłoni starą rusznicę. Chłop otworzył usta.

Poznajesz mnie? – zapytał Jordan. Przezornie stanął tak, by światło świec padało

**na jego twarz. – Wczoraj pomogalem twoim kompanom, pamietasz?**

**Tamten skinal glowa i wyrzucil z siebie kilka pospiesznych slow. Jordan uznal, ze chlop pyta go, skad sie tutaj wzial.**

**Pozniej. Teraz chcialbym stad wyjsc. Wroc do swoich i powiedz, zeby nie strzelali, gdy stane w drzwiach, dobrze? – staral sie mowic wolno, bardzo wyraznie.**

**Chlop ponownie skinal glowa. Zrozumial, dzieki Bogu. Mieszkancy Dolnego Tarris musieli jakos dogadywac sie z przebywajacymi w Sol Ceri kuracjuszami i najprawdopodobniej ten wiesniak rozumial Jordana o niebo lepiej niz Jordan jego.**

**Ponad coraz bardziej chrypliwe i zniechecone krzyki wzbil sie nagle wrzask, w ktorym dzwieczala rozniecona na nowo wscieklosc. Jordan zrozumial, co sie stalo.**

**Strzelaja do was z dzwonnicy – powiedzial. – A podejrzewam, ze w mroku widza znacznie lepiej niz wy. Wracajcie do domu.**

**Domenic Jordan ostroznie zblizyl pioro do papieru i jednym precyzyjnym ruchem wykreslil biegnacy od kosci ramiennej miesien.**

**Rysowal wilkolaka, ktorego zabil zeszlego lata. Zabil i rozcial jego cialo, by zobaczyc, jak pracuja miesnie. Teraz porownywal notatki, probujac stworzyc z nich spojny obraz organizmu, ktoremu magia nadala niezwykla moc. Ale w jego rysunku magii nie bylo. Lezal przed nim schematyczny obraz martwego ciala, obdartego ze skory i z odslonietymi miesniami. Zwyczajne zwloki, jakich Jordan widzial juz dziesiatki.**

**Podniosl glowe. Zblizala sie pora kolacji i jak zawsze o tej godzinie Sol Ceri wypelnila sie tupotem nog i glosami sluzby biegajacej tam i z powrotem.**

**Ktos zapukal cicho i po chwili, nie czekajac na zaproszenie, do pokoju wsunela sie Andrea z nieodlaczonym szkicownikiem pod pacha.**

**Straszny tam gwar – powiedziala. – Czy moglabym tu przez chwile posiedziec?**

**Skinal glowa i wrocil do pracy Andrea lubila od czasu do czasu przychodzic do jego pokoju. Jordan nie zadawal zadnych pytan, nie probowal nawiazywac rozmowy, a Andrea wydawala sie byc zadowolona z tej namiastki samotnosc, jaka dawalo jej milczenie mezczyzny. Zazwyczaj poprawiala cos w szkicowniku lub po prostu przegladala rysunki, a Jordan zajmowal sie swoimi sprawami.**

**Tym razem bylo inaczej.**

**Andrea polozyla szkicownik na kolanach i wbila wzrok w plecy pochylonego nad**



biurkiem Jordana.

Ta dziewczyna, o której pan wczoraj mówił – powiedziała. – Ta podobna do mnie, która wierzyła w anioły.

Dorysował jeszcze jeden miesiąc i spojrzał na Andree. – Tak?

Co się z nią stało?

A co miałyby się stać?

Andrea zmarszczyła brwi. Wydawała się zagubiona i zmieszana. I przejeta, a to było do niej niepodobne.

Pytam, bo wtedy, nad morzem, mówił pan o niej jakby... umarła.

Jordan spojrzał na leżącą na biurku kartkę. Tuż obok głowy wilkolaka widniał sporych rozmiarów kleks. Odłożył ostrożnie ciekące pióro, z pedantyczną dokładnością kładąc je tak, by nie zaszkodziło więcej żadnym papierom. Siegnął po bibulę, starannie osuszył plamę. Położył kartkę na pozostałe i wyrównał brzegi stosu.

Spojrzał na dziewczynę.

Oczywiście, że nie umarła.

Andrea nie wyglądała na przekonaną. Nic dziwnego, pomyślał Jordan. Sam sobie bym nie uwierzył.

Drzwi otworzyły się, w progu stała dona Margalida. Odnalazła wzrokiem Andree i skrzywiła się.

Zaczekaj w naszym pokoju. Chce zamienić z tobą parę słów.

Gdy dziewczyna wyszła, zwróciła się do Jordana.

Coż pan sobie wyobraża, spotykając się z moją siostrzenicą w takim miejscu? Czy w panu nie ma odrobiny przyzwoitości?

Dobrze – odparł uprzejmie Jordan – znajdzie inne miejsce na nasze spotkania. Ten pokój faktycznie nie wygląda najlepiej.

Dona Margalida poczerwieniała z oburzenia.

Miałam na myśli... Tak samo na sam, to nie wypada... – urwała.

Domenico Jordan budził w niej... nie, nie lek, to byłoby za dużo powiedziane, ale coś

w rodzaju niepokoju. Przez całe życie obracała się w środowisku spokojnych mieszczan i jak dotąd nie znalazła nikogo podobnego do tego bladego, zawsze ubranego w czerni mężczyzny.

Czy i dzisiaj rano towarzyszył pan mojej siostrzenicy? – zapytała. Miało to zabrzmieć obcesowo, a okazało się bardzo grzeczne.

Jordan milczał. Zeszłej nocy nie spał w ogóle, dzisiaj więc obudził się dopiero koło jedenastej i rankiem z pewnością nikt mu nie towarzyszył. Ale nie zamierzał tłumaczyć się przed tą kobietą.

Straciłam ją z oczu na całe trzy godziny – wymruczała dona Margalida usprawiedliwiająco. – Ostatnio ciągle gdzieś znika. Mówi, że spaceruje nad morzem.

Ojca Iniana obudził szelest.

Wsparł się na lokciu, wzrokiem usiłując przebić ciemność. Szelest powtórzył się, tym razem wyraźniejszy. Ojciec Inian rozpoznał w nim cichy odgłos skradających się kroków. Sięgnął po pistolet, który leżał na stoliku przy łóżku. Chłód metalu jak zawsze uspokoił go, pozwolił poczuć się pewnie.

Wstał ostrożnie. Jedyne jasnym punktem w pokoju był prostokąt okna i właśnie tam skierował się ksiądz. Wyjrzał na zewnątrz.

Wokół domu kreciła się jakaś postać. Chodziła tam i z powrotem, przykucając co jakiś czas i drapiąc w mur, jak zwierze szukające drogi ucieczki. Ojciec Inian odemknął haczyk i otworzył okno. Nieznajomy stał teraz w świetle księżyca, odwrócony tyłem do księdza. Kapłan widział wyraźnie jego chuda, chłopięca sylwetkę i rozczochrana czuprynę.

Wychylił się przez okno, wyciągając rękę z pistoletem.

Nie ruszaj się! – wrzasnął. – Mam broń!

Chłopak pusczył się biegiem przez podworko. Ksiądz nacisnął spust. Kula siegnęła celu i intruz upadł z cichym okrzykiem.

Proboszcz pośpiesznie zapalił latarnię i wybiegł na zewnątrz. Na ziemi leżał chudy wyrostek w przyciasnej koszuli. Miał strzaskane ramie i był nieprzytomny. Ksiądz przerzucił sobie bezwładne ciało przez plecy i – na przemian jęcząc "biedne dziecko" i przeklinając po żołniersku – zaniósł chłopca na plebanie.

Kapitan Audert, parskając i rozchlapując wokół wody, mył się pod stojącą na podworku pompą. Wokół kreciło się trzydziestu żołnierzy z jego oddziału. Wynosili na zewnątrz wszystkie stoły i krzesła, jakie udało im się znaleźć na plebanii. Co jakiś

czas na podworku pojawiali się miejscowi chłopcy, a żaden z nich nie przychodził z pustymi rękami. Przynosili bochenki chleba, masło, sery, miski z okraszoną słoniną kasza i dzbany piwa, czasem też kawaly pieczonego prosięcia czy smażone morskie ryby. Na stołach piętrzył się stos potraw zdolny zaspokoić apetyty dwa razy większej ilości osób.

Wygląda na to, pomyślał kapitan Audert, że na tym cholernym zadupiu przynajmniej dają dobrze jeść.

Zauważył przy tym, że część z tych, którzy przynieśli poczęstunek, wcale nie zamierza odejść. Skupili się przy płocie w gromadkę, tkwiąc tam z typowo chłopskim uporem i cierpliwością.

Parsknął i ponownie wsadził głowę pod strumień płynącej z pompy wody.

Zamierzasz pan zaatakować zamek? – powiedział ktoś tuż nad jego uchem.

Przetarł chustką twarz. Obok stał młody, ubrany w czerni mężczyzna.

Aha – potwierdził Audert,

Kiedy?

Dzisiaj w nocy. Lepiej to zrobić, zanim tamci się dowiedzą, że tu jesteśmy. No i chcę szybko wrócić do domu. Do dzieci i ciepłego wyrka żony. Nie mam zamiaru utkwąć w tym... eee, Tarres, Tarris czy jak tam zwa te wiochy.

Audert schował chustkę do kieszeni i z trudem dopisał kurtkę munduru na potężnym brzuszku. Miał krótko ścięte, przetykane siwizną włosy, mokre teraz i nastroszone, oraz czerwoną twarz tłuszczoła.

Nie wiem, czy to rozsądny pomysł – powiedział ten czarny, który przedstawił się jako Domenic Jordan.

E tam. – Kapitan wzruszył ramionami. – Poszczęściło się nam w tym waszym... Tarros? Tarres?

Tarris. To prosta nazwa. Jeśli bardzo się pan postarasz, na pewno zdołasz ją zapamiętać.

Audert lypnął na Jordana z niechęcią.

W każdym bądź razie – podjął – tutejszy proboszcz, w gorącej wodzie kapany klecha, ustrzelił w nocy dzieciaka. Nie wiem po cholere, szczerze mówiąc. Tak czy siak, dzieciak oprzytomniał dzisiaj koło południa i okazał się potulny jak baranek. On

**jest od nich,**

**pojmujesz pan? Sluzy w zamku. Nie trwalo pol godziny, jak zesmy go namowili, zeby nam pomogl. Ojczulek zmienia mu wlasnie opatrunek, a pozniej dzieciak wroci do tamtych, na zamek. Powie, ze uciekl ojczulkowi. A dzis w nocy otworzy nam brame.**

**Oczywiscie nie za darmo?**

**Nie tak, jak pan myslisz. – Kapitan zachichotal, az zatrzesly sie jego tluste policzki. – Dzieciak zostal zdrajca za pare fikusnych pistoletow. Ponoc swisnal je jakie**

**mus biedakowi, tak przynajmniej zrozumialem, a selvenes bez litosci zabrali mu zabawki. Tak wiec zawarlismy umowe: my podrzynamy gardla selvenes, a znalezione**

**pistolety zostaja wlasnoscia... eee, zapomnialem, jak mu tam bylo. Rozumiesz pan? Prosta sprawa.**

**Nie bardzo – zaprotestowal Jordan. – Pistolety sa moje i chce je odzyskac.**

**Kapitan Audert przez chwile spogladal na niego Z uwaga.**

**Zmyslasz pan – zawyrokowal w koncu.**

**Dwustrzalowe, lufy opravione w loza z drewna orzechowego, nabijane srebrnymi i zlotymi maswerkami, rzezbione zamki i okucia – powiedzial cierpliwie Jordan.**

**Audert przeczesal dlonia mokre wlosy, burzac je jeszcze bardziej.**

**Dzieciak mowil cos podobnego – przyznal z niechecia. – Uparles sie, czlowieku, zeby utrudnic mi zycie? Co ja panu zrobilem? Ja tylko wykonuje swoje obowiazki, nie? No nie patrz pan na mnie takim wzrokiem, bo mi sie wszystko w srodku przewraca. Dostaniesz pan swoje pistolety. Znajde dzieciakowi inne.**

**Panie Jordan?**

**Ojciec Inian dogonil go, odprowadzil pare krokow, by oddalic sie od wciaz krecacych sie po podworku zolnierzy i chlopow, ktorzy wlasnie probowali zawrzec znajomosc.**

**Ten chlopiec, ktorego zranilem – przez twarz ksiedza przemknal wyraz bolu, ale nadal patrzyl Jordanowi w oczy, nie odwracajac wzroku – wyznal wlasnie, ze**

**przyszedl tu podrzucic mi smiercionosny urok. Z rozkazu tych przekletych selvenes oczywiscie, niech ich pieklo pochlonie. Zgubil ten urok gdzies kolo domu. Szukalem go, ale nie znalazlem. Wiesz pan cos o tym?**

**To byl taki specyficzny urok, prawda? Maly skorzany mieszek pelen sproszkowanych ziol, kosci i spalonych kart z zakleciem. Zgadza sie?**

**Cos pan z nim zrobil?**

**Spalilem u ojca w kominku.**

**Czys pan oszalal?! – wybuchnal ojciec Inian. – Wiesz pan, co zrobiles?! Sciagnales przeklenstwo na moj dom, teraz bede musial...**

**Niechze ojciec sie uspokoji. Spalilem ten urok na zewnatrz, nad biezaca woda. Nikomu nic sie nie stanie. Trosze o wybaczenie, nie wiedzialem, ze ojciec az tak sie zdenerwuje.**

**Ksiadz oddychal przez chwile ciezko, starajac sie odzyskac spokoj. Z trudem udalo mu sie opanowac. Polom odwrocil sie, spojrzal na zolnierzy i chlopow, ktorzy tworzyli juz jedna grupe.**

**Przylaczysz sie pan do nas, prawda? – zapytal. – Wielu ludzi z wioski sie przylaczylo. Kapitan Audert powiedzial, ze nie ma nic przeciwko, bylebysmy mieli jakas wlasna bron.**

**My? Ksiadz wybiera sie z nimi?**

**Czemu nie? – warknal swoim zwyklym nieprzyjemnym tonem. – A pan?**

**Ja zostaje.**

**Oblecial pana tchorz? Nosisz pan te szpade u boku tylko po to, zeby ladnie wygladac? Myslalem...**

**Moze ojciec sobie darowac reszte. I tak nie pojade. Ale mam do ojca prosbe.**

**Ksiadz poprawil pas z bronia, ktory nosil na biodrach, obciagnal sutanne, tak by guziki ukladaly sie prosto, w jednej linii. Dokladnie tym samym gestem zolnierze sprawdzali, czy ich mundury dobrze leza.**

**Nie przywyklem do czestego spelniania prosb.**

**A ja nie przywyklem do tego, by czesto prosic. Moze wiec uda nam sie porozumiec. Tam, w zamku, powinien byc ktos z "Dei Gratii". Mlody chlopak, prawdopodobnie. Mlody i ladny. Nie zabijcie go przez przypadek razem z reszta, dobrze? Chcialbym z nim porozmawiac.**

Do zamku musieli wejść polnocna brama, bo droga do południowej, częściej używanej, wiodła przez Górne Tarris. Nie będzie żadnych kłopotów, zapewnił ojciec Inian, który przy milczącej zgodzie Auderta objął funkcję zastępcy kapitana. Tam nawet nie ma straży, wszyscy zawsze wierzyli, że obronia ich grube mury, magia i psy, które noca biegają po dziedzincu. Jako ochronę przed magią żołnierze i miejscowi nosili poświęcone medaliki z wizerunkiem św. Imberta. Ochrona przed psami... coż, z pewnością wystarcza kule z muszkietów.

Wszystko pójdzie gładko, powiedział więc ojciec Inian i szczerze w to wierzył. Teraz, jadąc wśród żołnierzy przez rzadki las, czuł się jak za dawnych dobrych dni. Nie potrzebowali latarni, księżyc świecił wystarczająco jasno. W jego blasku smukłe pnie młodych sosn miały srebrny kolor.

Ksiądz dotknął rekojesci pistoletu, ciesząc serce jej chłodem i gładkością. Potem obejrzał się. Gdzieś na końcu milczącego oddziału znajdował się ten arystokratyczny medyk ze stolicy i jego młody sługa. Ojciec Inian nie miał pojęcia, dlaczego Domenic Jordan w ostatniej chwili postanowił się do nich przyłączyć. Zapytał, ale ten lakonicznie odparł: "Zaszły pewne nowe okoliczności" i więcej nie odezwał się ani słowem.

Konie zostawili w zagajniku pod opieką jednego z chłopów. Potem cicho i ostrożnie wślizgnęli się na dziedziniec przez otwartą polnocną bramę. Zamek był niewielki, przysadzisty, zbudowany najwyraźniej w czasach, gdy bardziej dbano o wartości obronne niż o estetykę. Jordan rozejrzał się, rejestrując grube i wysokie mury, przytulone do nich warsztaty, a w końcu wznoszący się pośrodku donżon i stojąca niedaleko wieża kuchenna. Wszystko to, oświetlane światłem księżyca w pełni, miało błędosrebrny kolor, taki sam jak sosny, które niedawno mijali. Ale tam, w zagajniku, barwa ta wydawała się piękna. Tutaj kojarzyła się tylko z chłodem zimy, z opuszczeniem i samotnością. I śmiercią. Może przede wszystkim ze śmiercią.

Jordan wciągnął w płuca powietrze, mając wrażenie, że razem z nim wdycha panująca w zamku groza. Wztał w dłoń pożyczony od ojca Iniana pistolet, ale w przeciwieństwie do księdza jemu chłód metalu nie przyniósł ulgi.

Mam dziwne przeczucie, że coś tu jest nie w porządku – wymruczał ktoś nad jego uchem.

Jordan też sądził, że coś tu jest nie w porządku, ale nie potrzebował do tego żadnych przeczuc.

Nigdy, na Boga, nigdy nie zdarza się, by – nawet w środku nocy – w tak dużym budynku panowała całkowita cisza. Zawsze znajdzie się ktoś, komu zbierze się na nocny spacer, ktoś, kto pod osłoną ciemności oblapia w kacie dziedzinca sługę, ktoś, czyje chrapanie słychać przez uchylone okno.

Tymczasem na zamkowym dziedzińcu slychac bylo tylko niespokojne oddechy zolnierzy i chlopow. I lopot szmaty zawieszona w drzwiach jednego z warsztatow. Nic wiecej.

Ktos samowolnie skrzestal ogien i zapalil pochodnie. W jego slady poszli inni. Ciepłe swiatla rozproszyly nieco upiorny blask. Ludzie poczuli sie pewniej. Spogladali teraz wyzywajaco, gotowi do ataku. Chcieli walczyć, zmierzyc sie z przeciwnikiem z krwi i kosci.

Wiatr szarpnal mocniej zawieszona w drzwiach szmata, jezyki ognia w pochodniach pochylily sie w prawo. Kapitan Audert postapil kilka krokow i zatrzymal sie w pol drogi do donzonu. Wahal sie, probujac znalezc w sobie odwage, by isc dalej.

W tym momencie spoza kregu ciepłego swiatla pochodni wypadl jakis ksztalt, zwinny, wielki jak mlode ciele, ciemniejszy jeszcze od mroku. Bestia skoczyla kapitanowi do gardla, mezczyzna zdazyl tylko wydac cichy, zaraz zduszony krzyk i upadl na ziemie. Nim ktokolwiek zdazyl zareagowac, rozlegl sie strzal, bestia zaskowyczala i cofnela sie. Jordan dobil ranne zwierz strzałem w leb. Wszystko to rozegralo sie blyskawicznie, w ciszy, ktora przerwaly tylko krzyk czlowieka, skowyt i odglosy strzalow. Teraz cisza pekla ostatecznie. Ludzie przekrzykiwali sie wzajemnie – ci, ktorzy stali z tylu, pytali co sie stalo, ci, ktorzy wszystko widzieli, probowali tłumaczyc. Jordan kleczal nad Audertem otoczony przez ciasny kordon mezczyzn, iskry z pochodni spadaly mu na wlosy, ciepło ognia, gdy zolnierze pochylali sie by spojrzec na rane kapitana, parzylo skore.

Audert umieral. W rytm uderzen serca z rozdartego gardla wyplywala krew. Jordan probowal uciskiem na tetnice zatrzymac krwotok, z gory jednak wiedzial, ze sprawa jest przegrana. Rana byla zbyt duza, kapitan bladl z kazda chwila, probowal jeszcze cos mowic, ale jego oczy patrzyly coraz mniej przytomnie. W koncu krwotok ustal.

Jordan podniosl sie. Dlonie wytarl w chusteczke, od razu, poki krew nie zdazyla zaschnac. Przepchnal sie przez tłum zolnierzy. Peyretou chwycil go za lokiec.

Nie zyje?

Jordan skinal glowa. Chlopak wygladal na rozczarowanego.

To ja strzelalem – wyjasnil. – Myslalem, ze uratowalem mu zycie.

Strzelajac z takiej odleglosci, w mroku, rownie dobrze mogles trafic zwierz, jak i czlowieka. Jestes bardzo szybki, to dobrze, ale wolalbym, abys na przyszlosc

pomyslal troche, zanim zrobisz cos takiego.

Ja...

Wiem, że chciales dobrze – przerwał mu Jordan. – Ale to przypadek, nie twoje umiejętności, zdecydował, że nie zostales morderca. Biore cie ze soba takze po to, bys mnie chronil, a nie chcialbym ktoregos dnia skonczyc z kula własnego sluzacego w plecach.

Przepraszam.

Jordan nie zwracal juz uwagi na slowa Peyretou.

Pod prowadzaca do donzonu brama lezalo cialo.

Sluzacy zauwazyl je rowniez i chcac jak najszybciej odwrocic uwage od własnej osoby, pobiegl naprzod. Pochylil sie i cofnal zaraz, nastepujac na stope stojacego za nim mezczyzny. Zachwial sie. Jordan podtrzymal go.

Czego cie uczylem? – zapytal lagodnie.

Ze umarlych nie trzeba sie bac – wyszeptal Peyretou. – I ja sie nie boje, ale tu wszystko jest takie...

Jordan skinal glowa, palcami, na ktorych wciaz jeszcze mial krew, zamknal oczy zmarlemu. Drgnal lekko. Z glebi donzonu dobieglo nagle przeciągle wycie, glos, jaki moglaby wydac z siebie najbardziej samotna i przerazona istota na ziemi. Jordan nasluchiwal przez chwile. Rozpoznal ten glos, ale nie mogl, nie chcial myslec o tym, co w nim uslyszal. Za nim na dziedzincu znow rozlegly sie strzaly. Nie odwrocil sie, ale z krzykow zolnierzy zrozumial, ze pojawily sie nastepne psy. Pchnal jedno ze skrzydel bramy i wszedl do donzonu. Peyretou po chwili wahania ruszyl za nim.

Jordan wspinal sie po wylozonych zloto-czerwonym dywanem schodach, prowadzony dobiegajacym z gory glosem. Blask pochodni, ktora niosl Peyretou, odbijal sie krwawo w kamiennych scianach korytarza.

Drugie cialo lezalo na podescie z rozpostartymi ramionami i glowa skierowana w dol. Jordan rozpoznal zielonookiego, najwyrazniej smierc spotkala go, gdy w panice usilowal wybiec na zewnatrz. Przeszedl obok, tym razem nawet nie zamykajac zmarlemu oczu. Peyretou wahal sie chwile, w koncu, dzwoniac zebami, poszedl za pracodawca.

Kolejne lezalo nieco wyzej, w poprzek stopni. Nastepne trzy tuz obok, jedno na drugim, tworzac splatane klebowisko rak i nog. Peyretou zajeczal.

Panie...

Zawroc, jesli chcesz. Prawde powiedziawszy, nie sadze, bys mi sie na cos przydal.



**Czy ten... ktos, kto ich zabil, wciaz tu jest?**

**Mysle, ze tak – odparl Jordan. – I nie wiem, czy to ktos. Moze raczej cos. Idziesz dalej?**

**Pochodnia drzala w reku Peyretou, ale chlopak dzielnie skinal glowa.**

**Jestesmy juz niedaleko – powiedzial Jordan.**

**I rzeczywiscie, to przerazajace wycie, ktore wciaz slyszeli, dobiegalo teraz z calkiem bliska. Nagle glos zalamal sie, przeszedl w urywany, chrapliwy skowyt. A potem znow w krzyk, monotonny, dlugi, bolesny. Peyretou zadygotal, bo uswiadomil sobie to, o czym juz od dawna wiedzial Jordan.**

**To krzyczal czlowiek, nie zwierz.**

**Musieli mocno przycisnac sie do sciany, by ominac lezacych na schodach selvenes. Jordan stanal na podescie drugiego pietra i rozejrzal sie. Glos dobiegal z jednego z ciagnacych sie wzdluz korytarza pokoi, tego najblizszego, tuz z lewej.**

**Jordan nacisnal klamke, a gdy drzwi nie ustapily, przekrecil klucz. Peyretou z pochodnia w rece stanal w progu, ale dalej juz nie wszedl. Nie mogl ruszyc sie z miejsca. Nie musial. Dwa zrodla swiatla – wpadajacy przez okno blask ksiezycy i plonaca pochodnia – sprawialy, ze bez trudu mozna bylo dostrzec to, co znajdowalo sie w pokoju.**

**W wielkich, martwych oczach zapalaly sie iskry -to srebrne, ksiezycowe, to znow cieple, zlotoczerwone. Wtem jedna pare oczu przeslonily opadajace powieki. Na Peyretou spoczal wzrok, w ktorym nie bylo juz sladu czlowieczentwa. Chlopak wrzasnal i cofnal sie. Jordan wszedl do srodka.**

**Andrea?**

**Przez glowe Peyretou przelecialo wspomnienie. Oto dzisiejszego popoludnia dona Margalida skarzy sie, ze jej siostrzenica znow gdzie zniknela. "Czy nie wie pani, dokad poszla?" – pyta jeden ze starszych kuracjuszy. Dona Margalida potrzasa glowa. "Powiedziala, ze wrozki zaprosily ja do siebie. Ale to byl zart, oczywiscie. Myslalam, ze po prostu idzie pospacerowac nad morzem".**

**Peyretou smial sie wtedy z tych wrozek. Teraz ta chwila i ten beztroski smiech wydawaly sie odlegle o cale stulecia.**

**Jordan zblizyl sie do dziewczyny, ktora kleczala na podlodze, nadal dlawiac sie krzykiem.**

**Zabiore cie stad – powiedzial lagodnie.**

**Chyba nawet nie zrozumiala. Szalenstwo – to bylo dokladnie to slowo, o ktorym bal sie myslec od chwili, gdy uslyszal jej glos.**

**Sprobowal ja podniesc i w tym momencie szczeki dziewczyny zacisnely sie na jego dloni. Mocne zebry przebily skore, zaczely szarpac i rozrywac cialo. Jordan krzyknal, wolna reka siegnal jej gardla. Rozwarla szczeki dopiero wtedy, gdy – zupełnie tak, jak postapilby z psem – na moment pozbawil ja tchu. Andrea odzyskala oddech, krzyknela raz jeszcze i – jedyna dobra rzecz tej upiornej nocy – zemdlala.**

**Jordan podniosl lezacy na ziemi szkicownik i zabral sluzacemu pochodnie, a Peyretou juz bez trudu wzial nieprzytomna na rece.**

**Co tu sie dzieje? – wypytywal ojciec Inian. – I co sie panu stalo w reke? Ugryzl pana pies?**

**Nie pies. Dziewczyna. To nie zart – zapewnil pospiesznie Jordan, zanim ksiadz otworzyl usta. – Ojczy, musimy wszyscy jak najszybciej opuscic ten zamek. – Rozejrzal sie. Zolnierze i chlopi nabrali juz odwagi i krecili sie teraz po dziedzincu, probujac zagladac do warsztatow i piwnic. Czesc poszla w strone pomieszczen gospodarczych, a calkiem spora grupka zmierzala wlasnie do donzonu. – Niech ojciec na nich wrzasnie,**

**kaze im sie stad wynosic.**

**Sam pan to zrob. Chyba ze wrzeszczenie jest ponizej pana godnosci – parsknal ksiadz.**

**Jordan pokrecil glowa.**

**Ojca szybciej posluchaja. Przeciez ojciec byl kiedys zolnierzem, prawda?**

**Ksiadz przytaknal.**

**Ciala powinniśmy wziac ze soba, chcialbym sie im przyjrzec. Ale prosze powiedziec zolnierzom, by nie wazyli sie brac nic innego. Cos, co jest na tym zamku, a co wczesniej znajdowalo sie na "Dei Gratii", zabilo juz osmioro ludzi.**

**Swieze powietrze moze byc bardzo skutecznym lekarstwem, prawda? – zapytala dona Margalida.**

**Z pewnoscia jej nie zaszkodzi – odparl Jordan. Druga czesc tego zdania, ktora brzmiala: "...ani nie pomoze", litosciwie przemilczal.**

**Dona Margalida wyprowadzila siostrzenice na zewnatrz. Andrea poslusznie dreptala u jej boku ze wzrokiem wbitym w ziemie i schowana w ramionach glowa.**

**Jordan po chwili wahania wstal i poszedl za nimi.**

**To byl pierwszy prawdziwie cieply dzien tej wiosny. Slonce grzalo mocno, blekitna tafla wody byla gladka jak lustro. Andrea siedziala na przybrzeznej skale, tej samej, na ktorej niedawno rysowala krajobraz. Teraz jej rece spoczywaly beczynnosc na kolanach, dziewczyna, spogladajac na czubki swoich butow, kolysala sie lekko i mruzczala cos do siebie. Tuz obok welnista owieczka skubala soczystozielona trawe.**

**Jordan siedzial nieco dalej, obserwujac obie kobiety-**

**Straszny upal dzis, prawda, kochanie? – mowila dona Margalida. – Jak tak dalej pojdzie, bedziemy mieli wyjatkowo gorace lato. Moze wyjedziemy gdzies na polnoc, w gory, gdzie jest chlodniej? Co ty na to, kochanie? Chcialabys zobaczyc gory? Takie strasznie wysokie, z czapa bielutkiego sniegu na szczytach? Na pewno by ci sie spodobaly.**

**Przytulila dziewczynke i poglaskala ja po ciemnych wlosach. Andrea bezwolnie przyjmowala pieszczoty.**

**Ojej! – pisnela kobieta. – Jaka ty masz rozgrzana glowe! Zaszkodzi ci to slonce. Powinnysmy zabrac kapelusz. Ale nie martw sie, kochanie. Zawiazze ci moja chustke. O, widzisz, tak lepiej, prawda? Jak slicznie wy- moja mala dziewczynka!**

**Krecila sie wokol siostrzenicy jak troskliwa kwoka. Jordan uswiadomil sobie nagle, ze dona Margalida wlasciwie wyglada na zadowolona ze stanu, w jakim znalazla sie Andrea. Nagromadzona w niej czulosc, potrzeba otoczenia kogos opieka w koncu znalazly ujście. A dziewczyna juz nie bedzie bronila sie przed ta miloscia. Nie bedzie odpowiadala ciotce tym irytujaco grzecznym tonem, nie bedzie patrzyla tak, jakby w jej glowie dzialy sie rzeczy daleko bardziej interesujace od ciotczych slow.**

**Andrea postradala zmysly, a dona Margalida w koncu czula sie komus potrzebna.**

**Jordan nie mogl na to patrzec. Wstal, odszedl kilka krokow i zatrzymal sie nad brzegiem morza. Zerwal sie leciutki wiaterek, leniwa fala liznela czubek jego buta.**

**Od nocy, gdy wraz z Peyretou znalezli martwe ciala selvenes, minely juz dwa dni. Przez ten czas nikt, ani z Dolnego, ani z Gornego Tarris nie wchodzil do zamku. Byla to zasluga ojca Iniana, ktory na prosbe Jordana zastraszył ludzi, mowiac, ze nad miejscem tym wisi klatwa. Domenic Jordan wiedzial jednak, ze nie potrwa to dlugo. Wkrotce przyjedzie wyznaczony przez ksiecia de Remoussin nowy wlasciciel, pan Tarris, ktory zamieszka w zamku. A wczesniej jeszcze chlopi, skuszeni pozostawionymi w zamku drogocennymi przedmiotami, moga zebrac sie na odwage i**

**przekroczyć brame.**

**A wtedy w zamku znów zaczęła ginąć ludźcie.**

**Nie miał więc wiele czasu, by rozwiązać zagadkę. Brakowało mu jednak jakiegokolwiek punktu zaczepienia. Rozmawiał ze służbą, która tamtego wieczoru uciekła z zamku, ale niewiele się dowiedział. Ich relacje były dość zgodne. Po południu Selvenes wrócili na zamek, prowadząc ze sobą ładną ciemnowłosą dziewczynę. Zabrali ją do pokoju na drugim piętrze, gdzie czekała już Ursanna de Veysse, kazali podać wino i owoce. Zza drzwi dochodziły śmiechy i śpiewy, wszyscy najwyraźniej znakomicie się bawili.**

**A potem Selvenes zaczęli umierać. Dwoje skonało już w pokoju, pozostałym udało się wybiec na zewnątrz. Młoda pokojowka, która chciała pomóc swojej pani, nagle upadła bez życia na schodach. I wtedy pozostali służący, przekonani, że mają do czynienia z potężną magią, po prostu uciekli. Żaden z nich nie widział tajemniczego napastnika, który tego popołudnia śiał w zamku śmierć.**

**Ktoś – Jordan nie wiedział kto, bo na widok jego miny służący pospiesznie zwałali wino jeden na drugiego – przekreślił klucz, pewnie w nadziei, że w ten sposób odgrodzi się od niebezpieczeństwa. Nie wiedział, że w środku została dziewczyna, której udało się uniknąć śmierci. Dziewczyna, której dziewięć godzin spędzonych w pokoju razem z dwójką zmarłych na zawsze odebrało rozum.**

**W ciałach Selvenes, podobnie jak w przypadku marynarzy i pasażerów "Dei Gratii", Jordan nie znalazł żadnych śladów, dzięki którym mogłby rozwikłać zagadkę ich śmierci. Jedyne wskazówki pozostawały słowa Selvenes. Wtedy, w kościele, powiedzieli mu, że wylowili z wody jednego z pasażerów. Był taki słiczny i bezradny, że nie mieliśmy serca go dobić, mówili, śmiejąc się. Teraz powoli wraca do zdrowia. Ale służba zaprzeczyła, by w zamku przebywał ktoś taki. Selvenes zakpili sobie z Jordana. Ale gdyby w ogóle nie było żadnego nieprzytomnego pasażera, żart ten nie miałby sensu. Miałby za to sens, gdyby ów słiczny i bezradny pasażer był... no właśnie, kim?**

**I dlaczego nikt nie widział mordercy? Młoda pokojowka skonała na oczach pozostałych służących, a mimo to nikt nie potrafił powiedzieć, co właściwie ją zabiło.**

**Może morderca jest niewidzialny.**

**Albo tak mały, że trudno go dostrzec.**

**W głowie Jordana pojawiło się niejasne wspomnienie. Te słowa: "malenki morderca" z czymś mu się kojarzyły. Gdzieś już je słyszał albo czytał. I piękny. Właśnie tak: "malenki, piękny morderca".**

Selvenes wspominali, że uratowany z "Dei Gratii" pasażer był bardzo ładny.

Z zamyslenia wyrwał Jordana wrzask. Krotki, ostry, straszny. I w jakiś upiorny sposób podobny do tamtego przeciągłego wycia, które słyszał w zamku.

Odwrocił się. Dona Margalida szarpiała się z siostrzenicą, najwyraźniej nie mogąc sobie z nią poradzić. Ramiona dziewczyny młocily powietrze, Andrea poruszała się jak zepsuta mechaniczna lalka: sztywno, chaotycznie, z nieludzką determinacją. Parła naprzód w stronę morza, kalecząc dłonie i kolana na ostrych skalach. Uciekała przed czymś, co znajdowało się na łacie. Dona Margalida próbowała ją przytrzymać, uspokajając jednocześnie.

Jordan podbiegł i chwycił dziewczynę. Z jej otwartych ust wciąż wydobywały się chrapliwe krzyki, wybaluszone, po brzegi wypełnione grozą oczy wpatrywały się teraz w lake, w jeden punkt, w którym nic, na Boga, nic nie było przerażającego.

Co się stało, kochanie? Powiedz, ciocia zaraz ci pomoże...

Zdesperowany Jordan uderzył Andree w twarz. Pierscien, który nosił teraz na prawej, zdrowej dłoni, rozciął jej wargę. Wąski strumyczek krwi pociekł po brodzie dziewczyny. Krzyczała coraz ciszej, zachłystując się, jakby nie mogła złapać tchu. W końcu umilkła.

Strumyczek krwi na brodzie powoli zwalniał bieg, aż zamarł zupełnie.

Jordan położył nieruchomą dziewczynę na ziemi. Nie oddychała już. I nie musiał nawet rozciąć jej ciała, by poznać przyczynę śmierci.

W ten radosny, słoneczny dzień, gdy wiosenny wiaterek poruszał długimi źdźbłami traw, po błękitnym niebie kazały mowy, a na uchu wełnistej owieczki przysiadł kolorowy motyl, Andrea zmarła z przerażenia.

Panie... – Peyretou na widok wyrazu twarzy pracodawcy cofnął się i zamilkł.

Tak?

Chłopak przez chwilę zbierał się na odwagę. Na szczęście Jordan wyglądał już na opanowanego. – Posłaniec właśnie przyniósł list. Z Dubes.

Ojciec Inian upadł obok kuchennego stołu. Chyba. W każdym bądź razie właśnie tam pił mocną wódkę pedzona przez tutejszych chłopów, a gdy skończył się jej zapas, przerzucił się na mszalne wino. Spił się jak świnia, myślał o tym, jak wiele pracy czeka go, nim zdola przywrócić Bogu mieszkańców Górnego Tarris, i o tym, co wydarzyło się w zamku. On także wiedział, że jeśli w najbliższym czasie nie uda się odnaleźć tajemniczego zbrojcy, w zamku znów ktoś umrze.

Niewiele pamiętał z tej nocy. Rankiem ktoś chwycił go pod ramiona i zawlokł do łóżka, a nawet przewrócił na bok, dzięki czemu ksiądz nie zadławił się własnymi wymiocinami. Potem nieznaną dobroczynca odszedł, a ksiądz zasnął.

Zbudził się po południu, gdy słońce powoli zbliżało się do horyzontu. Ktoś potrząsał nim mocno.

Czy chciałby ojciec zobaczyć portret mordercy?

Zadane uprzejmym tonem pytanie było dość cudaczne i ojciec Inian, uznając, że to sen, postanowił je zignorować. Zamknął na powrót oczy. Oprzytomniał na dobre dopiero wtedy, gdy ktoś wylał mu na głowę kubel zimnej wody. Usiadł na posłaniu i rozkaszał się. Pod jego czaszką rozlewało się pulsujące ognisko bólu, a suchy jak pieprz język przywarł do podniebienia, lecz myślał już w miarę jasno.

Domenic Jordan podał mu szklanke wody, potem następną.

Chcę ojcu coś pokazać – powiedział. – Coś bardzo ważnego.

To o tym mordercy to nie żart?

Nie. Proszę spojrzeć.

Jordan podał księdzu rysunek. Ojciec Inian patrzył przez chwilę na zbiorowy portret znajomych Andrei. Znajomych, których z pewnością nie zaakceptowałaby dona Margalida.

To jeden z selvenes7. Od początku tak myślałem! Który to?

Ojciec widzi tylko to, co chce zobaczyć – skarcił go łagodnie Jordan. – Proszę przyjrzeć się uważnie.

Wstał i otworzył okno. Słoneczne światło zakłóciło księdza pod czaszką. Jeknął.

Tutaj.

Ojciec Inian powiodł wzrokiem za palcem Jordana. Selvenes siedzieli na kobiercu w jakimś pokoju, z tyłu, za ich plecami, znajdował się stół. Na stole stał wielki szklany słoik z uwieczonym w środku kolorowym motylem. Rysunek nakreślono na tyle precyzyjnie, by rozpoznać, iż nie jest to żaden z miejscowych okazów. Motyl był zbyt duży, zbyt egzotyczny.

Nie pojmuje...

Otrzymałem dziś list, który potwierdził moje podejrzenia. Znajomy, którego prosiłem o pomoc, podał mi między innymi nazwiska dwóch pasażerów "Dei Gratii". Dla

jednego z nich, mężczyzny o nazwisku Rustic Damarin, podróż do Dubes była ostatnim etapem znacznie dłuższej drogi. Wracał do domu aż z leżającej u wybrzeży Nowego Świata Wyspy Prawdziwego Krzyża, gdzie spędził ostatnie lata. Nazwisko to pewnie nic ojcu nie mówi, ale ja je znam. Na Uniwersytecie Alestranskim wiele o nim swego czasu dyskutowano. Jakies półtora roku temu przysłał list, właśnie z Wyspy Prawdziwego Krzyża, w którym chwalił się, że odkrył osobliwe stworzenie. Był to motyl od jego nazwiska nazwany Damarinusem. Motyl ten miał ponoć posiadać niezwykle system obronny. Damarin twierdził, że pył na jego skrzydłach zawiera nieznana trucizna, która błyskawicznie paralizuje układ oddechowy. Pył osypuje się podczas lotu, a każdy ptak czy drapieżnik, który znajdzie się wystarczająco blisko, by wciągnąć go do płuc, natychmiast pada martwy. W przypadku większych stworzeń, takich jak ludzie, trwa to odrobine dłużej, ale tak czy inaczej, efekt jest ten sam. List Damarina został wtedy wysmiany, powszechnie uważano, że takie stworzenie nie może istnieć. Najwyraźniej niesłusznie. Wypuszczenie Damarinusa w zamkniętym, niezbyt wielkim pomieszczeniu, takim jak kajuta statku czy zamkowa komnata, to niemal pewna śmierć dla wszystkich tam zebranych. Zwłaszcza że ludzie nie uciekają przecież na widok pięknego, kolorowego motyla. Każdy w pierwszej chwili podchodzi, by przyjrzeć mu się z bliska. A nim ktoś pojmie, co się dzieje, jest już za późno.

A dziewczyna? Andrea? Ona przecież przeżyła.

Pewnie dlatego, że coś rysowała. W takich chwilach Andrea nie zwracała uwagi na nic innego.

I ten... Damarinus teraz jest w zamku?

Wyfrunął z pokoju, nim jeszcze zamknięto drzwi: świadczy o tym fakt, że jedna ze służących zmarła na schodach. Nie wiem, gdzie jest teraz.

To co ja mam z tym zrobić?

Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Motyle w ogóle nie żyją długo, a ten na dodatek znalazł się w niesprzyjającym środowisku. Być może już jest martwy. Z drugiej strony, nasz Damarinus jest z pewnością dość odpornym egzemplarzem, nie zaszkodziło mu nawet zamoczenie w morskiej wodzie. Ale decyzja, czy i kiedy wejść do zamku, należy do ojca. Wierzę, że ojciec sobie poradzi, o ile, rzecz jasna, wcześniej nie zabije ojca alkohol – dodał złośliwie Jordan, składając rysunki.

Wyszedł, zostawiając ojca Iniana siedzącego przy stole z ciężką głową wciąż podpartą rękoma, ale już z żywszym blaskiem w oku. Teraz, gdy ksiądz miał konkretny problem do rozwiązania, od razu poczuł się lepiej.

Obrazki Andrei, zarówno te rysowane w zamku, jak i te wcześniejsze,

**przedstawiające selvenes na tle nadmorskiego krajobrazu, Jordan postanowił zatrzymać. Nie z sentymentu, nie był człowiekiem sentymentalnym, ale dlatego, że dziewczynie udało się to, co nie powiodło się jemu, gdy kreslił swojego obdartego ze skóry wilkolaka.**

**Andrei udało się bowiem uchwycić całą niezwykłość, całą magię tych wielkookich i szpiczastouchych istot, które miejscowa ludność nazywała selvenes.**



### 3. Serena i Cien

To była bardzo trudna decyzja, panie Jordan. Nie sadzilam, ze bede zmuszona zwrocic sie do kogos o pomoc. To troche... osobiste. Rozumiesz pan, prawda? – Chwila oczekiwania na odpowiedz. – Potem jednak pojełam, ze nie poradze sobie, ze to nie jest problem na glowe slabej kobiety. – Lekki ruch wachlarzem, trzepotanie rzesami. – Licze na pana dyskrecje. Oczywiście ja mialam jak najlepsze intencje, ale ludzie sa tacy okropni, tylko by plotkowali. I tak juz opowiadaja o mnie rozne klamstwa. Niektorzy sadza, ze ja jako kobieta upadla... – przerwa, by rozmowca mogli zaprzeczyc – w ogole nie mam reputacji, o ktora moglabym dbac, ale prosze mi wierzyc... Panie Jordan? Panie Jordan, przez caly czas milczy pan jak zaklety. Rozmowa ze mna nudzi pana? A moze to o mnie chodzi? Prosze przyznac uczciwie: nie lubi mnie pan?

Nie lubie pani, dono Carloto. Czy teraz wreszcie przejdzie pani do rzeczy?

Kobieta z trzaskiem zamknela wachlarz. Jej mocno upudrowana twarz wykrzywila sie w grymasie zlosci. Szybko jednak odzyskala panowanie nad soba.

Wiec nie pomoze mi pan? – Znow ten kokieterijny ton.

Carlota Daures zaczynala jako zwykla prostytutka -ponoc nawet niezbyt droga – a potem przez dwadziescia piec lat byla oficjalna kochanka zmarlego niedawno hrabiego d'Arrous. Fakt, ze d'Arrous trzymal ja przy sobie tak dlugo, zawdzieczala w rownej mierze przyzwyczajeniu hrabiego, co wlasnemu sprytowi. Nie mogla wiec byc glupia i ton naiwnego dziewczatka zupełnie do niej nie pasowal. Mimo to ze slepota wlasciwa starzejacym sie, a niegdys pieknym kobietom upierala sie, by podziwiac nie jej rozum, lecz urode.

Domenic Jordan, maskujac znudzenie, rozejrzal sie wokol. Dona Carlota poprosila o spotkanie w "dyskretnym miejscu poza granicami miasta", ktorym to miejscem okazala sie lezaca przy trakcie Alestra – Moul's oberza. Na pietrze procz pokoi goscinnych znajdowal sie takze niewielki, przytulny salonik – faktycznie jakby stworzony dla spiskowcow.

Pomoge, jesli powie mi pani, o co chodzi.

Jego rozmowczyni wiedziala, kiedy nalezy sie poddac. Zrezygnowala z kokieterii i zaczela mowic. Jej opowiesc byla prawdziwa najwyzej w piecdziesieciu procentach, ale Jordan nie mial klopotow z wlasciwa interpretacja faktow.

Dwa miesiace temu dona Carlota zainteresowala sie pewnym mlodym, ale bardzo utalentowanym artysta, ktory na la Garrosse malowal przechodniom portrety. Niestety, chlopak nie tylko odrzucil oferowana mu pomoc, ale jeszcze zniewazyl

dobrodziejke. Postanowila wiec nauczyc go grzeczności. Kupila na miedzianym targu niewielki (to słowo podkreśliła trzy razy) urok i kazala mu go podrzucic. Jednak chłopak okazal sie rownie zdolnym czarownikiem, co malarzem. Udalo mu sie odwrocic urok i skierowac go przeciw kobiecie. ()d tego czasu dona Carlota z trudem zasypia i budzi sie zupełnie niewypoczęta przed switem, najwykwintniejsze potrawy maja dla niej smak trawy i rzecznoego mulu, a gdy niedawno skaleczyła sie leciutenko nożykiem do obierania owocow, krew saczyła sie z rany przez poltora dnia. Schronila sie przed oczami ciekawskich alestrancykow w Mouls w swojej wiejskiej posiadlosci i prosi teraz, by Jordan zechcial do niej dolaczyc i znalezc sposob na zlikwidowanie uroku. Wszak Domenic Jordan, choc co prawda nie jest magiem (na szczescie, podkreśliła, bo magom w ogole nie ufa), na czarach zna sie jak nikt.

A chłopak? – zapytal Jordan.

Zniknal – odparla z nienawiscia, ale tez jakby z zalem.

Spojrzal jej w twarz i zobaczyl kobiete, ktora niegdys sprzedala sie znacznie starszemu mezczyznie, i teraz sama probowala kupic sobie mlodego kochanka. Młodzieniec, zupełnie jak w ludowych opowiesciach, wzgardzil jej miloscia i narazil sie na gniew.

Na jeden krotki moment Domenic Jordan nie zapanowal nad rysami twarzy. Carlota Daures patrzyla mu w oczy i wiedziala juz, ze on wie.

W tym momencie rozleglo sie pukanie do drzwi.

Proszem, by pod zadnym pozorem mi nie przeszkadzac – Jordan zwrocil sie do mlodego sluzacego, ktory stanal w progu.

Wiem, panie. – Peyretou nerwowo przelknel sline. – Proszę o wybaczenie. Ale pewien mezczyzna jest ciezko ranny i mowi, ze natychmiast musi widziec sie z lekarzem.

Ku zdumieniu Jordana Peyretou poprowadzil go nie do ktoregos z pokoi goscinnych, ale w dol, do piwnic.

Ten czlowiek, on nazywa sie Patrice Tourtou, nie ma pieniedzy – wyjasnil sluzacy. – Gospodarz pozwolil mu tu zostac, bo wyglada na to, ze Tourtou niedlugo umrze.

Patrice Tourtou istotnie konal w malenkim skladziku, tuz obok piwniczki na wino. Wszystkie sprzety odsunięto na bok, by zrobic miejsce dla materaca, na ktorym polozono mezczyzne. Przy jego glowie stal gliniany kubek, tuz obok swieca, powoli dopalajaca sie w rozlanej na podlodze kaluzy wosku.

**W składziku cuchnelo wilgocia, zgnilizna i smiercia.**

**Prosze odeslac sluzacego – powiedzial Tourtou nieoczekiwanie stanowczym glosem.**

**Gdy Peyretou zniknal za drzwiami, Jordan podszedl i sprobował sciagnac koc okrywajacy Patnce'a Tourtou aż po brode. Mezczyzna przytrzymał go w garśc. Lewa dlonia, bo prawa została ucieta w nadgarstku.**

**Nie.**

**Musze pana obejrzec, skoro mam pomoc.**

**Patrice Tourtou pokręcił głowa. Na starczej twarzy perlil się pot. Miał wysoka goraczkę, ale jego oczy spoglądały dość przytomnie.**

**Nie potrzebuje pomocy. Nie takiej. Wiem, że umieram. Rozbojnicy – wyjaśnił. – Konie spłoszyły się i poniosły, gdy zaczęli strzelac. Powoz przewrócił się, woznica zginal, a mnie zmiazdzyło obie nogi. Obrabowali mnie wtedy i zostawili na drodze jak psa. Własciciel tej gospody przygarnął mnie, wezwał medyka. Wdała się gangrena. Medyk obciął to, co pozostało z moich nog. Nie pomogło. Zgorzel posuwa się coraz dalej, a ja gnije, rozpadam się od środka. Nie zostało mi wiele czasu.**

**Jordan wiedział, że powinien teraz zaprotestowac, zapewnic, że wszystko będzie dobrze i chory na pewno wyzdrowieje. Nie zrobił tego. Mdlaca, intensywna won zgnilizny mówiła sama za siebie, a Patrice Tourtou nie wyglądał jak ktos, kto lubi być oszukiwanym.**

**Kiedy dowiedziałem się, że jest pan w tej gospodzie, pomyślałem, że to cud. Zrzadzenie boskie, rozumie pan? Słyszałem o panu, pan nazywa się Domenic**

**Jordan, prawda?**

**Medyk skinął głowa. Sądząc po nazwisku, Tourtou nie był nawet szlachcicem. A więc już nawet mieszczanie zaczynają o mnie plotkowac, pomyślał. Nie przerywał jednak, nie ponaglał pytaniami. Wiedział, że starzec toczy teraz walkę z bólem i gorączką, z całych sił starając się zachowac przytomność umysłu.**

**Mam do pana prośbę – ciagnął Patrice Tourtou – I wierzę, że mi pan nie odmówi. Ja umieram, a umierającemu się nie odmawia. Chodzi o moją córkę, panie Jordan. Od czternastu lat szukam dla niej ratunku. Byłem już chyba u wszystkich kapłanów i magów w tym kraju, ale żaden nie potrafił jej pomoc. Wracalem właśnie z Moulis, z niczym zreszta, bo tamtejszy czarownik nawet nie chciał mnie wysluchac. Teraz pan jest moja ostatnia nadzieja. Moja i mojej córki. Czy wierzy pan w Boga? Pytanie zaskoczyło Jordana.**

**Tak – odparł po chwili.**

**Starzec skrzywił się z dezaprobatą.**

**Cos za długo pan się zastanawiał. Proszę więc przysiąc nie na Boga, lecz na życie i zdrowie pńskiego ojca.**

**Uwierz, panie, że taka przysięga nie byłaby wiele warta – chłodno powiedział Jordan. – Czy nie wystarczy panu po prostu moje słowo?**

**Starzec przymknął oczy. Był wyczerpany i Jordan przez chwilę myślał, że stracił przytomność.**

**Ma pan rację – szepnął jednak po chwili. – Ufam panu. Uwierzę, jeśli obieca pan, że zrobi wszystko, by ocalić życie mojej córki.**

**Obiecuje.**

**Ciekawość kiedyś mnie zgubi, pomyślał Jordan, nie po raz pierwszy w życiu. Słowa umierającego starca zaintrygowały go i wołał teraz zająć się ratowaniem córki Patrice'a Tourtou przed nieznanym niebezpieczeństwem niż rozwiązywaniem banalnego problemu dony Carloty – nawet jeśli ta druga sprawa, w przeciwieństwie do pierwszej, przyniosłaby mu korzyści finansowe. Ponadto starzec miał rację: nie odmawiało się ostatniej prośbie umierającego.**

**Moja córka, Serena – rozpoczął opowieść Patrice Tourtou – w wieku dziewiętnastu lat zrobiła coś bardzo głupiego. Miała już wtedy męża, ale pod wieloma względami pozostała jeszcze dzieckiem. I to, co zrobiła, takie właśnie było: głupie i dziecinne.**

**Zamknął oczy, po chwili podniósł powieki i ruchem głowy wskazał kubek z wodą. Jordan przytrzymał mu go przy wargach. Patrice Tourtou pił długo.**

**Serena wraz z przyjaciółmi przywołała demona – podjął. – Niektórzy mogą sadzić, że było w tym coś złego, chęć zrobienia komuś krzywdy, ale tak naprawdę to**

**tylko młodzieńcza ciekawość. Czy pan w dzieciństwie nie robił takich rzeczy?**

**Pyta pan, czy przyzywałem dla zabawy demony? Nie, z natury byłem bardzo poważnym dzieckiem, więc i przywoływanie demonów traktowałem z największą**

**rozwagą. Mogę zresztą zaoszczędzić panu dalszej opowieści: demon nie chciał odejść, prawda?**

**Od czternastu lat ściga moja córka – przyznał Tourtou. – Serena już kilka razy cudem uniknęła śmierci. Przeprowadzamy się z miasta do miasta, żyjemy jak**

tropione zwierzęta, wiecznie w strachu, wciąż oglądając się za siebie, nie śpiąc po nocach. Po przeprowadzce zazwyczaj przez jakiś czas jest spokój, ale nigdy nie

trwa to dłużej niż rok – dwa. Teraz wróciliśmy do Alestry, tam, gdzie wszystko się zaczęło, bo Serena sądzi, że w tłumie ludzi łatwiej się ukryjemy. Ale ja w to nie wierzę. On znajdzie nas i tam, tak jak znalazłby wszędzie: za morzem, na egzotycznych wyspach. Może już nawet teraz... – Starzec zamilkł, a przez jego twarz, widoczny nawet w wykrzywionych bólem rysach, przemknął

wyraz przerażenia. – Ucieczka nie jest wyjściem. Jedyne wyjście to śmierć tego stworzenia, rozumie pan?

Rozumiem doskonale. Nie wiem, czy zdołam go zabić. Ale obiecałem, że zrobię wszystko, by ocalić pana córkę z życia, i dotrzymam słowa.

To dobrze. – Tourtou znów przytaknął cicho. Oddychał ciężko. – Moja córka mieszka we wschodniej dzielnicy, na ulicy Tkaczy. Ja... dziękuję panu.

Mogłbym zostać z panem przez jakiś czas – powiedział Jordan cicho.

Żeby nie musiał umierać w samotności?

Tak.

Wszyscy umieramy w samotności. Myślę, że pan dobrze o tym wie. A teraz proszę już iść. Życie mojej córki jest w niebezpieczeństwie. Nie wolno panu tracić czasu.

Przykro mi – powiedział Jordan. – Nie mogę jechać z pania do Moulis. Wracam do Alestry.

Ależ nie może pan tego zrobić!

Dona Carlota raz jeszcze przesłoniła twarz wachlarzem. Tym razem jednak ten zalotny gest był mechaniczny, wykonany bardziej z przyzwyczajenia niż w nadziei na zwycięstwo. Tak naprawdę liczyła na siłę pieniędzy, nie na kokieterię. Nazwisko Domenica Jordana znano wśród alestranskiej szlachty. Pracował na uniwersytecie, gdzie za cichą zgodą biskupa zajmował się badaniami nad magią. Jednak uniwersytecka pensja była niska, a on lubił wystawne życie, gdy więc zdarzało się, że taki czy inny arystokrata prosił go o dyskretną pomoc, Jordan rzadko odmawiał.

On potrzebuje pieniędzy, myślała Carlota Daures. Na ten elegancki powóz, którym zajechał przed oberżę, i na modny, choć nie wiedząc czemu całkowicie czarny strój, który ma na sobie.

Sądziłam, że doszliśmy do porozumienia – powiedziała więc przymilnie.

**Przykro mi – powtorzył uprzejmie. – Myśle, że w zupełności wystarczy pani pomoc miejscowego księdza.**

**Opanowanie Jordana wyraźnie wytracało kobiecie z równowagi. Rysy jej twarzy stezały w osobliwym wyrazie w pol drogi pomiędzy zalotnym uśmiechem a grymasem złości.**

**Ależ ja powiedziałam panu... – zaczęła raz jeszcze i urwała raptownie.**

**Oczywiście możesz pani liczyć na moja dyskrecję – odparł, wciąż nie podnosząc głosu, ale już z leciutkim śladem złości w słowach. Myślami przebywał**

**w Alestrze, na ulicy Tkaczy.**

**W oczach, które odprowadziły go do drzwi, nie było ani cienia uśmiechu.**

**Później, gdy Domenic Jordan powiadomił już Serene i jej siostrę o śmierci Patrice'a Tourtou, gdy złożył wyrazy ubolewania – zbyt oszczędne, zbyt suche, wiedział o tym, ale nigdy w takich chwilach nie potrafił zdobyć się na coś więcej niż konwencjonalne: "przykro mi" – odwrócił się w stronę okna i udając zainteresowanie tym, co dzieje się na zewnątrz, dał im chwilę dla siebie.**

**W salonie przestronnego mieszczańskiego domu przy ulicy Tkaczy zebrali się pięć osób. Obrócił się teraz lekko, tak by móc obserwować ich w dużym trzyczęściowym lustrze, które wisiało na przeciwległej ścianie.**

**Serena Maillieu siedziała na kanapie, szlochając, z twarzą ukryta w dłoniach. Obejmowała ją, również płaczącą, starsza siostra, Nicomeda. Nicomeda – o czym Jordan wiedział, bo zdążył już zebrać trochę informacji – nie wyszła za mąż, od lat mieszkała z Sereną i pomagała jej prowadzić dom. Była to kobieta zdumiewająco nijaka, ubrana w workowatą, niezgrabną suknię, z włosami przykrytymi czarną chustką, jakby już teraz, przed ukończeniem czterdziestego roku życia, spieszyła się przekroczyć granice dzieląca niechęciana starsza pani od szanowanej staruszki.**

**Po drugiej stronie Sereny zajął miejsce jej mąż, Fris Maillieu. Kilka lat młodszy od żony, mimo szczerych chęci, by w jakiś sposób ją pocieszyć, sam wydawał się mocno zagubiony. Czwarta osoba w salonie był ojciec Malaquias, daleki kuzyn rodziny Tourtou, a piąty syn Sereny z pierwszego małżeństwa, Jacme.**

**Ojciec Malaquias położył ręce na ramionach płaczących, przytulonych do siebie kobiet.**

**Powinnyscie wypocząć – powiedział łagodnie. – Fris, czy mogłbyś...**

**Oczywiście. – Maillieu, najwyraźniej zadowolony z pretekstu, który dawał mu okazję**

do jakiegokolwiek działania, poderwał się na nogi i wyprowadził z salonu obie kobiety.

Ojciec Malaquias podszedł do Jordana. Był to młody, przystojny ksiądz o przedwcześnie posiwiałych włosach, które zamiast dodawać mu powagi, czyniły go tylko bardziej interesującym. Pracował jako kapelan w klasztorze marcjanek i Jordan pomyślał – niezbyt stosownie do chwili – czy obecność takiego księdza nie budzi w sercach niewinnych siostrzyczek zbyt wielu zdronnych myśli.

Naprawdę Patrice, umierając, prosił, by ocalił pan jego córkę?

Jordan skinął głową.

On bardzo kochał Serenę – powiedział ojciec Malaquias w zamysleniu. – Wszyscy bardzo ją kochamy. Choć – uśmiechnął się gorzko – w naszym przypadku wiele jest w tym poczucia winy.

A więc i ojciec brał udział w tym fatalnym seansie?

Tak, niech mi Bóg wybaczy. Całe moje życie jest próbą odpokutowania za tamten czyn.

Jordan skrzywił się lekko. Najpierw umierający starzec, który kazał mu przysięgać na życie i zdrowie ojca, a teraz ten ksiądz – rodzina Tourtous widac miała skłonność do dramatycznych gestów i gornolotnych wyrazów.

Kto jeszcze brał w tym udział?

Serena, oczywiście. I Nicomeda. Ja, Roman Garavel, pierwszy mąż Sereny, i Fris, jego kuzyn.

Wszyscy zgromadzeni dziś wieczór w salonie? Ojciec Malaquias spojrzał na Jordana ze zdziwieniem.

Nie pomyślałem o tym, ale owszem, tak. Nawet Jacme, choć on wtedy miał tylko trzy lata i spał w łóżeczku.

Ale obudziłem się, prawda? – odezwał się Jacme. Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział od chwili, gdy Jordan zjawił się w ich domu. – Matka mi mówiła.

Obudziłem się i zacząłem płakać.

Tak, ale byłeś wtedy dzieckiem, a panu Jordanowi chodziło o pewność o osoby dorosłe. – W głosie ojca Malaquiasa wyczuwało się lekkie zniecierpliwienie.

Jacme zacisnął wargi, widac protekcjonalny ton księdza nie przypadł mu do gustu.

**Chłopak, najzupełniej stosownie do sytuacji, wyglądał na zrozpaczonego, a jednak Jordan był pewien, że Jacme cierpiał już wcześniej, zanim dowiedział się o śmierci dziadka. Już wtedy, gdy Domenic Jordan wchodził do salonu, by przekazać rodzinie tragiczną wiadomość, rzuciła mu się w oczy ta naznaczona bólem młodzieńcza twarz.**

**Zastanawiam się – powiedział cicho Jordan – czy w ciągu tych czternastu lat, które minęły od przywołania demona, ktoś z was zadał sobie to najważniejsze, podstawowe pytanie. I zastanawiam się też, czy ktoś zdołał znaleźć na to pytanie odpowiedź.**

**Spojrzał na ojca Malaquiasa, potem na Jacme. Na twarzy księdza malowało się zdumienie, najwyraźniej nie wiedział nawet, o czym Jordan mówi.**

**Za to Jacme patrzył na niego wyzywająco.**

**Nie wiem, jaka jest odpowiedź, ale mogę zadać pytanie – mówił, nie spuszczając wzroku z twarzy Jordana. – A brzmi ono: dlaczego spośród sześciu osób, które brały udział w seansie, demon wybrał akurat moją matkę? Dlaczego tylko ja ściga? Tylko ja próbuję zabić? Ksiądz zmarszczył brwi.**

**Glupstwa wygadujesz, moj drogi. A twój ojciec?**

**Ojciec zginął, bo próbował bronić matki.**

**Coż, może to i prawda... – ojciec Malaquias zawahał się – ale nie mam pojęcia, dlaczego demon wybrał akurat Serene. Najpewniej to czysty przypadek, trudno spodziewać się po demonach ludzkiej logiki.**

**Bardzo popularny pogląd – powiedział Jordan. – I wygodny. A także w wielu przypadkach błędny.**

**Jacme spojrzał na niego z błyskiem aprobaty w oczach.**

**Wygląda pan wprawdzie niewiele lepiej niż zwykły dworski fircyk, ale widac, że zna się pan na rzeczy – powiedział łaskawie.**

**Jacme! – oburzył się ksiądz, a Jordan zacisnął szczęki, powstrzymując wybuch śmiechu.**

**Na prośbę ojca Malaquiasa służąca rozpałała w kominku, bo wrzesniowe wieczory bywały już chłodne. Usiedli niedaleko ognia w staroswieckich fotelach, zbyt miękkich i głębokich, by były wygodne, a jednak dających miłe wrażenie przytulności.**

**Jeśli mam wam pomóc – powiedział Domenic Jordan – przede wszystkim muszę wiedzieć, w jaki sposób demon przedostawał się do domu i czym udawało się go**



przeploszyc.

Fris Maillieu, który dołączył do nich przed chwilą, spojrzal bezradnie na ojca Malaquiasa. Czerwony odblask ognia padał teraz na jego okrągłą twarz okoloną brązowymi, miękkimi jak u dziecka włosami. Na lewym policzku drgał leciutko miesien, powieki co chwila zaciskały się w serii nerwowych mrugnieć.

Ojciec Malaquias, poproszony wzrokiem o pomoc, milczał.

No co?... – z wahaniem powiedział Fris Maillieu – o tym najlepiej opowiedziałaby panu moja żona, ale nie możemy przecież jej niepokoić, prawda? – Cierpliwy,

proszący wzrok spoczał teraz na Jordanie. – Ona teraz śpi, biedactwo, a Nicomeda przy niej czuwa.

W chęci chronienia żony przez tego mężczyznę, który sam wydawał się słaby i bezradny jak dziecko, było coś przejmującego. Mimo to Jordan ustąpił nie dlatego, że słowa Frisa Maillieu wzruszyły go. Po prostu nie potrzebował rozmawiać z Serena już teraz.

Skinal głową, a Fris uśmiechnął się z wdzięcznością.

Ja o wszystkim opowiem! – Jacek niecierpliwie pochylił się w stronę Jordana.

Młodzienc miał skłonność do koloryzowania. Nic dziwnego, bo w większości wydarzeń, o których opowiadał, brał udział jako dziecko albo wręcz słyszał o nich z drugiej ręki. Mówił jednak do rzeczy, podając najważniejsze szczegóły i pół godziny później Domenic Jordan miał już w miarę jasny obraz sytuacji.

Demon, przez Patrice'a Tourtou nazwany Cieniem, bo wciąż podążał za Serena, nie był istotą z bajek i legend. Nie przenikał przez ściany, nie unosił się w powietrzu, a pierwsze promienie wschodzącego słońca nie zmieniały go w kupkę popiołu. Był natomiast niezwykle silny, zrezy i odporny na ból, a także uzbrojony w długie, ostre jak brzytwy pazury i wilcze zęby. Atakował głównie nocą, choć nie zawsze: jeden z ataków zdarzył się w południe, gdy Serena wypoczywała w ogrodzie, a inny pod wieczór na zatłoczonej ulicy.

Rodzina Tourtou broniła się przed Cieniem, używając poświęconych medalików, amuletów i zakleć – tych aprobowanych przez Kościół, wzywających pomocy kogoś ze świętych, i tych zakazanych, czarnoksięskich. Większość z nich skutkowało, ale tylko raz. Demon, zetknawszy się z tego rodzaju magią, nabierał na nią odporność i następnym razem trzeba było szukać czegoś nowego. Czasem skuteczne okazywały się bardziej przyziemne środki: dwie kule, które pewien sługa wpakował w piers Cienia, ogień, ostrze szpady. Ale nawet wtedy demon miał na tyle siły, by uciec. Dwa razy Serena Maillieu uniknęła śmierci, barykadując się w pokoju i

głosno wzywając pomocy. Demon – który najwyraźniej miał instynkt samozachowawczy – odbiegł od drzwi, gdy widział zbliżającą się z pochodniami i muszkietami służbę. Raz – ale to było zupełnie na początku, tuż po owym fatalnym seansie – Cienia spłoszyło zwyczajne bicie kościelnych dzwonów, które odezwwały się w ostatniej chwili, gdy pochylał się już nad swoją ofiarą. Serena spędziła wtedy w łóżku półtora tygodnia. Większość ataków kończyła się tylko na strachu. Większość, ale nie wszystkie.

Z rak Cienia zginął młody sługa, który, uzbrojony w kuchenny noż, próbował bronić swojej pani, a także dwóch przypadkowych przechodniów. Ci z kolei, zgodnie z wpojonymi zasadami, widząc szarpiącą się z jakąś postacią kobietę, rzucili się na ratunek. I oczywiście zginął Roman Garavel, pierwszy mąż Sereny.

Mysle – wtracił się ojciec Malaquias – że teraz lepiej zrozumie pan moja kuzynkę. Serena żyje dreczona potwornymi wyrzutami sumienia, przez cały czas obwiniając się za śmierć tych ludzi. To bardzo wrażliwa kobieta, panie Jordan. Nie zasłużyła na to, co ja spotkało. – Zwrocił się do chłopaka. – Opowiedz panu Jordanowi, jak zginął twój ojciec.

Jacme być może nie był dobrze wychowanym młodzieńcem, ale z pewnością miał duży talent narracyjny. Opowieść o śmierci ojca snuł szciszonym, dramatycznym głosem. Mówił o śniegu, który tamtej zimy, gdy chłopiec miał osiem lat, sypał prawie codziennie, i o zaspach tworzących się na ulicach małej miejsciny, w której wtedy mieszkali. W tej miejscinie – co Jacme podkreślił z satysfakcją, a Jordan znowu musiał powstrzymać się od śmiechu – ich rodzina pełniła rolę "prawie szlachty". Mieli wtedy elegancką karocę, do której zaprzęgali szóstkę koni. I ta właśnie karoca utknęła któregoś wieczoru w śnieżnej zaspie. Wcisnięty w kat siedzenia Jacme patrzył, jak jego ojciec otwiera okno i woła woznicę, a porywisty wiatr wtłacza mu słowa z powrotem w gardło. Woznica nie odpowiedział, odezwwały się za to konie, szóstka pięknych zaprzęgowych karoszy. Rzeniem, najpierw cichym, potem coraz głośniejszym, dały znać, że coś jest nie w porządku.

Wilki – szepnął Jacme, bo raz już słyszał tak rzęca konie, gdy w ciemnym lesie pod ich powoz podchodziło wygłodniałe stado.

Tym razem byli nie w lesie, lecz w środku miasta i Serena wiedziała już, kto znajduje się na zewnątrz.

Nie! – krzyknęła, gdy mąż otworzył drzwiczki karocy.

Do środka wraz z lodowatym podmuchem wiatru wtargnął śnieg. Płatki, poszczepiane w ciężkie białe grona, osiadały na twarzach pasażerów. Wisząca z boku powozu latarnia rzucała krąg światła o średnicy nie dłuższej niż pół łokcia, zaraz potem blask gwałtownie zgasł, zdużony przez ciemność.

**Polamia sobie nogi – wymruczał Roman Garavel, sluchajac coraz bardziej histerycznego rzenia koni, ktore miotaly sie w uprzezy. Najbardziej na swiecie kochal swoja jasnowlosa, lagodna zone, a potem synka. Na trzecim miejscu byla szostka czarnych koni.**

**I wtedy karosze ucichly na jedna krociutka chwile, tuz przed tym, jak drewniany dach karocy pekl z trzaskiem i dwie rece wyciagnely sie chciwie po Serene. Garavel mial przy sobie szpade, ale nie chcial jej uzyc, bojac sie, ze robi krzywde zonie. Trzymal wiec ja tylko, starajac sie wyszarpnac z uscisku Cienia. Wtedy dach zalamal sie zupelnie i demon wpadl do srodka. Garavel w koncu zaatakowal szpada, na oslep, bo na tak krotkim dystansie, w zamieszaniu i ciemnosciach, nie bylo mowy o prawdziwej walce. Zranil demona, ale ten zdolal ostrymi pazurami poderznac mu gardlo. Mezczyzna upadl, a w drzwiach karocy pojawila sie – nareszcie! – sylwetka woznicy, ktory mial broniec swych panstwa. Woznica, dygoczac ze strachu, wystrzelil z pistoletu i to wystarczylo, by oslabiony, broczacy krwia demon uciekl.**

**Jacme zamilkl. Jego oczy plonely, jakby raz jeszcze przezywal wydarzenia tamtego wieczoru. Gdy drzacym glosem mowil o bohaterstwie ojca, z trudem hamowal wzruszenie. Zaraz potem spojrzal na delikatnego, nerwowego Frisa Maillieu i w oczach mlodzienia pojawila sie niechec.**

**Czy ktos kiedy widzial twarz demona? – spytal Jordan.**

**Nie – odpowiedzial ojciec Malaquias. – Zawsze ukrywa ja w cieniu obszernego kaptura. Czy to ma jakies znaczenie?**

**Nie wiem, ale jesli ktos nie chce pokazac swej twarzy, to pewnie ma ku temu jakies powody. Choc oczywiscie – Jordan nie odmowil sobie tej drobnej, wypowiedzianej nienagannie uprzejmym tonem zlosliwostki – to demon, wiec nie mozna stosowac do niego zasad ludzkiej logiki.**

**Peyretou.**

**Tak, panie?**

**Chlopak, dotad spedzajacy czas ze sluzacymi Sereny Maillieu, wybiegl na spotkanie pana. Wyszli przed dom, gdzie czekal juz powoz Jordana.**

**Zamieszkasz tu przez pewien czas w pokojach dla sluzby. Chce... – Jordan urwal, starajac sie precyzyjnie sformulowac zyczenie.**

**Nie ulegalo watpliwosci, ze jesli chodzi o zabezpieczenia magiczne, dom Sereny Maillieu jest prawdziwa forteca. Nie pominielo niczego, od najprostszych babskich sposobow, takich jak nacieranie framug sokiem z roztartych lisci werbeny, az po**

wiszaca na drzwiach wejsciowych tabliczke ze skomplikowanymi – i pewnie rownie drogimi – cudzoziemskimi zakleciami. Mimo to chcial jeszcze, by w domu byl obecny ktos rozsadny (w miare rozsadny, poprawil sie w myslach; w przypadku Peyretou takiego wlasnie nalezalo uzyc okreslenia) i odwazny, kto potrafi posluziwac sie bronia.

Ktos, kto nie nalezy do rodziny Sereny Maillieu, bo Domenic Jordan znal prawdopodobna odpowiedz na pytanie, ktore dzis zadal.

Chce, zebys pilnowal Sereny Maillieu. Dostaniesz izbe naprzeciwko jej sypialni. Okno jest zakratowane, a ty w nocy bedziesz pilnowal drzwi. Spac mozesz w dzien, ale tylko wtedy, gdy pani Maillieu bedzie w domu. Gdyby chciala wyjsc na zewnatrz, pojedziesz za nia, pojmujesz?

Chlopak skinal glowa.

Byc moze przesadzam – ciagnal Jordan – ale nie wiem, ile mamy czasu, zanim Cien znow ja znajdzie. Moze kilka miesiecy, a moze tylko kilka godzin.

A jej maz? – buntowniczo odezwal sie Peyretou. Nowe zadanie nie bardzo mu sie podobalo. Wygladalo na dosc monotonne i niezbyt interesujace. – Nie upilnuje zony?

Fris Maillieu ma nie wiecej rozumu i odwagi niz dziesiecioletnie dziecko. – W glosie Jordana nie bylo pogardy, tylko zwykle stwierdzenie faktu.

Peyretou udal, ze nie slyszal. To nie byly slowa przeznaczone dla uszu sluzacego. Nigdy nie wiedzial, czy cieszy go to, ze jego pan ufa mu na tyle, by mowic przy nim takie rzeczy, czy tez wrecz przeciwnie, powinien byc urazony, bo Domenic Jordan czasami zdaje sie traktowac go jak domowy sprzet.

Jeszcze jedno... – zawahal sie. Nie mial pewnosc, czy Peyretou poradzi sobie z zadaniem, ktore chcial mu powierzyc, ale, do licha, jesli nie zaryzykuje, nigdy sie

nie dowie, a Jordan pod pewnymi wzgledami byl ryzykantem. Czasem takie wlasnie eksperymenty przynosily zaskakujace korzysci.

Sprobuj zaprzyjaznic sie z mlodym Jacme. Moze ci sie uda, jestescie prawie w jednym wieku. A potem wypytaj go dyskretnie o demona.

Myslisz, panie, ze on cos wie? – Chlopakowi rozblyly oczy.

Wie, domysla sie albo tylko sadzi, ze wie. Mozliwa jest kazda z tych wersji. Tylko, na litosc boska, badz ostrozny. Wole, zebys nic nie zrobil, niz zebys popsul wszystko. – To akurat nie bylo prawda, ale Peyretou takze mial sklonnosc do ryzykanctwa i Jordan uznal, ze lepiej ostudzic jego zapal, niz go podsycac.

**Pamiętaj, że na ciebie licze – dodał jeszcze, a twarz Peyretou rozpogodziła się momentalnie.**

**Domenic Jordan nie był surowym panem, ale też rzadko mówił swemu słuzacemu podobne rzeczy.**

**Słoneczne światło odbijało się od wypolerowanych rondli i garnków, rzucając na ściany kamienic swawolne zajaczki. Słychać było szcęk metalu uderzającego o metal i nawoływania sprzedawców, leniwe teraz, jak zawsze późnym popołudniem, kiedy ruch na targu powoli zamierał. Od czasu do czasu z oddali dobiegały pomruki zbliżającej się burzy. W dusznym powietrzu rozchodziła się przyjemna won wygarbowanej skóry, bo na targu, zwanym przez alestrancyków "miedzianym", sprzedawano także buty, torby, pasy i inne tego typu wyroby. Z malenkich cukierek, ułożonych w pobliskiej kamienicy jedna koło drugiej niczym rzad dziupli, pachniało świeżym ciastem. Czasem jednak, z podobną częstotliwością jak pomrukiwania burzy nadchodzącej nad Alestre, powoli, lecz nieuchronnie z tymi przyjemnymi zapachami mieszał się inny, znacznie bardziej niepokojący. Składał się z ciężkiej woni egzotycznych ziół, świeżych i trawionych ogniem, wilgotnej pleśni, kurzu, a także czegoś nieokreślonego, co kojarzyło się z ciemnością i chłodem.**

**W Alestrze na miedzianym targu tak właśnie pachniała magia.**

**Domenic Jordan wszedł przez drzwi sprytnie ukryte pomiędzy jedną cukierenką a drugą. Mężczyzna siedzący za zasłoną z barwnych koralików dał mu znak, by poczekał.**

**Jordan usiadł na krześle, jednym z trzech, które stały w czymś, co od biedy mogłoby uchodzić za poczekalnię. Przymknął oczy. Słuchał monotonnego głosu mężczyzny, który wodził właśnie młodej dziewczynie – bo to musiała być młoda dziewczyna – że czeka ją wspaniała przyszłość u boku przystojnego, bogatego i czulego meza.**

**Chwile później dziewczyna wybiegła na zewnątrz. Uśmiech rozjasniający twarz uczynił ją prawie ładną.**

**Jordan odsunął zasłony z koralików.**

**Wchodzi, wchodzi.**

**Mężczyzna, który podniósł się z krzesła na jego powitanie, był bardzo wysoki, a tutaj, w niewielkiej izdebce z niskim sufitem, sprawiał wrażenie olbrzyma. Był także bardzo chudy, jego skóra, cienka jak pergamin i pozółka, zdawała się z trudem opinać wielkie kości. Szczególnie nieprzyjemne wrażenie budziła lysa jak kolano głowa i twarz do złudzenia przypominająca naga czaszka.**

**Abre. – Jordan wyciągnął reke.**

**Jak zawsze do twoich usług. – Chudzielec wyszczerzył zęby w szerokim, nieoczekiwanym sympatycznym uśmiechu.**

**Abre Jorasa i Jordana łączyło zainteresowanie magią, ale o ile Domenic Jordan próbował stworzyć z niej naukę, o tyle Abre Joras po prostu zbierał osobliwości. Nie kolekcjonował jednak przedmiotów, lecz opowieści: wśród nich legendy, kłamstwa wśród ludzi plotki, bajania wiejskich kobiet i historyczne – lub pseudohistoryczne – fakty wyczytane w starych księgach. Jego wiedza była chaotyczna, niesystematyzowana, a czasem bardziej zabawna niż poważna, ale też w wielu przypadkach głębsza od wiedzy Jordana.**

**Abre Joras odsunął na bok świecę i pozbierał ze stolica karty, którymi przed chwilą wroził. Przypominało to rodzaj osobliwego kamuflażu. Jasnowidz, w tak oczywisty sposób fałszywy, że na jego optymistyczne przepowiednie dawały się nabierać tylko młodziutkie dziewczęta, w rzeczywistości był człowiekiem o niepokojących zainteresowaniach i umiejętnościach. Abre Joras nie umiał wrożyć z kart, ale miał inny talent, który budził niechęć Kościoła.**

**Domenic Jordan usiadł, przez chwilę przyzwyczajając oczy do panującego w izdebce półmroku. Kurz i dym z zapalonego w kacie kadzidła drapały go w gardle.**

**Jak mniemam – Abre Joras znów uśmiechnął się, ukazując duże żółte zęby – nie przyszedłeś jedynie po to, by odwiedzić starego przyjaciela. Potrzebujesz pomocy?**

**Jordan nie zaprzeczył. Nie chciał tracić czasu na konwencjonalne uprzejmości. W krótkich, zwięzłych zdaniach opowiedział o przesładującym Serene Maillieu demonie.**

**Przypuszczam – zakończył – że ów Cień to istota, którą nazwałem servus, niezbyt silny, ale dość sprytny człekokształtny demon. A tego typu istoty przywołuje się, by wykonały konkretne zadanie.**

**I coś takiego miało miejsce podczas tamtego seansu? Ktoś wezwał demona, by zabił Serene Maillieu?**

**Jordan skinął głową.**

**Jedynie w ten sposób można wytłumaczyć fakt, że Cień atakuje tylko jedną osobę. Mam w związku z tym pewien pomysł, przyznam, że dość osobliwy... – Odkasznął, próbując pozbyć się z gardła tłustego kadzidlanego dymu.**

**Czy jest możliwe, że ktoś wydał Cieniowi rozkaz nieswiadom tego, co właściwie robi? Czy słyszałeś już o takim przypadku?**

**"Jasnowidz" zmarszczył brwi.**

**Dlaczego coś takiego przyszło ci do głowy?**

**Gdyby ktoś świadomie pragnął śmierci Sereny Maillieu, zabiłby ją prędzej czy później w inny sposób – wyjaśnił Jordan. – Nie czekałby przez czterdzieści**

**lat, aż zrobi to demon. Sądze więc, że podczas tego seansu ktoś pomyślał sobie: a gdyby tak demon, którego właśnie przywołujemy, zabił Serene? I Cień odebrał to**

**jako rozkaz. Być może było to pomyślane z nienawiścią, a może tylko o to, tak sobie. Może ten ktoś wie już, co zrobił, a może nie. Może nawet nie pamięta o słowach,**

**które przemknęły mu w pewnej chwili przez głowę.**

**Nie słyszałem o czymś takim, ale to możliwe, owszem. – Abre Joras znów uśmiechnął się szeroko. – Strasznie dużo tych "może".**

**Jordan z powagą skinął głową.**

**Właśnie dlatego tak bardzo mnie ta sprawa martwi.**

**Grzmoty były coraz bliższe, coraz groźniejsze. Niebo pociemniało, a powietrze się ochłodziło. W podmuchach wzmagającego się wiatru wirowały brązowe i złote liście.**

**Jordan przyspieszył kroku. Mijał teraz sklepy, w których wystawiano na sprzedaż maski, kepy sztucznych włosów w marchewkowym odcieniu i kolorowe lampiony z charakterystycznymi knotami, tak długimi, by można je przywiązać do zapalającego sznura. Prawda, pomyślał, przecież Davalada już za pięć dni.**

**Schronił się przed burzą w jednej z cukierni na la Garrosse. Usiadł przy stoliku i zamówił kawę. Ten egzotyczny napój Okcytanczyki poznali dopiero niedawno. Dostać go można było tylko w stolicy i tylko w najbardziej znanych – i najdroższych – cukierniach.**

**Upił łyk, patrząc, jak grube krople deszczu spływają po mlecznych szybach. Za nimi widział zamazane sylwetki przechodniów kulących się pod markiza. Żaden z nich nie zamierzał wydać kilkudziesięciu eccu tylko po to, by schować się przed deszczem. Cukiernia świeciła pustkami, prócz Jordana była tu tylko para w średnim wieku – on przysypiał nad pustym talerzykiem, ona dziobała jeszcze widelczykiem kremowe ciastko.**

**Drzwi otworzyły się, dzwonek oznajmił przybycie nowego klienta.**

**Mężczyzna otrzepał płaszcz z kropel wody, rozejrzał się i ruszył wprost do Jordana.**

**Pan zajął moje miejsce – oznajmił. Miał arogancką twarz człowieka nawykłego do rozkazywania innym, ale, co było dziwne, wcale nie wydawał się zagniewany.**

**Przecież miejsca jest mnóstwo – zdumiał się Jordan.**

**To mój stół – upierał się mężczyzna.**

**Nie sądzi pan, że to trochę dziecinne?**

**Później, gdy Jordan miał czas, by przemyśleć całą sytuację, doszedł do wniosku, że Tobias d'Eyquem nawet nie próbował udawać. W chwili, gdy Jordan użył słowa "dziecinne", na jego twarzy pojawił się wyraz triumfu.**

**Pan mnie obraził. Zadam satysfakcji.**

**To było tak absurdalne, że Jordan rozesmiał się. Już wtedy wiedział, że popełnia błąd. Wiedział też, że błędu tego nie da się naprawić.**

**Nazywam się Tobias d'Eyquem. Jutro przysła sekundanta. Ja ustalam broni, panu pozostaje czas i miejsce. Walczymy do końca, póki jeden z nas nie zginie.**

**Nic innego nie wchodzi w rachubę.**

**W momencie, gdy mężczyzna przedstawił się, Jordan mocniej zacisnął palce na uszku filizanki.**

**Wiedział już, kim jest ten człowiek. Pozostawało tylko pytanie, dlaczego najlepszy szermierz Okcytanii chce go zabić.**

**Nawet nie spytał mnie pan o nazwisko – powiedział cicho. – Ani o to, gdzie mieszkam. Po co ten idiotyczny pretekst? Wolalbym znać prawdę. Dlaczego pragnie pan mojej śmierci?**

**Siedząca przy sąsiednim stole para przyglądała się im z ciekawością.**

**Tobias d'Eyquem zawahał się, przez chwilę Jordan sądził, że otrzyma uczciwą odpowiedź. Ale d'Eyquem szybko odzyskał pewność siebie.**

**Zadam satysfakcji – powtórzył. W jego oczach wciąż nie było ani śladu gniewu, a tylko trzymane krotko na wodzy podniecenie przed zbliżającą się walką.**

**Domenic Jordan puścił uszko filizanki.**

**Zabije pana, jeśli mnie pan do tego zmusi.**

**D'Eyquem parsknął nieprzyjemnym śmiechem.**



**Niech pan nie będzie śmieszny.**

**Wyszedł, nie zadawszy sobie trudu, by w ochronie przed wciąż siekącym deszczem naciągnąć na głowę kaptur płaszcza.**

**Następnego dnia skreślony przez Peyretou list pilnie wezwał Jordana do domu Sereny Maillieu.**

**Zastal swego słuzącego w towarzystwie Jacme, Frisa Maillieu i Nicomedy. Stali na trawniku przed domem, tuż przy frontowych drzwiach. Nikt nie odwrócił się, by powitać Jordana, wszyscy wpatrywali się w futryne.**

**W debowym drewnie widniały cztery głębokie rysy, jak ślady pazurów.**

**Jordan przyjrzał się im uważnie. Potem sięgnął po noż i czubkiem ostrza przesunął po jednej z rys. Na ziemi coś upadło.**

**Jacme i Medyk schylili się równocześnie, ale Jordan był szybszy. Podniósł kawałek ulamanego paznokcia, zbyt grubego i ostrego, by uznać go za ludzki.**

**No to mamy już dowód. – Poblądly Jacme powiodł wzrokiem po zebranych. – Cien tu był. Dzisiaj w nocy.**

**Zatrzymało go wiszące na drzwiach zaklecie – powiedział Jordan. – Wspominales, że musi upłynąć trochę czasu, nim demon uodporni się na pewien rodzaj magii. Pamiętasz?**

**Tydzien – potwierdził Jacme. – Nigdy nie wracał wcześniej.**

**Bał się, to było widac, ale zachowywał przytomność umysłu. Jordan zaczął nabierać szacunku do tego nieufnego, gniewnego chłopaka.**

**W tym momencie w progu stanęła Serena w prostej domowej sukni, zaspana, z nieuczesanymi włosami. Fris Maillieu spoglądał na żonę z przerażeniem i Jordan pojął, że ona jeszcze o niczym nie wie. Więcej, że nikt nie chce, by wiedziała.**

**Co się stało? – Kobieta szeroko otworzyła wielkie błękitne oczy. Te właśnie oczy były jej największym atutem. Poza tym wyglądała na typową mieszczkę, odrobine zbyt pulchna, z pociągłą, miłą twarzą. Była w niej jednak jakaś łagodność i bezradność, więc Jordan rozumiał, dlaczego wszyscy pragną otaczać ją opieką.**

**Fris Maillieu otworzył usta, by wybaknąć jakieś niezreczne kłamstwo.**

**Cien przyszedł dzisiaj w nocy do pani domu – uprzedził go Jordan, który uważał, że w takich sytuacjach człowiek ma prawo wiedzieć, co mu zagraża. – Na razie**

**powstrzymalo go zaklecie, ale za kilka dni uodporni sie na nie i wroci.**

**Nicomeda popatrzyła na niego karcaco, a Fris Maillieu spoglądał tak, jakby Jordan dokonał swietokradztwa. Jedyne w oczach Jacme dostrzegł cos w rodzaju blysku niepewnej aprobaty.**

**Serena zachwiała sie, zaslonila twarz dlonmi. Jeknela glucho. Fris Maillieu objal ja niezrecznie.**

**Nicomeda podeszła do nich energicznie.**

**Chodz, kochanie, pojdziemy na gore. Przygotuje ci kubek mocnego grzanego wina. Potem zastanowimy sie, co dalej.**

**Chwileczke – powstrzymal ja Jordan. – Chcialbym cos zaproponowac. Rozwiazanie proste, choc niepozbawione pewnej dozy ryzyka. Gdy Cien wroci, a wroci na pewno, wpuscmy go do domu i zastawmy pulapke. Nie sadze, aby byl na tyle inteligentny, by podejrzewac cos takiego. Potem odetniemy mu odwrot i zabijemy go.**

**A Serena? – Fris Maillieu zmarszczyl brwi. – Gdzie ona wtedy bedzie?**

**Oczywiscie w domu. W przeciwnym wypadku demon nie przyjdzie.**

**Chce pan jej uzyc jako przynety? – piskliwie oburzył sie Fris Maillieu. – Nie zgadzam sie!**

**W tym przypadku decyzja nalezy do pana zony. Pani Maillieu?**

**Serena oderwala rece od twarzy.**

**Ja... Nie wiem... – zajaknela sie, patrzac na nich przez lzy. – Och, gdybym miala w sobie wiecej odwagi! Ale ja nie potrafie... nie zdolam tego zrobic! Powinnam umrzec, wiem o tym!**

**Uciekla, szlochajac, w glab domu. Fris Maillieu pospieszyl za nia.**

**No i co pan najlepszego zrobil? – rzucila sarkastycznie Nicomeda. – Moja siostra jest bardzo wzraliwa, trzeba postepowac z nia delikatnie!**

**Jordan zawrocil w strone powozu. Nie przejal sie odmowa Sereny. Kobieta przypominala mu rozpieszczone dziecko, ktoremu nie pozwalano dorosnac. A jesli dziecko boli zab, to, na litosc boska, nikt nie pyta go o zgode na wyrwanie. Dlatego byl sklonny przeprowadzic swoj plan – jego zdaniem jedyny sensowny w tej sytuacji – chocby i bez zgody Sereny Maillieu. Pewien problem stanowila koniecznosc pozbycia sie reszty domownikow, ale i to daloby sie rozwiazac, gdyby tylko mial**

**troche czasu.**

**Tydzien, myslal, idac w strone powozu. Boze, spraw, by Cien nie wrocil wczesniej. Nie mam prawa prosic o ten tydzien, ale tak bardzo go teraz potrzebuje.**

**Siostra Esmena, dawniej nazywana po prostu Nina, byla zakonnica od pietnastego roku zycia, czyli, liczac dokladnie, od dwoch i pol roku.**

**Czasami zdawalo jej sie, ze trwa to juz cala wiecznosc.**

**Kazdy dzien przypominal poprzedni. Poranna msza, skromny posilek, praca, modlitwa, znow praca, wczesna kolacja, msza wieczorna i w koncu krotki sen, jedyny moment, w ktorym mogla zostac sam na sam ze swymi myslami. Monotonne zycie sprawialo, ze w klasztorze najmniejszy drobiazg urastal do rangi wydarzenia. Przypalona owsianka podana na sniadanie, nagle zerwanie przyjazni pomiedzy siostra Manuela a siostra Audeta, pytanie, czy ojciec Malaquias nie zatrzymuje aby ladniutkiej siostry Desideraty zbyt dlugo w konfesjonale. Plotki, obmowy, kliki i koterie dzialajace przeciwko innym klikom i koteriom. Zlosliwosci, obluda i wszystkie te male, ale paskudne grzeszki, ktore rodza sie w zamknietych spolecznosciach.**

**Trzeba tez bylo pamietac o podopiecznych marcjanek.**

**Siostry od poczatku istnienia zakonu zajmowaly sie kobietami upadlymi, a swoja misje milosierdzia pelnily z pelna pogardy i zlosci pasja. Kazda ulicznice najpierw golono na lyso, by jej wlosy nie budzily juz grzesznego pozadania, a pozniej ubierano w szara plocienna suknie. Sukni tych nigdy nie dopasowywano do chwilowych wlasciwoosci i zdarzalo sie, ze kobiety chodzily, przytrzymujac w rekach zbyt dlugie brzegi, a innym spodnice ledwo zakrywaly kolana. Do kompletu podopieczne dostawaly jeszcze drewniane chodaki, ktore zakladane na bosc stopy zawsze obdzieraly je do krwi. Tak wyposazone, zostawaly wprzegniete w kolowrot klasztornej zycia. Msza poranna, modlitwa, praca... W ich przypadku liczyla sie przede wszystkim praca. Kobiety szyly i tkaly, a siostry sprzedawaly ich wyroby. Esmena wiedziala, ze do marcjanek trafialy ulicznice nie najmniej zepsute, pragnace sie nawrocic, lecz te najmniej sprytne. Wiekszosc z nich byla zbyt stara, glupia czy leniwa – lub wszystko naraz – by zapewnic sobie utrzymanie. Pozbawione dachu nad glowa, przemarnziete i glodne pukaly do klasztornej bramy. Lecz gdy tylko nabraly nieco ciala, a na zewnatrz ocieplilo sie, z radoscia powracaly na ulice, by najdalej za kilka miesiecy znow znalezc sie u marcjanek.**

**Oczywiscie zdarzaly sie wyjatki. Esmena patrzyla wlasnie na jeden z nich.**

**Kobieta, choc bardzo chuda, nie wygladala na zaglodzona. W jej sposobie poruszania sie byla jakas zwierzeca gracja i zywotnosc, a ogolona glowa wcale jej nie szpecila. Wrecz przeciwnie, sprawiala, ze wydawala sie w specyficzny sposob...**

piekna. Tak, ona jest piekna, myslala Esmena. Choc nie jest to ta konwencjonalna uroda, ktora podziwia wiekszosc ludzi. Jej piekno jest inne, dzikie i oryginalne. To uroda drapiezczy, nie kobiety.

Nieznajoma nie potrafila – albo nie chciala – mowic. Zostala tu przyprowadzona wczorajszego dnia przez jakas litosciwa staruszkę, ktora znalazla ja na ulicy moknaca w deszczu. Siostry marcjanki uznaly nowa podopieczna za glupia niemowe. Esmena miala co do tego watpliwosci. Moze i kobieta faktycznie byla niedorozwinieta, ale nie zmienialo to faktu, ze jednoczesnie wydawala sie... – Esmena przez chwile szukala wlasciwego slowa -...niebezpieczna.

Tego ranka, gdy obserwowala nieznajoma lapanie pozerajaca wodnista owsianke, nie uszlo jej uwagi, ze stopy kobiety sa ublocone. Czy wychodzila gdzies w nocy? Oczywiscie to zabronione, ale ona byla na tyle zwinna i silna, by bez problemow przeskoczyc klasztorny mur.

I jeszcze jedno. Esmena juz wczesniej zwrocila uwage na paznokcie kobiety: dlugie, ostre, w osobliwym ciemnozoltym kolorze.

Teraz jednego z tych paznokci brakowalo.

Jest dobry – przyznal Abre Joras.

Dobry? – Domenic Jordan usmiechnal sie z wysilkiem. – Jest znakomity. To prawdziwy geniusz.

Stali na galerii otaczajacej wielka sale, w ktorej fechtmistrz i jego trzech uczniow prowadzili wlasnie lekcje. Ten, ktory walczył z fechtmistrzem, od dawna juz lekcji nie potrzebował. Nadal jednak przychodzil tu, by, jak twierdzil, nie wyjść z wprawy. Domenic Jordan uwazal, ze prawda jest nieco inna.

On nie moze przezyc dnia, nie trzymajac w dloni szpady – powiedzial. – A najwieksza przyjemnosc sprawiaja mu pojedynki. Zyje po to, by o poranku stanac

naprzeciw kolejnego przeciwnika, walczyć i w koncu zabic. Nic wiecej sie nie liczy. To czlowiek skoncentrowany na jednym tylko celu, dlatego jest tak dobry.

Abre Joras skrzywil sie.

Czy cos takiego mozna nazwac zyciowym celem? W ciemnych oczach Jordana na chwile pojawil sie ironiczny blysk.

Dlaczego nie? Znam czlowieka, ktory twierdzi, ze zyje tylko po to, by kolekcjonowac rzezbione tabakierki.

**Jesli wierzyc plotkom, Tobias d'Eyquem mial za soba ponad czterdziesti pojedynekow. Byl znany z tego, ze nie okazuje przeciwnikom litosci. Jego sumienie obciazala juz smierc co najmniej trzydziestu osob. Siedem razy zostal ranny, w tym dwukrotnie dosc ciezko, ale nie przeszkodzilo mu to dokonczyc walki.**

**Nigdy nie przegral.**

**Odkad rozeszla sie wiesc, ze czeka mnie pojedynek z d'Eyquemem – ciagnal Jordan spokojnie, z lekko ironicznym usmiechem na ustach – a uwierz, ze rozeszla sie blyskawicznie, dostalem juz kilkanascie listow, w tym piec propozycji roznych magicznych amuletow i masci, ktore jakoby mialyby ochronic mnie przed ranami, a takze jedna propozycje przeprowadzki do Romefort i objecia stanowiska na tamtejszym uniwersytecie, przy czym autor zapewnial, ze moj honor na tym**

**nie ucierpi, bo do Romefort nie docieraja wiesci z Alestry. Potem byly cztery bileciki od alestranskich dam, zawierajace mniej lub bardziej nieprzyzwoite propozycje umilenia mi ostatnich godzin zycia, bukiet kwiatow, tak wielki, ze smialo moglby uchodzic za wieniec pogrzebowy, a nawet wiersz. Na koniec zas otrzymalem ponaglenie od mojego krawca domagajacego sie natychmiastowej splaty dlugu. Teraz czekam juz tylko na przedsioborce pogrzebowego, ktory przyjdzie wziac miare na trumne.**

**Jordan wychylil sie przez poredz galerii. Na dole w sali Tobias d'Eyquem walczył z trzema pomocnikami fechtmistrza. Rozbrajal ich z dziecinna latwoscia, czekal, az podniosla szpady, po czym wszystko powtarzalo sie od poczatku.**

**Ciekaw jestem – dodal Jordan – czy ktos w tym miescie wierzy, ze przezyje ten pojedynek?**

**Jego zwyciestwo wydawalo sie tym bardziej watpliwe, ze sprawial wrazenie chorego. Twarz mial poszarzala, pokryta drobniutkimi kropelkami potu, a ruchy ostrozne i niepewne. Kazde slowo, kazdy ironiczny usmiech wiele go kosztowaly.**

**Abre Joras widzial to wszystko, a jednak lojalnosc wobec przyjaciela przewazyla.**

**Tak, ja – powiedzial i ze zdumieniem odkryl, ze mowi szczerze. – Choc Bog mi swiadkiem, ze nie mam pojecia, jak zamierzasz to zrobic.**

**Wspaniale, prawda? Och, uwielbiam to! Od razu przypomina mi sie dziecinstwo, gdy z matka przychodzilam popatrzec, jak zapalaja lampy Davalady. Spojrz! Nie brakuje ani jednej!**

**Kolejny nasaczony nafta sznur, podpalony przez poslugacza z pochodnia, zaczal plonac. Ogień pial sie w gore i wktotce wysoko w mroku jedno po drugim rozblyly barwne swiatla. Lampiony wisialy ponad drzewami na specjalnie w tym celu**

zbudowanych konstrukcjach. Ułożono je w kształt kwiatów i zwierząt, a gdy udało się zapalić wszystkie i w świetlistych, kolorowych liniach nie było ani jednej przerwy, ludzie bili brawo.

Trwała noc Davałady, kiedy to Okcytanczyki zegnali odchodzące lato i witali jesień. W miejskim parku, jak co roku, urządzono z tej okazji festyn. Były karuzele, namioty cyrkowe, słodczyce, gorące napoje, sztuczne ognie i oczywiście gromady poruszających się na szczydlach przebieranców w luźnych czerwonych i zielonych szatach, białych maskach i marchewkowych sztucznych czuprynach na głowach.

Tej nocy sztywny podział na szlachtę i pospolstwo zacierał się nieco. Jednak i tutaj, w parku, widac było, że dobrze urodzeni starają się trzymać razem, zachowując przy tym pewną powściągliwość kontrastująca z entuzjazmem reszty gości, którzy krzyczeli z radości, przepychali się i palcami pokazywali największe atrakcje.

Stojąca obok Jordana dona Teresa była wyjątkiem. Ta przysadzista, niemłoda już kobieta przypominała rozradowane dziecko. Raz po raz wydawała głosne okrzyki, a jej oczy błyszczały podnieceniem. Jordan wiedział, że dwadzieścia lat temu, gdy dona Teresa była jeszcze panną, z powodu tych iskrzących się oczu i rumieńców na pulchnych policzkach stoczono niejedną pojedynkę.

**Spojrż!**

Na ciemnym niebie rozbłysły pierwsze sztuczne ognie. Dona Teresa wpiła palce w ramię Jordana.

Och, czuje się teraz zupełnie jak mała dziewczynka! Dzieciństwo to najszczęśliwszy okres w życiu człowieka. Tak bym chciała znów mieć sześć lat, przychodzić tu z mamą, jeść prele, pić wiśniową oranżadę i czuć się jak księżniczka z bajki!

Jordan delikatnie uwolnił ramię. Pragnienie powrotu do dzieciństwa, tak częste u ludzi, dla niego było zupełnie niezrozumiałe. Dzieciństwo kojarzyło mu się tylko z bezradnością, strachem i upokorzeniem.

Podeszła do nich markiza de Borneill spowita w obłok gazowych koronek i kwiatowych perfum, potem posiwiała, wyprostowana jak struna don Joan Crisostome z nieodłącznym psem myśliwskim u nogi, z którym ponoc chodził nawet do kościoła, i elegancki don Lucan, podpierający się laską, choć nie był kulawy ani stary. Laska jednak, przywieziona dawno temu z Malakki, stanowiła jego znak rozpoznawczy. Don Lucan miał zwyczaj, rozmawiając z kims, krecić nią młynka lub - jak teraz - wystukiwać na płytach chodnika rytmy popularnych oper. Tym razem Jordan rozpoznał bez trudu fragment trzeciego aktu Wiesniaczej doli.

Towarzystwo powiększało się z każdą chwilą. Domenic Jordan był popularny wśród alestranskiej szlachty. Jego ekscentryczny czarny strój, osobliwe poczucie humoru,

niezwykle i niebezpieczne zainteresowania budziły fascynacje i przyciągały ludzi. Co prawda, większość dobrze urodzonych zadawała sobie przy tym podstawowe pytanie: czy Domenic Jordan jest, czy nie jest szlachcicem, ale jak dotąd nikomu nie udało się znaleźć jednoznacznej odpowiedzi. Nie miał przed nazwiskiem charakterystycznego "de", lecz ci, którzy znali go dziesięć lat temu, pamiętali, że nim przyswoił sobie śpiewną wymowę alestranczyków, mówił z północnym akcentem, a na północy szlachta nosiła przecież najprzedziwniejsze nazwiska. Jego samego nikt do tej pory nie zapytał, być może w obawie, że usłyszy zaprzeczenie.

Kolejny sztuczny ogień rozsypał się w zielone i brązowe smugi, tworząc na niebie obraz palmy. Tym razem nawet szlachta głośno krzyknęła z podziwu, a ręce złożyły się do okłasków.

Słyszałam już – zaszczębiotała pachnaca kwiatowymi perfumami markiza de Borneill, która bez zęzady odepchnęła donę Teresę i zajęła miejsce przy boku Jordana – że pojutrze ma pan pojedynek z Tobiaszem d'Eyquem. To straszny człowiek! Dlaczego najdzielniejsi młodzi ludzie muszą ginąć w pojedynkach?!

Uśmiechnął się lekko. Rozbawiło go to zaliczenie do grona "najdzielniejszych młodych ludzi" połączone z absolutną pewnością, że nie przeżyje starcia z d'Eyquemem. Reszta towarzystwa najwyraźniej podzielała tę pewność. Namawiano go, by wyjechał z Alestry, ale też namawiano niezbyt usilnie. Alestranczyki liczyli na odrobinę rozrywki, a Domenic Jordan dzielnie ginął w pojedynku, którego przecież nie mógł wygrać, był znacznie bardziej interesujący niż Jordan-tchorz chyłkiem umykający z miasta.

Jedynie dona Teresa wydawała się szczerze przejmować jego sytuację.

Oni są głupi – rzuciła z typową dla niej bezpośredniością, odwołując go na bok. – Ja tam wcale nie jestem pewna twojej śmierci. Jednak ty naprawdę źle wyglądasz. Domenic, czyja powinnam się o ciebie martwić?

Zawahał się. Dona Teresa zasługiwała na uczciwą odpowiedź, ale nie mógł przecież powiedzieć jej prawdy.

Zauważyła jego niepewność.

Wycofuje pytanie – powiedziała pośpiesznie. – Wierzę, że sobie poradzisz.

Więc to już druga osoba, która nie wysyła mnie zawczasu na cmentarz, pomyślał Jordan. Chyba powinienem czuć się podniesiony na duchu.

Dona Teresa cofnęła się lekko, bo ścieżka nadchodziła hrabina d'Esquerra w sukni tak szerokiej, że zaczepiała o parkowe krzewy. Wokół niej unosił się intensywny zapach rozanych perfum zmieszany z mniej przyjemną wonią środków, którymi

**sluzba hrabiny tepila mole wygryzajace dziury w jej wspanialych toaletach.**

**Przywitala sie z Jordanem na sposob alestranczykow, chwytajac go za rece i podajac jednoczesnie do pocalunku policzek pokryty gruba warstwa pudru. Jesli i ona zacznie mowic o pojedynku... – pomyslal. Ale co innego zaprzatalo w tej chwili glowe hrabiny.**

**Wlasnie przed chwila rozmawialam z panska podopieczna – paplala, wciaz nie puszczajac jego rak. – Dlaczego nic nam pan o niej nie powiedzial? Czyzby dlatego, ze jej dziadek dorobil sie majatku, handlujac wschodnimi przyprawami? Niepotrzebnie! Serena Maillieu to urocza kobieta. I jaka przy tym dzielna! Widac Bog chcial poddac mnie probie, mowi do mnie z takim niesamowitym, chwytajacym za serce smutkiem i lagodnoscia. Nie wiem, czy w jej sytuacji zdobylabym sie na tyle spokoju. Z calego serca wspolczuje tej biedaczce. Los bardzo ciezko ja doswiadczył. To niesprawiedliwe, ze niektorzy zyja sobie szcieszliwie, a innych spotyka tyle tragedii, prawda?**

**Spocony i przerazony Peyretou przepychal sie przez tłum. Ominal kobiete z wrzeszczacym dzieckiem na reku, zanurkowal pomiedzy szczudlami zonglujacego pochodniami przebieranca i przedarl sie przez grupe pijanych wyrostkow, ktorzy obrzucili go wyzwiskami. Przeklenstwa utonely w zgielku. Wokol widzial rozesmiane twarze, biale jak maka maski i znow swiatla, karuzele, gdzie w takt prostych melodyjek obracaly sie konie i smoki, barwne plachty namiotow i znow swiatla, mnostwo swiatel. Pochodnie niesione przez sluzacych, parkowe latarnie, lampiony Davalady i wykwitajace na nocnym niebie sztuczne ognie.**

**Zacisnal zeby, prac w strone najbardziej okazalych namiotow gdzie zawsze zbierala sie szlachta.**

**Charakterystyczna postac w czarnym ubraniu zauwazyl od razu.**

**Panie! – wrzasnal, przekrzykujac domorosla spiewaczke, ktora wraz z grajacym na fujarce chlopcem urzadzila koncert przy jednej z alejek. – Panie!**

**Jordan zwolnil kroku, ale nie zatrzymal sie.**

**Wybacz, panie... – wydyszal Peyretou, doganiajac go – ale nie potrafilem jej upilnowac. Ona uparla sie, zeby pojechac na festyn, a ja... ja... Zgubilem ja i teraz nie wiem, gdzie jest...**

**Ja wiem.**

**Wskazal jeden ze skromniejszych namiotow, zolty jak szafran, z pomaranczowymi fredzlami. Tuz przed nim stala Nicomeda, jak zawsze w prostej, praktycznej sukni i**



**chustce na glowie.**

**Gdzie Serena? – Jordan nie bawil sie w uprzejmosci. Dawno juz nie czul takiego gniewu i wcale nie probowal go stlumic.**

**Nicomeda cofnela sie ze strachem.**

**W srodku...**

**Namiot byl podluzny i dosc szeroki. Jordan widzial ludzi przesuujacych sie korytarzem pomiedzy dwoma szeregami luster. Smiali sie i pokazywali sobie nawzajem zniekształcone odbicia.**

**Wśród nich, w pol drogi pomiedzy wejściem przednim a tylnym, stala Serena Maillieu. Ujela w rece rabeł sukni i dygnela wdziecznie. Jej odbicie – z pewnością groteskowo grube lub chude jak trzcina – powtorzylo uklon i kobieta zachichotala.**

**Przy wyjściu zrobilo sie zamieszanie, ktos wrzasnal: "Wchodzi sie druga strona!", ktos inny: "Uwazaj, jak lazisz**

**Pomiedzy lustrami szla teraz postac, ktora w pierwszej, ale tylko w pierwszej chwili mozna bylo wziac za kobiete ubrana w niekształtna szara suknie, z glowa oslonieta nie chustka nawet, a byle jak udartym kawalem szmaty.**

**Peyretou ni to krzyknal, ni to ze swistem wciagnal powietrze.**

**Zmierzajaca w strone Sereny postac miala w sobie tyle czlowieczentwa, co chodzacy na dwoch lapach i ubrany w sukienke tygrys.**

**Szla niespiesznie, nie spuszczajac wzroku z upatrzonej ofiary. Powoli cichly smiechy, ci bystrzejsi, ktorzy wiedzieli juz, ze dzieje sie cos niezwyklego, potrzasali ramionami mniej spostrzegawczych towarzyszy. Niektorzy wycofywali sie w strone wyjscia, inni zostawali, gapiac sie z daleka na niezwykla postac. Nikt jednak nie podszedl blizej i wktotce wokol Sereny i jej Cienia utworzyla sie pustka.**

**Jakas dziewczyna rozesmiala sie jeszcze raz, nieco nerwowo, jakby spodziewajac sie, ze to wszystko okaze sie jakimś osobliwym zartem.**

**Szybko umilkla.**

**Domenic Jordan mial w rekach pistolety. Strzal wydawal sie latwy. Serena Maillieu stala wciaz w tej samej pozie na srodku lustrzanego korytarza, a Cien zblizal sie, idac lewa strona. Odleglosc byla niewielka. Dobry strzelec mogl pociagnac za spust bez obawy, ze zrani kobiete.**

Jordan odwrócił się, wcisnął pistolety w ręce Peyretou.

Strzelaj – powiedział. – Ja nie dam rady. No już!

Chłopak zdążył jeszcze zauważyć, że dłonie Jordana drżały, i pomyślał, że z jego panem dzieje się coś złego.

W tej samej chwili tylnym wejściem wpadł Jacme i wymachując szpada, ruszył w stronę Cienia.

Peyretou wycelował i strzelił.

Kula musnęła czoło Cienia i zdarła mu z głowy chustę. Jedno z lusterek rozprysło się, a odłamki posypały na stojącą naprzeciw siebie parę. Przez moment patrzyli sobie w oczy: elegancka, pulchna kobieta i zwierzęco zwinny, wciąż spreżony do ataku demon.

Domenic Jordan był zbyt chory, by zauważyć coś więcej, ale ten właśnie obraz utkwił mu w głowie. Dwie tak różne postaci, na krociutką chwilę zastygły w bezruchu i spoglądające na siebie.

Potem Serena Maillieu krzyknęła krótko, ostro, a Cien odwrócił się i uciekł, odtracając zagradzającego mu drogę Jacme.

Bedzie bolalo? – Serena Maillieu szeroko otworzyła błękitne oczy.

Bedzie – odparł Jordan, ostrząc nóż.

Na pozór był opanowany, w rzeczywistości jednak wciąż buzał w nim gniew. Serena Maillieu wyszła dziś wieczór, choć przykazał jej zostać w domu, choć wiedziała, że poza ochronną strefą wciąż działającego zaklęcia grozi jej niebezpieczeństwo. Być może inni uważali to za uroczo nieodpowiedzialne czy odważne. Dla niego Serena Maillieu była tylko idiotka, która omal nie ściągnęła śmierci na siebie i swojego syna.

Cienki jak igła odłamek utkwił w policzku, tuż przy linii szczęki. Serena, próbując go wydłubać, wepchnęła tylko lustrzana drzazga glebiej. Jordan polecił Frisowi Maillieu, by przytrzymał jej głowę, a potem chirurgicznym ostrzem podważył i wyciągnął odłamek.

Miał rację, bolalo. Serena krzyknęła cicho, a mąż objął ją, szepcząc pocieszająco.

Nicomeda, Peyretou i słudzy, którzy mimo późnej pory nie spali jeszcze, czekając na powrót państwa, otoczyli ich teraz ciasnym kregiem. Wszyscy byli bladzi, wyraźnie poruszeni, ale w salonie panowało milczenie.

**Gdy moj sluzacy strzelil, chusta owijajaca glowe Cienia spadla – powiedzial Domenic Jordan, opatrujac skaleczenie. – Czy widziala pani wtedy jego twarz?**

**Serena Maillieu, ktora przez caly czas byla nienaturalnie wrecz spokojna, wolno pokrecila glowa. Jej oczy mialy na wpol przytomny wyraz i Jordan zastanowil sie, czy kobieta w ogole rozumie, co on mowi.**

**Prosze sie zastanowic – nalegal. – Byla pani bardzo blisko.**

**Nic nie widzialam.**

**Prosze dac jej spokoj! – oburzyła sie Nicomeda, a Fris Maillieu poparl ja. – Nie widzi pan, ze biedactwo ledwo trzyma sie na nogach?**

**A ty? – Jordan odwrocil sie w strone Jacme, ktory siedzial w rogu salonu.**

**Nic nie widzialem – powtorzil za matka, ale jego slowa byly nie ciche, jak jej, lecz ostre, wyzywajace.**

**Jordan skapitulowal. Bylo wpol do trzeciej w nocy i nie sadzil, by o tej godzinie udalo mu sie czegos dowiedziec. Polecil Frisowi Maillieu zaprowadzic zone do lozka.**

**Odwrocila sie jeszcze w drzwiach.**

**To moja wina, prawda? – zapytala cichutko, a w jej glosie slychac bylo pragnienie, by Jordan jak najszybciej zaprzeczyl. – Przeze mnie demon omal nie zabil Jacme.**

**Kochanie – Fris Maillieu staral sie podtrzymywac zone, choc biorac pod uwage fakt, ze on byl drobniutki, a ona pulchna, kobieta nie bardzo miala sie na czym oprzec – jak zawsze myslisz o wszystkich, tylko nie o sobie. Przeciez to ty mialas dzis zginac! Wybuchnela placzem.**

**Ale w ten wlasnie sposob zginal Roman! I ten mlodziutki sluzacy, i tamci mezczyzni na ulicy! Umarli, bo probowali mnie broniec! Na kazdego sprowadzam smierc! Gdybym miala dosc odwagi, wyszlabym teraz przed dom i zaczekala na demona, i... i... – Zachlysnela sie szlochem. Fris Maillieu objal ja.**

**Nie mozna tak myslec... Nie mozna... – szeptal.**

**Nicomeda ucalowala siostre, a sluzacy, w zaleznosci od odwagi, glosniejszymi lub cichszymi pomrukami wyrazali swoje wspolczucie.**

**Jacme wstal i wyszedl, zatrzasnkujac drzwi salonu. Domenic Jordan odprowadzil go zamyslonym wzrokiem.**

**Peyretou, czy ty zdazyles zauwazyc twarz Cienia?**

**Nie, panie. – W głosie chłopaka brzmiało poczucie winy. Zazwyczaj był pewien siebie, lecz dziś zawiodł już trzy razy. Zgubił Serene Maillieu w tłumie, spudłował, celując do demona, a na dokładkę w momencie, gdy spadła osłaniająca Cien szmata, odwrócił wzrok.**

**Ja też nie.**

**Jordan umilkł. Peyretou obrzucił go niespokojnym spojrzeniem. Domenic Jordan wyglądał już znacznie lepiej. Jego cera nabrała koloru, a dłonie, gdy opatrywał Serene Maillieu, były pewne. Mimo to chłopak nie przestawał się martwić. Co będzie, jeśli pan zginie w pojedynku? Przecież wszyscy mówią, że musi zginąć, a on sam wygląda tak, jakby strach doprowadził go już na krawędź ciężkiej choroby.**

**Jacme Garavel wyjechał. – Peyretou skulił się, jakby oczekiwał ciosu.**

**Dokąd?**

**Domenic Jordan nie podniósł głosu, ale chłopak nie miał złudzeń. Wiedział, że wiadomość nie spodoba się panu. Jego zwykła pewność siebie ulatniała się z każdą godziną. Był prostym młodzieńcem i świetnie nadawał się do nieskomplikowanych zadań. Kazano mu pilnować Sereny Maillieu, więc w miarę możliwości spełniał swój obowiązek. Czuł się jednak coraz bardziej zagubiony i bezradny. Pani Maillieu robiła, co chciała, a troska, jaka okazywała jej reszta rodziny, bardziej przeszkadzała, niż pomagała. A Jacme, ten sam, który według Domenica Jordana wiedział coś lub domyślał się czegoś, wyjechał i Peyretou nie mógł w tym przeszkodzić.**

**Do Romefort – odparł więc z niezwykłą u niego pokorą. – Ma zamieszkać przez jakiś czas u krewnych. Dzisiaj wczesnym rankiem pani Maillieu kazała spakować kufer syna i przed osmą wyjechali. Znaczący się, on i słuzacy.**

**Jordan zauważył zmieszanie chłopaka i poczuł litość.**

**Poradzimy sobie bez niego – powiedział, zaskakując tym Peyretou, który spodziewał się ostrej reprymendy. – Jestem niemal pewien, że młodzieńcowi kazano wyjechać, bo widział twarz Cienia. Serena Maillieu też musiała ją widzieć. Nie wiem, co takiego było w tej twarzy, że nie chce o tym mówić, ale mam sposób, by to z niej wyciągnąć.**

**Ubrany w strój wizytowy Abre Joras wyglądał osobliwie. Modnie jaskrawe kolory zamiast łagodzić, podkreślały jeszcze wysoka, niezgrabną sylwetkę i woskowo-złota twarz podobna do trupiej czaszki. Nic dziwnego, że słuzacy pod byle pretekstem wchodziłi do salonu i gapili się na niego z nieskrywanym zainteresowaniem.**

**Jordan wyprosił ich grzecznie, lecz stanowczo. Na jego prośbę wyszła również Nicomeda i, po dłuższej chwili, Fris Maillieu. Więcej kłopotu miał z ojcem**

**Malaquaisem, który po południu wpadł z wizyta, by, jak powiedział, przynieść Serenie duchową pociechę,**

**Nie bardzo pojmuje, jakie pan ma zamiary. – Ksiądz zmarszczył brwi, popatrując na Abre Jorasa, który stał naprzeciw fotela Sereny Maillieu, najwyraźniej niepewny, czy bez pozwolenia pani domu wolno mu usiąść.**

**Proszę mi zaufać. – Jordan łagodnie kierował księdza ku drzwiom.**

**Wolałbym przy tym być – upierał się ojciec Malaquias.**

**To niemożliwe. – Jordan darował sobie dalsze wyjaśnienia. – Zapewniam jednak, że pani Maillieu nie grozi najmniejsze niebezpieczeństwo.**

**Ksiądz w końcu wyszedł, a Domenic Jordan przekreślił klucz w zamku.**

**Serena Maillieu, jakby obudzona ze snu, spojrzała na niego z przestraszonym wyrazem twarzy.**

**Co pan robi?**

**Nic takiego. Nie chce tylko, by ktos nam przeszkadzał.**

**Nerwowo oblizła wargi, a jej oczy błądziły od jednego mężczyzny do drugiego, rozważając, od kogo może spodziewać się większej pomocy. Zdecydowała się na Abre Jorasa. Mimo budzącej niepokój powierzchowności wydawał się sympatyczniejszy niż Jordan.**

**Zasun zasłony, Domenic – powiedział Joras.**

**W pokoju zapanował mrok. Abre zapalił świecę i ustawił ją na stoliku przed fotelem Sereny Maillieu. Usiadł naprzeciw kobiecie.**

**Najważniejsze, by mi pani zaufała. – Uśmiechnął się, a jego głos brzmiał kojąco. Odpowiedziała niepewnym uśmiechem. – Nie zrobię pani krzywdy. Pomogę pani tylko przypomnieć sobie pewne fakty. Widzisz, pani, w głowie człowieka siedzi mnóstwo rzeczy, o których on sam już nie pamięta. A ja mam sposób na to, by te rzeczy wydobyć ot tak... – Zrobił ruch, jakby pociągał za niewidzialny sznurek. Mówił jak do dziecka, a Serena Maillieu, choć wciąż odpowiadała uśmiechem, wcale nie wydawała się bardziej odprezowana. – Przecież chce pani, by ten koszmar wreszcie się skończył, prawda?**

**Skinęła głową. W jej oczach czaił się lęk.**

**Proszę spojrzeć na świecę. Nie, nie na mnie, ale na płomień świecy. Proszę skupić na niej całą uwagę, wszystkie myśli...**

Głos Abre Jorasa nabral szczególnej barwy. Mówił coraz ciszej, coraz bardziej monotonicznie, każde słowo z nieodpartą siłą przyciągało uwagę, ale ich treść nie miała znaczenia. Ważny był ton głosu, ciepły i głęboki.

Ważna była świeca.

Jordan podszedł cicho do fotela kobiety. Towarzysz dał mu znak, by poczekał. Chwilę później głowa Sereny Maillieu opadła do tyłu. Spała.

Chciałbym – powiedział Abre – aby pani przypomniała sobie wczorajszą noc. Proszę się nie bać – dodał, gdy wzdygnęła się gwałtownie, a jej twarz po

bladła jak płótno. – To już minęło, a demon uciekł. To tylko wspomnienie.

Uspokoila się nieco.

Stała pani w namiocie krzywych lusterek, pamięta pani? Cień wszedł w pani stronę, a potem kula zerwała mu z głowy chustę i jedno z lusterek rozprysło się. Był taki moment, gdy mogła pani zobaczyć twarz demona. Chce, aby przypomniała sobie pani te właśnie chwile.

Abre Joras pochylił się do przodu, a Jordan odruchowo zacisnął dłonie w piasku.

Czy widzi pani twarz Cienia?

Spod zamkniętych powiek Sereny stoczyły się dwie duże łzy.

Ja... – Szarpnęła głową. Mięśnie jej twarzy zadrgały, jakby spokojną tafelkę wody zmącił nagle podmuch wiatru. – Nie... Niczego nie widzę.

Jest pani pewna?

Oddech Sereny był teraz płytki, dłonie zaciskała na poręczach. Szarpnęła się raz jeszcze, wygięła ciało w łuk i Jordan pomyślał, że za chwilę zerwie się z fotela.

Uspokój ją – szepnął.

Pod wpływem słów Jorasa mięśnie Sereny rozluźniły się i kobieta opadła na fotel. Jednak jej oddech nadal był krótki, nerwowy.

Nic nie widziałam, nic nie widziałam... – powtarzała.

Ależ owszem, widziałas – mruknął Jordan. Abre Joras w zamyśleniu pokręcił głową.

Nic nam nie powie. I ja sądzę, że widziała twarz demona, lecz jej opór jest zbyt silny. Nawet teraz, gdy powinna być całkowicie pod moim wpływem, zdołała

**zachowac na tyle wolnej woli, by sprzeciwic mi sie w tej jednej kwestii. To nie dziecinny kaprys, Domenic. Ona naprawde nie chce, by ktokolwiek dowiedzial sie, co ujrzala wczorajszego wieczoru.**

**Jordan dotad sadzil, ze widok twarzy demona wiazal sie dla Sereny z jakimś upokarzajacym wspomnieniem, z jakimś sekretem niewielkim, lecz wstydlwym. Serena Maillieu nie przyznalaby sie do czegos takiego. Nalezala do ludzi, ktorzy unikajac drobnych nieprzyjemnosci, pakuja sie w tarapaty znacznie wieksze.**

**Teraz nie byl juz taki pewny, czy faktycznie chodzi tu o lek przed upokorzeniem.**

**Zapytaj o seans, podczas ktorego przywolali demona – polecil.**

**Ale i tym razem nie dowiedzial sie nic sensownego. Serena i jej bliscy bawili sie w czarnoksiestwo przy pomocy dosc prymitywnego pentagramu, czterech czarnych swiec i krwi kota, ktoremu Roman Garavel poderznil gardlo. Wedlug Jordana, mieli jakies trzydziestci procent szans, ze to w ogole zadziala.**

**Spytaj wiec – powiedzial – czy nie wie, kto moglby chciec ja zabic.**

**Tak po prostu?**

**Tak po prostu.**

**Jak sobie zyczysz.**

**Joras zadal pytanie, a na twarzy kobiety pojawil sie niepewny usmiech, ktory po chwili poszerzyl sie.**

**Och, nie – odparla, energicznie potraszajac glowa. – Z pewnoscia nikt nie chcialby mnie skrzywdzic. Wszyscy zawsze byli dla mnie tacy mili, tacy dobrzy.**

**Nawet w dzieciństwie, kiedy tak dlugo chorowalam i zaden lekarz nie potrafil mi pomoc, i moj tato nosil mnie na rekach, za kazdym razem, gdy chcialam popatrzec na ogrod, bral mnie na rece i wynosil z domu, i nie pozwalal, zeby sluzacy nosili mnie w fotelu, bo mowil, ze dopoki starczy mu sil, to on bedzie nosil swoja mala coreczke...**

**Mowila coraz szybciej i mniej skladnie, wpadajac w dziecinny ton. Joras spojrzal ze zdziwieniem na Jordana.**

**Wiesz, o czym ona mowi?**

**Nie mam pojecia – odparl tamten. – Ale wyglada na to, ze Serena Maillieu naprawde ma pecha. Przewlekla choroba w dzieciństwie, a teraz przesladujacy ja od**

**czternastu lat Cien. Troche za duzo jak na jedna osobe, nie sadzisz?**

**Trzy kobiety krzataly sie w kuchni. Nicomeda pracowala na rowni z kucharkami, ubrana w fartuch, z rekoma az po lokcie ubabranymi maka. Spod ciasno zawiazanej chustki wymknely sie dwa jasne kosmyki i przylygnely do spoconego czola. Na przemian rzucala sluzacym krotkie polecenia, to znow smiechem odpowiadala na ich zarty. Jordan nigdy dotad nie widzial jej tak ozywionej i z niejakim zdziwieniem pojal, ze w tym domu najszczesliwsza jest osoba, ktorej na pozor zupelnie nie powiodlo sie w zyciu. Nicomeda nie miala meza ani dzieci, mieszkala u mlodszej siostry i pracowala dla niej, a mimo to nie zywila pretensji ani wygorowanych ambicji. Nalezala do tych ludzi, ktorym rozsadek i pogoda ducha pozwalaja cieszc sie z losu, jaki Bog im przeznaczyl.**

**Na widok Jordana przerwala wyrabianie ciasta i skinieniem glowy zachecila, by podszedl blizej.**

**Wkroczyl w gesta atmosfere przesycona dymem i aromatem zawiesistych sosow.**

**Chcialbym zadac pani jedno pytanie – zaczal, podczas gdy Nicomeda spogladala na niego z zainteresowaniem.**

**Jej oczy patrzyly inteligentnie i zywo. Tak moglaby wygladac Serena Maillieu, gdyby zeszczuplala odrobine i pozbyla sie z twarzy owego wyrazu, ktory wiekszosc ludzi brala za lagodnosc, a ktory dla Jordana byl jedynie ospala obojetnoscia czlowieka przyzwyczajonego do tego, ze inni decyduja o jego zyciu.**

**Wiem, ze siostra pani chorowala dlugo w dzieciinstwie, nie mogla chodzic, a zaden lekarz nie potrafil jej pomoc. Chcialbym wiedziec, co to byla za choroba.**

**Spojrzala ze zdziwieniem, ale nie zadala zadnego pytania. Przykazala jednej z kucharek dobrze pilnowac sosu grzybowego, odprowadzila Jordana na bok i zaczela opowiadac.**

**Wszystko zaczelo sie, gdy Serena miala siedem lat. Dziewczynka obudzila sie rano, skarzac sie na zdretwiale nogi. Sluzaca roztarla jej lydki i uda, sadzac, ze poprzedniego dnia dziecko zbyt duzo biegalo i stad sztywnosc miesni. Jednak nastepnego ranka wszystko powtorzylo sie od poczatku. Masaze i gorace kapiele pomagaly na krotko, Serena slabla coraz bardziej i dwa miesiace pozniej miala juz problemy z chodzeniem. Rosla szybko, ale nogi jakby nie nadazaly za rozwojem reszty ciala. Pozostaly szczuplutkie i dziecinne, a do tego jeszcze sztywne jak kolki, tak ze jej chod -gdy jeszcze mogla chodzic – przypominal kroki kogos, kto po raz pierwszy w zyciu porusza sie na szczudlach. | Lekarze nie potrafili zgodzic sie co do diagnozy. Jedni mowili o zapaleniu nerwow, inni o samoistnym paralizu spowodowanym unoszacymi sie w powietrzu szkodliwymi miazmatami, jeszcze inni**



wspominali klatwe. Patrice Tourtou wozil ukochana corke od medyka do medyka, nie omijajac takze magow, a nawet wiejskich znachorow. Probowano ja leczyc przy pomocy nakluwania iglami, morskich kapieli i okladow z plotna nasaczanego krwia golebia, co ponoc mialo wspomoc obieg leniwej krwi. Wszystkie te zabiegi Serena znosila z godna podziwu cierpliwoscia i pogoda ducha. Nie zaprotestowala nawet, gdy ojciec zamowil u miejscowego kata, znajacego sie nieco na anatomii, zelazne kajdany, ktore zakladano dziewczynce na nogi w nadziei, ze ich ciezar wycwiczy i wzmocni slabnace miesnie. Serena niemal przez pol roku poruszala sie o kulach, wlokac za soba dodatkowy ciezar. Nie pomoglo, a Patrice Tourtou zwatpil w medycynie i zwrocil sie o pomoc do swietych.

I wydarzil sie cud. W trzynastym roku zycia, gdy wszyscy juz stracili nadzieje, Serena zostala uzdrowiona przez swieta Ravosse. Dziewczynka z dnia na dzien odzyskiwala sily, jej nogi zaczely rosnac i wkrótce dogonily reszte ciala, a miesnie, dotad wiotkie i bezuzyteczne, wreszcie staly sie mocne.

W dniu, gdy bylo juz pewne, ze Serena wraca do zdrowia, Patrice Tourtou najpierw rozplakal sie, zalujac tylko tego, ze jego zona nie dozyla tej chwili, a potem kazal kupic dwie beczki najlepszego bastenskiego wina i pozwolil sluzbie pic do woli.

Sam zas wyszedl w mrok, zostawiajac za soba pograzony w zabawie dom.

W pewnym sensie Patrice Tourtou byl czlowiekiem prymitywnym. Niewiele dzielilo go od jego dziada, ktory plywal na handlowych statkach. A marynarze sa przesadni. Wierza, ze za kazda laske trzeba zaplacic, im wieksza laska, tym wieksza musi byc zaplata. W przeciwnym razie swiety odbierze czlowiekowi to, co wczesniej dal, a moze ukarze jeszcze wiekszym nieszczesciem.

Dlatego Patrice Tourtou zaplacil katu, by obcial mu prawa dlon, a potem zanosl ja do kosciola swietej Ravossy i polozyl wsrod kwiatow, bizuterii i dzieciacych bucikow. Ksiadz pewnie wyrzucil upiorny dar, bo nastepnego dnia rano juz jej tam nie bylo, ale Patrice Tourtou mial spokojne sumienie.

Przynajmniej az do chwili, gdy szesc lat pozniej Serene zaczal przesladowac Cien.

Jordan zastanowil sie, czy Patrice Tourtou umieral pelen poczucia winy, w przeswiadczeniu, ze swieta uznala tamta ofiare za zbyt mala i ukarala Serene, nasylajac na nia demona.

Uznal, ze to bardzo prawdopodobne.

Swoja droga, ciekawe, czy ojciec nieszczesnej kobiety zwrocil kiedykolwiek uwage na osobliwe podobienstwo laczace te dwie sprawy. Za pierwszym razem chodzilo o nieznaną chorobe, za drugim o przesladujacego Serene demona. Jednak w obu przypadkach nieszczescie Sereny trwalo dlugo, calymi latami, w obu przypadkach jej

rodzina przenosiła się z miejsca na miejsce, daremnie poszukując ratunku, a nikt, nawet najlepsi specjaliści, nie potrafił pomóc Serenie.

Jordan miał jeszcze jedno pytanie. Choc właściwie nie musiał go zadawać.

Znal już odpowiedź.

Swiecona woda miała dla niej lekko stęchłą, żelazistą won i Esmena, przezegnawszy się, zawsze starannie wycierała dłonie w habit. Czasem przychodziło jej do głowy, że takie postępowanie Bog może uznać za bluźnierstwo. Prosiła wtedy o wybaczenie, całując z pokora wilgotne jeszcze palce. Woda swiecona smakowała jak rdza.

Tego wieczoru siostra Esmena nie miała czasu myśleć o takich rzeczach. Przezegnała się pośpiesznie i stanęła za filarem, obserwując, jak powoli kurczy się kolejka czekających na spowiedź zakonnic. Ostatnia, jak zawsze, spowiadała się siostra Desiderata. Echo szeptanych, zlewających się ze sobą słów miękko odbijało się od kamiennych ścian pustego już kościoła. W innym przypadku Esmena pewnie spróbowałaby wychwycić choć kilka wyrazów, zwróciłaby też uwagę na zupełnie w tym miejscu nieostrożne stłumione śmiechki i zauważyła, że oczy odchodzącej od konfesjonalu Desideraty błyszczą, a policzki są mocno zaróżowione.

Jednak dziś ten potencjalny temat smakowitych plotek nie interesował jej zupełnie. Podeszła do konfesjonalu i uklekła. Ojciec Malaquias, który chciał już wychodzić, usiadł z powrotem. – W imię Ojca...

Przezegnała się. Niespokojny oddech osiadał na metalowej kratce oddzielającej ją od księdza. Zadrzała. W kościele panował ów charakterystyczny dla wiecznie zacienionych pomieszczeń wilgotny chłód. Tu wszystko, nawet drewniane konfesjonały, zawsze wydawało się zimne. Esmenie przypominał się kościołek w jej rodzinnej wsi. Tam lipowe drewno pachniało ciepło słońcem, a wiosną i latem przez otwarte okna wpadały pszczoły.

Odgoniła wspomnienie i rozpoczęła spowiedź.

Siostra Esmena nie miała żadnego usprawiedliwienia na to, że nie spała poprzedniej nocy. Żadnego prócz tego, że była to noc Dawałady, a ona miała siedemnaście lat. Wymknęła się więc do wirydarza, by stamtąd podziwiać wykwitające na nocnym niebie sztuczne ognie.

Ogarnęło ją znajome uczucie nie gorczy, bo dawno już pogodziła się z klasztornym życiem, ale żalu i tęsknoty. W święta zawsze czuła się samotna. Na myśl, że mogłaby zasypiać teraz w rodzinnym domu, zmęczona zabawą i z brzuchem pełnym po świątecznej kolacji, do jej oczu nabiegły łzy.

Nie rozplakała się jednak. Czas, gdy noca szlochala z twarzą wtulona w szorstki

siennik, juz minal.

Zawrocila i weszla do budynku. Biegnacy od wirydarza korytarz oswietlano oliwnymi lampkami, z ktorych pozna noca zostawiano zapalona tylko co trzecia. Zbyt malo, by rozproszyc ciemnosc, ale wystarczajaco, by nie blakac sie po omacku. Esmena szla od jednego jasnego punktu do drugiego dosc pewnie, bo korytarz byl prosty i szeroki. Podeszwy drewniakow wybijaly rowny rytm na kamiennej posadzce. Nie starala sie zachowywac ciszy. Mijala teraz pomieszczenia gospodarcze: pralnie, westiarnie i laznie, w ktorych o tej porze nie powinno byc nikogo.

Przy lazni zatrzymala sie nagle. Poczekala, az przebrzmi echo jej ostatniego kroku, potem slyszala juz wlasny oddech i szum krwi tetniacej w uszach.

Ale przeciez chwile wczesniej slyszala cos jeszcze, prawda?

Wolno, ostroznie schylila sie i zdjela z nog drewniaki. Odstawila je pod sciane, podeszla pod drzwi lazni i przylozyla ucho.

Nie miala juz watpliwosci. W srodku ktos byl. Ktos, a moze cos, bo to, co slyszala, brzmialo jak zwierzece powarkiwanie, przerywane od czasu do czasu krotkimi bolesnymi piskami.

Zupelnie jak pies, ktory wylizuje sobie skaleczona lape, pomyslala.

Przez chwile ciekawosc walczyła w niej z lekiem. Perspektywa powrotu do celi i spokojnego snu z kocem naciagnietym na glowe wydawala sie necaca, ale Esmena nie nalezala do tchorzy.

Podniosla jedna stope, zziebnieta juz od stania na kamiennej posadzce, i roztarla ja o lydke. Potem to samo zrobila z druga.

I uchylila drzwi.

Jedna z balii przeslonieta byla parawanem z bialego plotna, za ktorym chwial sie plomien swiecy. Na parawanie, obramowany zolтым swiatlem, wyraźnie rysowal sie cien. Ktos siedzial na brzegu balii, wydajac te wlasnie zwierzece odglosy, ktore zwrocily uwage Esmeny.

Dziewczyna po chwili wahania pchnela drzwi, otwierajac je szerzej.

Parawan ustawiono dosc niedbale, tak iz pomiedzy jedna ze scianek a murem lazni utworzyla sie szpara wystarczajaco szeroka, by dojrzec przez nia drewniana balie. Do tej szpary zblizala sie teraz Esmena. Skradala sie tuz przy murze, zgieta wpol. Gdy byla juz wystarczajaco blisko, przylozyla policzek do chropowatych cegiel i zajrzala ostroznie.

Na brzegu balii siedziała kobieta-niemowa o gibkim ciele i drapieżnej, pięknej twarzy. Suknie miała rozerwana na piersiach i zsunięta aż do połowy ramion. Pochylała się nad ustawionym na drugim brzegu balii niewielkim zwierciadłem – Esmena rozpoznała w nim leżące zazwyczaj w refektarzu lustro, w którym pozwalano przeglądać się nowym zakonnicom tuż po ceremonii obłóczyn.

Kobieta wbija długie, ostre paznokcie w skórę dekoltu. Spomiędzy jej zacisniętych zębów wydobyło się warkniecie, a chwilę później cichy skowyt. Z ranki pociekła wąska strużka krwi i znikła między nagimi piersiami. Kobieta wytarła dłonie w suknie. Mały odłamek lustra błysnął metalicznie w płomieniu świecy i upadł na posadzkę. Niewielkie, ale wciąż krwawiące skaleczenia pokrywały już jej ramię, szyję i lewy policzek.

Kobieta pochylała się, zaczerpnęła z balii wody i przemyła skórę.

Esmena wycofała się cichutko i dopiero za drzwiami łazienki odważyła się głębiej odetchnąć.

Ojciec Malaquias był dobrym kapłanem. Grzeszył zaledwie drobnymi występkami, a swoje obowiązki spełniał gorliwie i nie bez przyjemności. Lubił długie teologiczne dyskusje, lubił też, gdy zwracano się do niego o pomoc i pociechę. Modlitwa a także msza święta przez powtarzalność słów i rytuałów dawały mu pewność, że świat jest miejscem jeśli nie bezpiecznym i szczęśliwym, to przynajmniej uporządkowanym. Gdy stał u stóp ołtarza, milkły wyrzuty sumienia, które dreczyły go przez większość życia.

Tego wieczoru było inaczej. Dzisiaj nie potrafił przestać myśleć o Serenie Maillieu, na którą sprowadził – ojciec Malaquias zawsze starał się brać winę na siebie - nieszczęście.

Przezegnal się i rozpoczął mszę świętą słowami psalmu.

Judica me Deus, et discerne causam meam de gente non sancta: ab homine iniquo et doloso erue me.

I nigdy wcześniej nie wypowiedział tych słów z taką pasją.

Czy to możliwe, że jedna z jego owieczek w rzeczywistości jest wilkiem? Z pozoru było to nieprawdopodobne, ale przecież święta Marcjana zajmowała się nawracaniem jawnochrześcijan, a nie zwalczaniem demonów. Demon bez przeszkód mógł wejść do kościoła. Święta nawet nie zwróciłaby na niego uwagi.

A kryjówka w klasztorze marcjanek – choć wydawało się to absurdalne – była dobrym pomysłem. Tutaj kobieta-demon była bezpieczna. Nikt ją o nic nie wypytywał, miała dach nad głową i ciepły posiłek każdego dnia. Nie musiała nawet pracować, bo

siostry, uznawszy, że jest niespełna rozumu, nie chcieli jej powierzyć igły i nici.

Znane na pamięć słowa płynęły z ust księdza. Słyszał odpowiedzi wiernych, ale myślami był daleko.

Siostra Esmena mówiła o długich, ostrych paznokciach kobiety i stopach ubrudzonych ziemią, jakby wieczorami gdzieś wychodziła. I te skaleczenia. Gdy tylko o nich usłyszał, od razu przypomniało mu się rozbite kula lustro i odlamek, który zranił Serene w policzek.

Jube, Domine, benedicere. Dominussit in corde meo et in labiis meis.

Wszedł na ambone. Widział teraz zgromadzonych w kościele wiernych.

Zakonnice siedziały w pierwszych ławkach, a tuż za nimi w karnym rzadku ich podopieczne. Ksiądz, wciąż mówiąc, powiodł wzrokiem po twarzach, na które nigdy wcześniej nie zwracał uwagi. Kobiety w identycznych sukniach i z ogolonymi głowami były zdumiewająco do siebie podobne. Jedna tylko wyróżniała się z tłumu.

Głos księdza zadrzał i zalamal się. Przez pierwsze rzędy przebiegł niespokojny szmer, a przysypiający w dalszych ławkach wierni podnieśli głowy.

Po chwili ojciec Malaquias podjął przerwany wątek. Zwyciężyło w nim wieloletnie przyzwyczajenie, lecz napominając i mówiąc o karze za grzechy, czynił to całkowicie bezmyślnie.

Wciąż patrzył na tę twarz i dziwił się, jak mógł nie zauważyć jej wcześniej. Być może to przez jej urodę, pomyślał. Teraz, gdy wszystko stało się tak przerażająco, boleśnie jasne, dostrzegł w niej piękno. Była tak podobna do tamtej drugiej, która znalazł od lat, a jednocześnie tak od niej różna. Inna, o wiele piękniejsza.

Msza święta dobiegła końca, wierni zaczęli się rozchodzić.

Ojciec Malaquias zatrzymał jedną z siostr.

Widziałem – ruchem głowy wskazał demona – że ta kobieta nie przystąpiła do komunii świętej. Dlaczego?

To głupia niemowa, ojczu. Nie jest zdolna wyświadczyć się, żałować za grzechy ani pojąć prawd wiary.

Być może mylisz się, corko. Może istnieje sposób, by się z nią porozumieć. Chciałbym spróbować.

Zakonnica z pokorą skłoniła głowę i wyszła z kościoła. Ojciec Malaquias został sam

na sam z demonem, który od czternastu lat przesładował Serene Maillieu.

Spodziewał się, że poczuje gniew, może strach, a tymczasem zwyczajnie nie miał pojęcia, co teraz robić. Kobieta-demon stała naprzeciw niego zupełnie obojętna, ale jednocześnie w pewien zwierzęcy sposób czujna i gotowa do odparcia ataku. Jej niebieskie oczy nie wyrażały nic.

Wczesniejsze doświadczenia kapłana nie przygotowały go do takiej sytuacji. Żadne słowo nie wydawało się stosowne, każdy gest byłby bluźnierstwem. Przelanie w kościele krwi demona to grzech czy też nie?

Wiem, kim jesteś – powiedział cicho. – I wiem, kto cie wezwał. Nie sadz, że pozwolę, by to dłużej trwało.

Na twarzy kobiety-demonia nie drgnął ani jeden mięsień. Dopiero teraz ojciec Malaquias poczuł lek, który sparaliżował go na chwilę. Potem jednak gniew przelamał strach i ksiądz wyciągnął dłoń, by chwycić Cien za łokieć.

Chodź – rzucił, mając nadzieję, że zabrzmie to ostro.

Nim jednak dotknął demona, poczuł, jak dwie silne ręce chwytają go za ramiona, a jego stopy nagle tracą oparcie. Pchnięty w tył z niesamowitą siłą ojciec Malaquias wpadł pomiędzy ławki, łamiąc jedną z nich na pół. W ostatnim przebłysku świadomości zarejestrował jeszcze, że leży w idiotycznej pozycji, z głową w dół, sutanna podciągnięta aż do pasa i nogami w górę. Potem ból pozbawił go przytomności.

Ojciec Malaquias prosił, by posłać po pana. – Siostra Audeta, pełniąca tego dnia obowiązki furtianki, patrzyła na Jordana z powatpiewaniem. – Nie wiem, po co. Opiekuje się nim już jeden lekarz.

Domenic Jordan nie odpowiedział. Domyslał się, że kapłan wcale nie oczekuje od niego pomocy medycznej.

Przeszli przez rozmownice i znaleźli się na terenie klauzury. Skierowali się w stronę przeznaczonego dla kapelanów domku.

Czy ojciec Malaquias powiedział, co się stało?

To dziwne, ale nie. – Siostra Audeta lekko zmarszczyła brwi. – Choć z drugiej strony my też nie chcielibyśmy za bardzo wypytywać. Ojciec dopiero niedawno odzyskał przytomność, a połamana ręka bardzo mu dokucza. Proszę go oszczędzać, jeśli łaska.

Skinal głowai wszedł do budynku.

Ksiadz lezal na lozku, blady, z prawa reka ujeta w lubki i ciasno owinieta plotnem. W dusznej izbie unosil sie lekki zapach laudanum, ktorym medycy lagodzili bol. Lekarz czuwajacy przy rozgrzanym do czerwonosci piecyku zerwal sie na widok Jordana, a ojciec Malaquias otworzyl oczy.

Prosze zostawic nas samych. Tylko na chwile. Medyk wyszedl, a Jordan wzial pozostawione przy piecu krzeslo, przysunal je do lozka i usiadl.

To byl on – wyszeptal ksiadz. – Cien. Przybral postac kobiety. Tej, ktora go wezwala. Nie przyszlo mi do glowy, ze to mozliwe...

Nikomu cos takiego nie przyszlo do glowy – powiedzial Jordan. – Wciaz jeszcze zbyt malo wiemy o tego rodzaju istotach. Ale wiem za to, kto wezwal Cien, wiem, czyja twarz ma demon.

To dobrze. – Ksiadz przymknal oczy. Mimo bolu byl bardzo senny. Laudanum powodowalo taki wlasnie efekt. – On zniknal. Trzeba go znalezc i zabic. Przerwac to wszystko, nim bedzie za pozno.

Wiec to juz jutro – mruknal Abre Joras. – Jesteś pewien, że czujesz się dobrze? Ostatnio wygladales dosc... nieszczegolnie. Moglbys poprosic o przelozenie

pojedyнку ze wzgledu na zly stan zdrowia. Pocwiczylbys troche w miedzyczasie, a moze... – Wzruszyl ramionami. W gruncie rzeczy zdawal sobie sprawe, ze Jordan, by dorownac Tobiasowi d'Eyquem, musialby cwiczyc nie kilka dni, a kilka lat.

Czuje sie znakomicie – zapewnil Jordan. – I nie mam zamiaru odkladac pojedyunku. Zaluje tylko, ze wciaz nie wiem, dlaczego ten czlowiek uparl sie mnie zabic.

Abre zachichotal cicho.

Jesli chcesz, moze ci powiedziec.

Wbrew oczekiwaniom Jorasa Jordan nie wydawal sie zdumiony. Usmiechnal sie tylko uprzejmie.

Powiedz.

Pamietasz Carlote Daures, o ktorej mi opowiadales? Tobias d'Eyquem jest jej kuzynem. Dosc dalekim, a w dodatku rodzina przez dluzszy czas do dony Carloty w ogole nie chciala sie przyznac. Widac jednak te wiezy okazaly sie wystarczajaco silne, by d'Eyquem zgodzil sie spelnic prosbe kuzynki.

A ona chce mojej smierci? Na litosc boska, dlaczego?

**Poniewaz poznales jej tajemnice.**

**Jaka, u licha, tajemnice? Dopiero po chwili Jordan przypomniał sobie ten maly, banalny sekret, ktorego domyslil sie, patrzac na twarz dony Carloty.**

**Z powodu czegos takiego mam jutro umrzec?**

**Nie rozumiesz kobiet – powiedzial Joras, usatysfakcjonowany, ze wreszcie zobaczył w oczach przyjaciela zdumienie. – Ty w ogole slabo rozumiesz ludzi, ktorzy nie mysla tak jak ty. Wydaje ci sie, ze wszyscy powinni kierowac sie rozsadkiem i logika, bo ty tak robisz. A nie ma istoty mniej rozsadnej niz starzejaca sie a niegdys piekna kobieta. Carlota Daures nie moze zniesc myśli, ze zyje ktos, kto wie o niej cos takiego.**

**Gdybys wtedy zgodzil sie jej pomoc, a ona by ci zaplacila, wszystko wygladaloby inaczej. Bylbys platnym pracownikiem, prawie sluzacym, a to, co wie sluzacy, nie ma znaczenia.**

**Obiecalem jej dyskrecje – mruknal Jordan. – Bylem bardzo uprzejmy**

**O tajemnicy dony Carloty wspomnial mimochodem tylko Jorasowi. Nie mial najmniejszego zamiaru o tym plotkowac. Sekret ten byl zbyt blahy, zbyt banalny, by zawracac sobie nim glowe.**

**Abre Joras usmiechnal sie szeroko.**

**Oczywiscie. Ty najbardziej niebezpieczny wydajesz sie wlasnie wtedy, gdy jestes taki opanowany i uprzejmy. Mysle, ze musiales wtedy te kobiety nielicho wystraszyć.**

**Jesli oberza, do ktorej zmierzal wlasnie Domenic Jordan, miala kiedys jakas nazwe, to dawno juz o niej zapomniano. Teraz nazywano ja po prostu Rozdrozem, bo lezala przy rozwidleniu traktu. Potem, gdy miasteczko, do ktorego prowadzila jedna z drog, opustoszalo, a z Alestry do Moulis zbudowano nowy, krotszy trakt, oberza podupadla. I pewnie zamienilaby sie w ruine, gdyby nie kaprys losu. Rozdroze stalo sie bowiem modnym miejscem pojedynkow. Do dobrego tonu nalezalo zjawic sie tutaj rankiem, zamowic sniadanie – najlepiej obfite, by udowodnic przeciwnikowi, ze strach nie pozbawil nas apetytu – a dopiero potem stanac do walki.**

**Domenic Jordan nie mial zamiaru wchodzic do dusznego, ciasnego wnetrza oberzy. Usiadl w ogrodzie pod karlowata, pokryta gruzlowatymi naroslami jablonia. Wokol pelno bylo opadlych malenkich jabluszek, ktore wygladaly tak, jakby zgnily, zanim zdazyly na dobre dojrzec. Stracil jedno z nich ze stolu, po czym zanurzyl lyzke w miedzianym kociolku. Rozdroze bylo dosc paskudnym miejscem, ale potrawke z krolika dawali tu smaczna.**



**Tobias d'Eyquem wraz z dwoma sekundantami zjawil sie dziesiec minut pozniej. Jordan zaprosil ich do stolu. D'Eyquem jadal szybko, parzac sobie usta goraca potrawka. W jego oczach blyszczalo juz nie podniecenie, a zadza, jaka opiumista moglby odczuwac na widok nabitej fajki.**

**Jordan podsunal mu butelke wina.**

**Prosze sprobowac. Znacznie lepsze niz to, ktore tu podaja.**

**Meczyczna wyciagnal reke, zawahal sie. Jordan z kpiacym usmiechem nalal wina do kubka i wypil. D'Eyquem poszedl w jego slady.**

**Jak dlugo bedziemy czekac na panskich sekundantow? – spytal.**

**Jestem sam – odparl Jordan. – To jakis problem? D'Eyquem wzruszyl obojetnie ramionami, a don Caprasi, jeden z jego sekundantow, skrzywil sie lekko na takie pogwalcenie przepisow.**

**Dosc tego. – D'Eyquem dopil wino i energicznie podniosl sie z lawy. – Zaczynajmy.**

**Piec minut – mruknal don Caprasi, gdy przeciwnicy staneli naprzeciw siebie. – Zaloze sie, ze nie wytrzyma dluzej niz piec minut. Chyba ze d'Eyquem zechce sie z nim troche pobawic.**

**Dokladnie na to liczyl Domenic Jordan.**

**Don Caprasi dawniej sam byl zawolany szermierzem, jednak z biegiem lat, w miare jak jego miesnie sztywnialy i slably, stal sie bardziej teoretykiem niz praktykiem. Rzadko juz walczył, ale funkcje sekundanta przyjmowal chetnie.**

**Jeden rzut oka na walczacych pozwolil mu poznac, ze tym razem d'Eyquem mial przeciwnika znacznie lepszego niz ci, ktorzy trafiali mu sie ostatnimi czasy. Don**

**Caprasi lubil bawic sie w odgadywanie ludzkich charakterow na podstawie techniki walki, wiec od Domenica Jordana, zawsze tak powsciagliwego i opanowanego, nie oczekiwal wielu niespodzianek. Mylil sie, bo Jordan, choc faktycznie przez wiekszosc czasu walczył w stylu dosc klasycznym, potrafil jednak zaskoczyc jakimś malo ortodoksyjnym, a pomyslowym pchnieciem czy zwodem. Rzecz jasna, nie na wiele sie to zdawalo. D'Eyquem bez trudu parowal kazdy atak. Don Caprasi obserwowal go z przyjemnoscia. Ciało szermierza przepelniala kipiaca energia, zawsze jednak kontrolowana. D'Eyquem, choc walka sprawiala mu niewatpliwa rozkosz, nie zamierzal dac sie ponieśc emocjom. Jego styl byl idealna synteza agresji i opanowania, sily i zrecznosci.**

**Jordan przestal atakowac. Mogl juz tylko sie bronic. Cofal sie przy kazdym**

**pchnieciu i don Caprasi pojal, ze to koniec zabawy.**

**D'Eyquem nacieral ostro, dazac do skrocenia dystansu. Jordan zrecznie uniknal pchniecia w piers tylko po to, by chwile pozniej ostrze rozoralo mu grzbiet dloni. Wykorzystujac okazje, d'Eyquem uderzyl w glownie przeciwnika, probujac wytracic mu bron z reki, jednak Jordan pewnie sciskal sliska od krwi rekojesc.**

**Piec minut... – wymamrotal don Caprasi.**

**W tym momencie d'Eyquem popelnil pierwszy blad. Pchniecie, ktore mialo siegnac twarzy, okazalo sie zbyt krotkie i ostrze zatrzymalo sie tuz przed celem. Jordan odruchowo cofnal sie jeszcze o krok, zdazyl jednak dostrzec w oczach przeciwnika zdziwienie. Zla ocena odleglosci rzadko zdarzala sie tak doskonalemu szermierzowi jak Tobias d'Eyquem.**

**Zraniona dlon rwala bolem i Jordan wiedzial, ze nie wytrzyma tego dlugo. Sparowal kolejne pchniecie, nie dal sie zwiesc pozorowanemu atakowi i zatrzymal zmierzajace w strone jego serca ostrze. Ruchy przeciwnika, dotad tak precyzyjne i pelne energii, staly sie naraz zbyt szerokie i wolne.**

**Jordan zaatakowal i w momencie, gdy glownie zetknely sie, zmienil kierunek natarcia. Szpada siegnela piersi d'Eyquema. Mezczyzna cofnal sie, na jego koszuli wykwitla szkarlatna plama. W oczach mial juz nie zdziwienie, a strach. Jordan nie dal mu czasu na opamietanie sie. Uderzyl mocno wzdluz zelaza przeciwnika, skrecajac jednoczesnie nadgarstek. D'Eyquem odslonil sie na jedna krotka chwile, a wtedy Jordan – z szybkościa, precyzja i wyczuciem odleglosci, ktore wzbudzily podziw don Caprasiego – wbil mu ostrze w podstawie szyi.**

**Podtrzymal osuwajacego sie na ziemie mezczyzne i zblizyl usta do jego ucha. Na piersi czul cieplo krwi buchajacej z przeklutego gardla.**

**Mowilem, ze zabije cie, jesli mnie do tego zmusisz, pamietasz? – szepnal.**

**Pozwolil d'Eyquemowi upasc na ziemie i siegnal po chusteczke, by przewiazac zraniona dlon.**

**Serena Maillieu zazwyczaj wstawala dopiero kolo poludnia, jednak tego ranka obudzila sie wczesniej, zaniepokojona panujaca w domu cisza. Przez chwile nasluchiwala pilnie, starajac sie wylowic znajome odglosy krzatajacej sie sluzby, ale slyszala tylko tykanie stojacego na kominku zegara i dobiegajacy z ulicy turkot kol powozow. Wyciagnela reke, by zbudzic spiacego obok meza. Jej dlon natrafila na zimna posciel. Usiadla na lozku, pobladla, z mocno bijacym sercem.**

**Dom byl pusty, martwy.**

Narzuciła szlafrok i wybiegła z sypialni. Mijała kolejne pomieszczenia rozjasnione porannym słońcem, opustoszałe i ciche. Echo kroków niesło się daleko, w powietrzu wirowały drobinki kurzu. Nikt nie rozpałił w kominkach, żadna reka nie zastąpiła zwiedłych kwiatów świeżymi, a z kuchni nie dochodził apetyczny zapach śniadania.

Serena przyspieszyła kroku i wpadła do salonu.

Domenic Jordan nie wstał na jej powitanie. Odwrócił się tylko i gestem dłoni wskazał stojący obok fotel.

Proszę usiąść.

Co się stało? Gdzie się wszyscy podzieli? Kurczowo sciskała polę szlafroka. Pomimo leku i niepewności pomyślała nagle, że jest rozczochrana, nieubrana, a twarz ma wciąż miękka od snu.

Siostra pani i mąż pojechali do klasztoru marcjanek – wyjaśnił Jordan. – Wezwał ich pilny list ojca Malaquiasa. Ojciec zgodził się wyświadczyć mi te przysługi i zatrzymać ich przez jakiś czas. A służbie dałem wolny dzień.

Zabrzmiało to absurdalnie, ale przecież Serena Maillieu sama niedawno poleciła, by słudzy spełniali wszystkie rozkazy Domenica Jordana.

Nie rozumiem – powiedziała cicho. – Po co to wszystko?

Usiądź, pani – powtórzył. Przed nim na stolyczku stała butelka wina. Napelnił szklanice do połowy i wypił. – Zaczekamy na demona.

Przez jedną krótką chwilę Serena myślała, że mężczyzna upił się albo oszalał. Ta druga możliwość wydawała się bardziej prawdopodobna. Łatwiej było uwierzyć, że Jordan postradał zmysły, niż że przez alkohol stracił nad sobą kontrolę.

A wieszacie na drzwiach zaklecie? – spytała.

Usunąłem je.

Gdzieś na dole trzasnęły drzwi. Serena wzdrygnęła się. Jordan ujął ją za łokieć i posadził w fotelu. Potem wziął stojącą na stolyczku butelkę wina i przeniósł na sekretarzyk.

Za jego plecami rozległ się szczek odwodzonego kurka. Peyretou stał za uchylonymi drzwiami prowadzącymi na drugi korytarz. Trzymał dwa nabite pistolety.

Skrzypnął stopień przycisnięty czyjąś stopą, potem następny. Serena zeszywniała.

Co to?

**Demon – wyjaśnił Jordan tak spokojnie, jakby chodziło o wizyte sasiadki z naprzeciwka.**

**Serena Maillieu chciała zerwać się z fotela, jednak Jordan błyskawicznie znalazł się za jej plecami i położył ręce na ramionach kobiety.**

**Mój przyjaciel – powiedział – zarzucił mi niedawno, że nie rozumiem ludzi. Być może miał rację. Zbyt dużo czasu zajęło mi domyslenie się, o co w tym**

**wszystkim chodzi.**

**Kroki na schodach rozbrzmiewały coraz głośniej. Jordan wzmocnił nacisk, nie pozwalając kobiecie wstać.**

**Zadalem niedawno pani siostrze pewne pytanie – kontynuował. – Chciałem wiedzieć, co takiego uczynił pani demon podczas tego pierwszego ataku, wtedy gdy**

**ponoc przepłoszyło go bicie kościelnych dzwonów. Od powiedz była zgodna z moimi oczekiwaniami. Tamtego dnia zemdlala pani, owszem, ale ze strachu, a nie dlatego, że Cien wyrzucił pani krzywdę. Sądzę, że już wtedy zaczęła pani domyślać się prawdy. Kluczem jest trapiąca panią w dzieciństwie choroba. Niezwykły przypadek, nad którym biedzili się wszyscy lekarze. Nikt nie potrafił pani pomóc...**

**Umilkło skrzypienie schodów, teraz kroki rozbrzmiewały na podescie, zbliżając się do salonu. Jordan pozwolił Serenie wstać, ujął ją jednak za ramiona i obrócił twarzą w stronę drzwi. Kobieta dygotała.**

**Udreczona Serena, taka biedna i nieszczęśliwa. Wszyscy jej współczuli, zawsze była w centrum uwagi. Święta Ravossa wyrzuciła pani niedowiedzia przysługę. Tak naprawdę pani nigdy nie chciała być zdrowa. Podobano się pani bycie nieuleczalnym przypadkiem, na który nawet najlepsi lekarze nie byli w stanie nic poradzić. Szukała pani potem możliwości odtworzenia tamtej sytuacji z dzieciństwa. I taka możliwość się znalazła. Wtedy, podczas seansu, gdy wzywaliście demona.**

**Dobrze naoliwione zawiasy nawet nie skrzypnęły. Drzwi otworzyły się i w progu stanął Cien.**

**To nie potrwa długo – cicho zapewnił Jordan. Serena Maillieu jęknęła głucho. Patrzyła na swoją własną twarz.**

**Rozkaz, jaki w czasie tamtego seansu odebrał Cien, nie brzmiał wcale: "Zabij Serene", ale "Udawaj, że chcesz zabić Serene, i zniszcz tych, którzy staną ci na drodze". Tego typu demony są wystarczająco inteligentne, by zrozumieć tak skomplikowany przekaz. Nie, proszę zostać na miejscu. On odejdzie, jeśli tylko nikt nie będzie próbował pani bronić.**

**Przynajmniej taka miał nadzieję. Sporo ryzykował i zdawał sobie z tego sprawę. Na szczęście Peyretou z nabitymi pistoletami w dłoniach dodawał mu pewności siebie.**

**Ciało Sereny skreciło się konwulsyjnie. Przytrzymał ją, pilnując, by wciąż patrzyła w stronę Cienia.**

**A ten podchodził do nich tym samym miękim krokiem, który Jordan pamiętał z namiotu krzywych luster. Ubrany był w podarta szara suknie, stopy miał boso. Nie zasłaniał twarzy. Nie musiał już. Jordana uderzyła niezwykła uroda demona. Usta, w drapieżnym uśmiechu ukazujące ostre zęby, gibkie ciało, a nawet brak włosów i tradycyjnego mieszczańskiego stroju działały na korzyść Cienia i Jordan z ironią pomyślał, że demon, choć przybrał postać tej, która go wezwala, wygląda o niebo lepiej niż Serena Maillieu.**

**Cień jednym skokiem przebył odległość dzielącą go od kobiety. Przestąpiła się już wyrwać. Drżała tylko, pojękując od czasu do czasu. Jordan czuł zapach jej potu, a miękkie, pachnące szalwią włosy plątały się pomiędzy palcami, które wciąż zaciskał na ramionach Sereny Maillieu.**

**Bał się. Bał się, że popełnił błąd i demon jednak zaatakuje, bał się, że Peyretou wpadnie w panikę i postrzeli jego albo kobietę, którą trzymał. Przez chwilę pozalował, że zdecydował się na takie ryzyko.**

**Cień warknął gardłowo i wyciągnął dłoń. Długi, ostry pazur spoczął na szyi kobiety w miejscu, gdzie bił błękitny młoteczek pulsu.**

**Peyretou wysunął się ze swej kryjówki. Jordan kątem oka złowił błysk stali.**

**Proszę mi pomóc... – wychrypiała Serena. Nie mógł zobaczyć jej twarzy, domyślał się jednak, że płacze.**

**Nie – powiedział cicho. Przeważała drecząca go ciekawość. Gdyby teraz podjął walkę z Cieniem, nigdy nie dowiedziałby się, czy miał rację, czy też nie.**

**Demon cofnął się odrobine, a jego dłoń nagle wystrzeliła do przodu.**

**Nie! – powtórzył głośniejszym głosem i to słowo skierowane było do Peyretou, nie do Cienia. Tak jak dzisiejszego ranka nie dał się nabrac na sztuczki Tobiasa d'Eyquem, tak i teraz wiedział, że demon tylko udaje, że chce zaatakować.**

**Pazurzasta dłoń zatrzymała się tuż przed gardłem kobiety. Serena Maillieu krzyknęła cicho.**

**Cień znowu cofnął się, tym razem dalej. Jego rysy straciły wyrazistość, zaczęły rozmywać się jak świeżo namalowany obraz włożony do wody. Szarość sukienki zlała**

się z białą twarzą, kontury sylwetki zanikały.

Demon rozplynął się w powietrzu.

Już po wszystkim. – Jordan puścił Serenę, która osunęła się na fotel

Podszedł do Peyretou.

Wracaj do domu. Nie będę cię więcej potrzebował.

Serena Maillieu wstała i sięgnęła po stojące na sekretarzyku wino. Jordan wyjął butelkę z jej rąk.

Nie radziłbym – powiedział cicho. – W tym winie jest trucizna.

Pan to pił... – urwała, a jej twarz zmieniła się. – Tobias d'Eyquem.

Oczywiście, Tobias d'Eyquem. Jest pani bystrzejsza, niż przypuszczałem. Może pani o tym mówić, jeśli chce. Teraz już nikt nie będzie pani wierzył.

Oczy Sereny rozszerzyły się strachem.

Co pan zamierza zrobić?

Powiedzieć o wszystkim pani rodzinie. Niech mąż i siostra pani podejmą decyzję, co z panią zrobić. Moim zdaniem, zasługuje pani na to, by spędzić resztę życia w domu dla obłąkanych, ale nie sądzę, by pani bliskim przypadło do gustu takie rozwiązanie. Zaproponuję więc inne wyjście. Mały, stojący w odosobnieniu domek gdzieś na wsi i para zaufanych służących, którzy dopilnują, by nikogo więcej pani nie skrzywdził.

Twarz kobiety pobladła i skurczyła się. Jordan pojął, że to, co w jego mniemaniu miało być pocieszeniem, dla Sereny było zapowiedzią najgorszej z możliwych kar.

Wybuchnęła płaczem.

Zasłużyłam na śmierć – Ikała. – Tylu ludzi zginęło przeze mnie! Tylu ludzi! Mój mąż... – Urwała i zanosła się histerycznym szlochem. Jordan obserwował ją z ciekawością naukowca badającego rzadkie zjawisko. – Jestem winna! Nie ma dla mnie przebaczenia! Powinna umrzeć!

Chwyliła butelkę i przytknęła do ust. Piła dużymi łykami, wino sciekło jej z kącików i plamiło nocną koszulę.

Jordan czekał cierpliwie.

Serena Maillieu wysaczyła ostatnią kroplę, usiadła w fotelu i rekoma objęła ramiona.

**Tak... – szepnela. – Czuje, jak trucizna zaczyna dzialac. To dobrze... Powinnam odpokutowac za grzechy.**

**To tylko wyciag z korzenia irukadii – powiedzial Jordan uprzejmie. – Ma te zalety, ze stosunkowo szybko mozna przyzwyczaić do niego organizm. To substancja**

**niezbyt grozna, choc dosc nieprzyjemna. Nie czeka pania nic grozniejszego niz chwilowe oslabienie, zaburzenia wzroku i trudnosci z utrzymaniem rownowagi. Nic wiecej.**

**Podniosla na niego zalzawione oczy. Jordan podszedl i odgarnal z jej mokrej twarzy miekkie, jasne wlosy.**

**Nie umrze pani – mowil wciaz zaskakujaco lagodnie. – Po pierwsze dlatego, ze obiecalem pani ojcu, iz zrobie wszystko, by ocalic pani zycie. Po drugie, z powodu Jacme. Byc moze odeslala go pani, bo za duzo wiedzial, a moze bala sie pani o jego zycie. Wole wierzyc w te druga ewentualnosc.**

**A po trzecie – dodal po chwili – jak na moj gust, mysl o smierci troche za bardzo sie pani podoba.**

## **4. Dlugie Noce**

**Ufam Ci, Panie.**

**Domenic Jordan pochyлил sie i dlonia w skorzanej rekawicy odgarnal zalegajaca pod oltarzem warstwe bialego puchu. Z ust mezczyzny unosila sie para, mroz szczypal odslonieta twarz. Spod sniegu ukazala sie dalsza czesc napisu: Komu mam ufac?**

**Uśmiech, rodzacy sie na wargach Jordana, zamarl. Ufam Ci, Panie. Komu mam ufac? Słowa wypisano czarna farba z boku kamiennej bryly oltarza. Jordan poczul przyplyw niepokoju. To nie byl napis, jakiego mozna by sie spodziewac w kosciele. Bardziej przypominalo to desperacki krzyk zdradzonego czlowieka, ktoremu tu, na ziemi, odebrano wszelka nadzieje.**

**Cofnal sie, by objac spojrzeniem wnetrze swiatyni. Drewniany dach pekl i zalamal sie – moze pod naporem sniegu ktorejs mroznej zimy? – lecz sciany nadal staly prosto, godzac wyszczerbionymi murami w szare grudniowe niebo. Lawek ani drzwi juz nie bylo, zapewne drewno przydalo sie miejscowym na opal. Zostal jednak krzyz z figura Zbawiciela, ktora wisiala na obluzowanych gwozdziach i wygladala, jakby za chwile miala spasc, a takze pokryty bialym puchem oltarz.**

**Po oltarzu spacerowaly kruki – dwie czarne plamy na bialym tle, kontrast**

uderzajaco piekny – a ich lapki zostawialy charakterystyczne czteropalczaste slady. Ktos dokarmial mieszkajace w ruinach drapiezne ptactwo. W sniegu zabarwionym krwia na rudy braz lezaly resztki miesa i kosci

Kruki zerwaly sie do lotu i zniknely w oknie dzwonnicy, ktora, wciaz cala, wznosila sie obok kosciola.

Jordan skierowal sie w strone wyjscia. Swiat na zewnatrz zaslany byl grubym calunem sniegu, pomaranczowego i rozowego w blasku zachodzacego slonca z malenkimi srebrnymi iskierkami lsniacymi tam, gdzie zalamywaly sie promienie.

Naciagnal na glowe kaptur, chroniac sie przed zimnymi podmuchami wiatru, i raz jeszcze spojrzal na zrujnowany budynek. Wiedzial juz, ze odkad przed kilkadziesieciu laty zawalil sie dach kosciola, pobożni mieszkancy Almayrac chodzili na msze do sasiedniego Comblat. Kazdej niedzieli, miesiac po miesiacu, z wyjatkiem okresu pomiedzy polowa grudnia a koncem stycznia, ktory to czas nazywali Dlugimi Nocami. Wtedy Almayrac ogarniala fala najsilniejszych mrozow, a na drogach tworzyly sie zaspy siegajace doroslemu czlowiekowi do pasa. Miejscowi siedzieli wowczas w domach, grzali sie przy piecach i co noc palili w oknach swiece. Mialy one ponoc odstraszac sivadi, gorskie demony, ktore wraz z mrozem, wichrem i sniegiem schodzily w doline.

Wszystko to uslyszal Jordan tydzien temu, gdy po raz pierwszy zobaczyl te swiatla i o nie zapytal.

Tydzien, pomyslal. Tyle czasu mieszkal juz w tej niewielkiej, spokojnej miescinie.

Jesienia wydawalo sie to znakomitym pomyslem. Kiedy wygral pojedynek z Tobiasem d'Eyquem i nagle jego nazwisko stalo sie znane, Jordan zaczal odczuwac zwiekszony w dwojnasoob ciezar popularnosci. Popularnosci tym bardziej niebezpiecznej, ze ktos mogl w koncu dojsc, w jaki sposob udalo mu sie zabic d'Eyquema. Dlatego tez uznal, ze na kilka miesiecy powinien wyjechac z Alestry. Peyretou, opiekujacy sie ciezko chora matka, zostal zwolniony z obowiazkow sluzacego az do wiosny, a Jordan rozpoczel poszukiwania domu, w ktorym moglby mieszkac przez zime. Nie mial wielkich wymagan, pragnal jedynie odrobiny spokoju, by moc dokonczyc traktat, rozpoczety jeszcze w zeszlym roku. Od chwili przyjazdu zyl w Almayrac dokladnie tak, jak sobie zamierzyl: wstawal wczesnie, pisal az do wieczora i prawie z nikim sie nie widywal. Przez siedem dni nie wydarzylo sie nic, co mogloby zmienic raz ustalony rytym. Dzis jednak odkryl, ze taki tryb zycia niezupeinie mu odpowiada. I nie chodzilo wcale o samotnosc. Jordan nalezal do rzadkiego typu ludzi, ktorzy rownie dobrze czuja sie w towarzystwie, jak i bez niego. I wiedzial, czego mu brakuje. Tesknil za niebezpieczenstwem, za emocjami i ryzykiem, za tym, co czul wtedy w Charnavin i pozniej w Tarris. I w Alestrze, gdy walczył z Tobiasem d'Eyquem. Tesknil tez za tajemnica, chocby taka, jakiej kilka tygodni temu



dostarczyło mu spotkanie z Emma Marivel, na prośbę której przerwał swą podróż do Almayrac.

Odkrycie to zaniepokoiło go. Przywykł dotąd uważać się za człowieka opanowanego, który w życiu kieruje się logiką i rozsądkiem.

Podniósł głowę, spojrzął na osnieżone szczyty otaczające dolinę z miasteczkiem Almayrac. Dolina była mała, a szczyty wysokie i bliskie. Jordan urodził się w górach i zawsze darzył je szacunkiem, nie lekkiem, lecz teraz miał wrażenie, że się dusi.

Oddychał, wciągając w płuca powietrze tak mroźne i ostre, że z każdym haustem czuł w piersi ukłucie bólu. Od zimnego wiatru oczy zaczęły mu łzawić. Zamrugał, sięgnął po chusteczkę. Nie zdążył i pojedyncza łza spłynęła na policzek.

Wyjdziesz stąd, podszepnął mu wewnętrzny głos. Wyjdziesz, póki śnieg nie zasypie wszystkich dróg.

Ale miał tu dom, za wynajęcie którego zapłacił już spora zaliczkę, miał służącego, który całkiem niezle zastępował Peyretou, miał w końcu potrzebny spokój, by dokończyć traktat.

A Jordan był przecież człowiekiem, który kieruje się rozsądkiem, a nie niejasnymi przeczuciami. Chwila słabości przeminęła i myśl o wyjeździe wydawała się już tylko niemałą.

Almayrac miało zdumiewająco prosty plan. Siedziby najbogatszych obywateli, murowane i okazałe, koncentrowały się wokół niewielkiego rynku, za nimi stały uboższe drewniane domy, a jeszcze dalej, już na stokach gór, można było wypatrzeć chałupy goralów, którzy na halach wypasali owce. Miasteczko przecinała droga. Zaczynała się u wrot zrujnowanego kościoła, wiodła przez dzikie łąki, teraz zasłane śniegiem, do Almayrac, a później jeszcze dalej na południe, przeleciała aż do Comblat.

Jordan minął rynek, pocztę i najlepszą w miasteczku gospodę. Zwolnił kroku dopiero tuż koło wynajętego przez siebie domu.

Wczorajszego wieczoru przed przeciwległym budynkiem zauważył załadowany kuframi wóz. Odgadł wówczas, że nie jest jedynym obcym, którego skusił urok spokojnej zimy spędzonej w odciętym od świata Almayrac, a oceniając po ilości bagaży, założył też, że jego nowymi sąsiadkami będą kobiety.

Nie mylił się. Przed domem stał teraz powóz, a o drzwiczki opierała się jasnowłosa kobieta. Mówiła coś podniesionym, ostrym tonem. Wdowa Mandrier, właścicielka domu, słuchała jej ze spuszczonej głową.

Jordan podszedł bliżej.

Spodziewałam się – głos jasnowłosej drżał hamowana złością – że warunki naszej umowy są jasno określone. Mieszkanie przed naszym przyjazdem miało zostać wysprzątane i ogrzane. Wysprzątane i ogrzane, czy rozumie pani te dwa słowa?

Proszę o wybaczenie – mamrotła wdowa Mandrier. – Wynajmuje pokoje na piętře od dawna, od śmierci meza i nigdy nie miałam żadnych kłopotów.

Ale to było zawsze latem... To znaczy, nikt dotąd nie wynajmował pokoiów zimą. I po prostu nie zdążyłam... Ale obiecuje, że już za chwilę wszystko będzie w porządku. Sara! Sara, gdzie jesteś?! – Pobiegła w stronę domu, nawołując po drodze służącą.

Jasnowłosa prychnęła z pogardą. Jordan zastanowił się, jak kobieta bez żadnych skaz fizycznych, przyzwoicie ubrana i jeszcze niestara może sprawiać tak nieprzyjemne wrażenie. Jej wysoki wzrost podkreślał fakt, że cały czas trzymała się prosto, zadzierając jednocześnie głowę. Włosy zwała na karku w ciasny węzeł, odsłaniając w ten sposób wypukłe czoło i regularne, wyraźne rysy. Nie było w nich nic męskiego, a jednak należało ją określić jako "przystojna" raczej niż "ładna". Ubrana była w wysłużony tani płaszcz, zbyt cienki jak na tę pogodę, a mimo to nie drżała z zimna. Okrycie miało dokładnie ten sam kolor co jej szare oczy, które spoglądały teraz na Jordana nieustępliwie i twardo.

W miarę jak lustrowała sylwetkę mężczyzny, jej wzrok łagodniał. W końcu na wargach pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

Proszę wybaczyć te awantury – powiedziała. – Czy myślała, sądząc, że jest pan naszym nowym sąsiadem?

Nie mylisz się, pani. Domenic Jordan – przedstawił się.

Joana Lienard – zrewanżowała się równie uprzejmie. – Pan nie jest stąd, prawda? Spędza pan tu zimą? To zupełnie jak my. Od dawna pan mieszka w Almayrac?

Już prawie trzy tygodnie.

W tym momencie rozległ się dziecięcy krzyk, a później wybuch śmiechu. Jordan rozpoznał głos Flor, małej córeczki wdowy Mandrier. Dziewczynka wybiegła zza rogu domu, a wokół nóg krecił się, poszczekując jazgotliwie, laciaty kundelek. Scigła ją rudowłosa panna. Złapała kołnierz Flor, przyciągnęła do siebie i druga reka wtarła jej w twarz garsc śniegu. Dziecko zapiszczało tak przenikliwie, że Jordan zdziwił się, jakim cudem nie popykały jeszcze szyby w oknach.

Dosć tych wyglupów. – Joana Lienard skarciła rudowłosa, która natychmiast pociła Flor i podeszła do nich. – To moja córka.

**Eli – dziewczyna wyciągnęła dłoń. – Proszę mówić mi po imieniu. Wszyscy tak na mnie wolają.**

**Tym razem Joana Lienard nie upomniała jej, choć bez wątplenia powinna to zrobić. Zdawało się, że zbyt swoboda córki nie robi na tej surowej kobiecie żadnego wrażenia. Jordan zdziwił się, musiał jednak przyznać, że podobne zachowanie pasuje do noszącej męskie imię dziewczyny. Była starsza, niż wydawała mu się na początku, ale wyczuwano w niej właściwą młodości zadziorność i dynamikę. W przeciwieństwie do stroju matki ubranie Eli nie wyglądało na tanie ani wysłużone – spod jej krótkiego eleganckiego kózuska śmiało wзираła równie elegancka ciemnobłękitna sukienka. Włosy panny Lienard były intensywnie czerwone, a tęczówki równie intensywnie niebieskie. W oczach miała ironiczny błysk, chłodny i twardy, za nic niepasujący do młodej buzi.**

**Już gotowe! – Wdowa Mandrier stanęła w drzwiach. W ręku trzymała parciany worek.**

**Joana Lienard weszła do domu. Eli zatrzymała się przy gospođynie i zajrzała do worka.**

**Coż, przynajmniej szczury mamy z głowy, prawda?**

**One zima zawsze ciągną do domów – wymruczała wdowa usprawiedliwiająco.**

**Flor, zaczerwieniona jeszcze po zabawie i ze zziębniętym kędziewem wciąż krecącym się wokół nóg, podeszła do Jordana. Szarpnęła go za rękaw.**

**To siwadi – szepnęła konspiracyjnie. – Siwadi pozabijały szczury. Widziałam, jak jeden z nich zdychał dziś rano przy drzwiach do piwnicy. Znaczący, Długie Noce zaczęły się na dobre.**

**W końcu przyszła śnieżycą, zapowiadana przez miejscowych już od kilku tygodni. Trwała dwa długie dni.**

**Kiedy wieczorem Jordan wyjrzał przez okno, zobaczył pokrywającą świat czapę białego puchu. Potem pogoda się poprawiła, śnieg padał rzadziej, przeważnie nad ranem lub w nocy. Główna ulica Almayrac była przejezdna, ale już za miasteczkiem, na przełęcz, drogę do Comblat tarasowały zaspą.**

**Jordan zastanawiał się, czy w razie potrzeby potrafiłby się stąd wydostać. Takie myśli przychodziły mu do głowy coraz częściej, zwłaszcza wieczorem, kiedy miasto ogarniał mrok, a w oknach zapalały się świece.**

**Znalazł w tych dniach cztery martwe szczury. Urok starych domów, pomyślał, gdy natrafił na pierwsze truchło. Kazał słuzacemu sprzątnąć martwe zwierzę i nie myślał**

o tym więcej. Wdowa Mandrier miała racje: zima w domach zawsze było dużo szczurów, tak dużo, że nie istniał sposób, by je wszystkie wytepic. Jordan uznał, że to jedna z tych nieprzyjemnych rzeczy, z którymi, chcąc nie chcąc, trzeba się pogodzić.

Tego samego dnia po południu znalazł drugiego szczura. Założył skorzane rekawiczki, ciensze niż te, które nosił dla ochrony przed zimnem, i podniósł zwierze, trzymając je za ogonek. Gryzon był zaskakująco lekki, a jego ciało skurczone, jakby wyschnięte. Zaraza? – pomyślał Jordan z niepokojem.

Wezwał słuzacego.

Miro według własnych słów miał osiemnacie lat, a wyglądał bez mała na trzydziści. Był chudy i wysoki, twarz miał pociągła i zawsze ponura, a szaroblond włosy spadały mu nieustannie na oczy. Jego policzki i czoło pokrywały wypryski, które – rzecz szczególna – wcale nie nadawały mu młodzieńczego wyglądu. Niezależnie jednak od swojej brzydoty, cierpliwy, dokładny i pracowity Miro służył dobrze. Jordan, choć zdecydowanie wolał bystrego Peyretou, był z niego zadowolony.

Szczury zawsze gina w Długie Noce – powiedział młody sluga. – To nic takiego. Nie ma obaw. Ludzie nie umierają. Tylko szczury.

Była to najdłuższa wypowiedź, jaką Jordan usłyszał od tego milkliwego chłopaka.

Gestem wskazał mu stojący przy kominku fotel. Miro usiadł na brzezku, sztywno wyprostowany, w jednej dłoni ścisnął okrągły słoiczek wosku, a w drugiej ściereczkę, bo pracodawca oderwał go właśnie od pucowania mebli.

Dlaczego szczury gina?

Przez sivadi – odparł Miro.

Sivadi zabijają szczury? – upewnił się Jordan. – A ludzi nie, bo ludzie palą w oknach świece?

Chłopak skinął głową i w przekonaniu, że wszystko zostało już wyjaśnione, chciał wrócić do pracy. Jordan powstrzymał go gestem dłoni.

A inne zwierzęta? Powiedzmy, koty, psy?

Czasem też umierają.

A bydło? Kury, geśi? Skiniecie głową.

**Ale nie ludzie. – Jordan umilkł na chwile. – Zastanowmy się więc. Nie zapalam w nocy świecy. Czy to znaczy, że i ja mogę umrzeć?**

**Miro potrząsnął głową.**

**Ja co noc pale świece. Jesteś bezpieczny, panie – wyjaśnił z niewzruszoną cierpliwością.**

**Więc taka świeca chroni nie tylko osobę, która ją zapaliła, ale cały dom?**

**Młody słuzacy przytaknął.**

**Dlaczego więc gina koty, psy czy szczury, które też w tym domu mieszkają?**

**Chłopak gapił się na Jordana bezmyślnie. Widac logiczne kojarzenie faktów i wyciągnięte wnioski leżało poza granicą możliwości jego prostego umysłu.**

**Może więc to nie sivadi a jakiś rodzaj zarazy, na którą ludzki organizm jest odporny – podpowiedział mu Jordan.**

**Miro energicznie potrząsnął głową. Nie zgadzał się, ale brakowało mu argumentów. Jordan westchnął i pozwolił słuzacemu wrócić do pracy.**

**Następnego martwego szczura rozkroił nożem. Nie znalazł jednak nic poza tym, co już wcześniej podejrzewał, czyli na wpol zmumifikowanymi tkankami, jakby szczurze truchło leżało przez jakiś czas w suchym pomieszczeniu. Czy zaraza – bo Jordan wciąż wierzył, że to właśnie zaraza – powodowała, iż organizm zwierzęcia gwałtownie tracił wodę? Załował, że nie trafił dotąd na chorego osobnika. Mieszkające w piwnicach szczury były albo zwawe i najzupełniej zdrowe, albo martwe, jakby tajemnicza choroba atakowała je niezwykle szybko, w ciągu kilku chwil odbierając życie.**

**Zrobisz to.**

**Grzebien zatrzymał się. W blasku świecy włosy Eli miały ciemnoczerwony kolor, prawie jak krew.**

**Oczy matki spoglądały na dziewczynę z zawieszzonego nad toaletką lustro.**

**Nie.**

**Joana Lienard podjęła pracę, powoli, starannie rozczesując włosy córki.**

**Owszem, zrobisz. On jest twoją jedyną szansą.**

**Nie jest bogaty.**

**Wygląda na bogatego, a ty jesteś po prostu głupia – powiedziała starsza z kobiet nieznośnym sprzeciwu tonem. – Przez kogo musiałymy uciekać z Talavere?**

**Przez kogo spędzamy zimy w takiej dziurze jak Almayrac?**

**Mamo, proszę, nie dzisiaj, pomyślała Eli. Odbijające się w srebrnej tafli oczy patrzyły na nią surowo.**

**Przeze mnie.**

**Wiedziałam, że to się tak skończy – syknęła Joana Lienard, a w jej głosie zabrzmiała nutka triumfu. – Głupia jak wszystkie dziewczuchy, leniwa, pazerna. Przyjemności ciała, wypchany żołądek, świecidełka na palcach. Zupełnie jak zwierzęta. Dlaczego Bog nie dał mi syna, dobrego, mądrego syna, z którego mogłabym być dumna? Wiesz, ile zapłaciłam za twoją edukację?**

**Mamo... – to nie był nawet szept, tylko myśl.**

**Wiesz?**

**Tak.**

**I wszystko zmarnowałaś. Wszystko. A teraz jeszcze się sprzeciwiasz? O nie, moja panno. Naprawisz to, co zepsulas. I to szybko, poki jest jeszcze czas.**

**Dlaczego nigdy nie odbudowano kościoła? Nie sadzę, by to było trudne. Kamienne mury nadal stoja, wystarczyłoby tylko polozyć nowy dach.**

**Jordan rzucił to pytanie beztrąsko, po prostu jako kolejny temat do rozmowy. Powoli zaczął zaliczać, że przyjął zaproszenie don Sebastiena. Wieczór należało zaliczyć do wyjątkowo nieudanych. Po kolacji – niezbyt smacznej zresztą – towarzystwo zasiadło w salonie. Panie we własnym gronie, przy kominku, podjęły niekonczące się dywagacje na temat koligacji mieszkających w Almayrac rodzin. Jedynie Eli Lienard wylała się i przyłączyła do męskiego towarzystwa. Panowie siedzieli w drugim końcu pokoju na ustawionych w polokrag fotelach. Zawsze dyskutowali o zasadach polowania na lisy i dopiero pytanie Jordana polożyło kres tym rozważaniom.**

**Don Sebastien spojrzal na gościa z niechęcią.**

**Boga należy czcić we własnym sercu, a nie w kościele. Większość mieszkańców Almayrac podziela te wiary. Żyjemy tu trochę na odludziu, panie Jordan, i niektórzy ludzie spoza doliny uznają nas za bezbożników, ale to nieprawda. Po prostu mamy własne zasady. A jeśli ktoś chce brać udział w niedzielnej mszy, to zawsze może wybrać się do Comblat.**

Mowiac to, postukiwal paznokciami o blat stoliczka z rozanego drzewa. Paznokcie miał długie, a na każdym palcu nosił pierścien z dużym kamieniem. Jego koszule zdobiły koronki, kaftan, choć staroswiecki w kroju, wykonano z najlepszego materiału, zaś brązowe, przetykane srebrnymi nitkami włosy były starannie uczesane i związane na karku czarna aksamitka. Nie trzeba było jednak wielkiej spostrzegawczości, by zauważyć, że koszula jest raczej szara niż biała, na kaftanie widac plamy, a włosy są przetłuszczone. Na Jordanie ta pozorna elegancja i schludność sprawiały bardziej przykre wrażenie, niż gdyby spotkał ubranego w brudne lachmany niedzarza.

Niemniej gospodarz miał trochę racji. Zdarzało się, że izolowane społeczności tworzyły swój własny religijny folklor, czasem bliższy pogańskiemu obrzędowi niż chrześcijaństwu, nie mówiąc już o tym, że na północy wiara zawsze była słabiej zakorzeniona – Jordan dobrze o tym wiedział, bo sam stąd pochodził. Lecz z drugiej strony miasteczko, choćby i małe, od pół wieku pozbawione własnego kościoła to coś zbyt osobliwego, by tłumaczyć ten fakt lokalnymi dziwactwami.

A co z ostatnim proboszczem? – zainteresował się Jordan. – Czy on nie starał się o odbudowanie kościoła?

Don Sebastien patrzył na niego, mrużąc wielkie oczy. Jego głowa dziwnie przypominała odwróconą do góry nogami gruszkę. Miał bardzo szerokie, wypukłe czoło, duże oczy i drobne usta tuż nad równie małym podbrodkiem. Mimo to twarz gospodarza wcale nie wyglądała zabawnie, choć przecież powinna.

Pan uwielbia wsadzać nos w nie swoje sprawy, prawda?

Zdumiony Jordan zmarszczył lekko brwi. Prawda, że na prowincji ludzie bywali nieufni, prawda też, że on sam nie należał do nadto zrecznych rozmowców, bo brakowało mu wyczucia intencji – gdy chciał wyciągnąć z kogoś informację, posługiwał się cierpliwą uprzejmością wymieszaną w równych proporcjach z zawołanymi groźbami, czasem jeszcze popierając to wszystko brzęcząca moneta. Nie sądził jednak, że kiedykolwiek zasłuży na tak ostrą reprymendę.

Proszę o wybaczenie – powiedział gładko, ale twarz don Sebastiena nie złagodniała. Skinął głową, a w skinieniu tym było ostrzeżenie, by gość na przyszłość uważał.

Jordan uznał, że pora zakończyć wizytę. Gestem przywołał stojącego przy drzwiach służącego i poprosił, by osiodłano i wyprowadzono ze stajni jego konia. Potem wyszedł na balkon, oparł łokcie o poręcz i spojrzał na zasnieszona ulicę.

Po chwili dołączyła do niego Eli Lienard. W oczach miała ten sam chłodny, ironiczny błysk, na który zwrócił uwagę już przy pierwszym spotkaniu.

Mogę panu powiedzieć, co stało się z ostatnim proboszczem Almayrac. Nasza

gospodyni o wszystkim mi opowiedziała. Chce pan?

Przytaknal.

On zniknal. W dniu, w ktorym zawalil sie dach kosciola. A wczesniej jeszcze podpalil plebanie. To, co z niej pozostalo, rozebrano wiosna. Ludzie mowia, ze

ksiadz oszalal i porwal go diabel. A mnie sie zdaje, ze ksiezulo po prostu uciekl z miasta.

Jordan powoli pokrecil glowa.

Jesli zawalil sie dach, to znaczy, ze sniegu bylo naprawde bardzo duzo. Nie zdolalby przedostac sie przez przelec.

Wiec moze zginal w kosciele?

Znaleziono by cialo.

Usta Eli wciaz jeszcze wyginaly sie w kpiacym uśmiechu, ale w jej oczach juz widac bylo niepokoj.

Wiec co pan sugeruje? Morderstwo? Cialo zakopane w ogrodku?

W zmarzniętej na kosc ziemi i pod siegajaca kilku stop warstwa sniegu? Przestala sie usmiechac.

Pan jest dosc dziwny, wie pan o tym?

Bo staram sie myslec logicznie?

Wiec co pana zdaniem stalo sie z ksiedzem? Spojrzal na nia, a dziewczyna cofnela sie lekko.

Nie wiem, ale nie sadze, by udalo mu sie opuscic Almayrac.

Potrzasnela glowa, najwyrazniej niepewna, co powiedziec. Jordan niemal jej pozalowal. Pod wieloma wzgledami byla jeszcze bardzo mloda i smierc wciaz wydawala sie jej zbyt nierealna, by brac ja na powaznie.

Ale przeciez jeszcze przed chwila oczy dziewczyny blyszczaly chlodnym rozbawieniem, prawie cynicznym, jesli dobrze sie zastanowic, a zachowanie – choc nigdy nie prostackie, bo Eli Lienard manieri miala doskonale – bylo zdecydowanie zbyt swobodne jak na niewinna panne. Jordan pamietal tez pare wypowiedzianych przez nia zdan, ktore wpadly mu w ucho przy kolacji.



**Przed domem dostrzegł służącego, który właśnie wyprowadzał konia. To nic, pomyślał. Poczekaj chwilę.**

**Przy stole zacytowała pani fragment traktatu O państwie i religii. Zna pani Parsona?**

**Oczy Eli błyskawicznie odzyskały kpiący wyraz.**

**Niewiele mi z tego przyszło, prawda? Nikt nie podjął dyskusji.**

**A Francesco Corba? Czy i jego teorie pani zna? Skinęła głową.**

**A Donnet? Leo d'Estevenon?**

**Urządza mi pan egzamin?**

**A więc po raz drugi tego wieczoru został skarcony. Nie miał jednak ochoty na kolejne przeprosiny, a poza tym zastanawiał się, czy panna Lienard w ogóle jest osobą, która warto przeproszać.**

**Nazwiemy go Latka, dobrze? Flor spojrzała na Eli z dezaprobatą.**

**To imię dla krowy, nie dla psa**

**Wciąż może Guinot?.**

**Laciaty kundel, nieswiadom problemów, jakie powoduje jego imię, stał na ganku z rozstawionymi szeroko łapami i chleptał mleko z miski.**

**Flor z komiczną powagą zmarszczyła brwi.**

**Guinot. Podoba mi się. Jesteś Guinot, wiesz? – Objęła psa za szyję, a ten wyrwał się i prosto ze schodków skoczył w wysoką zaspę. Dziewczynka rozesmiała się uszczesliwiona.**

**Eli westchnęła i poszła na piętro, skąd dobiegало wołanie matki. Po drodze przygotowała się na kolejną porcję pretensji, że nie zajmuje się tym, czym powinna się zajmować.**

**Stali przed domem. Trzy barczyste, odziane w długie płaszcze sylwetki, wciąż jeszcze widoczne mimo gestniejącego mroku. Po prostu stali z zadartymi głowami, patrząc w okna Jordana.**

**Ponad brukiem ulicy zapłonęły światła. Jedno, dwa, a czasem nawet więcej, w**

kazdym domu. Liczne, ale wciąż zbyt słabe, by rozjasnić ciemność, wbrew pozorom nie dawały wrażenia przytulności i bezpieczeństwa. Przeciwnie, te małe żółte punkciki zawieszono nieruchomo wśród wietrznej nocy wyglądały niepokojąco.

Mężczyźni wciąż jeszcze stali na ulicy – teraz ich sylwetki były tylko czarna plama na tle odrobiny jaśniejszego mroku. Lodowaty wiatr szarpał ich płaszczami, a oni tkwili w miejscu, jakby zimno nie robiło na nich żadnego wrażenia.

Jordan zastanawiał się, czemu ma służyć ta demonstracja. Zastraszeniu go? Powstrzymaniu przed wtykaniem nosa w nie swoje sprawy?

Potrzaskał głową i odsunął się od okna. Nie miał zamiaru rezygnować. Nie teraz.

Przed prawie pięćdziesięciu laty w Almayrac zima była tak ostra, że gdy ustąpiła w końcu trwająca tydzień zima, z niektórych domów ludzie wychodzili przez okna, wygrzebywali się ze śniegu jak powstający z mogiły wampir. Wtedy zawalił się dach kościoła i proboszcz zniknął bez śladu. A przecież nie mogli opuścić miasteczka. Nie podczas tak surowej zimy.

Mniej więcej w tym samym czasie z gór zaczęły schodzić śniegi zabijając szczury, psy i koty. Z kolei ludzie zaczęli palić świece, by ochronić się przed demonami.

Wszystko to Jordan wiedział od wdowy Mandrier, a ona z kolei od zmarłej niedawno matki. Kobieta bez oporów zgodziła się porozmawiać z Jordanem. W Almayrac, gdzie najwyraźniej mieszkali ludzie mało mowni i pilnujący swych interesów, wdowa Mandrier była jedyną osobą, która miała ochotę i czas gawędzić z obcymi.

Nie można było też zapomnieć o kościele.

Ufam Ci, Panie. Komu mam ufać? – napisał ktoś z boku ołtarza. Kto? Proboszcz, nim tak tajemniczo zniknął z miasta? I dlaczego?

Ufam Ci, Panie. Komu mam ufać? Jordan raz jeszcze powtórzył sobie w myślach te słowa i dopiero teraz – nie na widok barczystych sylwetek wciąż tkwiących przed jego domem – poczuł rozlewający się w piersi chłodny lek.

Flor stała w wejściu zrujnowanego kościoła, patrząc przed siebie. Zmrużyła oczy. Oslepiała ją biel śniegu, całego mnóstwa śniegu rozciągającego się na płaskiej jak stol powierzchni aż do pierwszych zabudowań Almayrac. Matka Flor zastanawiała się kiedyś, dlaczego kościół zbudowano tak daleko od centrum miasta, ale wydawało się, że nikt nie zna na to pytanie odpowiedzi.

Droga od strony miasteczka nadchodziła charakterystyczna, wysoka i smukła postać w czarnym płaszczu, wyraźnie odcinającym się od wszechobecnej bieli. Domenic Jordan.

Moze przyjdzie i nas stad wyrzuci, myslala dziewczynka, spogladajac na niego z nadzieja. Dorosli zawsze krzycza na dzieci, ze bawia sie w niebezpiecznych miejscach.

Jordan byl teraz dokladnie w polowie drogi i choc szedl w dobrym tempie, to nic nie wskazywalo na to, by nagle mialy mu wyrosnac skrzydla i przeniesc go do wrot zrujnowanej swiatyni.

Tchorzysz, Flor? – zapytal Lari. Chlopak, choc starszy o cale dwa lata, chetnie sie z nia bawil, bo byla odwazna, a przy tym silna i zreczna. Przewaznie bez trudu radzila sobie z wyzywanka, ale dzis stali w ruinach kosciola, a ona nigdy tego miejsca nie lubila. Zawsze kiedy tu przychodzila, ciarki zaczynaly biegac jej po plecach. To miejsce bylo inne, dziwne i Flor dlugo szukala stosownego okreslenia dla tej odmiennosci. Kosciol wydawal sie jakby... ciemniejszy niz reszta swiata.

Masz tylko wejsc na dzwonnice i dotknac serca dzwonu. – W glosie Lariego brzmiala pogarda. Jak wszystkie dzieci blyskawicznie potrafil wyczuc slabosc i nie zawahal sie okazac swojej wyzsosci. – Chyba nie stchorzysz przed tak prostym wyzwaniem?

Zaczerwienila sie. Domenic Jordan byl juz blizej, ale wciaz zbyt daleko, by liczyc na jego pomoc.

Odwrocila sie i skierowala w strone prowadzacych na dzwonnice schodkow. Niepewnie postawila noge na pierwszym stopniu. Serce bilo jej szybko, a w plucach brakowalo tchu. Nie obejrzala sie jednak. Wiedziala, ze Lari spoglada na nia zlosliwie, czekajac, az okaze lek.

Krecone schodki byly waziutkie. Wspinajac sie, Flor uwazala, by nie dotknac przypadkiem scian. Kamiennych, brudnych scian. Zazwyczaj brud nie przeszkadzal jej jakos specjalnie, ale tutaj nawet kurz wydawal sie byc w specyficzny sposob nieprzyjemny: tlusty: i ciezki jak cmentarna ziemia. Dziewczynka wzdrygnela sie z obrzydzeniem. Promienie slonca przedostajace sie przez waskie okna dawaly akurat tyle swiatla, by nie potykac sie na schodach. Od czasu do czasu do srodka wpadaly tez powiewy mroznego powietrza, ale nawet one nie zdolaly rozproszyc panujacego w dzwonnicy zaduchu. Zupelnie jakby ta wieza stala tu od tysiac lat, myslala Flor (a "tysiac lat" znaczylo dla niej to samo, co "od poczatku swiata") i jakby przez caly ten czas zbieral sie tu kurz, brud i cale masy martwych pajakow.

I smrod, dodala po chwili, ostroznie pociagajac nosem.

Schodki konczyly sie, dobiegajac do wycietego w suficie otworu.

W innym miejscu Flor pewnie wzielaby gleboki wdech, ale tutaj starala sie oddychac plytko, wciagajac powietrze przez zeby.

**Nie boje sie, nie boje sie, powtarzala.**

**Ale dzis to zaklecie jakos nie dzialalo. Mimo to nie miala zamiaru rezygnowac.**

**Ostroznie, powolutku weszla na ostatnie stopnie i wysunela glowe przez otwor.**

**Najpierw zobaczyla dzwon, mase spizu tak wielka, ze rozkolysany moglby zmiadzyc ja o sciane.**

**A potem ujrzala martwe ptaki.**

**Siedzialy przycupniete na krokwiach, belkach, nawet na kamiennej podlodze. Z nastroszonymi czarnymi piorami, pokraczne i brzydkie, jakby smierc odebrala im caly wdziek. Wionelo od nich cieplym, niezbyt silnym odorem zgnilizny.**

**Flor otworzyla usta i wrzasnela.**

**Jordan zrecznie zlapal dziewczynke, ktora wpadla na niego z impetem i omal nie wyladowala na ziemi.**

**Co sie stalo? – zapytal, nie liczac specjalnie na odpowiedz. Placzace i rozhisteryzowane dzieci rzadko kiedy mowia rozsadnie.**

**Odpowiedzial mu stojacy tuz obok chlopak.**

**Wystraszyła sie martwych ptakow. – Staral sie, naprawde sie staral nadac glosowi pogardliwe i zimne brzmienie, ale w jego oczach widac bylo lek.**

**Ptak, ktorego Jordan wyrzucil przez okno dzwonnicy, by obejrzec go w pelnym swietle, lezal teraz na sniegu. Byl martwy od dwoch, moze nawet trzech tygodni – dluzej z pewnoscia nie, bo pod koniec grudnia Jordan widzial jeszcze mieszkajace w kosciele kruki, cale i zdrowe.**

**Niska temperatura dobrze zachowala cialo. Jordan wyjal ze skorzanej pochewki cienki i bardzo ostry noz, ktory nosil przy sobie, odkad w Almayrac tak tajemniczo zaczely ginac zwierzeta. Pochylil sie, ostroznie nacial krucze zwloki i odsunal piora. Nie zdziwil sie, widzac, ze tkanki ptaka sa lekko skurczone i podeschniete, zupełnie jak u szczurow, ktore znalazl w domu.**

**Pan jestes zdumiewajaco upartym czlowiekiem, panie Jordan. Jakich argumentow mamy uzyc, by nauczyc pana pilnowania wlasnych spraw?**

**Podeszli cicho i niespodziewanie. Jordan nie zdazyl nawet siegnac po pistolety. A przeciez ulica pokryta byla sniegiem skrzypiacym pod butami przy kazdym kroku, sniegiem tak bialym, ze na jego tle ludzkie sylwetki od razu rzucaly sie w oczy.**

Jednak niczego nie usłyszał ani nie zobaczył i stał teraz przed drzwiami swego domu, czując zimna lufę wbijającą się w kark pomiędzy linią włosów a opuszczonym kapturem płaszcza.

Delikatnie przekrecił głowę. Było ich trzech, tylu, ilu zeszłej nocy. Dwaj pozostali ustawili się tak, by zasłonić tego, który trzymał pistolet przy jego karku. Z daleka musieli wyglądać po prostu na grupkę znajomych rozmawiających przed drzwiami domu.

Proszę nie chodzić więcej do kościoła – powiedział ten z pistoletem. – To ostatnie ostrzeżenie. Rozumiesz pan?

Znal ten głos. Rogier Graille, którego spotkał w domu don Sebastiena. Rogier Graille, który według własnych słów urodził się i wychował w Bastenie i wspominał, że wciąż jeszcze nie pozbył się tamtejszego akcentu. "Bastencyzka zawsze można poznać po tym, że uwielbia wino i leciutko przeciąga samogłoski, prawda?"

Zabawne, ale bywały chwile, gdy Rogier Graille wcale nie przeciągał samogłosek, czego nikt poza Jordanem zdawał się nie zauważać. Rogier Graille był w tym samym stopniu Bastencykiem, co ubrany w poplamiony kaftan don Sebastien elegantem.

Rozumiesz pan? – Tak.

Koniec z wizytami w kościele? Koniec z wypytywaniem ludzi?

Tak.

Rogier Graille parsknął pogardliwie. Chłodny nacisk na karku Jordana zelzał.

Odwrocił się. Mężczyźni, miał rozplynieć się w powietrzu, czego trochę się spodziewał, po prostu odchodzili ulicą. Wyglądali jak najzwyklejsi mieszkańcy Almayrac.

Mieszkańcy, którzy skrywali tajemnice na tyle niebezpieczną, że gotowi byli dla niej zabić.

Wdowa Mandrier, która była niewyczerpaną kopalnią informacji o miasteczku, powiedziała Jordanowi, kto dokarmił mieszkające w ruinach ptaki. Miłośnik kruków nazywał się Fotin Trelodi i mieszkał na obrzeżach Almayrac.

Jordan spodziewał się jednego z owych niechlujnych dziwaków, którzy bliźnich traktują z pogardą, bo nad ludźmi przedkładają zwierzęta. Tymczasem Trelodi okazał się miłym staruszkiem, niskim, okragłym i ubranym według przebrzmiałej dwadzieścia lat temu mody – nawet siwe włosy miał ułożone w misterne loczki wokół twarzy. Jego dom był wysprzatany, a każda rzecz najwyraźniej miała w nim swoje

miejsce. Jednak czulo sie tu brak kobiecej reki. Typowe gospodarstwo starego kawalera, dwoch nawet, bo Trelodi mial sluzacego, który przez lata upodobnil sie do swego pana i byl teraz tak samo schludny i po staroswiecku elegancki.

Co pan wie o krukach, panie Jordan? – zapytal staruszek, gestem zapraszajac Jordana do pomieszczenia, ktore bylo czymś pomiedzy niewielkim salonikiem a biblioteka. Wiekszosc stojacych na polkach ksiazek traktowala o ornitologii: ptaki egzotyczne i zwykłe, ptactwo drapieżne, hodowla gołebi pocztowych, a nawet podreczniki sokolnictwa – Trelodi zbieral wszystko, co w ten czy inny sposob dotyczylo ptakow.

Wiem, ze kruki bardzo rzadko lacza sie w stada. Najczesciej zyja pojedynczo lub w parach – powiedzial Jordan ostrożnie, bo ze strony takiego entuzjasty bal sie wykladu, który natychmiast skoryguje jego poglady i uzupełni marna wiedze.

A wiec mamy tu ciekawy przypadek, prawda? Rok po roku do ruin kosciola przylatuja kruki, cale mnostwo krukow, zakladaja gniazda i rok po roku gina

w czasie Długich Nocy, a na ich miejsce zlatuja sie nastepne ptaki. Dlaczego tak jest, panie Jordan? Jak pan sadzi? Kruki sa madre, czemu wiec upieraja sie mieszkac w miejscu, ktore je zabija? Myslalem kiedyś, ze zdychaja z powodu ich ilosci, ze dla tak wielkiego stada po prostu nie starcza pozywienia. Dlatego zaczalem je dokarmiac. A one i tak gina. Syte i na pozor całkiem zdrowe umieraja w czasie Długich Nocy.

A w tym roku? Kiedy widzial je pan po raz ostatni?

Kruki zginely w nocy dwudziestego dziewiatego grudnia – odpowiedzial Fotin Trelodi.

Jordan odetchnal. Dokladnie o te informacje mu chodzilo.

Kruki zawsze gina pierwsze – dodal jeszcze staruszek, spogladajac na Jordana z usmiechem. Na jego drobnej, wygladajacej jak pomarszczony platek rozy twarzy malowala sie satysfakcja. Pewnie rzadko sie zdarzalo, by ktos sluchal go z taka uwaga. – Ludzie umieraja ostatni.

Jordan lekko zmarszczyl brwi, ale byla to jedyna oznaka zdziwienia.

Powiedziano mi, ze ludzie nie gina w czasie Długich Nocy.

Gina, ale bardzo rzadko – powiedzial staruszek, wciaz z lekkim usmieszkiem na cienkich wargach. – Umieraja tylko chorzy i slabi, dlatego ludzie sadza, ze

to po prostu przez pogode, bo zima zawsze jest wiecej zgonow. Ale ja widzialem

moja siostrze. Chorowała na gruźlicę i zmarła w czasie Długich Nocy. Zgasła w jednej chwili jak zduszony palcami płomień świecy. Tak samo umierają kruki i domowe ptactwo.

Domowe ptactwo?

Kury i gęsi. – Trelodi skinął głową. – Hodowałem je kiedyś, bo lubię nie tylko dzikie ptaki. Najpierw umierają kruki, a później domowe ptactwo. Zawsze tak jest.

A bydło? Szczury? Psy i koty?

Uśmiezek satysfakcji znikł z twarzy staruszka. Wzruszył ramionami.

Gina tuż po ptactwie, a wcześniej niż ludzie. To oczywiste.

Jordan pomyślał o tych, którzy grozili mu dziś rano. Kiedy jeszcze żyły kruki, Fotin Trelodi prawie codziennie bywał w zrujnowanym kościele, a mimo to nikt nigdy nie usiłował mu przeszkodzić – pewnie dlatego, że tamci uważali go po prostu za nieszkodliwego dziwaka.

A jednak Trelodi zdolał dostrzec zaskakująco dużo. I choć brakowało mu bystrości – albo odwagi – by pójść odrobine dalej i wyciągnąć właściwe wnioski, to Jordan miał pewność, że spostrzeżenia starego miłośnika ptaków nie spodobałyby się tamtym mężczyznom. Miał nadzieję, że nikt nie wpadnie na to, by spytać staruszka o mieszkające w ruinach kruki, bo nie było co liczyć na to, że w razie czego Fotin Trelodi będzie na tyle mądry, by trzymać język za zębami.

Gorączka niedługo spadnie – powiedział Jordan. – Dziewczynka powinna teraz wypocząć.

Wdowa Mandrier patrzyła na niego zaleknionymi oczami. Jej dłoń bezwiednie gładziła potargane, mokre od potu włosy spiacej Flor. Z drugiej strony łózka siedziała Eli Lienard. Nie odzywała się, ale na jej twarzy malował się niepokój.

A te sny? – spytała wdowa Mandrier. – Panie Jordan, te sny? Moja córka krzyczała przez całą noc, bo wciąż śni jeden i ten sam koszmar.

O czym śni pani córka?

O głosach. Głosach szepczących w śniegu i zimowym wichrze. One... podobno mówią złe rzeczy.

To przez ten kościół, pomyślał. Strach uruchomił w dziecku zdolność jasnego widzenia, dość nietypowa, bo zamiast w wizjach przejawia się w snach.

**Jakie?**

**Panie Jordan, czy to naprawdę takie ważne?**

**Tak. To bardzo ważne. – Jordan był cierpliwy i uprzejmy, ale nie zamierzał ustąpić.**

**Dłoń kobiety zacisnęła się na jasnych włosach dziewczynki.**

**Mówią o śmierci. Śmierci, zapomnieniu i nicości. Moja Flor jest jeszcze dzieckiem i nie pojmuje takich spraw, ale tak właśnie rozumiałam jej słowa. Panie Jordan, czy te sny kiedyś się skończą?**

**Beda coraz rzadsze, aż w końcu ustana zupełnie. Ale to trochę potrwa. Nie ma na to lekarstwa, przykro mi. I jeszcze jedno – dodał. – Proszę nie wspominać nikomu o tych snach. To dla pani bezpieczeństwa. I jej. – Wskazał Flor, która zajęczała nagle i potrzaskała głową.**

**Kobieta pochylila się nad córkę.**

**Już dobrze, kochanie. Ciii...**

**Jordan, świadom, że nic tu po nim, skierował się w stronę wyjścia. Eli Lienard poszła za nim. Cicho zamknęła drzwi i gestem wskazała mu położony tuż obok salonik.**

**Muszę przyznać, że pańskie słowa mają bardzo uspokajający wpływ – parsknęła z ironią, gdy znaleźli się w środku. – "Na to nie ma lekarstwa, przykro mi". – przedrzeźniała go z nienagannym akcentem wyższych sfer. – "To dla pani bezpieczeństwa". Brakowało tylko, żeby zaczął pan przepytować małą Flor!**

**Zrobiłbym to, gdybym sądził, że dowiem się czegoś więcej, niż powiedziała mi jej matka.**

**Czy pan nie ma w sercu odrobiny litości?!**

**Jordan patrzył na dziewczynę z przyjemnością. Wychowanie, jakie otrzymała, zamiast stepić jej temperament, co miałyby niewatpliwie miejsce w przypadku zwykłej panny, tylko go oszlifowało, dając niezwykle rezultat. Eli Lienard potrafiła się złościć, ale też nawet w złości umiała nad sobą panować, wciąż zachowując chłodny, ironiczny dystans do samej siebie i doskonale maniery. A przy tym była szczera, co wśród kobiet jej profesji zdarzało się niezwykle rzadko, i Jordan, który przyklepnej obłudzie kurtyzan nie znośił szczególnie, docenił ten fakt.**

**Litość nigdy nie była moja mocna strona – przyznał z lekkim uśmiechem, wcale nie rozgniewany.**



**Eli odetchnęła, uspokajając się.**

**Co się, u diabła, dzieje w tym mieście? – W jej ustach nawet przekleństwo zabrzmiało elegancko.**

**Właśnie próbuje się tego dowiedzieć. Być może będzie mi mogła pani pomóc. Sądzę, że przynajmniej część odpowiedzi kryje się w ruinach kościoła, w przeciwnym razie nie ostrzegano by mnie, bym tam nie chodził. Kłopot tylko w tym, że prócz jednego dość dziwnego napisu nic ciekawego tam nie widzę. Ale gdyby spojrzał na to ktoś nieuprzedzony, ktoś, kto nigdy jeszcze tam nie był, co, być może znalazłby odpowiedź.**

**Dziewczyna zmarszczyła brwi i spojrzała na niego z powatpiwaniem.**

**Nie mam żadnych magicznych zdolności.**

**To nie ma znaczenia.**

**I to mogłoby wyjaśnić wszystkie te dziwne zdarzenia? Śmierć szczurów? Sny Flor?**

**Skinal głową.**

**Dobrze więc. Spróbuj panu pomóc, choć, szczerze mówiąc, nie sądzę, by to coś dało.**

**W tym momencie do saloniku zajrzała wdowa Mandrier.**

**Eli, kochanie, nie wiesz może, gdzie jest Guinot? Flor obudziła się i marudzi, żeby przyprowadzić jej psa.**

**Poszukam go – obiecała Eli. – Guinot! Guinot! Gdzieś z dołu dobiegło głuche, stłumione szczeknięcie.**

**Eli wyszła z salonu i otworzyła prowadzące do piwnic drzwi. Psi głos slychac bylo teraz wyrazniej, zawzięte ujadanie raz po raz przechodzące w pełen złości warkot.**

**Co on tam robi? – Wdowa Mandrier spojrzała bezradnie na Eli.**

**Pewnie znalazł kolejnego martwego szczura. Weźmie świecę i zejde po niego.**

**Chwile później szła już zakurzonymi schodkami, a ponad jej wyciągniętą dłoń chybotał się wąski płomień świecy. Jordan zawahał się, ale ruszył za nią.**

**Korytarz rozgaleział się na dole. Po lewej kończył się zamkniętymi na kłódki drzwiami, prawa odnoga biegła dalej, ginąc w ciemności. W powietrzu unosił się kurz, delikatne jak przedza nitki pajęczyn, a także won pleśni i winnego moszczu.**

**Do piwnic sie nie dostal – powiedziala Eli. – Sa zamkniete na klucz. Musi byc gdzieś tu, w korytarzu.**

**Skrecila w prawo i faktycznie po chwili plomien swiecy wylowil z mroku psa obszczekujacego cos zawziecie, z nosem wcisnietym w kat tuz przy kolejnych zamknietych na klodke drzwiach.**

**Cos ty tam znalazl? Zostaw to, Guinot! Niedobry pies!**

**Guinot ani myslal sluchac. Z jego gardla wydobyl sie warkot, a krotki, zabawny ogonek chwial sie i podrygiwal.**

**Prosze potrzymac swiece.**

**Jordan wzial lichtarz, a Eli schylila sie.**

**No tak, mialam racje. Po prostu jeszcze jeden zdechly szczur! Chodz!**

**Chwycila psa za luzna skore na karku i pociagnela w tyl.**

**W tym momencie Guinot szczeknal raz jeszcze, krotko i bolesnie. Eli odruchowo poluznila chwyt, ale nie puscila szczeniaka.**

**Przez cialo zwierzecia przebieglo drzenie, od pyska az po ogonek, ktory przez krotka chwile dygotal jak poruszana wiatrem trawka.**

**Guinot pisnal.**

**Co mu sie...?**

**Nie przytrzymywala juz psa. Po prostu glaskala go, probujac uspokoic. Sierśc byla ciepla i sucha. Dziewczyna nie wyczuwala pod dlonia bicia serca, a boki szczeniaka nie poruszaly sie w rytm oddechu.**

**Jordan pochyлил sie. Plomien swiecy odbil sie w oczach Guinota.**

**Eli cofnela reke. Glaskala martwe zwierzecie.**

**Chwilowo musze radzic sobie sam – powiedzial Jordan, odkorkowujac butelke wina. – Dzis rano porzucil mnie sluzacy. Po prostu odszedl bez slowa.**

**Dlaczego?**

**Prawdopodobnie przekonano go, by to zrobil.**

**Eli rozejrzala sie dyskretnie. Mieszkanie, wynajete tak jak i jej z calym**

umeblowaniem, było typowym malomiasteczkowym wnętrzem. Nic tu nie nosiło śladu indywidualności chwilowego właściciela. Nic, z wyjątkiem może leżającego na sekretarzyku pliku kartek.

Sięgnęła po nie. Już w pierwszej chwili jej wzrok padł na rysunek obdartego ze skóry ciała. Odsłonięte mięśnie wyrysowane były z niezwykłą precyzją. Kolejne karty przedstawiały poszczególne części ciała. Ramiona, tors, uda. I znowu częściowo zdarta skóra i widoczne mięśnie – tym razem większe i wyraźniejsze.

Wzdrygnęła się odruchowo.

Umarli bardzo rzadko robią krzywdę żywym – powiedział Jordan uprzejmie, wyjmując jej z dłoni kartki. – A jeśli pokroić ich na kawałki, prawdopodobieństwo to spada prawie do zera.

Zareagowała nerwowym chichotem. Odkąd tak nagle, w tak niewyjaśniony sposób zdechł Guinot, nie opuszczał jej strach. Bala się nawet bardziej niż wtedy w Talavere. Wtedy przynajmniej wiedziała, co jej grozi, i wiedziała też, co robić, by tego uniknąć. To zaś, co działo się w Almayrac, wykraczało daleko poza jej doświadczenie. Być może Domenic Jordan potrafił sobie z tym poradzić. Z pewnością nie wzbudzał zaufania – już raczej niepokój, jeśli o to chodzi – ale, Eli nie mogła się oprzeć takiemu właśnie skojarzeniu, wydawał się tu właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

Jordan rozlał wino do kieliszków, potem podał dziewczynie notes w skórzanej oprawie.

Proszę na to spojrzeć. Jestem ciekaw, czy dojdzie pani do tych samych wniosków, co ja.

Usiadła w fotelu, upiła łyk i z powrotem odstawiła kieliszek na stolik. Otworzyła notes, w duchu przygotowując się na kolejny makabryczny rysunek.

Na pierwszej stronie równym, eleganckim charakterem wypisano tylko kilka słów:

Bydło, kury, gęsi, krowy

Szczury

Koty, psy

Ludzie (tylko chorzy)

Podniosła na Jordana zdumione spojrzenie.

Co to?

Wypytywałem mieszkańców Almayrac i ustaliłem na tej podstawie kolejność, według której w czasie Długich Nocy gina zwierzęta i ludzie. Proszę nad tym chwilę pomyśleć.

Przeczytała te słowa ponownie i jeszcze raz.

Jest w tym pewien schemat, dość niepokojący zresztą – odpowiedział jej Jordan.

Wielkość zwierzęcia? Nie, to z pewnością nie to. Rodzaj? Też nie, bo dlaczego kury i gęsi nie gina wraz z krukami, lecz wtedy, gdy umiera bydło?

Milczała chwilę. W salonie słychać było trzask płonącego na kominku drewna i ciche tykanie zegara.

Kruki – powiedziała cicho. – Kruki żyją dziko i mieszkają w ruinach kościoła. Bydło, kury i gęsi żyją przy gospodarstwie, ale nie w domu. I szczury. One z kolei żyją w domu, ale kryją się przed człowiekiem. W końcu psy i koty...

Dalej – ponaglił ją łagodnie Jordan. – Proszę mówić dalej, nawet jeśli wydaje się to pani mało prawdopodobne.

To wygląda... – zawahała się. – Jakby zaciskała się pętla. Pętla wokół człowieka. Coraz bliżej i bliżej. Od dzikich ptaków aż do zwierzęcia, które żyje wraz z nim, siada u jego stóp czy na kolanach. Czy to, co mówię, ma sens?

Ku przerażeniu Eli Jordan powoli skinął głową

Słońce stało wysoko na niebie, oświetlając mury kościoła. Śnieg skrzył się srebrzyscie, powietrze było mroźne i nieruchome. Za ruinami rysowała się linia świerków, ciemnozielonych i przykrytych puchatą czapą bieli, jeszcze dalej wznosiły się górskie szczyty. Z drugiej strony leżało pogrążone w sennej ciszy Almayrac.

Jordan i Eli Lienard przekroczyli próg kościoła.

Wzrok Jordana natychmiast przyciągnęły wypisane z boku ołtarza słowa.

Ufam Ci, Panie.

Dalsza część napisu znowu kryła się pod śniegiem, ale on wiedział przecież, jak brzmi.

Dziewczyna zrzuciła kaptur. Na tle skrzacej się bieli jej włosy lśniły jak płomień.

Napis rzeczywiście jest osobliwy – przyznała, odgarniając śnieg. – Ale fakt, że tutejszy proboszcz, bo zakładam, że on to napisał, był bliski utraty wiary, nie pomoże nam w rozwiązaniu zagadki.

Wciaz sie bala, ale potrafila juz zapanowac nad strachem i sprawialo jej to nawet pewnego rodzaju przyjemnosc. Odkad wyrosla z wieku dzieciacego, cwiczona byla w ukrywaniu wlasnych uczuc i bardzo sobie te umiejetnosc cenila – byc moze dlatego, ze wlasnie tego najtrudniej bylo sie nauczyc. Spojrzala na Jordana i przez jej usta przemknal cien kpiacego usmiechu. Tak czy inaczej, nigdy nie bedzie w tym rownie dobra, jak ten milczacy mezczyzna.

Jordan zdawal sie miec w sobie niewyczerpane poklady spokoju i cierpliwosci, ktorych brakowalo Eli. Dziewczyna krecila sie niespokojnie, ale w kosciele procz owego napisu i krzyza, ktory wciaz wznosil sie nad oltarzem, dzwigajac ciezar Zbawiciela, nie bylo nic do ogladania.

Pani pochodzi z Talavere, prawda? – zapytal Jordan niespodziewanie. – Poznalem po akcencie. Dlaczego wiec spedza pani zime w miejscu takim jak Almayrac?

Usmiechnela sie. Domenic Jordan byl niewatpliwie czlowiekiem znakomicie wychowanym i uprzejmym, a jednak nie potrafil nadac tej rozmowie pozorow naturalnosc. Zadal jej pytanie po prostu po to, by zatrzymac ja w kosciele jeszcze przez jakis czas.

Mimo to chciala odpowiedziec uczciwie. Dosc juz miala klamstw i unikow. Tyle ze nie tak latwo przyszlo odpowiedziec uczciwie.

Byc moze rzeczywiscie byla to jej wina, a moze tez -w jakims szerszym zakresie – zawinila jej matka i Eli wolala tak wlasnie myslec. Joana Lienard gardzila wlasna plcia. Kobieta w jej pojeciu byla istota slaba i glupia, z natury sklonna do grzechu i chetnie ulegajaca najnizszym instynktom. Dla mlodej dziewczyny istnialy tylko dwie drogi: jak najsurowsze wychowanie i zycie pod ciagla opieka ojca, meza czy brata lub druga droga, dostepna tylko dla najzdolniejszych, czyli zostanie kurtyzana.

Kurtyzany wyksztalceniem dorownywaly mezczyznom, wolno im bylo uczeszczac do bibliotek publicznych, mogly tez wchodzic do meskich klubow i brac udzial w meskich rozrywkach. Kurtyzany, jesli byly inteligentne i potrafiły zadbac o swoja pozycje, cieszyly sie specyficznym rodzajem szacunku.

Te wlasnie droge wybrala dla corki Joana Lienard. Nie szczedzila srodkow, by wyksztalcic corke, a mimo to od poczatku powtarzala, ze Eli z pewnoscia sie nie uda. Bo przeciez dziewczeta zwykle marnuja swoja szanse: rodza nieslubne dziecko albo uciekaja z przystojnym chlopcem bez grosza przy duszy. Przez piec lat swojego towarzyskiego zycia w Talavere Eli czula sie jak cyrkowiec spacerujacy po linie, podczas gdy oczy wszystkich widzow spogladaja na niego z nadzieja, ze wreszcie spadnie i zlami sobie kark.

I faktycznie, choc niezupełnie zgodnie z przepowiedniami Joany Lienard, tak

wlasnie sie stalo.

W tamtych dniach Eli zrozumiala, ze matka jej nienawidzi. Mysl ta, na pozor tak absurdalna, okazala sie zaskakujaco trafna i dziewczyna nie potrafilo juz sie od niej uwolnic.

Matka nienawidzila jej, bo Eli byla mloda i ladna. Bo moglo jej sie udac. Dzień, w którym Joana Lienard powiedziala corce: "A nie mowilam", traktowala jak dzien gorzkiego triumfu.

Relacja Eli o wydarzeniach, ktore sprawily, iz tej zimy znalazla sie w Almayrac, byla znacznie krotsza i bardziej konkretna.

Przez pewien czas opiekowal sie mna pewien starszy mezczyzna – powiedziala. – Tak to wasnie nazywamy w Talavere. Nie "przyjaciel", tylko "opiekun". Uwazal mnie za ladna zabawke, nic wiecej, i draznilo mnie to. Mezczyzna owdowial pare lat wczesniej, a najwiekszym skarbem jego zmarlej zony byla piekna diamentowa kolia. On takze kochal ten klejnot i chwalil sie nim przy kazdej okazji. A ja chcialam go ukarac. Ukradlam

mu wiec kolie i odeslalam nastepnego ranka wraz z liscikiem, by lepiej jej pilnowal.

Miala pani wyrzuty sumienia?

W pytaniu tym byl haczyk i Eli wyczula go blyskawicznie.

Nie – odpowiedziala szczerze. – On nawet mnie nie podejrzewal i to wasnie bolalo najbardziej. Chcialam, zeby wiedzial, iz jestem wystarczajaco bystra i odwazna, by zrobic cos takiego.

Jordan rozesmial sie. Zaskoczylo ja to, bo nie sadzila dotad, ze ten czlowiek w ogole potrafi sie smiac. Spowaznial zaraz, ale w jego oczach wciaz widziala wesole blyski, ktore rownie dobrze mozna bylo odczytac jako kpine, jak i aprobate.

Jak dawno temu to sie zdarzylo? – zapytal.

Dwa i pol roku. Matka zaplacila wysoka grzywne, by uchronic mnie przed wiezieniem.

Talavere lezy daleko na poludniu, a dwa i pol roku to dosc czasu, by ludzie zdazyli zapomniec. Dlaczego nie zamieszka pani wraz z matka w jakims duzym miescie czy nawet w Alestrze? Gdyby ktos wiedzial tam o tej aferze, zawsze moglaby pani po prostu twierdzic, ze bylo to cos w rodzaju sztubackiego zartu.

Nie zna pan mojej matki. W im gorszych mieszkamy warunkach, tym wieksze

wzbudza we mnie poczucie winy. Karze mnie w ten sposób. Co nie przeszkadza jej przy tym – usmiechnęła się ironicznie – tłumaczyć mi każdego dnia, że jedyną moją szansą na powrót do dawnego życia jest uwiedzenie pana.

Jordan, wciąż stojący przy ołtarzu, pochylił się i raz jeszcze koncami palców dotknął wymalowanego czarną farbą napisu.

Ufam Ci, Panie. Komu mam ufać?

Nie mam pieniędzy, by utrzymać stałą kochankę – powiedział uprzejmie.

Usłyszał śmiech dziewczyny.

Tak właśnie myślałam. W przeciwnym wypadku nie mieszkałby pan zimą w Almayrac, prawda? Tłumaczyłam to matce, ale ona...

Umilkła. Jordan wodził dłonią po czarnych konturach. Zerwał się wiatr i wiszący nad jego głową Zbawiciel zakolysał się na krzyżu, poskrzypując.

Jordan wyprostował się, spojrzał na Eli. Jej twarz była biała jak śnieg, a oczy rozszerzone strachem. Wezwwała go gestem ręki, ale nim podszedł, chmura przesłoniła słońce i nad ruiny, sunąc po ziemi jak cien olbrzymiego ptaka, nadciągnął mrok.

Chwyciła go za ramię.

Proszę patrzeć... Nie... Teraz!

Wiatr przegnał chmurę, rozbłysło słońce i Jordan ujrzał to, co przed chwilą widziała Eli.

Słoneczne promienie padały pod takim kątem, że cien poziomych ramion krzyża znalazł się w jedno z cieniem pionowej belki, który, mocno wydłużony i cienki, rysował się na śniegu. Przy nim drugi, odstający od pierwszego pod lekkim kątem: głowa, tors, przekrzywione, kołyszące się w podmuchach wiatru stopy. Cien wisielca.

To nie przypadek! – Eli wciąż sciskała jego ramię. Jordan uwolnił je delikatnie.

Wiem – powiedział. Przypomnił sobie szepczące w śniegu i wietrze głosy, o których mówiła matka Flor. Głosy opowiadające "złe rzeczy" człowiekowi uwięzionemu samotnie na plebanii, daleko od miasta, podczas trwającej cały tydzień śnieżnej zimy. – Zmusili księdza, by powiesił się w kościele. Wie pani, co to znaczy, prawda?

Skinęła głową. Przez jej ciało przebiegł dreszcz.

**Chodźmy stąd. Proszę.**

**Objęła się ramionami. Bardziej po to, by zapewnić sobie poczucie bezpieczeństwa, niż z powodu zimna. Jordana ogarnęło współczucie. Dziewczyna, która pewnie przywykła uważać się za odważniejszą i bardziej zaradczą niż przeciętna przedstawicielka jej płci, teraz sprawiała wrażenie przerażonej i kompletnie zagubionej.**

**Poprowadził ją w stronę wyjścia z kościoła. Tuż przed kamiennym progiem przystanął nagle i pociągnął Eli w bok.**

**Spojrzała na niego zdziwiona.**

**Proszę wyrzec, tylko ostrożnie – polecił.**

**Bez słowa wysunęła głowę. Na drodze, na razie jeszcze dość daleko, widac było trzy barczyste sylwetki.**

**Idą po mnie – wyjaśnił lakonicznie Jordan. – Sądzą, że mają zamiar mnie zabić.**

**Jak możemy uciec? Jest stąd jakieś inne wyjście?**

**Owszem, ale prowadzi wprost w głęboki śnieg. Przykro mi, ale to jedyna droga. – Ruchem głowy wskazał kierunek, skąd nadchodzili mężczyźni. – Ja zostaje,**

**ty wracasz do Almayrac.**

**Tedy?**

**Po prostu przejdź obok nich – tłumaczył cierpliwie. – Pozdrow ich, a jeśli będą pytać, powiedz, że poszłaś na spacer do zrujnowanego kościoła i spotkałaś mnie przypadkiem. Dopóki będziesz zachowywać się naturalnie, nic ci nie zrobią.**

**Przy ich pierwszym spotkaniu Eli pozwoliła, by mówił jej po imieniu i Jordan postanowił teraz skorzystać z tej możliwości, sądząc, że w ten sposób szybciej trafi do przestraszonej dziewczyny. Poskutkowało, bo dojrzał w jej oczach błysk zrozumienia.**

**A pan?**

**Nie jesteś w stanie mi pomóc. I nie wołaj nikogo. Nim dobiegniesz do pierwszych domów i namowisz kogoś, by przyszedł mi z pomocą, będzie już po wszystkim. Będziesz bezpieczna, jeśli nie zdradzisz się, że cokolwiek wiesz. Rozumiesz? Jeśli mnie zabiją, poczekaj, aż stopnieją śniegi, jedź do Comblat i znajdź tam kogoś, komu wszystko opowiesz. No już, idź!**



Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, wypchnął ją zewnątrz. Sam zaś zdjął krepujący ruchy płaszcz i położył na śniegu. Oparł się o mur, wziął w ręce dwustrzałowe pistolety i w myślach odtwarzał drogę, jaką musiała przebyć Eli. Znał wpol przymkniętymi oczami niespokojnie oczekiwał krzyku świadczącego o tym, że dziewczyna jednak czymś się zdradziła.

Nie usłyszał nic i kiedy znowu zdecydował się wywrzecz, jej sylwetka była o dobre kilkadziesiąt kroków za nadchodzącymi.

Dal jej jeszcze chwile, nim wychylił się, wycelował i pociągnął za spust. Pierwsza kula zniknęła gdzieś w śniegu. Mężczyźni nie zatrzymali się zdezorientowani, nie zaczęli krzyczeć do niewidocznego strzelca, nie próbowali zawrócić.

Przyspieszyli tylko kroku.

Jordan zacisnął wargi. Przynajmniej teraz sytuacja jest jasna, pomyślał.

Kim byli? Z pewnością nie ludźmi. Wielu nazwałoby ich po prostu demonami, dla Jordana jednak takie określenie było za mało precyzyjne. Więc niech będzie sivadi. Nazwa równie dobra jak inne.

Wycelował i strzelił. Jeden z nadchodzących zachwiał się. W wyciągniętej dłoni drugiego coś błysnęło w promieniach zimowego słońca. Jordan, nim uskoczył w bok, zauważył jeszcze, że trafiony osuwa się w śnieg, a jego dwaj towarzysze idą dalej, zupełnie jakby nic się nie stało. Tylko strzelec zatrzymał się na jedną krótką chwilę. Kula uderzyła w mur kościoła, odlupując spory kawał kamienia.

Już wcześniej bariera pomiędzy ich światem a naszym musiała być w Almayrac wyjątkowo cienka, a sivadi wywierały wpływ na ludzkie umysły. Były tu od zawsze, szepcząc w śniegu i wicherze w długie zimowe noce. Az w końcu pod wpływem ich słów ksiądz popełnił w kościele samobójstwo. Ziemia święta została zbezczeszczona i dla sivadi otworzyła się brama wiodąca do naszego świata.

Jordan cofnął się i wziął do ręki drugi pistolet. O mur kościoła, na wysokości jego głowy, ale dobrych kilka stop w lewo, uderzyły dwie kule. Opanował przypliw niepokoju. Był sam, ale był też niewatpliwie w lepszej sytuacji. Tamci zbliżali się szybko i cicho, a czasem, gdy na nich patrzył, ich sylwetki zdawały się w osobliwy sposób zlewać ze śnieżną bielą. Tym niemniej wciąż stanowili dobry cel, o wiele lepszy niż Jordan, a jeden z nich został daleko z tyłu, ranny lub martwy.

A więc można ich zabić.

Zastanowił się przelotnie, co stało się z ciałem księdza. Sivadi z pewnością nie mogły pozwolić, by mieszkańcy Almayrac znaleźli trupa i dowiedzieli się tym samym, że kościół został zbezczeszczony. Jordan niedługo szukał właściwej odpowiedzi.

**Kruki były pierwszymi stworzeniami, których ciała opanowywały sivadi tuż po przekroczeniu bramy. Kruki mogły rozdziobać zwłoki, ogolonic szkielet z mięsa, mięśni i ścięgien, a później rozwłoczyc kości.**

**Wychylił się zbyt mocno i kolejna kula mało nie oderwała mu ucha. Ale warto było, bo tym razem nie chybił. Jeden z mężczyzn zachwiał się i upadł, ale ku rozczarowaniu Jordana wstał zaraz i dołączył do swego towarzysza. Siedział niepewnie, potykając się. Ale siedł.**

**Kruki, bydło, kury, gęsi i krowy. Później szczury, a w końcu koty i psy. Każdej zimy w czasie Długich Nocy sivadi przechodziły przez bramy i przenosiły się z jednego ciała w drugie, obserwując przedtem przyszłą ofiarę, ucząc się jej, by potem móc zachowywać się jak najbardziej naturalnie. Zdradzały się jednak drobnymi szczegółami, zwłaszcza już w ludzkiej postaci.**

**Nie miało to większego znaczenia. Ludzie najczęściej są zbyt leniwi, by zauważać takie drobiazgi, a nawet jeśli, to i tak nie potrafią wyciągnąć właściwych wniosków.**

**Jordan rozpoznawał już twarze zbliżającej się dwójki mężczyzn. Don Sebastien, a za nim jasnowłose, ranny młodzieniec, idący coraz szybciej i mniej chwiejnie.**

**Jeden z pistoletów Jordana był już bezużyteczny. W drugim została mu ostatnia kula.**

**Jak wiele sivadi docierało każdej zimy do celu, czyli do ludzkiej postaci? Jeden, góra dwa, pomyślał, a zdarzały się pewnie i lata, gdy nie udawało się to żadnemu – w przeciwnym wypadku sivadi byłoby już wystarczająco dużo, by opanować miasteczko. Reszta demonów porzucała zwierzecze ciała i wracała do własnego świata, by czekać na następną szansę, do kolejnych Długich Nocy.**

**Pochylił się, sięgnął do kieszeni leżącego na ziemi płaszcza.**

**Czym kierowały się sivadi, wybierając ofiarę? Odległość pomiędzy kolejną ofiarą a poprzednią w chwili, gdy demon przenosił się z ciała do ciała, nie miała znaczenia – Jordan pamiętał przecież, że kruki umarły na kościelnej wieży, z dala od Almayrac. Może więc chodziło o jakąś specyficzną podatność, która pozwalała demonowi zamieszkać w ludzkim ciele. Tak czy inaczej, człowiek taki musiał być całkowicie zdrowy – demon, przypadkiem opanowawszy chorego, szybko go opuszczał, porzucając wyschnięte, spustoszone ciało, z którego wcześniej zdążył wyciągnąć wszelkie siły żywotne.**

**Jasnowłose zginął w chwili, gdy podnosił broń do strzału. Kula trafiła go w sam środek twarzy. Jordan błyskawicznie cofnął się i wypuścił z ręki pusty pistolet. W tym czasie don Sebastien trzema długimi susami przebiegł dzieląc go od kościoła odległość i upadł do muru. Jordan stał z drugiej strony, kątem oka obserwując**

**cien na progu. Przeciwnik byl cierpliwym, cien nawet nie drgnal. Ale Domenic Jordan rowniez potrafil czekac, zwlaszcza teraz, gdy chodzilo o jego zycie. Powoli mijaly minuty, liczone uderzeniami serca i cichym, rownym oddechem.**

**W koncu cien poruszył sie i to wystarczyło. Gdy tylko don Sebastien pojawil sie w progu, nim zdazyl uniesc gotowa do strzalu bron, nim zdazyl zrobic cokolwiek, Jordan wbil mu w oko cienki, ostry noz.**

**Eli stala przy oknie, spogladajac w gestniejacy na zewnatrz mrok.**

**Matka wyjatkowo tego wieczoru dala jej spokoj. Zadnych polajanek, zadnych pretensji. Joana Lienard raz tylko spojrzala na corke znajomym, surowym i oskarzajacym spojrzeniem. Coz, pomyslala Eli, dziekujmy Bogu i za to.**

**Choc przeciez Bog nie mial powodu, by akurat dzis wyswiadczyc jej te drobna laske.**

**I znow mysli dziewczyny, dokladnie tak jak minute, dwie i piec temu, wrocily do tego, o czym tak bardzo chciala zapomniec. Do strzalow, ktore slyszala za plecami, i do tego, jak bardzo starala sie nie ogladac, uciekajac do miasteczka. A takze do ulgi, jaka poczula, gdy w koncu zdyszana wpadla pomiedzy pierwsze zabudowania Almayrac. Tak sie cieszyła, ze zyje, ze po prostu jest. Nawet twarz matki powitalaby wtedy jak najukochanszy na swiecie widok. Mdlace poczucie winy przyszlo dopiero pozniej. Zachowala sie dzis po poludniu jak tchorz i nie pomagalo tłumaczenie samej sobie, ze Domenic Jordan w gruncie rzeczy mial racje – zostajac w kosciele, nie pomoglaby mu, a predzej nawet zaszкодzila. Dzis okazalo sie, ze Joana Lienard ma racje: Eli byla slaba i glupia, niezdolna podjac decyzje i stawic czola niebezpieczenstwu.**

**Matka, slyszac o tym, co wydarzylo sie dzisiejszego popoludnia, z pewnoscia wzruszylaby z pogarda ramionami. Spodziewalam sie po tobie wiecej, powiedzialaby, ale bez zlosci, bo przeciez Eli jest tylko kobieta.**

**Dziewczyne zdumiewalo, ze jeszcze wczoraj zyla najzupelniej normalnie, lekcewazac niepokojujace sygnaly: smierc szczurow, opowiesci o tajemniczym zniknieciu ksiedza. Dopiero od dzisiejszego ranka, od choroby Flor, wszystko nagle zaczelo zmierzac ku katastrofie, coraz szybciej i szybciej. Jeszcze wczoraj w tym samym pokoju rozwazala mozliwosc uwiedzenia Domenica Jordana. Bo nudzila sie tu troche. Bo mimo wszystko ona i Jordan nalezeli do jednego swiata i bywaly chwile, kiedy Eli rozumiala go zaskakujaco dobrze. A w kazdym badz razie znacznie lepiej niz ktoregokolwiek z tych prowincjuszy, myslacych tylko o tym, jak upolowac lisa, jak zdjac skore z lisa i jak ugotowac lisa, by mieso bylo kruche. Bo – to chyba najwazniejszy powod – Jordan byl momentami tak obojetny, skryty za swoimi doskonalymi manierami i powazna twarza, ze irytowalo ja to i intrygowalo zarazem.**

**A teraz Jordan prawdopodobnie nie żyje, a ona musi mieszkać w tym mieście aż do wiosny, pod groźbą śmierci ukrywając to, czego się dowiedziała.**

**Mysł ta sprawiła, że na chwilę serce w niej zamarło i zabrakło jej tchu. Przymknęła oczy, starając się opanować dławiacą falę paniki. Kiedy podniosła powieki, zobaczyła, że ktoś stoi na ganku przeciwległego budynku i pochyła się, kluczem otwierając drzwi.**

**Dziewczyna bez namysłu chwyciła płaszcz i wybiegła z domu.**

**Wszystkie okna były zasłonięte, a drzwi zaryglowane. W salonie paliła się tylko jedna świeca. Eli siedziała na kanapie, słuchając słów Jordana.**

**Muszę jak najszybciej dostać się do Comblat – zakończył, a dziewczyna poruszyła się niespokojnie.**

**Teraz?**

**O świecy. Próba pokonania przeleczy zimą i do tego noca to niemal pewne samobójstwo.**

**To możliwe? To znaczy, zawsze słyszałam, że w czasie Długich Nocy Almayrac jest całkowicie odcięte od świata.**

**Tego roku śniegu jest mało, a ja wychowałem się w gorach. Poradzę sobie. Jeśli nie przyjdzie śnieżyca – dodał uczciwie. – Powinnas pomodlić się, by do rana nie zmieniła się pogoda.**

**Eli patrzyła w płomień świecy tak długo, aż poczuła ból w oczach. Zamrugala.**

**A... tamci? Jak wielu ich jest w Almayrac?**

**Trudno powiedzieć. Około pięćdziesięciu?**

**Wiedza już o śmierci swoich towarzyszy?**

**Nie sadzę. Usunąłem ciała z głównej drogi i przysypałem śniegiem.**

**Ale to możliwe? – upierała się. – I możliwe jest, że jutro przyjdą cię zabić?**

**Owszem, to możliwe, ale sadzę też, że wciąż zależy im na załatwieniu całej sprawy jak najdyskretniej. W końcu nadal większość mieszkańców miasta stanowią ludzie. Dlatego nie wierze, by jutrzejszego ranka pięćdziesięciu na pozór całkiem zwyczajnych obywateli Almayrac wyszło nagle z domów i zaczęło mnie ścigać.**

**Eli Lienard odetchnęła.**

**Chcialabym pojsc z toba – powiedziala cicho.**

**W pierwszej chwili mial zamiar odmowic, zawahal sie jednak. Dziewczyna byla silna i zreczna. Powinna sobie poradzic. Musialby jej tylko pozyczyc cos do ubrania, bo przeciez nie mogla brnac przez snieg w sukni. Ale i to nie stanowilo problemu – Eli byla wysoka i rzeczy Jordana powinny na nia pasowac.**

**Jesli pogoda sie popsuje, a ty okazesz sie zbyt slaba – powiedzial wiec tylko – nie bede ryzykowal wlasnego zycia. Przynajmniej nie od pewnego momentu. Zostawie cie.**

**Odruchowo skinela glowa. Jordan podszedl do niej.**

**Nie, spojrz na mnie. Naprawde to zrobie – powtorzyl, gdy patrzyla mu w oczy.**

**Wiem.**

**Bezlitosna uczciwosc tego mezczyzny w jakis absurdalny sposob uspokoila Eli. Przynajmniej teraz wiedziala, na czym stoi. Jej rysy odprezily sie, w oczach pojawil sie swawolny blysk.**

**Coz, skoro i tak musimy zostac tu do rana... – pomyslala.**

**Usiadz kolo mnie, prosze.**

**Zrecznie rozpiela haftki sukni, potem tym samym pelnym wdzieku i niewymuszonej elegancji ruchem zsunela z ramion jedwabna koszulke, odslanjajac piersi. W swietle swiecy skora Eli miala zlocistobursztynowy odcien, jak miód. Z daleka jej usmiech mozna by wziac za usmiech dziewczynki planujacej jakas psote, z bliska jednak zbyt wiele bylo w nim chlodnej kpiny.**

**Dlugie palce rownie zrecznie poradzily sobie z koszula Jordana. Chwile pozniej rece Eli zatrzymaly sie. Zmarszczyla lekko brwi, potrzasnela glowa. Na lewym ramieniu i barku zobaczyła kilkanascie krotkich klinowatych blizn. Tknelo ja zle przecucie. Pod naciskiem jej dloni mezczyzna odwrocil sie poslusznie, a dziewczyna gwaltownie wciagnela powietrze.**

**Plecy Jordana pokrywaly blizny. Niektore szerokie na dwa palce, o poszarpanych brzegach i wijace sie na skorze jak sinosrebrne gasienice, inne w ksztalcie malych trojkatow, zupełnie jakby ktos w tym miejscu wbil w skore dluto. I z pewnoscia nie mogly to byc slady po chloscie, o czym w pierwszej chwili pomyslala. Blizny byly na to zbyt krotkie, zbyt nieregularne.**

**Widok ten sprawil Eli niemal fizyczny bol. Byc moze potrafilaby to ukryc, ale wydarzenia dzisiejszego koszmarne go dnia i tak juz mocno oslabily jej zdolnosc**

panowania nad sobą. Poczula się, jakby ktoś pięścią uderzył ją w żołądek. Co mogło pozostawić takie ślady?

Chciała przestać o tym myśleć, ale nie potrafiła. Niektóre z tych ran musiały być bardzo głębokie, sięgające mięśni, kości...

Poczula przyływ współczucia, a zaraz potem – jej emocje zmieniały się teraz błyskawicznie – irracjonalną panikę. Tak jakby przyłapano ją w cudzym domu, przetrzasajaca szuflady w poszukiwaniu intymnych tajemnic.

Mocno zacisnęła powieki.

Przepraszam – szepnęła. – Przepraszam...

To tylko bliźny – powiedział Jordan łagodnie, odwracając się w jej stronę.

Objął ją i pocałował. Zachowuje się jak idiotka, pomyślała, oddając mu pocałunek. Strach powoli mijał, dziewczyna przymknęła oczy. Pieszczoty Jordana były zbyt wyrachowane, by mogło jej się to podobać, i w pewnym momencie obok fizycznej przyjemności poczuła prawie złość, ale nie miała siły, by z nim walczyć. Nie teraz.

Zastanawiała się później, czy Jordan w ogóle spał tej nocy. Ona przysypiała na kanapie, zawieszona pomiędzy jawa i snem, a za każdym razem, gdy się budziła, widziała go siedzącego tuż obok i napotykała spojrzenie jego oczu.

Wstała przed brzaskiem i z kocem zarzuconym na ramiona podeszła do okna. Przyszło jej do głowy, że powinna wrócić do domu i zostawić matce pożegnalny liścik...

Patrzyła w okna przeciwległego budynku. Na dole, w mieszkaniu wdowy Mandrier i Flor, płonęła świeca, okna na piętrze były ciemne.

Jej matka, choć niezbyt pobożna, czuła respekt przed ciemnymi siłami i odkąd przyjechały do Almayrac, każdego wieczoru stawiała na parapecie płonącą świecę.

Lecz nie tej nocy.

Eli przypomniała sobie ten niezwykle spokojny, który uderzył ją w zachowaniu matki, i zrozumiała, że nie ma po co wracać do domu.

Joana Lienard nie bała się już demonów.

## 5. Pełnia lata

**Pod wieczor mezczyznie po raz pierwszy przyszlo do glowy, ze moze umrzec.**

**Wyruszył wczesnym rankiem traktem wiodacym z Moulis do Alestry. Dobremu piechurowi przy slonecznej pogodzie droga ta powinna zajac nie wiecej niz osiem godzin. On nie uwazal sie za dobrego piechura – przywykl podrozowac wynajetym powozem, nie zas na wlasnych nogach, a pogoda byla typowo listopadowa. Siapil deszcz, czasem zmieniajac sie w krotka, gwałtowna ulewe. W powietrzu unosily sie pasma mgly, a rankiem kaluze sciela cienka warstwa lodu. Potem rozpadalo sie i lod szybko stopnial, ale mezczyzna nie zapomnial o nim. Znaczyl to, ze zima jest juz bardzo blisko. Zima taka, jaka bywa w okolicach Alestry – dzdzysta i wietrzna, z wilgotnym mrozem przenikajacym noca cialo spoznionego przechodnia.**

**Mimo to zdecydowal sie ruszyc w droge. W Moulis stracil niemal wszystko, co mial, a miasto nie oferowalo zbyt wielu okazji do zarobku. W Alestrze liczyl na zycie, jakie lubil: pieniadze zdobywane bez wysilku, nie zawsze uczciwymi metodami, a potem rownie latwo tracone na hulanki, karty i drogie kobiety. Byl mlody, przywykl radzic sobie sam i robic, co mu sie podoba.**

**Pierwsze objawy choroby poczul przed poludniem, gdy minal juz stojaca przy trakcie oberze. Meczyl go bol zoladka, mdlosci i zawroty glowy. Mimo to nie zdecydowal sie zawrocic. Przeklal tylko sniadanie, ktore zjadal za ostatnie poltora eccu, i brnal dalej blotnistym lesnym traktem. Mial nadzieje, ze to chwilowa slabosc, ktora szybko przejdzie. Czul sie jednak coraz gorzej. Gdy po raz kolejny pochylal glowe, opierajac dlonie o szorstki pien sosny, jego pusty zoladek kurczyl sie gwałtownie, a z otwartych ust zwisala nitka sliny, pojal, ze to cos powazniejszego niz skutki jedzenia nieswiezej pieczeni.**

**Rekawem otarl usta i spocone czolo. Material plaszcz byl wilgotny i ten chlod przyniosl mezczyznie chwilowa ulge. Mial goraczke, to pewne. Chwile pozniej minely go dwa wozy. Zszedl z drogi. Chec poproszenia o pomoc walczyla w nim z duma. Duma zwyciezyla. Bez slowa odprowadzil wozy spojrzaniem.**

**Szybko pozalowal tej decyzji.**

**Lunal deszcz. Mezczyzna poszukal schronienia w lesie i skulil sie pod drzewem, zawiniety w cienki plaszcz – elegancki, ale niezbyt odporny na wilgoc.**

**Jednak okrycie wciaz dawalo odrobine ciepla, zamknal wiec oczy, czujac, jak ogarnia go sennosc. Byl taki slaby, zziebniety i wyczerpany...**

**Przerazony szarpnal glowa. Nie mogl sobie pozwolic na sen, nie tutaj, nie teraz. Wstal z trudem i powlokl sie traktem, na wpol przytomny i coraz bardziej przemokniety. Upadal kilkakrotnie – nie pamietal juz nawet, ile razy – i wstawal jedynie dlatego, ze dotyk zimnego blota na twarzy przywracal mu swiadomosc.**

**Dreczylo go pragnienie, bal sie jednak pic wode z lesnych, wzburzonych potokow, zoltobrazowa od blota i pelna gnijacych lisci. Pil wiec chwyтана w dlonie deszczowke.**

**Chwilami miał wrażenie, że brodzi pod woda: goraczka zniekształcała poczucie odległości, a linia traktu zamazywała się przed oczami. Szedł jak pijany: kilka kroków w przód i jeden drobny w tył, chwila kiwania się w miejscu na ugiętych nogach i rozpaczliwej walki, by utrzymać równowagę, a później znowu do przodu, niepewnie i zataczając się.**

**Deszcz przestał padać, ale to wiele nie pomogło. Mężczyzna przemokł już do suchej nitki, a ponieważ las stawał się coraz rzadszy, mocniej odczuwał podmuchy zimnego wiatru, który pozbawiał ciało resztek ciepła.**

**Gdyby lubił ironizować, być może rozbawiłaby go na chwilę myśl o człowieku umierającym w lesie nie od kłów i pazurów dzikich zwierząt, lecz z powodu zatrucia jakimś swinstwem. Ale on nigdy nie grzeszył poczuciem humoru.**

**Droga była pusta. Nic dziwnego o tej porze roku i przy takiej pogodzie. Mężczyzna nie liczył, że spotka jeszcze kogoś, kogo mógłby poprosić o pomoc. Mimo to tuż przed zmrokiem usłyszał za plecami parskanie koni i chwile później z mgły wylonili się dwa grubo-kosciste kasztanki zaprzęzone do chłopskiego wozu. Z ich boków unosiła się para. Woznice okrywał gruby płaszcz. Obok niego siedziało dziecko – dziewczynka bądź chłopiec, trudno było rozpoznać – z twarzą ukrytą pod obszernym kapturem.**

**Mężczyzna stanął na środku drogi i wyjął prośbę o pomoc.**

**Dziecko odrzuciło kaptur i przyjrzało mu się uważnie. To była jasnowłosa pyzata dziewczynka. Jej usta otworzyły się w wyrazie zdumienia.**

**Tato, ten pan nie ma... – pisała.**

**Cicho – skarcił ją woznica. Wsunął dyskretnie dłoń pod płaszcz, a w jego oczach pojawił się zmieszany z determinacją strach.**

**Czego chcesz?**

**Zbliżył się, a dziewczynka zabawnie zmarszczyła nosek. Prawda, że musiał mocno cuchnąć – odkąd zachorował, wciąż chodził w las za potrzebą, a nie zawsze w porę zdążył zdjąć spodnie.**

**Chłop na wozie nie zwracał uwagi na smród. Patrzył w twarz stojącego na drodze mężczyzny, a ten – jeszcze nim woznica zdążył cokolwiek powiedzieć – pojął, że przegrał.**



**Skazaniec... – wymruczał chłop. – Zostaw nas w spokoju!**

**Zacial batem konie, zmuszając je szybkiego truchtu. Spod kol trysnęła błotnista woda.**

**Nie jestem skazancem... – zaprotestował mężczyzna, ale było za późno. Wóz zniknął we mgle.**

**Do Alestry pozostały dwie godziny drogi.**

**Dla zdrowego, idącego normalnym tempem człowieka i przy dobrej pogodzie, gdy mgła nie ogranicza widoczności, a stopy nie grzezną po kostki w błocie.**

**Proszę spojrzeć tu: oto scena przedstawiająca Wezwanie Szatana. Szatan już, już wrywa się z nakreślonego nieumiejętną ręką kregu, by poznać nieostrożnego maga. Mag cofa się, lecz jest za późno. Wie o tym, proszę spojrzeć na owy wyraz przerażenia wykrzywiający jego rysy. A ten obraz na prawo przedstawia kamień ofiarny, na nim zaś dwoje nagich dzieci oczekujących na śmierć. Czy ciemna postać, która skrada się ku nim, jest pogańskim bóstwem, które dawni mieszkańcy tych ziem prześlągiwali ofiarą z niewinnej krwi? Ktoż to wie? Treści kolejnego obrazu nie muszę chyba nikomu objaśniać: oto mamy przed sobą tak dobrze nam znana z kościelnych malowideł scenę stracenia grzeszników do piekieł. Nie jest to jednak grzeczny, godny podstarzałej dewotki obrazek, o nie. Nieznanemu autorowi tego dzieła udało się oddać grzech w całej jego ohydzie i obrzydliwości, lecz także, nie mylicie się, moi mili słuchacze, w jego kusicielskim uroku. Proszę spojrzeć na nagie ciała grzeszników: obrzmiałe i zdeformowane, nasycone jadem i winem, krwią i wynaturzona miłością. Ci ludzie z pewnością nie odmawiali sobie niczego, z radością folgując najohydniejszym pragnieniom. Lecz czy żałują? Czy cierpią w oczekiwaniu na ogień piekielny, czy też wręcz przeciwnie, pogrążeni są w słodkiej ospalności, jaką towarzyszy nasyceniu rozkoszą?**

**Książę Auban d'Ennodi Cazeres przerwał, by nabrać tchu. Policzki miał tak czerwone, że wydawało się, iż wystarczy lekko je nakłuc, a pękna jak przejrzały pomidor. Przy najlżejszym wysiłku sapał ciężko. Gdyby był niższy i drobniejszy, z pewnością uważano by go za grubasa, jednak tłuszcz rozłożony równomiernie na wysokiej, grubokoscistej sylwetce sprawiał, że książę zyskał sobie po prostu miano potężnego mężczyzny. Miał blisko pięćdziesiąt lat i w Villatelle wciąż jeszcze uchodził za młodego człowieka. Kobiety chwaliły jego meską posturę i rumianą cerę; Jordan natomiast widział przed sobą starzejącego się tłuszciocha, który z dużym prawdopodobieństwem w ciągu najbliższych lat, a może nawet miesięcy, umrze na serce.**

**Książę osuszył chustką spocone czoło. W podziemnej galerii, mimo dopływającego z otworów w suficie powietrza, było duszno. Obrazy oświetlały smukłe czarne świece**

włożone w przytwierdzone do ściany uchwyty w kształcie rak kościotrupa. Długość, lecz wąskie pomieszczenie wypełniał dym, a gdy goście podchodzili bliżej, by przyjrzeć się malowidłom, gorący oddech płomieni owiewał im twarze.

Gospodarz starł kolejną struzkę potu i rozejrział się po słuchaczach, sprawdzając, jaki efekt wywarła jego kolekcja.

Jeden z gości patrzył nie na Stracenie grzeszników, lecz na przeciwległą ścianę galerii, gdzie samotnie wisiał niewielki obraz. Jakby dla odroczenia od niego uwagi, na ścianie płonęła jedna tylko świeca, nie czarna, lecz ze zwyczajnego mlecznożółtego wosku. Dzięki temu zresztą malowidło zachowało się w znacznie lepszym stanie niż wisząca naprzeciw "demoniczna" seria, poczerniała od dymu i z popekana, krusząca się w wielu miejscach farba.

Książę poczuł przyływ irytacji.

A pan, panie Jordan? Który z moich obrazów budzi w panu największe przerażenie? – spytał, próbując skierować zainteresowanie gościa z powrotem na właściwe tory.

Ten właśnie. – Zapytany skinieniem głowy wskazał niepozorny malunek.

Na obrazie dwie młode kobiety siedziały w ogrodzie – jedna na huśtawce, druga u jej stóp, wprost na trawie. Ta na huśtawce, blondynka, pochylała się i wpinała we włosy swej siostry, która rozkwitła purpurowymi różami. Kwiaty były tak wielkie, że drobne ręce jasnowłosej niemal w nich ginęły, a ich barwa tak intensywna, że płatki zdawały się rzucać na dłoń jednej i czoło drugiej kobiety krwawe cienie. Różki zwisały także z krzewów, uginając pod swym ciężarem zbyt delikatne gałązki. Słońce świeciło mocno, liście były świeże i zielone, a trawa pełna soków. Kobiety wyglądały na rozleniwione upałem i szczęśliwe. Rysy blondynki przesłaniały rozpuszczone włosy, brunetka przykryła oczy, wystawiając twarz na pieczęcie gorących promieni. Uśmiechała się uśmiechem subtelnym, ledwo zarysowanym na wargach, a przecież trudnym do przeoczenia i w pewien sposób niepokojącym. Ciemnowłosa kobieta przypominała trochę kota, pozbawionego ludzkich wątpliwości i wahan. Kota, który najadł się tłustych myszy, opił śmietankę i teraz wygrzewa na słońcu, nie pragnąc już nic od życia.

Obraz nosił tytuł Pełnia lata. – Ależ... – Właściciel galerii zająknął się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. – Pan żartuje, prawda? Jordan wolno pokręcił głową.

Panie Jordan, czy mogłbym prosić o przysługę? – spytał książę Cazeres tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, że pewien jest zgody.

Jordan w pierwszej chwili zmarszczył brwi, potem – tłumiąc niechęć – uprzejmie skinął głową.

Pozostali goscie wlasnie wychodzili, na podjezdzie slychac juz bylo turkot kol powozow. Ksiaze zatrzymal Jordana, nim sluzacy zdazyl podac mu plaszcz i rekawiczki. Wciaz mowiac, prowadzil go w bok, w strone szerokich schodow wiodacych z holu na pietro palacu.

Chcialbym, aby rzucil pan okiem na moja zone. Nic wlasciwie jej nie dolega, ale troche sie o nia martwie. Jest blada, nie ma apetytu... To zajmie tylko chwilke. Po prostu pomyslam, ze skoro jest pan lekarzem, dlaczego by nie skorzystac z okazji. Rozumie pan...

Nie, Jordan nie rozumial. Wykorzystywanie zawodu zaproszonego na kolacje goscia bylo powaznym nietaktem. Jordanowi, jak i wszystkim medykom, zdarzalo sie to juz wczesniej – wielu ludzi przy okazji towarzyskiej wizyty chetnie korzystalo z porady lekarskiej, oszczedzajac czas i pieniadze. Ale po ksieciu Cazeres, kuzynie krolewskim w drugiej linii i wlasncielu jednego z najwiekszych majatkow Okcytanii, mozna by sie spodziewac lepszych manier.

W pierwszym odruchu chcial odmowic. Nie przypadl mu do gustu ani gospodarz, ani jego palac. Chcial jak najszybciej znalezc sie w swoim mieszkaniu i zapomniec o wszystkim, co tu zobaczył. Pragnienie to bylo tak silne i jednoczesnie tak irracjonalne, ze w Jordanie niespodziewanie obudzila sie ciekawosc. Na przekor wlasnym uczuciom postanowil zostac. Chcial wiedziec, skad wziala sie w nim tak silna niechec.

Idac za gospodarzem po szerokich schodach, analizowal dzisiejszy wieczor. Czy zaniepokoil go znajdujaca sie w podziemnej galerii kolekcja? Z pewnoscia nie. Byly to niewiele warte, pochlebajace najnizszym gustom dzieła i tylko ktos taki jak ksiaze Cazeres – glupiec po sztubacku zafascynowany wszystkim, co "mroczne" i "demoniczne" – mogl je podziwiac.

Oczywiscie byla jeszcze Pelnia lata.

To jest to, pomyslal Jordan. W pewnym sensie niepokoi mnie ten obraz. Ale jest jeszcze cos. Cos w atmosferze tego domu czego nie potrafie rozpoznać...

Palac lezal niedaleko Alestry, w miejscowosci zwanej Villatelle. Dni chwaly Villatelle mialo juz za soba. Sto piecdziesiat lat temu przodek obecnego krola wybudowal tu jedna ze swych podmiejskich rezydencji, a poniewaz spedzal w niej wiekszosc czasu, wktotce wokol krolewskiego palacu wyrosly siedziby okcytanskich wielmozow. Przez poltora wieku w Villatelle wazyly sie losy calego kraju. Tutaj urzadzano najhuczniejsze zabawy, tutaj snuto intrygi, te blahe i te o najbardziej dalekosieznym skutkach, tutaj pod plaszczykiem dworskich manier trwala nieustanna walka o wladze, zaszczyty i wplywy. Kres temu polozyl dopiero Karol Emmanuel, koronowany przed dwunastu laty. Kazal on odnowic i rozbudowac stojacy w centrum Alestry

palac, a później przeniósł się tam, zabierając ze sobą garstkę najwierniejszych przyjaciół. Król w niczym nie przypominał swych poprzedników: do przesady pobożny, wiodł skromne życie, a jedynym człowiekiem, którego rad słuchał, był ksiądz Verdemi, jego dawny wychowawca. W tej sytuacji część mieszkańców porzuciła dotychczasowe siedziby i wróciła do swych dóbr, którymi dotąd zarządzali intendenci czy młodsi bracia, inni – przeważnie młodzi – przenieśli się do Alestry, by tam korzystać z rozrywek, nie oglądając się już na królewski majestat.

Niektórzy jednak pozostali w Villatelle. Tkwieli w swych pałacach coraz bardziej rozgoryczeni i zdziwaczali, udając jednocześnie, że nic się nie zmieniło. Byli zbyt wiekowi, by bawić się jak dawniej, i zbyt staroswieccy, by przyciągnąć alestranską młodzież, w gruncie rzeczy nie gardzili, tak jak każdym, kto nie należał do ich świata. Wydawali więc pieniądze na utrzymanie sal balowych, w których nikt już nie tańczył, i ogrodów, w których nikt nie urządzał zabaw. Spotykali się tylko we własnym gronie, a byli wśród nich i tacy, którzy zamykali się wraz z kilkorgiem służących w opustoszałych rezydencjach, nie wychodzili na zewnątrz ani nie wpuszczali nikogo do środka. Cazeres stanowił chlubny wyjątek – on przynajmniej od czasu do czasu zapraszał do swego domu kogoś spoza Villatelle.

Jordan siedział za gospodarzem długimi, pustymi korytarzami. Echo ich kroków tłumili grube dywany i zakurzone draperie. Niedgdyś zapewne purpurowe, teraz brązowoczerwone niczym zaschnięta krew.

Książe wprowadził Jordana do jednej z komnat, przeprosił grzecznie i pozostawił samego.

Zauwazywszy toaletkę z leżącym na niej kompletem szczotek w srebrnej oprawie, Jordan domyślił się, że to sypialnia pani domu. Poza tym komnata była podobna do innych w pałacu: przestronna i nieprzytulna, umeblowana staroswieckimi, choć dobrze utrzymanymi sprzętami. Tutaj czas zatrzymał się pięćdziesiąt lat temu. Każde krzesło, stolik, każda solidna, ale lekka szafka – tak różna od najmodniejszych lekkich mebelków – zaklinały przeszłość, by nie odchodziła.

Pomieszczenie to przeznaczono nie dla żywych ludzi, lecz dla duchów.

Jordan zbliżył się do płonącego w kominku ognia i wyciągnął dłonie, choć przecież nie było mu zimno.

Weszła stara służąca, kucnęła przy palenisku i dorzuciła drewno. Podnosząc się, spojrzała na Jordana ciekawie. Mimo starannie wykrochmalonego fartuszka i czepka wyglądała na zwykłą chłopkę i gapiała się na Jordana właśnie z chłopską prostotą, bez zająknięcia, bez świadomości tego, co przystoi służbie, a co nie.

Pan doktor, nie? – spytała.

Jordan pomyslał, że za czasów świętości Villatelle taka kobieta pracowałaby co najwyżej w kuchni, przenigdy nie wpuszczono by jej do pokoju państwa. Skinał głową. Nie zamierzał tłumaczyć się, ale też nie czuł się urażony. Naiwna bezczelność służącej nawet go bawiła.

Jak trzeba, to doktora nie wołają, a jak nie trzeba, to sam przychodzi – powiedziała zagadkowo. Dygnęła niezgrabnie w drzwiach i wyszła.

Chwile później do komnaty wrócił książe, prowadząc ze sobą żonę, donę Lucianę.

Księżna Luciana Cazeres nie urodziła się w Villatelle. Pochodziła z Alestry, z ubogiej mieszczańskiej rodziny. W młodości uważano ją za matematycznego geniusza, a dziewczyna wierzyła w swe zdolności tak bardzo, że zapragnęła kształcić się na uniwersytecie. Władze uczelni odmówiły, lecz Luciana się nie poddała. Wysyłała do rektora listy, ponoc tak przekonujące, że Matell – już wówczas stary i niechętny wszelkim nowinkom – poważnie zaczął rozważać przyjęcie kobiety w poczet studentów.

I wtedy właśnie pojawił się książe Cazeres, kupił Lucianę od rodziny, poślubił i zamieszkał z nią w Villatelle. Wszystko to wydarzyło się dokładnie przed piętnastu laty.

Plotki głosiły, że Cazeres ożenił się z miłości, lecz Jordan z natury był zbyt cyniczny, by w to uwierzyć. Podejrzewał, że księciu po prostu sprawiło przyjemność zrujnowanie śmiałych planów kobiety.

Donna Luciana miała trzydzieści kilka lat, była chuda i bardzo wysoka. Jakimś cudem zdołała osiągnąć wzrost prawie sześciu stop, lecz jej zdeformowany kręgosłup świadczył wyraźnie o tym, że w dzieciństwie odżywała się marnie. Była też bardzo blada, pozbawione połysku włosy miały kolor popiołu, a oczy, jasne i przezroczyste, przypominały kawałki bladobłękitnego szkła.

Proszę zostawić nas samych – powiedział Jordan.

Wolałbym zostać. Tak będzie lepiej, prawda, kochanie? – Książe uśmiechnął się z teatralną czułością.

Jordan nie zdziwił się. Wielu mężczyzn życzyło sobie asystować przy badaniu żony i pilnować, by lekarz nie przekroczył granic przyzwoitości.

Zdumiał go dopiero kolejne słowa gospodarza

Rozbierz się – polecił żonie.

To nie jest konieczne – zaprotestował Jordan.

Lekarza nie należy się wstydzić. A my chcemy przecież, by badanie było dokładne, prawda? – książę znowu zwrócił się do żony, a ona ponownie odpowiedziała mu skinieniem głowy.

Wydawała się spokojna, zbyt spokojna i zrezygnowana. Jednak jej apatia nie miała w sobie nic chorobliwego. Jordan spotykał już takie kobiety, które po jakimś ciosie – nieszczęśliwej miłości bądź śmierci kogoś bliskiego – godziły się z losem i żyły, zadowolając się małymi radościami i smutkami, niepodatne na silniejsze emocje, zawsze rozsadne i zawsze obojętne.

Dona Luciana rozbierała się, a w jej ruchach nie było ani załotności, ani wstydu. Z haftkami i wiazaniami sukni poradziła sobie z wprawą osoby przyzwyczajonej do samodzielności. Na ziemi opadła suknia wierzchnia, potem spodnia, bielizna i ponczochoy. Kobieta stanęła przed Jordanem naga jak Ewa w raju. Garbata, białoskora i popielatowłosa, przypominała pozbawionego wdzięku anioła tulącego do pleców zwinięte skrzydła.

Książę niczym biblijny król Kandaleus patrzył na obnażone ciało żony z wyraźną przyjemnością.

Jesteśmy do siebie podobni, panie Jordan – mówił, nie odrywając wzroku od nagiej postaci – choć właściwie powinienem zwracać się do pana don Domenic, prawda? Uzyskanie doktoratu wiąże się przecież z nadaniem szlachectwa.

Jordan skinął głową. Nie wspomniał, że prawo do szlacheckiego tytułu ma od urodzenia.

Obaj lubimy to, co budzi lek w zwykłych śmiertelnikach. Mrok, śmierć, może nawet... – Cazeses spojrzał na Jordana i uśmiechnął się, ukazując na chwilę drobne ostre zęby kontrastujące z czerwoną twarzą grubasa – diabła?

Proszę znaleźć mi jakąś łyżeczkę.

Wezwany przez księcia sługa przyniósł srebrną łyżeczkę do kremów i lodów osadzona na długim trzonku.

Jordan zajrzał do gardła kobiety, spytał o samopoczucie, potem ocenił sylwetkę, starając się nie dotykać ciała częściej, niż było to konieczne.

Książę patrzył na palce lekarza ślizgające się po nagiej skórze żony. Jego górna warga znowu uniosła się w odsłaniającym kły uśmiechu. Na zębach błyszczały kropelki śliny.

Jordan polecił kobiecie ubrać się, sam zaś odwrócił się w stronę gospodarza.

**Ksiezna jest odrobine anemiczna, przydalaby sie wiec dieta bogata w sycace potrawy i od czasu do czasu pare tygodni spedzonych w jakims morskim uzdrowisku. Moge tez przepisac mieszanke ziolowa na poprawe apetytu. Jedna rzecz jest wazna. Pana zona – swiadomie pominal ksiazecy tytul – nie powinna rodzic dzieci. Pewnie zreszta juz o tym pan wie. Jej miednica jest zbyt waska, a do tego zdeformowana. Porod ja zabije**

**Cazeres wstal, podszedl do zony, ujal jej twarz w dlonie i patrzyl przez chwile w oczy. Nadal sie usmiechal. Wydawal sie zadowolony z opinii Jordana.**

**Poznym rankiem Peyretou zbudzil Jordana, dotykajac delikatnie jego ramienia.**

**Panie – szepnal – jakis czlowiek koniecznie chce sie z panem widziec. Tomas Magatou. Mowi, ze jest porucznikiem alestranskiej policji konnej.**

**Domenic Jordan usiadl na lozku. Zbudzony ze snu blyskawicznie odzyskiwal przytomnosc i doskonale zrozumial, co Peyretou przed chwila powiedzial.**

**Popros go do srodka. Mlody sluzacy wrocil po chwili.**

**On nie chce wejsc – rzekl, pomagajac swemu panu wlozyc kaftan. – Stoi w drzwiach i wciaz powtarza, ze koniecznie musi sie z panem zobaczyc.**

**Co za lichy? – zastanowil sie Jordan. Znal Magatou – byl to czlowiek niezbyt inteligentny, ale uczciwy, a przede wszystkim bardzo rozsadny. Zazwyczaj nie zachowywal sie tak dziwacznie.**

**Ubrany juz, ze starannie uczesanymi i zwiazanymi na karku wlosami, Jordan podszedl do drzwi.**

**Magatou opieral sie o framuge. Jego szczupla i wysoka sylwetka wydawala sie lekko przygarbiona, konce uczernionych wasow zwisaly smetnie, a w niebieskich oczach widac bylo niepokoj.**

**Co sie stalo? – spytal Jordan.**

**Ksiezna Cazeres zostala zamordowana dzisiejszej nocy – oznajmil porucznik, przechodzac od razu do sedna sprawy. – A ksiaze oskarza pana o jej smierc.**

**Jordan nie wydawal sie przestraszony ani nawet zaskoczony. Przez jeden krotki moment porucznik Magatou mial tylko wrazenie, ze stojacy przed nim mezczyzna zamierza gwizdnac, jakby z podziwu. Lecz to musialo byc zludzenie.**

**Jadl pan juz sniadanie?**

**Nie – odparł speszony porucznik.**

**Wiec prosze wejsc. Chyba nieczesto ma pan okazje dzielic posilek z potencjalnym morderca, prawda?**

**Czy pan... eee... czy...**

**Czy zabilem ksiezne Cazeres?**

**Magatou skinal glowa, jednoczesnie wpychajac do ust kawalek pieczonej kuropatwy.**

**A uwierzy mi pan, jesli powiem, ze nie? – Jordan usmiechnal sie ironicznie.**

**Porucznik, zaskoczony tak bezposrednim pytaniem, przytaknal po chwili. Szanowal Jordana, lubil go nawet, lecz nie rozumial.**

**Nieslusznie – powiedzial Jordan. – W takich kwestiach nie nalezy nikomu wierzyc na slowo. Musi byc jakis powod, dla ktorego Cazeres oskarza wlasnie mnie. Wie pan, dlaczego?**

**Peyretou wciaz donosil nowe potrawy, irytujaco wolno i dlugo szukajac dla nich miejsca na stole. Stala tu juz misa smazonych w cukrze owocow, sery, jablka, makowe ciasto, imbirowe suchary i do niczego niepasujacy zielony pieprz.**

**Jordan zdenerwowal sie odrobine.**

**Wyjdz i zajmij sie swoimi sprawami albo zostan, jesli koniecznie chcesz posluchac, o czym mowimy.**

**Zaczerwieniony Peyretou usiadl na brzezku krzesla.**

**Ksiezna Cazeres przeprowadzila sie wczorajszego dnia do nowych pokoi – wyjasnil porucznik Magatou. – Wczesniej mieszkala w polnocnym skrzydle palacu. Jedyna osoba, ktora wie, gdzie znajdowala sie jej nowa sypialnia, jest pan. A ona zostala zamordowana w nocy, we wlasnym lozku.**

**Sluzba tez musiala wiedziec o przeprowadzce – zaprotestowal Jordan.**

**Ksiaze nie podejrzewa nikogo ze sluzby. To wierni, oddani rodzinie ludzie, od dawna sluzacy w palacu. Tak mowi ksiaze.**

**Jordana zdziwilo to stwierdzenie. Arystokracja -jakkolwiek sklocona i zawsze chetna do intryg – o tego rodzaju zbrodni sklonna byla zazwyczaj podejrzewac kogos z plebsu, nie z wlasnego grona.**



**I pan przyszedł mnie aresztować? – uśmiechnął się lekko, bynajmniej nie zaniepokojony. – Dowody przeciw mnie są dość słabe.**

**To samo powiedziałem księciu. – Magatou skinął głową. Nie był zbyt bystry, ale nie zbywało mu na odwadze. Jordan poczuł do niego przyływ sympatii. – Jednak... – Porucznik urwał i pochylił się nad talerzem, na którym tłusta kuropatwa zmieniła się już w ogryziony do czysta szkielet.**

**Nie musiał kończyć. Jeśli książę naprawdę chce, by Jordan odpowiedział za śmierć dony Luciany, to wkrótce znajdzie się nowe, mocniejsze dowody. Albo po prostu Cazeres pociągnie za odpowiednie sznurki i Jordan tak czy inaczej zostanie skazany.**

**Czy jest ktoś, kto mógłby poświadczyc, że w nocy nie wychodził pan z domu? Panski sługa?**

**Peyretou zakreślił się niespokojnie na krześle.**

**Mój sługa większość nocy spędza teraz w towarzystwie siostrzenicy karczmarza z "Błękitnego dzbanka" – powiedział Jordan z uśmiechem.**

**Policzki Peyretou znów pokryły się rumieńcem. Wierzył dotąd, że jego nocne eskapady są tajemnicą.**

**A jasnowidz? Badał już ciało?**

**Książę Cazeres nie pozwolił. Twierdzi, że to nie po chrześcijańsku.**

**Bzdura. Większość kościelnych hierarchów akceptuje jasnowidzów, jeśli tylko korzystają oni z opieki jednego ze świętych.**

**Magatou wzruszył ramionami.**

**Wiem, ale książę uparł się i nic nie mogłem na to poradzić.**

**Jordan unosił brwi. Była to kolejna niepokojąca okoliczność. Obstawanie przy niewinności sług, którzy w tej sytuacji byli najbardziej oczywistymi podejrzanymi, niepoparte żadnymi poważnymi dowodami oskarżenia rzucone na Jordana, a teraz sprzeciwianie się badaniu ciała przez jasnowidza. Co, u diabła, działo się w pałacu księcia Cazeres?**

**Jordana zastanawiała jeszcze jedno. Poprzedniego wieczoru zauważył, że w pałacu nie ma wiele służby. Choć księcia z pewnością stać było, by prowadzić życie na dawnym poziomie, to jego rezydencja sprawiała wrażenie opustoszałej. Niemniej jednak księżna Cazeres miała chyba pokojówkę, która pomagała jej przy wieczornej i porannej toalecie? Zapytał o to.**

Miała – potwierdził Magatou. – To właśnie jest następna rzecz, o której chciałem panu opowiedzieć. Pokojowka ma na imię Rosela i pochodzi ze wsi leżącej kilka mil za Villatelle. Zazwyczaj sypia w garderobie, przy komnacie swej pani. Ale dzisiejszej nocy w ogóle nie było jej w palacu. Raz na miesiąc dziewczyna ma wolny dzień i rusza wtedy pieszo do rodzinnej wioski. Wychodzi o świcie i wraca przed zmrokiem.

A wczoraj nie wróciła – domyślił się Jordan.

Nie. Posłałem już jednego z moich ludzi, by porozmawiał z jej rodzicami. Według ich słów, Rosela odwiedziła dom wczoraj, a po południu jak zwykle wyruszyła w powrotną drogę do palacu. Tylko że nigdy tam nie dotarła. Kazałem wszcząć poszukiwania. Moim ludziom pomagają chłopcy z rodzinnej wioski Roseli. Zdaje się, że była bardzo lubiana...

Dziewczyna prawdopodobnie już nie żyje – powiedział Jordan spokojnie. – Komus zależało, by usunąć ją z drogi. Ktoś chciał, by księżna została dzisiejszej nocy sama.

Dziecko, co ty masz na sobie? – spytał Jordan łagodnie.

Dziewczyna zaczerwieniła się, opuściła głowę. Nosila kanarkowożółta suknie obramowana szkarłatnymi koronkami, z wielką, sięgającą ucha różą przypiętą na ramieniu. Figure miała już pełna i kobieca, ale jej twarz wciąż była po dziecinnemu pyzata. Miała piętnaście lat. Na chrzcie nadano jej imię Bernadeta, ona jednak wolała, by wolano ją Netta. Talent jasnowidza obudził się w niej niedawno i jeszcze nie przyzwyczaiła się do swej nowej pozycji społecznej i bogactwa. Drogie stroje nosiła tak, jakby starała się je oszczędzać, a przy tym najwyraźniej miała fatalny gust.

Wyglądziła material, jakby chcąc pocieszyć wzgardzona suknie.

On – mruknęła, wciąż wbijając wzrok w podłogę i ledwo dostrzegalnym ruchem głowy wskazując stojącego obok Peyretou – powiedział, że wybieramy się z wizytą do jednej wielkiej pani.

Owszem, z okazji pogrzebu tej pani.

Netta zarumieniła się i nerwowym gestem poprawiła kosmyk jasnych włosów wymykający się z fryzury nieudolnie imitującej potrójny warkocz. Sprawiała wrażenie bezradnej i dziecinniej, i taka w rzeczywistości była.

Jordan nakazał Peyretou znaleźć jasnowidza, który w żadnym razie na jasnowidza nie wygląda; trzeba było przyznać, że młody sługa doskonale wywiązał się z zadania.

Peyretou – powiedział Jordan – jesteś bystrym chłopcem, a mam nadzieję, że siostrzenica karczmarza nauczyła cię coś nieco o kobiecych strojach. Idź więc na

**rynek i pomoz Necie wybrac jakas skromna zalobna suknie. I wroccie przed dziesiata. Nie wypada spoznic sie na ostatnia uroczystosc ksieznej Cazeres.**

**Done Luciane postanowiono pochowac niezwykle szybko, ledwo w trzy dni od smierci.**

**Rankiem w dzien pogrzebu po prawie trzech tygodniach pluchy niebo rozpogodzilo sie niespodziewanie i nad Alestra zablyslo zimowe slonce, odbijajac sie w brudnych kaluzach. Jedna z takich kaluz, wielka niemal jak maly staw, rozlewala sie przed kosciolem, w ktorym miala odbyc sie msza zalobna. A poniewaz na pogrzeb ksieznej Cazeres postanowili stawic sie prawie wszyscy mieszkancy Villatelle, co rusz rozgrywala sie tu jedna i ta sama scena. Przed swiatynia stawal staroswiecki powoz i z wnetrza dumnie wysuwala sie siwa glowa, tylko po to, by na widok zagradzajacej droge kaluzy cofnac sie natychmiast. Po chwili glowa wynurzala sie ponownie, juz znacznie wolniej i mnie pewnie, a zaniepokojone spojrzenie padalo na czekajacego w pogotowiu sluzacego. Sluzacy stawal na wysokosci zadania: pomagat sedziwemu pasazerowi lub pasazerce zejsc po schodkach karety i prowadzil do wrot kosciola, przy czym podopieczny szedl sciezka ulozone z chybotliwych kamieni, a sluga brnal obok po kostki w wodzie.**

**Jako ostatni do kosciola wszedl Domenic Jordan, podtrzymujac uczepiona jego ramienia Nette. Dziewczyna posapywala przez nos, kolyszac sie na obcasach wysokich bucikow.**

**Zatrzymali sie w prawej nawie, w poblizu oltarza, bezpiecznie ukryci za jednym z filarow. Niedaleko stanal Tomas Magatou.**

**Kosciol byl wypelniony po brzegi. Tuz przed oltarzem na obitych purpurowym pluszem krzeslach siedziala szlachta, w dalszych drewnianych lawach miejsca zajela sluzba. W tylnych rzedah od czasu do czasu ktos krecil sie w miejscu, chrzalkal, smarkal badz tracal lokciem sasiada i szeptal. Z przodu panowala cisza. Szlachetnie urodzeni staruszkowie siedzieli nieruchomo i milczaco jak wypchane sloma truchla. Trzy rzedy pudrowanych siwych peruk, sztucznych pieprzykow na pomarszczonych policzkach, podwojnych podbrodkow i na wpol slepych oczu. Pelni rozkosznego napięcia patrzyli nie na odprawiajacego msze ksiedza, lecz na otwarta trumne. Nikt nic nie mowil, a jednak to przerazajace i ekscytujace jednocześnie slowo "morderstwo" unosilo sie w powietrzu.**

**Potem jeden po drugim, podtrzymywani przez sluzacych, ktorzy naraz zjawiali sie u ich boku, z godnoscia, podchodzili do trumny. Bog wie, ile zlozonych wyschnietymi ustami pocalunkow spoczelo tego dnia na czole ksieznej Cazeres, ile powykrepanych artretyzmem palcow dotykalo jej zimnych policzkow. Nikt nie chcial zrezygnowac z okazji obejrzenia z bliska ciala zamordowanej.**

Jordan i Netta dyskretnie wmieszali sie kolejke. Porucznik Magatou podszedl i ustawil sie tak, by zaslonic Jordana i dziewczynie przed wzrokiem ksiecia Cazeres, gdyby temu ostatniemu przyszla ochota spojrzec jeszcze raz na cialo zony.

Netta oparla dlonie na brzegu trumny, pochylila sie i wargami dotknela czola martwej kobiety, potem jej powiek. Trwalo to dlugo, znacznie dluzej niz pozegnalny pocalunek.

Jordan wciaz trzymal ja za ramie. Cialem dziewczyny targnal dreszcz, bardzo mocny, potem zmienil sie w slabe dygotanie. Zacisnela dlonie na brzegu trumny.

Za plecami Jordana rozlegl sie niecierplivy syk. Zignorowal go. Odwrocil sie dopiero wtedy, gdy ktos pchnal go lekko.

Byla do niej bardzo przywiazana – powiedzial, nie majac pojecia, jak stojacy za nim zinterpretuja te slowa. I niewiele go to obchodzilo. Chcial po prostu zyskac troche czasu.

Wysoka kobieta o bezmyslnej twarzy skinela uprzejmie glowa. To wlasnie ona przed chwila tracila go w plecy. Nie z wlasnej woli bynajmniej, ale dlatego, ze pchnal ja nastepny w kolejce, mezczyzna drobniutki i dla odmiany sprawiajacy wrazenie dosc bystrego. Teraz wygladal zza kobiety – zabawnie, raz zza lewego, raz zza prawego ramienia jak wyskakujacy z pudelka diabelek – a pelne zlosci paciorkowate oczka zatrzymywaly sie na Jordanie.

Co sie dzieje? Czy ktos zle sie poczul? – W jego glosie nie bylo ani odrobiny troski. – W takim razie trzeba wyprowadzic go z kosciola, a nie tarasowac przejscie!

W tym momencie Netta – zupełnie jakby uslyszala te slowa – uniosla glowe, jeknela przeciagle i zaczela osuwac sie miekko. Jordan zlapal ja, w ostatniej chwili ratujac przed rozbiciem nosa o brzeg trumny. Zaraz obstapili ich starszycy, spogladajac z ciekawoscia na dziewczynie. Na chwile zemdlona stala sie wieksza atrakcja niz lezaca w trumnie ksiezna.

Chcialbym przejsc – powtarzal cierpliwie Jordan. Netta, ktora trzymal na rekach, wcale nie byla lekka.

Przepraszajac grzecznie, ale stanowczo, zaczal posuwac sie w strone wyjscia. Pomagal mu porucznik Magatou, zrecznie torujac droge posrod cizby. Tymczasem zamieszanie zwrocilo uwage ksiecia Cazeres. Na jego twarzy odmalowalo sie najpierw zdumienie, a pozniej gniew.

Magatou spojrzal na towarzysza, proszac go wzrokiem, by wzial na siebie wymyslenie jakiegos wiarygodnego klamstwa, lecz Jordan lekko pokrecil glowa. Nie mialo to sensu.

**Książe Cazeres prędzej czy później i tak musiałby się dowiedzieć, co właściwie zaszło w kościele.**

**Dona Luciana, księżna Cazeres, ostrożnie wysunęła stopę poza teren przytulnego gniazdka, które wygrzała sobie, leżąc zwinięta w pościeli. Poczula zimno i natychmiast cofnęła stopę. Ogień w kominku już zgasł, a przyniesiony przez Briande gorący kamień, owinięty w szmaty i położony w nogach łóżka, dawno wystygł.**

**W pałacu panowała cisza i ciemność. W głębokiej czerni unosił się, jakby zawieszony w powietrzu, szary prostokąt okna. Dona Luciana odwróciła się, zamknęła oczy. Nie zmieniło to niczego. Nadal otaczał ją zimny i cichy mrok.**

**Przysypiała, a myśli jak szereg szarych skrzętnych myszek spacerowały pod jej czołem. Myśli niegdys bolesne, a teraz wyblakłe już od nieustannego obracania w głowie, tragedie o stepionych kantach, pozbawione goryczy rozczarowania.**

**Czy warto było zostać księżną Cazeres po to, by teraz sypiać w zimnym łóżku, ubierać się w dziesięcioletnie aksamity, a na śniadanie jadać resztki z kolacji?**

**I druga sprawa, związana z poprzednią. Książę Cazeres, jej mąż, zmienił się. Kiedy to się zaczęło? Pieć, sześć lat temu? Może jeszcze wcześniej. Tak, wcześniej, mniej więcej w czasie choroby don Sicarta. Książę, dotąd ignorujący swego starszego kuzyna, ni stąd ni zowąd wykazał się dobrym sercem. Spędzał przy chorym całe dnie, bawił rozmową, pielegnował. W efekcie don Sicart wkrótce wstał z łóżka, za to przemęczony książę zapadł na zdrowiu. Gdy choroba minęła, zaczął zmieniać się jego charakter. Proces był tak powolny, że dona Luciana z początku niczego nie zauważyła. Książę zdziwaczał, skąpił pieniędzy na rezydencje, która niegdys się chlubił, za to wydawał je na kolekcje niepokojących obrazów. Stracił swe dawne zainteresowanie polowaniem, grą w karty czy frywolnymi komediami. Wciąż był drażliwy na własnym punkcie i gadatliwy, plotł czasem niemądre trzy po trzy, ale w jego słowach coś przejmowało rozmówcę dreszczem. Mówił o śmierci, najczęściej właśnie o tym, a wyglądało na to, że drażnienie żony, która tego typu tematów szczerze nie znosiła, sprawia mu przyjemność. Czas spędzał teraz wśród zakupionych obrazów, pokazując je każdemu, kogo tylko udało mu się zaciągnąć do podziemnej galerii.**

**Nie wiedzieć czemu, doni Lucianie, gdy myślała o obrazach, zawsze przychodziła do głowy Pelnia lata. Przywykła do wymalowanych diabłów, potępienców i krwawych ofiar. Nie budzili już w niej leku. Ale na widok Pelni wciąż przejmował ją niepokój. Biała się tego obrazu, widoku triumfującego lata, tak gorącego, przesyconego błogosławieństwem i szczęściem. Zbyt wiele było tego gorąca i szczęścia. Słońce nie mogło grzać silniej, roze nie mogły mocniej rozkwitnąć, a trawa być bardziej zielona. Nadszedł moment pełni, przesilenia...**

**Dona Luciana powoli zasypiała.**

**Na korytarzu rozległ się cichy odgłos kroków, potem coś jakby westchnienie.**

**Kobieta poderwała się i usiadła, wciąż na wpół przytomna, ale z sercem już tlukącym się w gardle. Wstrzymała oddech. Czując w całym ciele paskudną dretwotę, niezdolna do żadnego ruchu wytrzeszczała oczy w czern.**

**Ktoś tam stał, w ciemności, tuż przy drzwiach.**

**Czekała na szcęk naciskanej klamki, skrzyp zawiasów i lekki powiew świadczący o tym, że nocny gość wchodzi do sypialni. Nie doczekała się. Pierwszy moment oszłomienia spowodowanego nagłym wytraceniem z polsnu i paniczny lek minęły. Dona Luciana była już w stanie myśleć jasno.**

**Zdawało mi się. Nikogo tam nie ma, to tylko złudzenie.**

**A jeśli nawet, to przecież nie ma powodów do paniki. Może to ktoś ze służby przyszedł zbudzić mnie z jakiegoś ważnego powodu. Niedawno coś takiego właśnie się zdarzyło. Wtedy, gdy...**

**Ale w takim razie dlaczego przyszedł bez światła? Dlaczego stoi tam w ciemności i milczy?**

**Jest tam ktoś? – Jej głos zabrzmiał jak skrzek. Od-kaszlnęła i chwyciła w usta powietrze.**

**Nie było odpowiedzi.**

**A potem znowu to usłyszała: cichutki, jakby celowo tłumiony szmer oddechu. Szelest, jakby ktoś się poruszył. Tam, przy drzwiach jej własnej sypialni.**

**W panice odwróciła się i sięgnęła do wiszącej na ścianie raczki dzwonka. Mimo ciemności trafiła na nią niemal od razu – była duża, rzezbiona, dająca nadzieję. Szarpnęła silnie raz, drugi i trzeci, szarpnęła, aż rozbolała ją reka. Krzyknęłaby, ale wiedziała, że nikt jej tu nie usłyszy.**

**Na dole odgłos dzwonka powinien wyrwać teraz służących ze snu.**

**Potem sięgnęła do nocnego stolika, na osłep, przewracając lichtarz i coś jeszcze, co zimna struga pociekło jej po kolanach. Prawda, miała przecież przy łóżku szklanke mleka "na dobry sen", które dziś wypila tylko do połowy...**

**Długo, bardzo długo trwało, nim zdołała w ciemności trzesącymi się rękami skrzesać ognia i zapalić świecę. Przez ten czas, pochylona, czuła mrowienie w**

odslonietym karku, po prostu pewnosc, ze ktos za chwile polozy tam koscista, zimna dlon.

Ciepły blask płomienia odepchnął nieco ciemność, zgestniała teraz poza kręgiem światła, przyczaiła się.

Ogień dodał doni Lucianie pewności siebie, niewiele, ale to wystarczyło, by zmienić ją z przerazonego dziecka z powrotem w dorosłą kobietę.

Och, dlaczego Rosela nie wróciła wieczorem, tak jak powinna? Pewnie została z jakimś młodym mężczyzną... Dona Luciana obiecała sobie, że jutrzejszego ranka, gdy tylko Rosela zjawi się w pałacu, zwolni ją i znajdzie bardziej obowiązkową służącą.

Myśl o niefrasobliwej pokojowce przywiodła jej do głowy pocieszające przypuszczenie. Może to tylko jakiś rodzaj niemądrego zartu, pomyślała. Może któryś z młodszych służących postanowił zabawić się w ducha.

Proszę natychmiast się odezwac! – Chciała, by zabrzmiało to groźnie i władczo, lecz w jej głosie był tylko strach.

Za drzwiami panowała cisza i dona Luciana znów prawie uwierzyła, że się przesłyszała. Z lichtarzem w ręce podeszła do drzwi, raz po raz nakazując, by nocny gość przemówił. Nie liczyła na efekt, ale dźwięk własnego głosu dodawał jej odwagi.

Otworzyła drzwi, najpierw ciągnąc je powoli, a potem szarpiąc mocno i cofając się jednocześnie tak gwałtownie, że płomień świecy zachybotał.

Niepotrzebnie. Za drzwiami nikogo nie było. Odetchnęła z ulgą. Zaraz jednak w jej głowie pojawiła się kolejna myśl.

A jeśli nocny gość schował się w którymś z pustych pokoi ciągnących się wzdłuż korytarza? Ostrożnie zajrzała do jednej komnaty, potem do następnej. Zorientowała się, że niewiele ma to sensu. Najlepiej będzie, jeśli poczeka na służbę w swojej sypialni, a nie na środku korytarza, bosa i zziębnięta, w nocnej koszuli mokrej od zimnego mleka.

Wróciła więc, zamknęła drzwi i usiadła na łóżku. Trochę już zallowała, że wezwala służbę, zaczynała wierzyć, że zrobiła to niepotrzebnie.

Lichtarz stał na nocnym stoliku, a dona Luciana grzała się w dodającym otuchy kręgu złotego blasku. Czekala.

Wtedy właśnie na linii odgraniczającej światło i mrok ciemność wybrzuszyła się w zarys głowy, potem zweziła w cienką szyję i znów rozszerzyła, tworząc ramiona. Tym

razem nie było nic, żadnych szmerów i szelestów. Tylko cień.

Dona Luciana uniosła głowę i na jeden krótki moment spojrzała w sniadą twarz. Zerwała się, pewna, że nie zdoła uciec ani nawet krzyknąć, że zaraz kolana załamia się pod nią i upadnie.

I rzeczywiście upadła, nie zemdlała jednak, ale dlatego, że coś z potężną siłą uderzyło ją w piersi.

Dona Luciana oddychała jeszcze, gdy mężczyzna opuszczał sypialnię, ale biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, można już było uznać ją za martwą.

Tomas Magatou wymógł na księciu Cazeres zaproszenie do palacu. Książe na widok Jordana wciąż pozostającego na wolności spieniał się ze złości i zazałał natychmiastowego aresztowania, jednak pod wpływem uspokajających słów porucznika ustąpił. Może nawet zbyt szybko, jakby w gruncie rzeczy nie zależało mu na zatrzymaniu kogoś, kogo uważał przecież za mordercę. Potem, gdy w palacu słuchał słów Netty i asystował przy przepytывaniu służby, sprawiał nawet wrażenie podnieconego w jakiś niezdrowy sposób.

Służba przyniosła dodatkowe fotele dla Netty i porucznika Magatou i siedzieli teraz razem w komnacie, w której umarła księżna Cazeres. To Jordan wybrał miejsce. Książe nie odzywał się od pewnego czasu, a tylko słuchał. W jego oczach odbijał się blask płonącego w kominku ognia.

Chciałbym jeszcze porozmawiać z kuzynem waszej księżeczej mości – powiedział Magatou. – Don Sicartem. Jego pokoje są jednak położone na drugim piętrze, tuż nad sypialnią księżnej?

I czegoż się pan spodziewa? – rzucił ze złością Cazeres. – Ze usłyszał jej krzyki o pomoc? Ona przecież nie krzyczała. Zresztą i tak nic by do niego nie dotarło. Ściany w palacu są grube, a kuzyn mój ma prawie osiemdziesiąt lat, jest ślepy i prawie głuchy. I ciężko chory.

Mimo to...

Don Sicart spi teraz – przerwał książe ostro. – Wziął spora dawkę laudanum i tak czy inaczej, nie da się go obudzić. Może zawołać jego osobistego słuzącego, który potwierdzi moje słowa.

Nie trzeba. – Porucznik odetchnął głęboko. Nie miało to większego znaczenia. Don Sicarta chciał przepytac tylko dla formalności, bo nie sądził, że staruszek będzie miał do dodania coś rzeczywiście ważnego. – Podsumujmy więc wszystko, czego się dzisiaj dowiedzieliśmy, i spróbujmy wyciągnąć jakieś wnioski. Ale najpierw upewnijmy się jeszcze raz... – Odwrócił się do Netty, uśmiechając jednocześnie



kpiaco pod wasem.

Czy człowiek, który zabił księżne Cazeres, był podobny do tego tu oto Domenica Jordana?

Nie, panie. Ona... znaczy się, jej księżeczka może widziała go tylko przez chwilę, ale on był zupełnie inny. Sniady taki i miał bardzo wydatny nos. Właściwie niewiele więcej widziała. I oczy. Czarne oczy.

W takim świetle wszystkie oczy wydawałyby się czarne – mruknął Jordan.

A czy przypominał kogoś ze służby?

Nie, panie – powtórzyła Netta, której zdazono już pokazać wszystkich mieszkańców palacu. – Mówiłam, on miał...

Tak, wiemy. Sniada cera, wydatny nos – przerwał jej Jordan.

Poszukała wzrokiem pomocy u Magatou. Czuli się źle w tym wielkim, starym i cichym palacu, w sypialni, gdzie niedawno zamordowano kobietę. A ponieważ Jordan nie okazywał jej troski, przygłębła do porucznika, który od czasu do czasu poklepywał ją po ramieniu, trochę tak jakby dziewczyna była nerwowym koniem.

Podsumujmy więc – powtórzył Tomas Magatou. – Księżna zginęła z ręki kogoś obcego, komu udało się dostać do palacu. Ryzykowne, ale możliwe. Istnieją dwa komplety kluczy: jeden ma w swoim posiadaniu gospodyni, drugi należał do pani domu. Klucze gospodyni są tam, gdzie powinny być, czyli przy pasku właścicielki. Komplet księżnej leży w kasetce w jej dawnej sypialni, wśród rzeczy, których nie zdazono jeszcze przenieść. Brakuje jednego klucza: do tylnych drzwi. Nikt nie wie, kiedy zginął, bo kluczy tych w ogóle nie używano. Dalej jest dziwna sprawa sznura od dzwonka wzywającego służbę. Sznur jest w jednym miejscu przerwany: przecięty lub przetarty, trudno powiedzieć. Może być zwyczajnie przetarty; sypialnia przez długi czas była nieużywana i gdy księżna przeprowadziła się, nikt nie sprawdził, czy dzwonek działa. Ale może być i tak, że ktoś ten sznur przeciał specjalnie. Świadczyłby o tym fakt, że zaginęła pokojowka, która spała obok komnaty swej pani. Szukaliśmy dziewczyny, niestety, bez skutku.

Czy sugeruje pan, że ktoś z tego domu pomógł zamordować moją żonę? – spytał Cazeres wolno, a jego twarz poczerwieniała ze złości.

A jednak Jordan nie miał wątpliwości, że księżka poniekąd rozkoszuje się tą sytuacją, że świadomie podsycza, a trochę także udaje gniew.

Tak, to właśnie sugeruje – powiedział chłodno porucznik, czując do księżki wzrastającą niechęć.

**Moze ja?! – wybuchnal Cazeres i zerwal sie z fotela. – Pan jest...**

**Ciekaw jestem jeszcze jednego. – Jordan przerwal ten spektakl. Mowil spokojnie, nie podnoszac glosu, a jednak i Netta, i Magatou natychmiast na nim skupili uwage. Pozbawiony publicznosci Cazeres jakby skurczyl sie w sobie, lapal przez chwile spazmatycznie powietrze, a potem opadl na fotel. – Kto podjal decyzje o przeprowadzce ksieznej do nowych komnat?**

**Zwrocil sie do ksiecia, a ten po chwili, gdy odzyskal juz oddech, odparl niechetnie:**

**Ona sama.**

**Dlaczego?**

**Cazeres zastanowil sie.**

**Z okien tej sypialni jest ladniejszy widok. Jordan spojrzal na rozciagajacy sie wokol palacu park pelen drzew, ktorych konarow czepialy sie resztki jesiennych lisci. Byla trzecia po poludniu, a wydawalo sie, ze zapada juz zmrok. Niebo zasnuły brzuchate, sine chmury i znow padal deszcz. Krople uderzaly o szybe i rozplywaly sie, tworzac wzory podobne do rozszczepionych zmijowych jezyczkow.**

**Faktycznie – przyznal Jordan. – Stad deszcz wyglada na troche mniej mokry i zimny, a liscie na mniej zwiedle.**

**Pan ze mnie kpi? – Cazeres znow sie nastroszyl.**

**Tak – potwierdzil Jordan. – Troche kpie. A pan przez caly dzisiejszy dzien nie powiedzial ani slowa prawdy.**

**Zabil ja, prawda? – spytal porucznik Magatou.**

**Netta zostala przekazana jednemu z podwladnych porucznika, ktory chetnie zgodzil sie odprowadzic ja do domu, a Jordan zaproponowal, ze odwiezie Tomasa Magatou wlasnym powozem. Teraz, zamknieci w mrocznym wnetrzu pudla podskakujacego na nierownym bruku, dzielili sie myslami, ktorymi nie mogli podzielic sie w obecnosci ksiecia.**

**Pyta pan, czy ksiazke Cazeres zabil wlasna zone?**

**To dran – ze zloscia rzucil Magatou. – Sukinsyn.**

**Zawstydzil sie uzycia tak mocnego slowa i niepewnie spojrzal na majaczaca w polmroku twarz towarzysza.**

**On sie z nas smieje. Smieje nam sie w nos. – W glosie Jordana nie bylo gniewu, a**

**tylko stwierdzenie faktu.**

**I klamie, sam pan tak powiedział. Jordan skinął głową.**

**Mógł zabić żonę. Więcej, myślę, że cieszy się z jej śmierci. Myślę też, że chciał ją zabić, nie własnymi rękami, rzecz jasna. Na to jest zbyt tchórzliwy.**

**Wynajął w tym celu kogoś – upierał się Magatou.**

**Nie mamy dowodów – łagodnie upomniął go Jordan. – Mamy za to mnóstwo pytań, na które nie znamy odpowiedzi. I mnóstwo wątpliwości.**

**Na przykład, dlaczego księżna przeniosła się do nowej sypialni? Ja też nie wierzę, by zrobiła to z własnej woli, dla lepszego widoku. A jedyną osobą, która mogłaby nakazać jej przeprowadzkę, jest właśnie książę. Wszystko się zgadza.**

**Tak, ale dlaczego zależało mu na tych przenosinach? Nie po to, by morderca mógł łatwiej dostać się do jej sypialni. Widziałem obie komnaty. Obie są położone**

**na pierwszym piętrze, z dala od zamieszkanego pokoi, do obu, idąc od tylnych drzwi, mniej więcej tak samo trudno dotrzeć. Jaki jest sens przenoszenia ofiary z jednej trudno dostępnej komnaty do innej?**

**Może po to, by rzucić na pana oskarżenie – zasugerował Magatou.**

**Nie. Gdyby to była pułapka na mnie, zastawiono by ją o wiele sprytniej. Sądzę, że książę oskarżył mnie, niejako korzystając z okazji, być może dlatego, że nie zachwycił mnie jego obrazy. On czasem przypomina dziecko. Wielkie, głupie dziecko, które w złości wyrywa pajakom nozki.**

**Porucznik uśmiechnął się na tak pozbawione szacunku określenie księcia Cazeres.**

**A prawdziwy powód przeprowadzki?**

**Nie wiem. Ale bardzo chciałbym wiedzieć, dlaczego księżna musiała umrzeć właśnie w tej, nie innej komnacie.**

**Tak czy inaczej, pewien jestem, że zamordował ją mąż – oznajmił porucznik. – To znaczy, miałem na myśli, że zapłacił komuś za jej zabicie. Niepokoi mnie**

**trochę osoba mordercy. Zabił tę nieszczęsną kobietę, rzucając w nią nożem jak jakiś cyrkowiec. A poza tym wcale nie tak łatwo przemknąć od tylnych drzwi do sypialni księżnej. Przeszedłem tę trasę dziś po południu. Dużo korytarzy, schodków, spora szansa, że kogoś obudzi odgłos kroków albo blask latarni...**

**On nie miał latarni – powiedział Jordan cicho. – Nie potrzebował jej. Widzi w**

ciemności.

Slucham?

Widzi w ciemności. I potrafi chodzić cicho jak kot.

Ksiezna go usłyszała – zaprotestował Magatou.

Chciał wtedy, by go usłyszała.

Pan mnie przeraża.

Jordan odpowiedział dopiero po chwili.

Jest coś jeszcze bardziej przerażającego.

Dajże pan spokój, czuje się jak dzieciak straszony przez nianie. – Porucznik skrzywił się w półmroku. – Dotąd sądziłem, że morderca to zwykły rzezimieszek, może tylko nieco zreczniejszy od innych. A pan mi wmawia, że to jest... właściwie kto?

Opowiem panu historie. – Jordan rozparł się wygodnie na siedzeniu. – Zdarzyło się to w Alestrze kilkanaście lat temu. Pewien człowiek został na ulicy ugodzony nożem. Prosto w serce. Mimo to szedł dalej. Upadł i zmarł dopiero po kilkunastu minutach. Gdy rozcięto jego klatkę piersiową, okazało się, iż ostrze sięgnęło serca i mężczyźni nie pomogliaby pomóc najlepszemu nawet medyka. A mimo to nie zginął na miejscu, lecz miał jeszcze siłę iść przez miasto. Opowiedziano mi to, gdy zaczynałem studia, jako swego rodzaju ciekawostkę. Zapamiętałem te historie.

I jaki z tego wniosek? Ze ksiezna Cazeres mogła żyć jeszcze przez jakiś czas?

Jordan przytaknął.

Była taka możliwość. Dlatego spytałem Nette. I rzeczywiście. Ksiezna koniała długo. Umierająca nie zdawała sobie jasno sprawy z upływu czasu, więc trudno powiedzieć, ile to trwało, ale z moją pomocą Netta doszła do wniosku, że ksiezna żyła jeszcze co najmniej przez pięć, dziesięć minut od ciosu.

I co z tego wynika?

Morderca rzucił w nią nożem. Jak cyrkowiec właśnie. – Jordan uśmiechnął się. – Ale nie to mnie niepokoi. Spotykałem już ludzi świetnie radzących sobie

z nożem. Niepokoi mnie natomiast fakt, że człowiek ów nie podszedł potem do ksieznej, nie sprawdził, czy jego cios trafił w serce, czy kobieta żyje, czy już skonała. Nie próbował dobić jej, wpychając noż głębiej.

**Tu juz Tomas Magatou pogubil sie.**

**Nie bardzo pojmuje...**

**Chodzi o to – wyjasnil Jordan – ze morderca mial calkowita, niezachwiana pewnosc, iz jego cios nie chybi. A nawet jesli w sztuce rzucania nozem jest prawdziwym mistrzem, to pewnosc takiej nie mogl miec. Nie na sto procent. Mial czas, by podejsc do kobiety i ja dobic, tak zachowalby sie kazdy zabojca. On jednak tego nie zrobil. To wlasnie mnie martwi.**

**Peyretou postawil kolnierz plaszcza i skulil sie. Platki uszu i czubek nosa mial lodowate, zgrabiale z zimna rece schowal w kieszeniach. Szedl szybko, chcac sie rozgrzac, a z jego ust unosily sie obloczki pary.**

**Byl pierwszy grudnia. Nad Alestra wstawal wilgotny zimowy swit. Ulice byly prawie puste, choc czasem dostrzegal ludzi rownie jak on zziebnietych i niewyspanych.**

**Usmiechnal sie. Przenikalo go zimno, a oczy kleily sie sennie, ale nie zalowal. Gleboko pod skora, nietkniete przez grudniowy ziab, wciaz tkwilo cieple wspomnienie dotyku lvyety, jej pieszczot i pocalunkow.**

**Przynaglony potrzeba, chlopak skrecil w pierwsza lepsza brame, jedna z tych lukowato sklepionych i waskich, gdzie zawsze czuc bylo won stehlego moczu. Pogwizdujac cicho, rozwiazal rzemyk przy spodniach. Czubki uszu, w ktore nie dal juz zimny wiatr, tajaly powoli.**

**Z ulga oproznil pecherz, gdy uslyszal stukot krokow. Ki diabel? – pomyslal z niechecia, przysuwajac sie blizej sciany. Tyle mogl zrobic dla intruza, ktory przeszkodzil mu w tak waznej czynnosci.**

**Zamiast przejsc za jego plecami, nieznajomy zatrzymal sie. Jedna silna reka chwycila chlopaka w pol, unieruchamiajac ramiona, druga przylozyla do szyi ostrze noza, zimne jak kawalek lodu.**

**Peyretou kwiknal. Struzka moczu pociekla mu po nogawce i cholewce buta.**

**Nie boj sie. – Ktos syknal mu w ucho slowa, idiotyczne przeciez w tej sytuacji. – Nic ci sie nie stanie. – Ostrze noza wciaz uciskalo jego szyje, a oddech nie**

**znajomego laskotal w ucho. – Mam tylko wiadomosc dla twego pana. Powiedz, zeby przestal interesowac sie smiercia ksieznej. W przeciwnym razie bede musial**

**zrobic mu krzywde...**

**Syczacy glos zamilkl, a dlon zwolnila ucisk. A potem ostrze noza plytko przesunelo**

się po skorze. W pierwszej chwili chłopak nawet nie poczuł bólu. Tylko ciepło, gdy na koszule, pod płaszcz, spłynęła krew.

To na pamiątkę, by twój pan wiedział, że ty nie kłamiesz, a ja nie żartuję.

Nieznajomy odszedł) a upokorzony, przerażony Peyretou trzesącymi się dłońmi zawiązał rzemyk. Lewa nogawka jego spodni, ta mokra, była już zimna jak lód i lepila mu się do ciała, a za koszule wciąż kapłała krew.

Tomas Magatou najchętniej przestałby już szukać zaginionej Roseli, ale na prośbę Jordana nakazał swym ludziom, by wciąż przetrzasali las ciagnący się wzdłuż drogi, która tamtego wieczoru musiała iść młoda służąca. Według opinii Magatou, dziewczynę przekupiono, by wyniosła się z miasta; według Jordana natomiast, Rosela nie żyła, a jej ciało ukryto gdzieś w lesie.

Zwłoki znalazły się nazajutrz po pogrzebie księżnej Cazeres. Morderca próbował zepchnąć je w głąb wąwozu, którego dnem płynął lesny strumyk. Ciało zatrzymało się jednak w połowie zbocza, zaplątane w cierniste galezie krzewów. Jasnowłosa głowa skierowana była w dół, a nogi sterczały w górę. Na jednej brakowało bucika, na drugiej ponczocho zsunęła się aż do kolana, ukazując podrapana i brudna skóra uda. Jeszcze niżej spodnica owinięta wokół pasa dziewczyny odsłaniała tu dwa chude, sine pośladki.

Patrzac na to, Jordan poczuł nieoczekiwanie gniew i ból. Nie sądził, że jeszcze kiedyś tak zareaguje na śmierć kogoś, kogo nie znał.

Jeden z ludzi porucznika Magatou, niski, ale barczysty mężczyzna z czarną jak u rozbojnika brodą pochylił się i chwycił martwą dziewczynę za kostki nóg. Pociągnął, ale ciało nie przesunęło się ani o paznokiec. Brodacz sapnął.

Mocniej – polecił mu porucznik. – Trzeba przecież wydostać ją na górę.

Brodacz napreżył mięśnie i szarpnął. Martwa Rosela uniosła się, zawisając nad ziemią. Z jednej strony trzymały ją ludzkie ręce, z drugiej cierniste galezie, pomiędzy którymi utkwiała górna połowa ciała. Brodacz pociągnął mocniej i złote, zaplątane w ciernie włosy dziewczyny rozłożyły się wokół jej głowy jak aureola.

Nie da rady. Trzeba by chyba zejść i obciąć jej te kudły.

Jak szarpniesz mocniej, to je wyrwiesz – powiedział ktoś za plecami Jordana. – Jej to przecież bez różnicy. Jest martwa.

Zostawcie ją – powiedział Jordan. – Zejście tam. Ostrożnie, stawiając stopy bokiem i mocno wbijając krawędzie butów w ziemię, zszedł zboczem w głąb wąwozu. Skórzane rękawice ochraniały mu dłonie, gdy ciałem nożem cierniste galezie i wrzucał do

strumienia. Mogł już sięgnąć włosów dziewczyny. Zebrał je w garść i przeciał jednym ruchem ostrza. Złote pasma wisiały teraz na ocalonych spod noża kikutach krzewów, powiewając leciutko na wietrze.

Jordan chwycił Rosele pod ramiona, podniósł i nie bez wysiłku podał czekającemu na gorze porucznikowi Magatou.

Ostrożnie położyli dziewczynę na ziemi.

Jej twarz była sinoczerwona od spływającej w dół krwi, a w czole widniał okragły otwór o nadpalonych prochem brzegach. Dokładnie pośrodku, jakby twarz Roseli była tarczą, na której ktoś popisywał się zreżnosciami.

Jordan, podnosząc się nad ciałą, usłyszał zbliżający się znajomy głos. Książe Cazeres przedzierał się niezgrabnie przez krzaki i strofował jednocześnie sługę, który nie potrafił poprowadzić swego pana inną, łatwiejszą drogą.

Jordan spojrzał na porucznika Magatou, który z niechęcią zmarszczył brwi.

Co on tu, do licha, robi?

Sądzę, że przyszedł zobaczyć zwłoki. Na pana miejscu nie pozwoliłbym mu na to.

Z jakiegoś konkretnego powodu?

Takiego – powiedział Jordan szeptem i pośpiesznie, bo Cazeres był coraz bliżej i jeśli chcieli go zatrzymać, to musieli zrobić to szybko – że widok śmierci sprawia księciu przyjemność.

Widziała go – powiedział Magatou z satysfakcją, ale i z niejakim zdziwieniem. – Rosela widziała twarz człowieka, który ją zabił. Nawet nie próbował jej ukrywać. Netta podaje mi opis tego człowieka. Chce pan posłuchać?

Jordan skinął głową. Rozparty wygodnie w głębokim fotelu grzał dłonie o kubek gorącego wina z korzeniami.

Porucznik wybrał bardziej bezpośredni sposób wypędzania z kości grudniowego ziąbu. Nos poczerwieniał mu od trunku, a oczy błyszczały mocno. Wino Jordana było dobre, bardzo dobre i Magatou nie zamierzał marnować okazji wyprobowania tego specjału.

Zabójca jest wysoki i chudy, ale wygląda na silnego, choć Bog jeden wie, co może mieć na myśli taka pannica, mówiąc, że mężczyzna jest chudy i silny zarazem. Ma ciemne włosy i ciemne oczy, nie czarne oczywiście, lecz ciemnoszare lub brązowe, i sniada cerę. Jego twarz jest wąska, z rzucającym się w oczy dużym garbatym

nosem. Usta cienkie, oczy osadzone blisko siebie, czoło wypukłe. Dość charakterystyczna fizjonomia, nie sądzi pan? Ale to jeszcze nic. Mężczyzna ten oszpecony jest w pewien niezwykle sposób, nie zgadnie pan, w jaki...

Zgadnie – powiedział Jordan. – Brakuje mu jednego lub obojga uszu.

Magatou spojrzał na niego z ciekawością. Spod ciekawości wycierał niepokój.

Zdumiewająco dużo wie pan o tym człowieku – rzekł wolno, a w jego głosie zabrzmiała ledwo uchwytna groźba. – Nie jestem pewien, czy mi się to podoba.

Nie znam go, jeśli o to chodzi. Nigdy go nie widziałem, nie znam imienia ani nazwiska tego człowieka, nie wiem, gdzie w tej chwili się znajduje. Nie wiem

o nim nic prócz jednego: znam miejsce jego urodzenia.

Tak?

Mężczyzna ow – Jordan uśmiechnął się, ale w jego oczach nie było wesołości – przyszedł na świat w Mandracourt u podnoża Gór Tanabryjskich. Dokładnie tam, gdzie ja.

Jeszcze jedno. – Lekko już wstawiony porucznik Magatou zachichotał.

Peyretou próbował właśnie wcisnąć go w płaszcz i wypchnąć na zewnątrz, gdzie czekał powóz.

Slucham – powiedział Jordan cierpliwie.

Wie pan, kto jest owym kuzynem mieszkającym w rezydencji księcia Cazeres? Mówią o nim don Sicart, ale jego pełne nazwisko brzmi: Sicart Mons-d'Erard.

Kojarzy pan? Ten sam d'Erard, który wykrył i schwycił mordercę małoletniego pupilka arcybiskupa Romegi, a później udaremnił spisek na życie króla. Człowiek-legenda, o którego inteligencji do dziś opowiada się niesamowite rzeczy. Jaka szkoda, że jest tak stary i schorowany! – Porucznik znowu zachichotał. – Niech pan tylko pomyśli: mamy pod nosem człowieka, który w mig odnalazłby mordercę, gdyby nie fakt, że jest już zramolalym, sliniącym się staruszkiem. Zabawne, prawda?

Sicart Mons-d'Erard. Jordan znalazł to nazwisko, choć szczyt sławy don Sicarta przypadł na lata jeszcze przed jego urodzeniem.

Czy człowiek ten faktycznie, będąc w pełni sił umysłowych, mógłby rozwiązać zagadkę śmierci księżnej Cazeres? Biorąc pod uwagę legendy, jakie o nim krążyły, było to prawdopodobne.



**A może potrafilby to zrobić i teraz? W końcu, pomyślał Jordan, fakt, że don Sicart ma prawie osiemdziesiąt lat, jest chory, a nadto niedowidzi i niedosłyszy, nie świadczy jeszcze, że nie potrafi myśleć! Spotykałem już przecież starszaków tak chorych i słabych, że o własnych siłach nie potrafili wstać z łóżka, a którzy mimo to umysł wciąż mieli ostry jak brzytwa i żelazna dłoń rzadzili swymi krewnymi.**

**Możliwe więc, że rozwiązanie mam w zasięgu ręki -wystarczy tylko spytać don Sicarta.**

**A jednak Jordan nie wierzył, że w ten sposób zdoła znaleźć odpowiedź choć na jedno pytanie. Jego niewiara nie opierała się na niczym konkretnym, było to tylko przecucie, niezwykle silne, zupełnie jak niechec, która poczuł do księcia Cazeres podczas swej pierwszej wizyty w pałacu.**

**Lecz Jordan wiedział też, że przecucia nie biorą się znikąd, że zawsze mają swoją przyczynę.**

**Skąd wzięło się to konkretne wrażenie?**

**Dlaczego nie wierzył, że Sicart d'Erard zdoła mu pomóc?**

**Obraz, odpowiedział sam sobie ze zdumieniem. To przez Pełnię lata. Niepokoiły go w nim dwie rzeczy. Z pierwszej zdawał sobie sprawę od początku, od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczył kolekcję księcia.**

**Pełnia była pechowym, przynoszącym nieszczęście malowidłem. O przedmiotach tego typu zawsze krążyły liczne opowieści, a połowa z nich wyssana była z palca. Lecz Jordan dzięki swemu przyjacielowi znalazł prawdziwą historię Pełni lata. Ulfin Chafre, który namalował obraz, podarował go swej siostrzenicy. Z siedmiorga dzieci, które urodziła, żadne nie dożyło piątego roku życia. Kobieta sprzedała Pełnię hrabiemu Dubourgoux. Wkrótce splonęły należące do niego stajnie, a w nich trzydziści idealnie białych, pochodzących z południa koni, których hodowla była największą pasją i chluba hrabiego. Potem obraz trafił w ręce syna Dubourgoux. Osiem miesięcy później jego żona zmarła w poroku, rodząc martwe dziecko. Już wówczas wokół Pełni lata zaczęła narastać czarna legenda. Młody Dubourgoux pozbył się obrazu. Kupcem był niejaki Fermin Saura, który skuszony niską ceną, zapragnął zrobić prezent swej matce. Nie minęło pół roku, jak w domu starszaki wydarzyło się wyjątkowo paskudne morderstwo – jeden z lokajów oszalał i siekiera zabił sługę. Przez prawie pół wieku gdziekolwiek Pełnia lata się znalazła, niosła nieszczęście. Ślad obrazu urwał się przed pięciu laty. Jego ówczesny właściciel, pijak i hazardzista, nim popełnił samobójstwo, sprzedał bądź oddał komus obraz, zaś Abre Joras, który badał historię Pełni, nie mógł dojść, komu.**

**Było jednak coś jeszcze, coś, co Domenic Jordan pojął dopiero teraz.**

**W Pełni lata uchwycono moment szczytowy, wszystko było tam tak doskonale, że teraz zmierzac mogło tylko do nieuniknionej śmierci i rozkładu.**

**A gdy to zrozumiał, mając wciąż w pamięci nazwisko Sicarta d'Erard, wiedział już, na czyje polecenie i dlaczego zamordowano księżne Cazeres, a także dlaczego musiała umrzeć właśnie w tej, nie innej komnacie.**

**Pod nieobecność księcia Cazeres Jordan udał się do palacu. Służba, która wcześniej widziała go w towarzystwie porucznika Magatou, pozwoliła mu wejść.**

**Jordan polecił lokajowi, by wezwał do sypialni księżnej jedną ze służących. Nie znał jej imienia, ale potrafił ją dokładnie opisać; była to ta sama bezczelna chłopka, z którą rozmawiał podczas swej pierwszej wizyty w palacu.**

**Kobieta miała na imię Brianda. Lokaj przekazał słowa Jordana i chwile później służąca otworzyła drzwi komnaty księżnej. Na jej topornej chłopskiej twarzy pojawił się wyraz zdumienia, niezbyt silny co prawda, bo Briande trudno było czymkolwiek zadziwić.**

**Ktoś przesunął stojący pod ścianą sekretarzyk na środek pomieszczenia i ustawił na nim krzesło. Na krzesle zaś tkwił ow osobliwy, blady i czarno ubrany mężczyzna, który chciał z nią rozmawiać. Z zadartą głową oglądał sufit. Na widok Briandy zreźnie zeskoczył na podłogę.**

**Chciałem się upewnić, czy tynk nie odpada – oznajmił swobodnie.**

**Brianda skwitowała to stwierdzenie wyrozumiałym skinieniem głowy. W jej pojęciu szlachetnie urodzeni stanowili zupełnie inny gatunek ludzi: robili i mówili dziwne rzeczy, a połowa z tego nie miała żadnego sensu.**

**Chciałbym zapytać tylko o jedno – powiedział Jordan, podczas gdy Brianda spoglądała na niego z niewinnie bezczelną ciekawością. – Do kogo w tym domu nie wezwano medyka, gdy było trzeba?**

**Rogaty księżyc wychylał się zza sosen rysujących się poszarpana linia na tle granatowego nieba. Noc była zimna, wilgotna i bezwietrzna. Idący skrajem lasu mężczyzna naciągnął kaptur, a ręce włożył w kieszenie płaszcza. Dokuczał mu grudniowy ziąb, przyspieszył więc kroku. Chwile później potknął się, zaklął i zwolnił. W świetle księżyca widział wprawdzie wąską i prostą ścieżkę, ale już nie korzenie drzew, które wystawały ponad ziemię.**

**Szedł teraz wolno, ostrożnie. Za plecami, po lewej, zostawił pałac księcia Cazeres. Mijał teraz park innej rezydencji. Nie znał nazwiska jej właściciela, nie miało to zresztą żadnego znaczenia. Po prawej wciąż ciągnął się sosnowy las, gęsty i mroczny. Gdyby skrecił między drzewa, wkrótce wyszedłby na wiodący z Moulis do**

**Alestry trakt, który luką omija Villatelle.**

**Zwolnij jeszcze bardziej, zatrzymaj się. Zerwał się wiatr i płaszcz mężczyzny zalopotał. Było to bardzo charakterystyczne okrycie: długie, o modnym kroju, dobrze dopasowane do wysokiej i szczupłej sylwetki. Powinno mieć jasnoszary lub beżowy kolor, bo takie kolory uważano za najmodniejsze, jednak w świetle księżyca płaszcz wydawał się zdecydowanie zbyt ciemny: granatowy lub brązowy. Może nawet czarny.**

**Napastnik wynurzył się z mroku lasu szybko i cicho jak atakujący kot. Człowiek w ciemnym płaszczu nie drgnął nawet, gdy jego szyi dotknęło ostrze noża. Przez chwilę słychać było tylko dwa oddechy: szybki, nerwowy atakującego i spokojny zaatakowanego.**

**Proszę przez twoją służbę, byś nie krecił się wokół pałacu księcia Cazeres. Nie posłuchasz mnie...**

**Napastnik szarpnięciem odwrócił ofiarę, chcąc spojrzeć jej w twarz. Kaptur płaszcza opadł, a człowiek z nożem wciągnął powietrze i cofnął się gwałtownie.**

**Co, u licha...**

**Nie dokończył. Z lewej strony pomiędzy rosnącymi w parku drzewami huknął strzał. W reke, która trzymała nóż, wybuchł ból, błyskawicznie porażając nerwy. Mężczyzna wrzasnął i wypuścił ostrze. U jego boku nagle pojawiły się dwie postacie. Jedna, chuda i chłopięca, w dłoni trzymała pistolet. Druga, wyższa i bardziej męska, skrzesała ognia, zapaliła latarnię. Człowiek w ciemnym płaszczu chwycił napastnika za zdrowe ramię.**

**No no... kogo my tu mamy... – powiedział Tomas Magatou.**

**Jordan podniósł latarnię. Światło padło na młodą, sniadą twarz, wilgotną teraz od łez.**

**Ejże, nie taki diabeł straszny, co? – Magatou przyglądał się schwytanemu. – On nie ma chyba więcej niż dwadzieścia lat... Jak cię wolają, ptaszku?**

**Rafaël Sanie – odparł z wysiłkiem młodzieniec. Jego usta wykrzywił grymas bólu, a z kącika oka spłynęła kolejna łza.**

**Celowalem w reke. – Peyretou wyjrzał zza ramienia Jordana. – Stałem blisko, no i nie jest znowu tak ciemno. Powiniennem trafić. Trafiłem?**

**Owszem. Na moje oko, ma strzaskany łokieć. – Jordan ocenił zwisającą pod nienaturalnym kątem reke. – W prawej dłoni już nigdy nie będzie trzymał noża ani pistoletu. Znakomity strzał.**

**Peyretou zarumienil sie z zadowolenia. Porucznik Magatou zdjal plaszcz i zamienil go na wojskowa kurtke, ktora dotad mial na sobie Jordan.**

**Dosc mam roli przynety – powiedzial i na przekor tym slowom usmiechnal sie pod wasem. Sam zreszta o te role prosil, argumentujac, ze Jordan i Peyretou potrafia poruszac sie znacznie ciszej i ostrozniej niz on.**

**Potem wzial z rak Jordana latarnie i odwrocil sie do Rafaela.**

**Posluchaj, chlopcze – przybral protekcyjnalny ton, jak zawsze, gdy mowil do mlodzikow.**

**I tu wlasnie popelnil blad. Bo gdyby przyjrzal sie uwazniej, dostrzeglbym, ze Rafael owszem, wciaz cierpi z bolu, ale nie jest juz oszolomiony ani przerazony, a jego usta zaciskaja sie z determinacja. Ale Rafael byl mlody i dla porucznika wcale nie wygladal groznie.**

**Pan Jordan ma dla ciebie pewna propozycje. Moze unikniesz katowskiego topora, jesli pomozesz nam... Psiakrew!**

**Rafael lewa reka mocno podbil trzymana przez Magatou latarnie. Porucznik puscil uchwyt i odskoczyl. Goracy olej trysnal mu na kurtke, plomien zgasl, a szklo upadlo na ziemie i rozbilo sie z brzekiem.**

**Magatou zdarl kurtke, szybko, nim olej zdazyl przesiaknac przez gruba warstwe plotna. Sylwetka Rafaela juz znikala w ciemnym lesie. Jordan i Peyretou odruchowo puscili sie za nim w pogon. Porucznik dolaczyl do nich po chwili, klnac na czym swiat stoi.**

**W lesie bylo znacznie ciemniej niz na drodze. Peyretou potknal sie chyba o pierwszy z brzegu korzen i wpadl na drzewo. W uszach mu zadzwonilo, w ustach poczul smak krwi, zapiekla zdarta z policzka skora. Podniosl sie jednak, gotow biec dalej, scigac w ciemnosci Rafaela. Chcial go dopasc i udusic wlasnymi rekami. Dlaczego – nie wiedzial. Sama atmosfera poscigu sprawila, ze krew w jego zylach wrzala.**

**Jordan powstrzymal go, kladac mu dlon na ramieniu.**

**Dosc tego – powiedzial. – To nie ma sensu. Nie zlapiemy go. Pamietaj, ze on widzi w ciemnosci.**

**Wrocili na sciezke. Po chwili dolaczyl do nich Magatou. Jego glosne przeklenstwa zmienily sie w gniewne pomrukiwania. Otrzepal z ubrania igliwie, potem podniosl z ziemi kurtke i przewiesil ja sobie przez ramie.**

**Niech to... – wymamrotal raz jeszcze, powoli odzyskując równowagę. – No, nic już tu nie zwojujemy... Trzeba wracać...**

**Powóz Jordana stał przy głównej drodze biegnącej przez środek Villatelle. Woznica przysypiał na kozle, zawinięty aż po pachy w wytarte i wystrzepione futro.**

**Podwieszony pod dom, Tomas Magatou wcale nie kwapił się z wysiadaniem.**

**Wczoraj otrzymał rozkaz, by nie szukać więcej mordercy księżnej Cazeres. Rozkaz przekazał swym podwładnym, lecz sam go nie posłuchał. Zgodził się na zaproponowany przez Jordana plan i teraz miały nim sprzeczne uczucia. Z jednej strony, cieszył się, że zrobił cokolwiek – nawet jeśli próba schwytania zbrojcy skończyła się fiaskiem – bo siedzenie z założonymi rękami nie leżało w jego naturze. Jednak z drugiej strony, zdawał sobie sprawę, że zadął w ten sposób ze zbyt wysoko postawionymi ludźmi, a na to mógł sobie pozwolić Domenic Jordan, nie on.**

**Chciał wrócić do domu, ale wcześniej jeszcze potrzebował pochwały za to, że odważył się sprzeciwić rozkazom, a jednocześnie pretekstu, by wycofać się teraz bez uszczerbku na honorze.**

**Uczucia porucznika, który stał na schodkach powozu, były dla Peyretou jasne.**

**Dla Jordana nie.**

**–Dziękuję za pomoc – powiedział tylko Domenic Jordan. – Teraz już poradzę sobie sam.**

**To były gładkie, uprzejme słowa. Tomas Magatou nie wydawał się jednak usatysfakcjonowany. Zszedł na ziemię i przestępował przez chwilę z nogi na nogę, jakby na coś czekając.**

**Peyretou poczuł żal, bo porucznik zasługiwał na więcej niż "dziękuję", które otrzymał.**

**A potem spojrzał na swego pana. Jordan, w przekonaniu, że wszystko jest w porządku, uderzył pięścią w ścianę powozu i woznica smagnął konie batem.**

**Peyretou pokręcił głową. Na początku swej służby bał się pracodawcy. Potem zaczął go bezkrytycznie podziwiać. Teraz ze zdumieniem odkrywał, że Domenic Jordan ma także wady. Oł, choćby jak przed chwilą. On czasem zupełnie nie rozumie ludzi, myślał chłopak. Niby jest taki uprzejmy i dobrze wychowany, ale tak od serca nigdy nic nie powie. A przecież tu wystarczyłoby niewiele słów...**

**Tego dnia stosunek Peyretou do pracodawcy zmienił się w przywiązanie, niepozbawione podziwu, ale i pewnej wyższości. Wyższość ta zaś szybko**

**przekształciła się w chęć pomocy.**

**Bo przecież były sprawy, z którymi to on, Peyretou, radził sobie lepiej, i chłopak z młodzieńczą pewnością siebie założył, że Jordan pod jego opieką też mógłby się czegoś nauczyć.**

**Przykro mi, ale książe nie życzy sobie pana widzieć – przekazał Jordanowi lokaj wyglądający jak relikwiarz dawno minionych czasów: siwy, o żołnierskiej postawie, nienagannie uprzejmy, a jednocześnie nieprzejednany.**

**Sądze, że jednak zgodzi się mnie przyjąć. Proszę powtórzyć, że chciałbym porozmawiać o jednym z jego obrazów.**

**Lokaj odszedł i wrócił po chwili, a za nim postępował książe Cazeres. W holu książe wyprzedził sługę, odprawił go niecierpliwym machnięciem ręki, a sam truchcikiem podbiegł do stojącego w drzwiach Domenica Jordana.**

**Ach, moje obrazy. Trudno o nich zapomnieć, co? – powiedział, chwyając oddech.**

**Jego policzki przybrały już nie czerwony, a wręcz purpurowy kolor, złocona kamizelka z trudnością dopinała się na potężnym brzuszysku. Cazeres uśmiechał się, ukazując pokryte śliną drobne kły.**

**Poprowadził Jordana do podziemnej galerii. Ku niezadowoleniu księcia gość zatrzymał się przed Pełnią lata.**

**Jordan patrzył przez chwilę na dwie kobiety, jasno- i ciemnowłosa, siedzące w letnim ogrodzie. Spoglądał na ich rozleniwione, nasycone upałem ciała, na bujną zielen liści i traw, na krwista purpura rozkwitłych ciężkich roz.**

**Kto kupił ten obraz? – zapytał. Cazeres zmarszczył brwi.**

**Nie sądzę, by miało to jakiegokolwiek znaczenie...**

**Mimo to chciałbym wiedzieć. Kto kupił Pełnię lata?**

**Kuzyn mój, don Sicart – odparł książe po chwili wahania. – Uparł się, by zawiesić tu malowidło, sam nie wiem czemu...**

**Jordan odetchnął. Był pewien, że taka właśnie będzie odpowiedź.**

**Chciałbym z nim porozmawiać.**

**Z moim kuzynem? – oburzył się książe. – On jest chory. Z pewnością nie zechce...**

**Na schodkach prowadzących do podziemnej galerii rozległ się odgłos kroków:**

drobnych, delikatnych, ale jednocześnie zbyt wolnych i ostrożnych, by uznać je za dziecinne. Ktoś stał na podestce, w mroku, patrząc na oświetloną czarnymi świecami galerię.

Auban, choć raz w życiu nie bądź głupcem – powiedział. – Oczywiście, że chce porozmawiać z panem Jordanem. I jeszcze jedno – dodał po chwili. – Poproszę kogoś ze służących, by przeniósł do mego pokoju Pełnię lata. Albo sam to zrobię. Chcę spojrzeć na ten obraz jeszcze raz.

Widzę – powiedział Jordan ostrożnie, świadom, że teraz musi uważać na każde słowo – że pogłoski o pańskich niedomaganiach były przesadzone. Ani wzrok, ani słuch pana nie jest tak przytępiony, jak słyszałem. A i czujesz się, panie, nie najgorzej.

Mam osiemdziesiąt lat – odparł don Sicart. – W takim wieku człowiekowi dolega już wszystko. Lecz przyznaję, że widzę i słyszę jeszcze, co się wokół mnie dzieje, a czasem mam nawet siły na krótki spacer po pałacowych ogrodach.

Drobna postać don Sicarta gineła w głębokim, obitym wytartym pluszem fotelu. Nawet w młodości Sicart d'Erard musiał być niewiele wyższy od dwunastoletniego dziecka, a teraz jego sylwetka jeszcze się skurczyła. Trudno było uwierzyć, że jest on spokrewniony z potężnym Aubanem Cazerem. Z okrągłą, żółtą jak pergamin i pomarszczoną twarzą, kartoflanym nosem i zbyt szerokimi ustami wyglądał raczej na złośliwego gнома niż na okcytańskiego arystokratę.

Czarne, głęboko osadzone oczy don Sicarta spoglądały na Jordana uważnie. Dzieliła ich Pełnia lata, obraz ustawiony na niewysokim stoliku pomiędzy fotelami i oparty o ścianę.

To malowidło przynosi nieszczęście – rzekł Jordan, starając się zapanować nad głosem, w którym drżały leciutkie nutki niepokoju. – Zawsze tak było, od chwili jego powstania. Za każdym razem, gdy ktoś kupował Pełnię lata, wkrótce w jego domu zdarzało się coś złego. Najczęściej gwałtowna śmierć lub samobójstwo. Albo morderstwo.

Odetchnął. Szerokie usta don Sicarta wykrzywiły się w delikatnym uśmiechu. Jego ciemne oczy – nie czarne, pomyślał Jordan, żaden człowiek nie ma czarnych oczu, choć te właśnie takie się wydają – patrzyły w twarz rozmowcy.

Rozumiem, że sugerujesz, panie, iż żona mego kuzyna zabił obraz? – rzekł z kpina.

Nic podobnego – zaprotestował Jordan. – Księżna Cazeres zginęła na pańskie polecenie.

Twarz don Sicarta nie zmieniła wyrazu. Dopiero po chwili w jego oczach pojawiła się

lagodna, zaprawiona ironia aprobata.

Proszę mówić dalej.

Historia Pełni lata to nie jedyne, co niepokoiło mnie w tym obrazie. Było jeszcze coś. Coś, czego na początku nie potrafiłem określić.

Jordan ponownie spojrzął na siedzące w bujnym letnim ogrodzie kobiety. Potem z wysiłkiem odwrócił wzrok.

Pełnia lata – powiedział cicho. – Moment szczytowy. Ale po lecie nieuchronnie przychodzi jesień, a później zima. Nie ma tego na tym obrazie. Choć może i jest. Czasem w momencie triumfu życia pojawia się myśl o śmierci. Bo przecież logiczne następstwo pełni, momentu, gdy niemożliwy jest dalszy rozwój, to regres. Rozkład, zmierzch, konanie. Pomyślałem wówczas o Villatelle, które ową złotą okrasę triumfu ma za sobą. Ci, którzy tu pozostali, żyją już tylko wspomnieniami o dawnych czasach. W Okcytanii sporo jest takich miasteczek, których świetność przeminęła, miasteczek, z których wyjechała młodzież, a większość mieszkańców to staruszkowie. A więc i w Villatelle nie byłoby nic niezwykłego, gdyby nie jeden fakt...

Jordan urwał. Czekal na jakąś reakcję ze strony don Sicarta: zaciekawienie, oburzenie, może nawet strach. Nie doczekał się. Pod uważnym, kpiącym wzrokiem starca czuł się coraz bardziej nieswojo.

Opanował się i podjął wątek.

–Villatelle było królewską siedzibą, a więc mieszkali tu ludzie inteligentni i sprytni, przywykli do intryg, nieustannej walki o zaszczyty. Ludzie, od których niegdyś w mniejszym lub większym stopniu zależał los kraju. Wyobraziłem sobie wówczas człowieka, nie młodego już, ale o wciąż rzutkim i gietkim umyśle, dla którego inteligencji nagle zabrakło naturalnego pola do popisu. Nie było już przeciw komu motać intryg, nie było zaszczytów, o które można by walczyć, ani tych ekscytujących momentów, gdy jedna podejmowana na szybko decyzja rozstrzyga o powodzeniu lub fiasku przedsięwzięcia. Życie stało się nudne i monotonne. Przez lata samotności i beczynności coś złego stało się z umysłem tego człowieka. Jego zdolności wypaczyły się, nadal był niezwykle inteligentny, ale myśli zwracał coraz częściej ku temu, co budzi lek i obrzydzenie zwykłych ludzi. Myślał o krwi, śmierci, zabijaniu...

Mówisz, panie, o moim kuzynie.

Nie. Przede wszystkim mówię o panu. Książce Cazeres jest pod pana wpływem – nie wiem, od jak dawna to trwa, zresztą nie ma to większego znaczenia. Zainteresowania księcia, ta seria "demonicznych" obrazów, mówienie o diable i śmierci to bezmyślne i prostackie naśladowanie pańskich fascynacji. Pewnego rodzaju dwoistość w zachowaniu księcia uderzyła mnie już podczas pierwszej wizyty w pałacu. Cazeres



niewatpliwie zalicza się do głupców, lecz jednocześnie w jego słowach i czynach naprawdę kryje się coś niepokojącego. Tamtego wieczoru książę niemal zmusił mnie, bym dotykał nagiego ciała jego żony. To było, nie potrafię tego lepiej określić, jak proszenie się o nieszczęście,

jakby Cazeres głośno wzywał tragedię. Pan, don Sicart, również pragnął tragedii, najlepiej krwawej, która przerwałaby monotonię zwykłych dni. A ponieważ nie zanosilo się na to, postanowiles wziąć sprawę we własne ręce. Śmierć dony Luciany to paskudne dzieło, nie paskudnego kuzyna. On był tylko narzędziem w pana ręku, mniej lub bardziej świadomym. Masz, panie, swego kuzyna za głupca, o czym najlepiej świadczy fakt, iż nie

powiedziiales mi, że jedynym naprawdę mrocznym obrazem w jego kolekcji jest właśnie Pełnia lata – obraz, który książę uważał za zwyczajne, sentymentalne malowidło. To był taki mały zarcik z pana strony: śmiales się, panie, w duchu, wiedząc, że Cazeres podziwia niewiele wartości bohemy, a na Pełnię lata nawet nie zwraca uwagi.

Jordan odetchnął i wrócił do właściwego wątku.

Znalazłem więc odpowiedź na pytanie, które dręczyło mnie od początku. Dlaczego księżna Cazeres nie mogła umrzeć w swej dawnej komnacie? Dlaczego trzeba było przenieść ją do nowej?

Jaka jest ta odpowiedź? – cicho spytał don Sicart, nie spuszczać wzroku z Jordana. Nieruchome rysy sprawiały, że jego oblicze przypominało pergaminową maskę. W tej twarzy były tylko ciemne, wciąż kpiące oczy.

W podłodze pańskiej komnaty wybito jest niewielki otwór, przez który zajrzeć można do znajdującej się poniżej sypialni. Sądzę, że w pałacu znalazłoby się jeszcze kilka takich przemyślnych, służących podglądaniu i podsłuchiowaniu połączeń...

Jordan urwał. Rysy don Sicarta drgnęły lekko, brwi uniosły się w górę, a kąski ust wygięły się w uśmiechu.

I?

Tamtej nocy obserwowales, panie, dony Luciane. Właśnie dlatego masz, na pańską prośbę, nakłonił ją do przeprowadzki. Po to, byś mógł rozkoszować się jej przerażeniem, a potem śmiercią.

Brawo – rzekł don Sicart. – Bardzo logiczny sposób rozumowania. Choć i ja, nie chwaląc się, popisałem się inteligencją. To był impuls, decyzja podjęta w mgnieniu oka. Pomógł mi szczęśliwy los. Owego młodzieńca, Rafaela, trafił do nas przypadkiem.

Szedł z Moulis do Alestry i we mgle zmylił drogę, skrecając do Villatelle. Rafael widzi w ciemności, ale już nie we mgle. Zabawne, prawda? Jak widać, nawet dary świętych nie są doskonałe. Zresztą był wtedy bardzo chory i ledwo widział na oczy. Przywłókł się tu w środku nocy. Wpuściła go Brianda; żeby otworzyć tylne drzwi od zewnątrz, trzeba mieć klucz, ale od środka wystarczy tylko odsunąć skobel. Tak czy inaczej, Brianda pobiegła zaraz zbudzić mego kuzyna, jego żonę, a także mnie. Jestem stary, panie Jordan, ale nic w tym pałacu nie ma prawa wydarzyć się bez mojej wiedzy. Gdy tylko ujrzałem Rafaela, pojąłem, kim on może być. Pojąłem też, w jaki sposób mogę go wykorzystać. Brianda i mój kuzyn zanieśli młodzieńca do jednej z nieużywanych komnat, a dona Luciana podjęła się opieki nad nim. Z chorymi biedaczka radziła sobie całkiem niezle, znacznie lepiej niż wypadałoby księżnej. Kazałem im trzymać obecność Rafaela w sekrecie i zabroniłem wzywać lekarza. Powiedziałem, że to dlatego, iż młodzieńiec najprawdopodobniej jest zbiegłym skazancem i za ukrywanie go grozi kara. Brak uszu był wystarczającym dowodem, że mówię prawdę. Jednak ja od dawna interesuję się tego typu sprawami i dla mnie mógł to być dowód zupełnie czegoś innego. – Don Sicart uśmiechnął się szerzej. – Mogło to świadczyć, że Rafael urodził się w miejscowości zwanej Mandracourt i w zamian za okaleczenie uzyskał pewne... niezwykle zdolności. Okazało się, iż miałem rację. Gdy tylko Rafael wydobrzył, bez trudu przyznał mi się do swych talentów. Uwierzysz, panie, że młodzieńiec wykorzystywał je głównie po to, by w karczmach wygrywać zakłady z bogatymi paniczami i popisywać się ku uciesze gawiedzi? Coż za marnotrawstwo! Przekonałem go więc, że lepiej zrobić, używając swych zdolności w innym celu. Przyszło mi to zadziwiająco łatwo. Rafael, nim przybył do tego domu, w głębi duszy już był mordercą. Potem wystarczyło tylko powiedzieć mu, gdzie dona Luciana trzyma komplet kluczy, i wskazać sznur od dzwonka, który należało przeciąć. To wszystko. Rafael, już całkowicie zdrowy, opuścił pałac. Zjawiał się co jakiś czas w parku, a mnie, jak już wspomniałem, starcza sił, by od czasu do czasu odbyć mały spacer, więc mogliśmy jeszcze pogawędzić. Plan był gotowy, czekaliśmy tylko na właściwy moment. Moment ów zdarzył się, gdy zdecydowałeś się, panie, przyjmując zaproszenie mego kuzyna. Przyznaję bowiem, że bardzo zależało mi na zainteresowaniu tą sprawą właśnie pana. Pragnąłem... jak by to rzec... mieć godnego siebie przeciwnika.

I dlatego straszyles, panie, mojego słuzacego?

Och, w tej kwestii mój podopieczny zawiodł odrobine. Kazałem mu postraszyć pana, nie pńskiego Bogu ducha winnego sługę. On jednak stchorzył najwyraźniej i wybrał taką właśnie okreśną metodę. A ja chciałem po prostu przekonać się, czy mimo groźb wrocisz, panie, by dalej badać sprawę śmierci dony Luciany. Wrocilibys? Nawet gdyby Rafael w ramach ostrzeżenia uczynił panu krzywdę?

Jordan skinął głową.

Tak silne jest w panu pragnienie sprawiedliwości? – Don Sicart kolejnym

delikatnym uśmiechem dal do zrozumienia, ze swietnie wie, iz nie jest to wlasciwa odpowiedz.

Nie – odparl Jordan. – Tak silna jest we mnie ciekawosc. Zawsze chcialem wiedziec. To najwieksza moja wada. Albo zaleta, zalezy, jak na to patrzec.

I coz zamierzasz, panie, uczynic z ta wiedza? Rafael uciekl...

Domyslami sie, dokad. Teraz, gdy ma prawa dlon niesprawna, pojedzie prawdopodobnie do Mandracourt, by wyblagac u swietego kolejna laske.

Zamierzasz go, panie, scigac?

Byc moze – odpowiedzial wymijajaco.

A co ze mna? – Don Sicart juz sie nie usmiechal. – Zdajesz sobie, panie, sprawe, ze nie latwo bedzie oddac mnie w rece kata? A moze zgodzisz sie zapomniec o calej sprawie? Prosze wziac pod uwage moj wiek. Ile zycia mi pozostalo? Rok, dwa? Smierc szybko sie o mnie upomni. Dostane, na co zasluzyłem.

Jordan wolno pokrecil glowa.

Don Sicart pochyлил sie w jego strone.

Nienasycona ciekawosc, bystrosc umyslu, wiara w moc rozumu i logike. I brak litosci. Wiesz, don Domenicu, ze w mlodosci bylem do pana bardzo podobny? Zastanawiam sie, czy i pana zgubia te cechy, jak zgubily mnie.

Jordan zacisnal dlonie na poreczach fotela tak mocno, ze poczul bol.

W towarzystwie tego zepsutego do szpiku kosci, madrego starca poczul sie nagle mlody, niedoswiadczony i bezradny. A juz od bardzo dawna tak sie nie czul. Ogarnal go lek, ale wiedzial, ze nie ma sensu zaprzeczac istnieniu tego uczucia. Zaakceptowal je, opanowal sie. I czekal.

Zreszta – ciagnal don Sicart – nie spodziewalem sie innej odpowiedzi po kims, kogo za plecami ludzie nazywaja katem Almayrac. O, tak. – Oczy mowiacego zaiskrzyly sie, gdy Jordan drgnal lekko. – Tak wlasnie pana nazywaja, choc w krazacych plotkach wiecej pewnie jest fantazji niz prawdy. Ponoc wystarczyl jeden tylko list do biskupa Malartre, panskiego protektora, by do Almayrac wyslac oddzial wojska, ktory tej wiosny wymordowal jedna czwarta mieszkancow miasteczka. Co napisales w tym liscie, panie? "Prosze o pomoc, bo trzeba zabic kilkudziesieciu obywateli Almayrac z takiego to a takiego powodu"?

Nie – powiedzial Jordan, ktory zdazyl juz odzyskac rownowage. – Napisalem:

**"Prosze o pomoc, bo trzeba zabic kilkudziesieciu obywateli Almayrac". Nie podalem powodu.**

**Przez twarz don Sicarta przemknal cien niepewnosci. Starzec cofnal sie, wtulil w oparcie fotela.**

**Czy moglbys, panie, podejsc do okna?**

**Jordan spojrzal zdziwiony, ale spelnil prosbe.**

**Co widzisz?**

**Villatelle – odparl. – Parki i ogrody. I rezydencje.**

**Wlasnie. – Don Sicart skinal glowa. – Villatelle. Zalozmy nawet, ze uda sie panu mnie zniszczyc. Lecz jak myslisz, panie, ilu podobnych mnie ludzi kryje sie jeszcze w tych starych, moknacych w jesiennym deszczu palacach?**

**Jordan uslyszal pytanie, ale nie odpowiedzial. Wciaz stal przy oknie, spogladajac na moknacy w deszczu krajobraz. Myslal o Rafaelu Sanie. Byl pewien, ze okaleczony mlodzieniec uda sie teraz z powrotem do zrodla swych niezwyklych zdolnosci. Prosic swietego o kolejna laske.**

**A wiec Jordan, gdyby chcial scigac Rafaela, musialby wrocic w jedyne miejsce, w ktore juz nigdy wracac nie chcial.**

**Do Mandracourt.**

**Do domu.**

**This file was created with BookDesigner program**

**bookdesigner@the-ebook.org**

**2009-11-30**

***LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/***